

# GRAHAM MASTERTON

Pewnych  
demonów lepiej  
nie budzić...



# SPIRITUAL FILOMENEY

ALBATROS

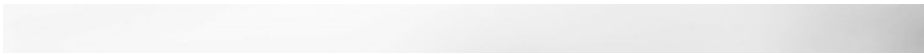


GRAHAM  
MASTERTON

SZPITAL  
FILOMENY

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
MAŁGORZATA STEFANIUK

ALBATROS  
WYDANIE ELEKTRONICZNE



Tytuł oryginału:  
THE HOUSE AT PHANTOM PARK

Copyright © Graham Masterton 2022  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2023

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Ysbrand Cosijn/Shutterstock.com (*dom*); getgg  
/Shutterstock.com (*niebo*); Lindsay Stone/Shutterstock.com (*trawa*);  
klyaksun/Shutterstock.com (*dym*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Konwersja do formatu elektronicznego

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Graham Masterton](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Tego autora](#)

HOŁD DLA KLASYCZNEGO HORRORU W NOWOCZESNYM WYDANIU.

GRAHAM MASTERTON WRACA DO KORZENI GATUNKU, KTÓREMU POŚWIĘCIŁ NIEMAL CAŁĄ KARIERĘ PISARSKĄ.

I PO RAZ KOLEJNY POTWIERDZA, ŻE JEST MISTRZEM PRZERAŻAJĄCYCH OPOWIEŚCI.

W tych opuszczonych korytarzach wciąż czai się ból. I zniszczy każdego, ktokolwiek odważy się przestąpić próg szpitala Filomeny.

Niektóre miejsca powinny zostać zapomniane na zawsze. Ale Lilian Chesterfield trudno zapomnieć o imponującej zabytkowej rezydencji położonej w ogromnym parku. Zwłaszcza że właśnie z tego żyje: kupuje rozpadające się budynki, odnawia je i sprzedaje za grube miliony. Teraz sądzi, że zrobiła świetny interes, inwestując w dawny szpital wojskowy. I choć od pierwszej chwili staje się jasne, że ktoś – lub coś – ukrywa się w budynku i nie zamierza tolerować intruzów, Lilian nie daje za wygraną.

Nawet kiedy pojawia się dawny pacjent szpitala Filomeny i ostrzega ją przed tym miejscem. Nawet kiedy dowiaduje się o kolejnych zgonach z nim związanych. Nawet kiedy zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z czymś o wiele bardziej przerażającym niż duchy...

# Graham Masterton

Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w „Mayfair” i brytyjskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów – w tym 11 kryminałów z cyklu Katie Maguire – oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem Manitou (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 100 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. O popularności Grahama Mastertona w Polsce może świadczyć choćby to, że w 2021 roku w sierpniu stanie we Wrocławiu przed Art Hotel jego „krasnal” – Mastertonek.



*Mojemu przyjacielowi Michaelowi Halperinowi... z najlepszymi życzeniami.*

*Masz moc!*

# Rozdział 1

Krzyk był tak rozdzierający, tak pełen udręki i trwał tak długo, że Alex upuścił iPada na łóżko i wybiegł na korytarz.

Ponieważ hałas zdawał się dobiegać z piętra niżej, Alex pobiegł w stronę schodów. Zanim jednak zdążył do nich dotrzeć, wszystko nagle ucichło. Serce waliło mu jak młotem. Chwycił się balustrady i spojrzał w dół – nikogo tam nie było.

– Halo?! – zawołał. – Halo?! Czy potrzebna jest pomoc? Halo?

Czekał, nasłuchiwał, lecz odpowiedź nie nadeszła. Skrzypiącymi dębowymi schodami zszedł na drugie piętro. W szpitalu było już teraz zupełnie cicho, spowijał go mrok, nie licząc przecinających stopnie schodów trzech wąskich strużek światła słonecznego z unoszącymi się w nich drobinkami kurzu.

– Halo?! – zawołał ponownie, lecz tylko raz; dźwięk własnego głosu niepokojąco przypomniawszy mu, że miał tu być jedyną obecną osobą. Szpital stał pusty już od ponad dwóch lat, choć w wielu salach ogólnych i jednoosobowych pokojach pozostały łóżka. Niektóre nadal były zasłane poplamioną i wymiętą pościelą, na niektórych leżały poduszki, wciąż z wgnieceniami po głowach ostatnich pacjentów.

Alex ruszył korytarzem oznakowanym jako skrzydło Wellingtona. Po każdej jego stronie znajdowało się ośmioro drzwi, niektóre były otwarte. Dębową posadzkę pokrywało cętkowane zielone linoleum, mimo to podłoga skrzypiała, kiedy po niej stąpał. Na dalekim końcu korytarza znajdowało się okno z witrażem herbu rodziny Carverów, do której ten dom należał, zanim został zarekwirowany i przerobiony na szpital wojskowy. Herb przedstawiał stojącego na tylnych nogach białego byka z pierścieniem w nosie, ale też w piusce na łbie i w białej pelerynie, jak papież.

Alex zaglądał do każdego pokoju po kolei. Nie licząc łóżek i stojących przy nich szafek oraz kilku stojaków na kroplówki, sale były puste.

Dotarł do końca korytarza i odwrócił się. Kto, do cholery, tak krzyczał? Był pewien, że sobie tego nie wyobraził. Możliwe, że w budynku przebywali nielegalni lokatorzy i krzyczeli, żeby go wystraszyć i przepędzić. Wątpliwe jednak, by wiedzieli, z jakiego powodu tu jest i dlaczego mierzy budynek przed jego przekształceniem w luksusowy dom spokojnej starości.

Wrócił do klatki schodowej. Zastanawiał się, czy nie powinien przeszukać całego gmachu, tyle że to zajęłoby co najmniej pół godziny, a mierzenie górnego piętra musiał dokończyć, zanim zacznie się ściemniać. Prąd nadal był odłączony; mieli go włączyć najwcześniej w przyszłym tygodniu.

Zaczął wspinać się na schody i wtedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Wydawało się, że trzasnęły gdzieś na korytarzu w skrzydle Montgomery'ego. Korytarz prowadził do oddziału z wieloma łózkami, sali, w której niegdyś mieściła się biblioteka Carverów.

Alex zawahał się. Na zewnątrz wiał silny jesienny wiatr, w salach szpitala hulały przeciągi, było więc całkiem prawdopodobne, że drzwi mogły zamknąć się same. Ale nawet jeśli zatrasnął je nielegalny lokator czy inny intruz, to czy mierzenie się z tym jest naprawdę jego zadaniem? Jest mierniczym, na litość boską, nie policjantem.

Trzymając się poręczy, zrobił krok w górę, potem kolejny. Właśnie miał zrobić trzeci, gdy usłyszał stęknienie. Brzmiało to jak jęk kogoś pogrążonego w bólu i w rozpaczy i trwało i trwało, i stawało się coraz głośniejsze i głośniejsze, i coraz bardziej zdesperowane. Bez wątpienia dochodziło ze skrzydła Montgomery'ego.

O cholera, zaklął w duchu. Ktoś tu jest i to ktoś ciężko ranny. Chyba mogę przynajmniej sprawdzić, gdzie ten ktoś jest i co mu się stało, i wezwać karetkę, jeśli się okaże, że będzie potrzebna.

Wrócił na dół, przemierzył korytarz i otworzył podwójne drzwi oddziału w skrzydle Montgomery'ego. Do sali wpadały ostatnie promienie pomarańczowego słońca, gdyż po lewej jej stronie znajdowały się trzy wysokie okna, każde wychodzące na taras z roztaczającym się z niego widokiem na las

okalający szpital. Targane wiatrem drzewa falowały gwałtownie, jakby ostrzegwały go z oddali, aby zachował ostrożność.

W sali stało osiem łóżek, wszystkie wzdłuż prawej ściany. Na żadnym nie było pościeli, koców ani poduszek i tylko przy jednym stał stojak do kroplówek, żałośnie powyginany.

Zbolałe jęczenie nie ustępowało, raz ciche i zduszone, raz urastające prawie do krzyku. A jednak w sali nie było nikogo – w każdym razie nikogo, kogo Alex mógłby zobaczyć. Przeszedł wolno wzdłuż łóżek, pochylając głowę, aby zajrzeć pod każde. Gdy dotarł do ostatniego, jęk stał się jeszcze głośniejszy i jeszcze bardziej przepełniony udręką. Łóżko było puste, lecz materac miał wgniecenie na środku, jakby ktoś na nim leżał. Alex odniósł wrażenie, że wgłębienie się porusza, jakby leżący na materacu przewalał się z boku na bok w męczarniach.

Zaskoczony i zarazem przerażony, wpatrywał się w materac przez kilka sekund, jęk zaś w tym czasie opadł do najniższego poziomu; bardziej przypominał rżenie niż jęczenie. Po chwili jednak ponownie podniósł się do potwornego krzyku, sprężyny łóżka skrzypnęły głośno, ugięły się i Alex poczuł, że za kłapy marynarki chwytają go czyjeś dwie silne dłonie. Został gwałtownie pociągnięty w dół i przewrócony na łóżko.

Nie miał jednak czasu walczyć, bo gdy tylko wylądował na materacu, krocze zacisnęła mu niewyobrażalny ból – zupełnie jakby upadł na tory kolejowe, na podłączoną do prądu szynę – ból, który go oślepił i ogłuszył; z gardła wyrwał mu się tak przeraźliwy krzyk, że pomyślał, iż rozdarł je sobie na krwawe strzępy.

Spadł z łóżka na podłogę i uderzył głową w stojak na kroplówkę; ten przewrócił się na niego z łoskotem. Miotał się, kopał i krzyczał, ale ból był nieubłagany i stawał się coraz bardziej i bardziej niemożliwy do zniesienia.

Alex leżał na podłodze i wył. Za wysokimi oknami napływały z zachodu coraz gęstsze chmury burzowe i bardziej przysłaniały zachodzące słońce; oddział zaczął się szybko pograżać w ciemności. A ból wciąż trwał, nieważne, jak głośno Alex krzyczał, szlochał, jęczał i błagał, żeby ktoś go wybawił od tego cierpienia.

Nikt jednak nie przychodził, w końcu więc zamilkł i z zamkniętymi oczami zastanawiał się, jak taki ból może w ogóle istnieć.

W najciemniejszych godzinach nocy wydawało mu się, że słyszy głosy, nie mógł jednak zrozumieć, co ci ludzie do siebie mówili. Zawołał dwa, trzy razy,

lecz nikt mu nie odpowiadał. A ból wciąż trwał.

## Rozdział 2

– Patrz, jest jego samochód – rzuciła Lilian, gdy David wjechał na dziedziniec szpitala Świętej Filomeny. – Zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie odbierał, kiedy do niego dzwoniłam.

– Może nie ma tu zasięgu – odparł David.

– Dzwonił do mnie zaraz po przyjeździe. Mówił, że idzie mu dobrze i że ma nadzieję zmierzyć całe górne piętro, jeszcze zanim zrobi się zbyt ciemno. Zwykle jest bardzo solidny. Klub golfowy Kingswood zmierzył w dwa dni.

Lilian wysiadła z samochodu i poprawiła spódnicę. W ciągu tygodnia przytyła co najmniej kilogram i spódnica w pasie była odrobinę przyciasna. Przysięgała sobie, że przestanie jeść pieczywo, wracała jednak do domu tak późno, że zamiast zupy czy sałatki, robiła sobie kanapki. Teraz żałowała, że nie włożyła dziś bielizny wyszczuplającej.

David przysłonił oczy ręką.

– Czy to on tam na górze?

– Gdzie?

– Tam, na ostatnim piętrze. Chyba wyglądał przez okno. Przez to obok bluszczu. Ktoś tam był. Widziałem czyjaś twarz, ale już zniknęła.

– Może masz rację i faktycznie nie ma tu zasięgu. Wejźdźmy i sprawdźmy, jak sobie radzi.

Przeszli wysypanym żwirem dziedzińcem do portyku. Świętą Filomeną Lilian ekscytowała się bardziej niż jakimkolwiek projektem, którego realizacji się podjęła. Ten niegdysiejszy szpital wojskowy był imponującym budynkiem w stylu jakobińskim, zbudowanym z brązowej cegły ze szprosowymi oknami i misternie zdobionymi kominami. Otoczony ponad trzydziestoma hektarami

lasów porastających North Downs w Surrey, wydawał się pewniakiem; wiedziała, że jest w stanie przekształcić go w oszałamiający kompleks mieszkalny o nazwie Park Filomeny, który sprzeda się za miliony.

Zanim weszła na ganek, przystanąła na chwilę i rozglądała się, wsłuchując się w delikatny szelest drzew okalających dom. Chyba jeszcze nigdy nie czuła się tak usatysfakcjonowana i spełniona.

– Zobacz, zostawił te cholerne drzwi otwarte na całą szerokość – sarknął David.

Odwróciła się.

– Czyli jednak musiał odsłuchać moją wiadomość i spodziewa się nas – powiedziała.

– Niezbyt to przezorne. Mógł tu wejść każdy i zabrać, cokolwiek by zechciał.

– Tylko co ktoś miałby stąd ukraść? Stare łóżka szpitalne? Nawet bym tego chciała. Zaoszczędziłoby to nam wydatków związanych z ich wywiezieniem.

Weszli do holu wyłożonego dębową boazerią i wyblakłym szkarłatnym dywanem. Pachniało w nim drewnem i trochę również środkami antyseptycznymi. Większość obrazów została już usunięta, ale portret poprzedniego właściciela Świętej Filomeny, sir Edmonda Carvera, wisiał nadal obok klatki schodowej. Sir Edmond miał opadające siwe wąsy i worki pod oczami, przez co wyglądał na niewypowiedzianie zmęczonego, jakby życie mocno dało mu się we znaki mimo bogactwa oraz osiągnięć w roli bankiera i wielkiego filantropa.

– Alex! – zawołał David. – Przyjechaliśmy, kolego! Gdzie jesteś?

Nie było odzewu, zawołał więc ponownie.

– Alex! Jesteś na górze?

Nadal żadnej odpowiedzi. Z jedną brwią podniesioną David odwrócił się do Lilian; zaczynał wyglądać na zaniepokojonego.

– Byłem pewien, że to jego widziałem w tamtym oknie. Ale może to nie był on. Mam tylko nadzieję, że to nie dziki lokator.

– Nawet jeśli, to co się stało z Alexem?

– Chyba pójde i sprawdzę, czy tam jest, jak myślisz? – spytał David, prawie jakby miał nadzieję, że Lilian powie, żeby nie zwracał sobie głowy.

– W porządku – zgodziła się. – A ja rozejrzę się na dole. Może mierzy piwnicę i dlatego nas nie usłyszał.

– A jeżeli okaże się, że ta osoba, którą widziałem, to dziki lokator?

– Wtedy mnie zawołaj. Zawsze przecież możemy wezwać policję, jeśli będzie trzeba.

Z wyraźną niechęcią David zaczął wspinać się po schodach, a Lilian w tym czasie przeszła do dużego, wysoko sklepionego salonu. Jedyнным meblem, który tu pozostał, był zepchnięty w kąt staroświecki fotel. Wszystkie zasłony były ściągnięte, dywan zwinięty, a parkiet usiany źwirem, niedopałkami papierosów i grudkami tynku. W kominku z piaskowca ktoś porzucił metalowy chodzik na kółkach.

Nad gzymsem kominka nadal wisiło zakurzone lustro i przechodząc obok, Lilian dostrzegła w nim swoje odbicie. W tak ogromnym pomieszczeniu, jakim był ten salon, wyglądała, jakby się skurczyła, zupełnie jak postać z filmu *Alicja po drugiej stronie lustra*. Podeszła bliżej do kominka, wspięła się na palce, przyjrzała się sobie i z zadowoleniem stwierdziła, że nie wygląda tak grubo, jak się czuła.

Zmierzyła przycięte na krótkiego pazia kasztanowe włosy i wydeła jaskrawoczerwone usta. Twarz miała okrągłą, z lekką zapowiedzią podwójnego podbródka, ale w szczęśliwych początkowych dniach małżeństwa jej były mąż Tim zawsze mówił, że bardzo kocha te jej piwne „jak błyszczące szyszki” oczy i mały, zadarty „nosek jak skocznia narciarska” – tak go nazywał. Ale to było, zanim stracił pracę jako kadrowiec w Price Waterhouse, zaczął pić, krzyzczyć na nią, bić i obwiniać za wszystko, co poszło źle w jego życiu.

Dzisiaj miała na sobie czarny biznesowy kostium Hugo Bossa. Do pracy zawsze ubierała się w czarne kostiumy, bo uważała, że dodają jej autorytetu i odciągają uwagę od figury – a przynajmniej tak jej się wydawało.

Podeszła do wychodzących na taras drzwi i wyjrzała na zarośnięty ogród. Już wcześniej wybrała miejsce, w którym planowała wybudować basen dla lokatorów, z elegancką kamienną werandą w stylu włoskim.

Nadal wyglądała na ogród, gdy nagle usłyszała hałas dochodzący od strony kuchni. Odwróciła się i zaczęła nasłuchiwać. Przez chwilę było zupełnie cicho, a potem wydało jej się, że słyszy czyjeś przytłumione i powtarzające się jęki.



– Ach... ach... aaach!

Pospieszyła z powrotem do holu.

– Halo?! – zawołała. – Czy ktoś tam jest?

Odpowiedziała jej cisza.

– David? Znalazłeś już Alexa?

Nadal cisza.

Ruszyła szybko korytarzem prowadzącym do kuchni. Choć jej ściany były nadal wyłożone oliwkowozielonymi wiktoriańskimi kafelkami, to gdy Świętą Filomenę przekształcono w szpital, wszystkie oryginalne piece zostały usunięte i zastąpione nowoczesnymi kuchenkami. Dębowy kredens jednak został i dwie z jego górnych szuflad były wysunięte, a na posadzce z czerwonej terakoty leżało kilka noży kuchennych.

Lilian pochyliła się, aby je pozbierać, ale wtedy znów usłyszała zduszone „Aaach”. Dochodziło z sąsiadującego z kuchnią pomieszczenia gospodarczego, zwanego dawniej zmywalnią.

– Czy ktoś tam jest? – zapytała, usiłując brzmieć tak dyrektorsko, jak to tylko możliwe. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że to prywatny budynek i że nie wolno ci tu przebywać!

Odpowiedzi nie było, wrzuciła więc noże do szuflady, zamknęła ją i przeszła do zmywalni. Wyposażone w głęboki żeliwny zlewozmywak i dwa mahoniowe ociekacze pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak za czasów wiktoriańskich, choć jedną z dolnych szafek usunięto, aby w jej miejsce zamontować zmywarę.

Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że w zmywalni nikogo nie ma. Poszła na sam jej koniec, aż do tylnych drzwi wychodzących na ogród, i spróbowała je otworzyć. W zamku tkwił klucz, ale drzwi były zamknięte.

Tuż obok nich stała szafka z dużymi drzwiczkami. Otworzyła je, w środku jednak nie było nic poza przedpotopowym mopem, wiadrem i szczotką do zmiatania, prawie pozbawioną włosia.

Może to tylko odgłosy ze starych rur kanalizacyjnych szpitala, pomyślała, albo wiatr wiejący pod drzwiami zmywaka. Ale szuflada w kredensie nie mogła się sama otworzyć. I jak z niej wypadły noże?

Odczekała chwilę, na wypadek gdyby ktoś jednak w kuchni był i w jakiś sposób zdołał się ukryć, być może w jednym z piekarników, choć nie miała odwagi otworzyć żadnego, by się o tym przekonać. Zresztą powiedziała sobie, że ten ktoś musiałby chyba być z gumy, żeby się w nim zmieścić.

Nasłuchiwała, lecz już nie usłyszała żadnych zduszonych jęków, wróciła więc korytarzem do holu wejściowego. Gdy dotarła do schodów, obejrzała się przez ramię, by się upewnić, że nikt za nią nie idzie.

– David?! – zawołała, wciąż patrząc za siebie. – Znalazłeś Alexa?

I wtedy usłyszała przerażający krzyk dobiegający skądś z góry. Brzmiało to jak krzyk kogoś doznającego niewyobrażalnego bólu; ostatni raz coś podobnego słyszała, gdy labrador jej sąsiada wpadł pod autobus i został zmiażdżony przez koła.

– David! Kto tak krzyczy? Co się tam dzieje? David?!

– Nie wiem! – odkrzyknął David. – To dochodzi z jednej z sal! Na drugim piętrze! Idę tam teraz!

– Zaczekaj na mnie! – zawołała Lilian i ruszyła schodami na górę. Krzyk ani na chwilę nie ustawał. Desperacki, wznosił się i opadał, jakby ten ktoś wyśpiewywał arię w jakiejś krwawej operze, jak choćby *Zamek Sinobrodego*, w której połowa obsady umiera zasztyletowana.

David czekał na nią na drugim piętrze. Na twarzy miał wyraz czystego przerażenia.

– To chyba dochodzi z tamtego pokoju! – powiedział, podnosząc głos, żeby Lilian mogła go usłyszeć ponad hałasem. – W skrzydle Montgomery’ego!

Lilian ruszyła korytarzem bez słowa, David za nią. Pchnęła drzwi prowadzące do skrzydła Montgomery’ego i przekonała się, że tutaj krzyk jest już tak przesywający, że ledwo dawało się go znieść. Kiedy dotarła na środek sali, natychmiast zobaczyła, skąd pochodził. Alex leżał w odległym końcu oddziału na plecach, z głową i ramionami pod łóżkiem, i jak szalony wierzgał nogami. Szare spodnie miał przesiąknięte w kroku moczem i sądząc po kolorze plamy, również chyba i kałem.

Lilian podbiegła i uklękła przy nim.

– David... pomóż mi go podnieść.

Mimo że Alex nadal gwałtownie kopał, udało im się chwycić go za kostki i wyciągnąć spod łóżka. Niebieskie oczy miał przekrwione i wybałuszone i choć patrzył na Lilian i Davida, wydawało się, że ich nie widzi; może cierpiał tak straszliwie, że był ślepy na wszystko poza bólem. Od zacieklego zagryzania jego wargi były porozdzierane, a broda i szyja umazane we krwi.

I ani na chwilę nie przestawał się rzucać, a nogami wierzgał tak intensywnie, że spadł mu but z jednej stopy. I nie tylko to – przez cały czas walił się pięściami w pierś, naprawdę mocno, jakby karał się za odczuwanie takich tortur lub próbował sprawić, by jego serce się nie zatrzymało.

– Alex! To ja, Lilian! Alex, powiedz, co się stało?

Kręcił głową, kręcił nią z boku na bok, lecz nie odpowiadał. Spomiędzy jego warg wysunął się język i Lilian zobaczyła, że odgryzł sobie jego koniec. Kiedy ponownie krzyknął, bokiem ust wytrysnęły bąbelki krwi i skapnęły na podłogę.

Lilian wstała, wyjęła telefon i wybrała numer pogotowia. Kiedy operator odebrał, musiała przejść pod okno i zatkać ucho palcem, by usłyszeć cokolwiek ponad wrzaskami.

– Proszę o pilny przyjazd karetki, szpital Świętej Filomeny w Downlea. Jesteśmy na drugim piętrze, w skrzydle Montgomery’ego. Do mężczyzny po trzydziestce, Alexa Fowlera. Straszliwie cierpi, ale nie wiem, co mu się stało. Nie widzę żadnych obrażeń. Proszę tylko posłuchać...

Nie rozłączając się, wróciła do łóżka i uklękła przy Alexie. Chcąc go uspokoić, położyła mu dłoń na czole; było zimne i złane potem.

Wreszcie po trzech lub czterech minutach, wydawszy z siebie charkliwe stęknienie, Alex zamilkł. Lilian przestraszyła się, że stanęło mu serce, lecz nadal dygotał i ciężko sapał. Był tak wyczerpany, że w końcu mimo bólu zasnął, choć wyglądało na to, że cierpi nawet we śnie.

## Rozdział 3

– Mój Boże, Mo! – zawołała Grace, gdy Moses usiadł rano przy stole kuchennym. – Co się stało? Znowu śnił ci się ten koszmar?

Moses skinął głową.

– Myślałem, że to się już skończyło. Ale wczoraj w nocy wrócił i był gorszy i wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Zupełnie, jakbym tam znowu był. To dlatego się przeniosłem i spałem w pokoju gościnnym.

– A ja myślałam, że było ci ze mną za gorąco.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Ja się chyba nigdy z tego nie otrząsnę. Myślałem, że te sesje z doktorem Walmsleyem pomogą mi o tym zapomnieć. I nawet przez pewien czas nie pamiętałem. Ale wczoraj w nocy... znów tam byłem, Grace. Znów byłem w Kajaki, w tym upale, kurzu i smrodzie, a kapral Simons leżał tam przede mną.

Grace obeszła stół i położyła rękę na ramieniu męża, jakby udzielała błogosławieństwa.

Spojrzał na nią i westchnął ciężko.

– Mówię ci, będę widział kaprala Simonsa leżącego tam przede mną do końca swoich dni – powiedział.

Grace pocałowała go w czubek łysej głowy.

– Najlepsza terapia, jaką mogę ci teraz zaserwować, to kubek mocnej herbaty. I śniadanie. Miałam zamiar zrobić akarę z akamu.

– Nie wiem, czy jestem w stanie cokolwiek zjeść, kochanie. Przez ten koszmar mam ściśnięty żołądek.

– Och, mówisz tak teraz, ale zaczekaj, aż trochę popracujesz w ogrodzie. Wrócisz tu i zaczniesz narzekać, że umierasz z głodu, a ja będę wtedy oczywiście

w trakcie prasowania.

Grace przeszła przez kuchnię, wstawiła wodę na herbatę, po czym zapaliła gaz pod patelnię i zaczęła smażyć akarę, pierożki, które robiła z czarnej fasoli i ostrej papryki i które podawała z akamu, budyniem ze sfermentowanej kukurydzy. Było to jedno z ulubionych śniadań Mosesa, zaraz po zupce błyskawicznej o smaku kurczaka z makaronem, do której dodawała jajka.

– Nie zapomnij, że po południu odbierasz Lewisa i Darają ze szkoły – powiedziała, gdy postawiła przed mężem talerz i porcelanową miskę z akamu do maczania pierożków.

– Nie, nie zapomnę. Oni mi zawsze poprawiają humor. Czy Blessing mówił, kiedy wróci?

– Jeszcze nie wie. Ale nie będzie późno.

Moses miał usta pełne akary, gdy zadzwonił jego telefon. Wyjął go z kieszonki koszuli i kiedy zobaczył nieznany mu numer, zmarszczył brwi.

– Halo? – powiedział do słuchawki.

– Czy to kapitan Moses Akinyemi?

– Tak, ale już emerytowany. Od dziesięciu lat.

– Z tej strony Robert Wells. Szef oddziału ratunkowego szpitala Świętego Heliera w Sutton.

– Och, tak? W czym mogę pomóc?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale rano przyjęliśmy pacjenta cierpiącego na ostre bóle. Musiałem na razie sklasyfikować je jako przewlekłą dysestezję, bo nie możemy znaleźć absolutnie żadnych oznak tego, co może być ich przyczyną... ani zewnętrznych, ani wewnętrznych. Splot trzewny jest bez urazów i bez zapalenia. Poza tym otrzymałem właśnie wyniki tomografii komputerowej: jama brzuszna też jest w stu procentach czysta. Żadnych tętniaków, obrzęków, guzów. No po prostu nic.

Moses przełknął kawałek pierożka.

– Jak już powiedziałem, proszę pana, na emeryturę z Wojskowego Korpusu Medycznego przeszedłem dziesięć lat temu, nie bardzo więc rozumiem, dlaczego to właśnie do mnie pan dzwoni. Byłem lekarzem frontowym i nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem, jaki pan opisuje. Wszyscy, którymi się

zajmowałem, mieli albo rany postrzałowe, albo rozległe obrażenia powstałe na skutek wybuchu min czy bomb.

– Jestem tego świadomy, kapitanie. Ale mimo że nasz pacjent ledwie znosi ból, to podczas kilku krótkich momentów przytomności zdołał nam powiedzieć, jak się nazywa... i wymienił pańskie nazwisko. Powiedział, że uratował mu pan życie i że lepiej niż ktokolwiek inny będzie pan wiedział, dlaczego odczuwa tak wielki ból. Skontaktowaliśmy się z centralą Korpusu Medycznego Armii Królewskiej w Camberley i tam podali nam pański numer.

– Ja uratowałem mu życie? Kiedy? W jaki sposób? Jak powiedział, że się nazywa?

– Terence Simons.

Moses spojrział przez kuchnię na Grace, która akurat wycierała zmyte naczynia. Spytała bezgłośnie: „Kto to?”. Machnął ręką na znak, że powie później.

– Opatrywałem raz rannego, niejakiego Simonsa, w Afganistanie. Kapral Simons, imienia nie poznałem. I, tak... prawdopodobnie uratowałem mu życie. Ale to było w dwa tysiące trzynastym. A obrażenia, które odniósł... Proszę mi wierzyć, jedyne słowo na ich opisanie to „dramat”. Jeśli wasz pacjent nie jest kaleką, nie może być tym samym Simonsem, w żaden sposób nie może nim być. Simons, którego opatrywałem, stracił obie nogi i część lewej ręki oraz był ślepy na jedno oko.

– W takim razie na pewno nie mówimy o tym samym człowieku – zgodził się doktor Wells. – Jest pan absolutnie pewien, że nigdy nie leczył żadnego innego pacjenta o nazwisku Simons?

– Myślę, że mogłem leczyć innego Simonsa. To było dawno temu, nie pamiętam każdego rannego, którego ratowałem. Były ich dziesiątki i w większości przypadków nie miałem kiedy poznać ich personaliów. Mundury mieli poszarpane i całe we krwi, a zespoły ratownictwa medycznego przylatywały po nich chinookami i zabierały ich, zanim odzyskiwali przytomność... to znaczy, jeśli w ogóle ją odzyskiwali.

– Cóż, coś panu powiem – zaczął doktor Wells. – Każę zrobić zdjęcie temu nieszczęśnikowi i prześlę je panu. Może to pobudzi pańską pamięć. Chodzi o to, że ten człowiek tak straszliwie cierpi, a my poza faszermowaniem go oksymorfonem nie mamy żadnego innego pomysłu na uśmierzenie jego bólu.

– W porządku... Dobrze. Proszę przesłać mi zdjęcie, a ja zobaczę, czy go rozpoznaję.

Moses odłożył telefon na stół i wpatrywał się w niego tak, jakby się bał, że za chwilę wybuchnie.

– Co się stało? – zapytała go Grace. – Kto to był?

– Lekarz z Heliera. Mówi, że mają pacjenta, który mnie zna. Pacjenta o nazwisku Simons.

– Ale chyba to nie kapral Simons?

Moses odsunął stojący przed nim talerz.

– Przykro mi, Grace, więcej nie mogę. Ten telefon całkowicie mnie zniechęcił.

– Ale nie może chodzić o kaprala Simonsa, Moses! Przecież to niemożliwe!

\* \* \*

Moses poszedł usiąść w salonie, a Grace po chwili przyniosła mu kubek jego ulubionego nigeryjskiego napoju zrobionego z herbaty, kakao i mleka.

– Wypij to, zanim wystygnie. Potrzebujesz czegoś, co cię wzmocni.

Na parapecie obok ich ślubnego zdjęcia stało oprawione w ramkę zdjęcie Mosesa z kilkoma innymi członkami jego zespołu medycznego, zrobione w obozie Bastion. Moses był na nim w mundurze bojowym, z małą maskotką w kształcie głowy małpy, zwisającą z kłapy. Głowa małpy była amuletem, który dostał od matki, aby chronił go przed nieszczęściami.

Moses nie mógł oderwać oczu od tego zdjęcia. Chociaż wiedział, że Grace ma rację i że pacjent, który został przyjęty do Świętego Heliera, w żadnym razie nie może być tym samym kapralem Simonsem, którego opatrywał przy drodze w Kajaki, wciąż przepełniała go groza – ta sama mroczna groza, jaką czuł zawsze, gdy wsiadał do opancerzonego pojazdu patrolowego, którym miał być dowieziony do frontowej bazy operacyjnej.

Jego pobyt w Afganistanie był czymś, czego miał nigdy nie zapomnieć. Zwłaszcza nie mógłby zapomnieć widoku kaprala Simonsa leżącego na skalnym zboczu z obiema nogami zmiądzdzonymi, z lewym okiem zwisającym z oczodołu i lewym przedramieniem rozerwanym na strzępy. Nogi Simonsa nie wyglądały

nawet jak nogi, bo za sprawą wybuchu były oblepione krwią i pyłem. Eksplozja wtłoczyła ziemię, kurz i zwierzęce odchody w krwawą dziurę w jego pachwinie.

A jednak mimo tych straszliwych obrażeń Simons spojrział wtedy na niego jedynym pozostałym okiem i uśmiechnął się. Naprawdę się uśmiechnął. A potem zapytał:

– Co to było? Mina pułapka? Bo nic nie słyszałem.

Telefon Mosesa znowu zawibrował. Sięgnął po niego i zobaczył zdjęcie, które doktor Wells wysłał mu przez komunikator. Przedstawiało bladego trzydziestoparoletniego mężczyznę z pieprzykiem na górnej wardze i biznesową krótką fryzurą. Miał zmarszczone czoło, jakby rozwiązywał jakieś szczególnie trudne zadanie matematyczne, ale Moses z doświadczenia wiedział, że w rzeczywistości usilnie starał się skupić na czymkolwiek innym poza nieznośnym bólem.

Nigdy tego człowieka nie widział, zresztą wyglądał zbyt młodo, by mógł służyć w Afganistanie. Oddzwonił do doktora Wellsa.

– Nie, panie doktorze. Nie rozpoznaję go. Zupełnie nie rozpoznaję.

– Jest pan pewien? Bo on nieustannie powtarza pana nazwisko.

– Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy. Jestem tego pewien. Zresztą, skoro nie ma żadnych śladów poważnych obrażeń, żadnych blizn bojowych, niby z jakiej racji miałbym go znać i leczyć? Sądząc po jego wieku, wątpię, żeby był w wojsku w tym samym czasie co ja... to znaczy, jeśli w ogóle kiedykolwiek był w wojsku.

– Powiem szczerze, kapitanie, że naprawdę trudno jest mi to zrozumieć. Pańskie nazwisko nie jest ani pospolite, ani też szczególnie łatwe do wymówienia. Zupełnie nie mam pojęcia, w jakich okolicznościach lub gdzie ten pacjent mógł je usłyszeć ani też dlaczego jest tak przekonany, że to pan uratował mu życie.

– Przykro mi, nie mogę panu pomóc. Pozostaje mi mieć nadzieję, że znajdziecie jakiś sposób na to, by ulżyć temu biedakowi w cierpieniu.

Doktor Wells przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale czy istnieje możliwość, żeby przyjechał pan do szpitala i zobaczył się z nim osobiście? On się bardzo upiera,



że jest pan jedyną osobą, która może pomóc w uśmierzeniu jego bólu.

– Naprawdę nie wiem, w jaki sposób miałbym mu pomóc. Zwłaszcza że przecież go nie znam.

– Cóż, decyzja należy oczywiście do pana. Ale w razie czego jesteśmy gotowi pokryć wszystkie pańskie wydatki... opłatę za taksówkę, jeśli to będzie konieczne, i wszelkie inne poniesione koszty. Powiem szczerze... skończyły mi się już pomysły i jeśli istnieje choćby nikła szansa, że przyniesie pan temu pacjentowi nawet odrobinę wytchnienia, myślę, że warto spróbować.

Moses wziął głęboki oddech. Czy Afganistan kiedykolwiek zostawi go w spokoju? Ale choć był na emeryturze, nie przestał przecież być lekarzem, a tu inny lekarz prosił go o pomoc.

Zakrył ręką telefon i zwrócił się do żony:

– Chce, żebym pojechał do Heliera i zobaczył tego człowieka.

– Nie rób tego. Nie, jeśli miałoby cię to zdenerwować.

– Muszę. Jak mógłbym odmówić?

Grace pokręciła głową.

– Cóż, jedź, skoro uważasz, że musisz. Ale nie wybaczę ci, jeżeli znów będziesz budził się w nocy złany potem, krzycząc.

\* \* \*

Kiedy Moses przyjechał do Heliera, akurat zaczęło padać. Szpital, ogromne skupisko białych betonowych budynków w modernistycznym stylu z lat trzydziestych XX wieku, był największy w Surrey i Moses dobrze go znał, ponieważ się w nim urodził. Ostatni raz odwiedził go, gdy ich starszy syn Isaac prawie umarł z powodu przedawkowania heroiny. Teraz przyszło mu na myśl, że jeśli jakiegokolwiek inne miejsce poza bazą Bastion miałoby go prześladować w koszmarach, byłyby to właśnie ten szpital.

Doktor Wells czekał na niego na oddziale ratunkowym. Z krągłymi ramionami i wydatnym brzuchem, na którym opinał się biały fartuch, przypominał Falstaffa. Miał bujną grzywę siwych włosów oraz ciężkie okulary, które wyglądały, jakby w każdej chwili mogły zsunąć mu się z końca nosa. Obok niego stała dwójka pielęgniarzy: szczupły mężczyzna z mocno zaciśniętymi

ustami, z wyglądu Koreańczyk lub Chińczyk, i trzymająca tabletki rudowłosa młoda kobieta z twarzą usianą piegami.

Oddział był zatłoczony. W porze lunchu na A217 doszło do poważnego wypadku drogowego z udziałem autobusu szkolnego i betoniarki i kilkoro dzieci poniosło ciężkie obrażenia. Pielęgniarki biegały w tę i w tę, sanitariusze toczyli korytarzami wózki na skrzyżujących kórkach, w poczekalni tłoczyli się niespokojni rodzice.

– Przenieśliśmy naszego pacjenta na górę – poinformował gościa doktor Wells. – Znow zaczął krzyczeć i nie przestawał, nawet po podaniu środków uspokajających, więc umieściliśmy go tam, gdzie nie będzie mógł niepokoić innych pacjentów. Zwłaszcza tych najmłodszych.

Zaprowadził Moseesa do windy i nacisnął guzik drugiego piętra.

– Muszę szczerze powiedzieć, że jeszcze nigdy, przez całe trzydzieści pięć lat pracy, nie spotkałem się z takim przypadkiem. Oczywiście leczyłem wielu pacjentów z bólami psychosomatycznymi, zwykle wywołanymi stresem emocjonalnym. Skurcze żołądka, migreny, tego typu rzeczy. Ale ten pacjent odczuwa rozdzierający ból wszędzie, poczynając od stóp, a kończąc na głowie, choć wydaje się, że nie ma ku temu żadnego powodu, ani fizycznego, ani psychicznego.

– Kiedy został przyjęty?

– Dziś rano, około wpół do ósmej. To mierniczy pracujący dla firmy deweloperskiej. Podobno robił pomiary budynku w Downlea, w którym niegdyś mieścił się szpital Filomeny. Koledzy znaleźli go na jednym z oddziałów i o ile im wiadomo, przeleżał tam w męczarniach całą noc.

– Mówił pan, że nazywa się Terence Simons, tak?

– Upiera się, żeby tak go nazywać – wtrąciła się rudowłosa pielęgniarka, mówiąca z silnym manchesterskim akcentem. Podniosła tabletki, postukała w niego i dodała: – Jego koledzy powiedzieli nam, że naprawdę nazywa się Alex Fowler. Ma trzydzieści cztery lata, jest stanu wolnego i mieszka z matką w Dorking.

Dojechali na miejsce, wysiedli z windy i ruszyli korytarzem.

– Sprawdzaliście historię jego chorób? – spytał Moses.

– Oczywiście. Przeszedł zwykle choroby dziecięce, no wie pan, ospa wietrzna i odra, lecz poza sporadycznymi epizodami egzemy, był w miarę zdrowy.

Skręcili za róg i tam rudowłosa pielęgniarka podniosła rękę do ucha.

– Słyszycie? Na razie cicho. Módlmy się, żeby nie zaczął znowu krzyczeć.

Kiedy dotarli do ostatnich drzwi na końcu korytarza, kobieta otworzyła je. W środku panował półmrok, bo ciemnozielone rolety zasłaniały całe okno. Alex leżał na plecach, w poplamionym szpitalnym fartuchu, bez poduszki, nieprzykryty ani kołdrą, ani kocem. Poręcze po obu stronach łóżka były podniesione, żeby pacjent nie spadł na podłogę. W odległym kącie pokoju siedziała czarna studentka pielęgniarstwa; gdy Moses z doktorem Wellsem oraz dwójką pielęgniarzy weszli do sali, szybko wstała.

Doktor Wells podszedł do łóżka i spojrzał na Alexa ponad oprawkami okularów.

– No, no – rzucił. – Jest pan przytomny. I nawet udało się panu przestać krzyczeć. Jak się pan czuje? Lepiej?

– Nie – odparł Alex ochryple, a jego oczy przeskakiwały z lewa na prawo, jakby się bał, że ktoś się do niego zakradnie i go zaatakuje.

– Zaśpiewałam mu piosenkę – powiedziała opiekująca się Alexem stażystka.  
– A on po jakiejś chwili po prostu zamilkł.

– Może i ja powinienem tego spróbować – odparł z zastanowieniem doktor Wells. – Co mu pani zaśpiewała?

– *Nothing Compares to You.*

– Och, tego chyba nie znam. Będzie mnie musiała pani nauczyć. Czy nadal odczuwa pan tak samo silny ból, panie Simons?

Alex kiwnął głową i sapnął. Moses widział, że mocno wczepia się obydwoma rękami w prześcieradło pod sobą.

– Przyprowaździłem tu panu kogoś. Zobaczmy, czy go pan rozpozna.

Doktor Wells przesunął się w bok i gestem dłoni pokazał, żeby Moses się zbliżył. Ten podszedł bez słowa. Oczy Alexa przestały strzelać na boki; mężczyzna wpatrywał się w niego z wydawałoby się absolutnym niedowierzaniem.

– Kapitan Akinyemi – wychrypiał w końcu. – Znaleźliście go!

– Jest pan pewien, że to on? – spytał doktor Wells.

– Oczywiście... oczywiście, że jestem! Kapitan Akinyemi uratował mi życie! Byłbym już dawno martwy, gdyby nie kapitan Akinyemi! Gniłbym pod ziemią!

– Naprawdę nie wiem, dlaczego pan tak myśli – odezwał się Moses. – Ja pana w ogóle nie pamiętam. W zasadzie to jestem pewien, że nigdy wcześniej pana nie widziałem.

– Uratował mi pan życie! Jak pan może tak mówić, skoro pan mnie uratował? Kapral Simons... jak pan mógł mnie zapomnieć? Rozszarpało mnie na strzępy, a pan mnie uratował!

Alex zaczął się podnosić, próbując usiąść, lecz Moses widział, że gdy tylko się poruszył, przeszył go niehumaniczny ból. Wydał z siebie ostry, przypominający skrzek mewy krzyk, opadł płasko na łóżko i charczał, kopiąc nogami w agonii.

Moses ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co moglibyście zrobić, żeby przestał tak cierpieć. Mówił pan, że podaliście mu oksymorfon. Jeśli to nie zadziałało, to już nie wiem, co innego mogłoby pomóc.

– Już raz mnie pan uratował – wysapał Alex. – Dlaczego nie może uratować mnie pan teraz?

– Bo nie jest pan tym, którego ratowałem – odparł Moses, pochylając się nad barierką łóżka.

– Co? Jak to? Co pan mówi?

– Kapral Simons wszedł na minę. Doznał straszliwych obrażeń. Stracił obie nogi. Pan... panu nic nie jest, przynajmniej zdaniem obecnego tu zespołu medycznego. Naprawdę nie potrafię zrozumieć, dlaczego pan myśli, że jest kapralem Simonsem, nie mam też pojęcia, skąd pan zna moje nazwisko. Może czytał pan o mnie w jakimś artykule prasowym lub widział w telewizji jakiś dokument ze mną.

– Uratował mi pan życie – wyszeptał Alex. – Nie mogę o tym zapomnieć. Leżałem przy drodze, a pan przyszedł i ukląkł przy mnie. Pamiętam głowę małpy, którą miał pan przypiętą do munduru. Ona... ta małpka... ona się do mnie uśmiechała i to był ten moment, kiedy zrozumiałem, że przeżyję, że się z tego wyliżę.

Moses wpatrywał się mężczyzną ze zdumieniem.

– Pamięta pan moją małpkę?

Alex zacisnął mocno usta i skinął głową, a potem wydał kolejny krzyk, tak przeszywający, że Moses musiał zakryć uszy dłońmi.

Doktor Wells klepnął go w plecy na znak, że powinni wyjść. Przywołał też pielęgniarzy i wszyscy razem wycofali się na korytarz. Rudowłosa pielęgniarka zamknęła za nimi drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że wiedział o moim *biri layya*, amulecie w kształcie głowy małpy – wyznał nadal zdumiony Moses. – Nie mógł o niej wiedzieć, jeśli nie widział mnie w Afganistanie. To był jedyny czas, kiedy ją nosiłem.

– Tak, ten człowiek to jedna wielka zagadka – zgodził się doktor Wells. – Zaczynam myśleć, że może cierpieć na jakąś nietypową odmianę zespołu wieloobjawowego bólu miejscowego... tego, co nazywamy odruchową dystrofią współczulną.

– Ale taka dystrofia – odparł Moses – to zwykle wynik zaburzenia współczulnego układu nerwowego, który reaguje na uraz lub udar długo po tym, jak ból powinien ustąpić. A pan przecież twierdzi, że u tego pacjenta nie ma żadnych oznak obrażeń fizycznych, a tomografia mózgu niczego nie wykazała.

Doktor Wells wzruszył ramionami.

– Będziemy musieli kopać głębiej, żeby odkryć, dlaczego odczuwa aż tak silny ból. Zlecę wykonanie rezonansu magnetycznego, scyntyografię kości i badanie termograficzne. Na razie jednak rozważam podanie mu dużej dawki ketaminy i midazolamu, by wprowadzić go w stan śpiączki farmakologicznej. Nie możemy pozwolić, żeby się tak dalej męczył.

– Nadal nie mogę zrozumieć, skąd on może wiedzieć, kim jestem, i jakim cudem wie o moim amulecie. Szczerze mówiąc, trochę mnie to przeraża. Myśli pan, że przesadzam? To, czego się naoglądałem w Afganistanie... nie potrafię nawet opisać, jak straszne były niektóre z tych rzeczy. A teraz ten człowiek przywrócił je wszystkie.

– Może zejdziemy do stołówki i postawię panu kawę, co? – zaproponował doktor Wells. – Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić.

Moses obdarzył go gorzkim uśmiechem.

– To bardzo miłe z pana strony, panie doktorze – odrzekł. – Ale nawet cała kawa świata nie sprawi, że pozbędę się z pamięci widoku tych wysadzonych w powietrze, rozczłonkowanych ludzi.

## Rozdział 4

Nadal padał deszcz – lub raczej mglista mżawka – a nisko zawieszony chmury były postrzępione i szare jak gołębnie pióra. Lilian i David pojechali do Cock Inn, wiejskiego pubu oddalonego o niecałe dwa kilometry od Filomeny, i zamówili kornwalijskie paszteciki i po kieliszku czerwonego wina. Usiedli przy oknie i zabrali się do jedzenia. Nie rozmawiali wiele; Lilian przez większość czasu tkwiła z nosem w telefonie. Z Billings – firmą z Crawley zrzeszającą dyplomowanych rzeczoznawców – ustaliła, że podeślą im zastępstwo za Alexa Fowlera; nowy mierniczy miał przyjechać o piętnastej.

Zadzwoiła też do szpitala Heliera, ale nie mieli dla niej nowych informacji o stanie Alexa. Potem zadzwoniła jeszcze do Tima, byłego męża, ponieważ chciała odebrać kilka książek kucharskich, które po rozstaniu zostawiła w ich wspólnym mieszkaniu. Sądząc po odgłosach, Tim miał gościa, kobietę, i chyba był pijany, bo ciągle się śmiał i powtarzał bełkotliwie: „Zostaw mnie, no złaż ze mnie, no złaż!”.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją David, gdy w końcu odłożyła telefon.

– A dlaczego miałyby nie być? – odpowiedziała.

– Cóż, nie obraż się, że to powiem, ale masz... no wiesz... tę swoją minę.

– Jaką znowu minę?

– Tę, którą robisz, kiedy cię coś irytuje.

– Dobrze wiesz, że zawsze chcę, żeby wszystko szło jak w zegarku. Ale to z Alexem... to, że tak się rozchorował... Jasne, żal mi go i w ogóle, no ale wiesz... będziemy przez to mieli co najmniej dwa dni opóźnienia. A ja miałam nadzieję, że w przyszłą środę zrobimy prezentację dla potencjalnych inwestorów. Dzięki Bogu, że nie wysłałam jeszcze zaproszeń.

David zamierzał coś odpowiedzieć, ostatecznie postanowił jednak tego nie robić. Wiedział, że Lilian nie jest tak twarda, jak udawała. Żadna z pięciu kobiet pracujących w Downland Developments nie mogła sobie pozwolić na bycie empatyczną czy sentymentalną lub na pokazywanie po sobie, że czuje się urażona sprośnymi żarcikami i seksistowskimi docinkami. Firma wciąż tkwiła mentalnie w latach sześćdziesiątych XX wieku, w których „przebudzenie” to było coś, co się robiło po spaniu, najlepiej z przygodną „laską” u boku.

Ale firma dobrze wynagradzała pracownice. Wkrótce po jej założeniu właściciel, Roger French, zorientował się, że kobiety mają o wiele większe zdolności organizacyjne niż mężczyźni, widział, że jego luksusowe projekty mieszkaniowe zawsze były przez nie realizowane na czas i prawie zawsze poniżej budżetu. Nazywał to „dobrym gospodarowaniem”. Roger French miał już czwartą żonę.

– Chodźmy – rzuciła w końcu Lilian, wytarła usta i zgniotła serwetkę. – Wracajmy do pracy. Musimy porobić zdjęcia ogrodów do wycen aranżacji terenu.

– W taką pogodę?

– Ogrodnicy pracują w deszczu, nie widzę powodu, dla którego my mielibyśmy nie móc.

– W takim razie dobrze się składa, że zabrałem ze sobą kalosze.

Pojechali z powrotem do Świętej Filomeny, ale gdy skręcili w bramę, przekonali się, że wąski podjazd blokuje mężczyzna siedzący w niezgrabnym i ciężkim elektrycznym wózku inwalidzkim. Miał na sobie błyszczącą czarną pelerynę przeciwdeszczową i widać było spod niej jedynie jego bladą twarz; do tyłu wózka przymocowany był monstrualnych rozmiarów czarny parasol.

David gestem dłoni pokazał, żeby mężczyzna zjechał im z drogi, on jednak wpatrywał się w nich tak, jakby zupełnie nie rozumiał, o co im może chodzić. Wycieraczki przesuwają się po przedniej szybie tam i z powrotem z monotonnym skrzypieniem, a Lilian odnosiła niepokojące wrażenie, że mężczyzna na wózku tarasuje wjazd celowo.

Wysiadła z samochodu i podeszła do niego. Twarz cięty jej kłujące krople deszczu.

– Przepraszam, ale musimy podjechać pod szpital. Mógłby się pan trochę cofnąć tam, gdzie jest szerzej... albo może zjechać na bok?



Mężczyzna spojrział na nią oczami wyglądającymi jak dwie mleczne szklane kulki. Miał haczykowaty nos, a lewa strona górnej wargi była wywinięta i odsłaniała krzywe zęby. Przypominał Lilian pana Puncha z nadmorskiego teatryku kukielkowego\*.

– A po co tam jedzicie? – zapytał.

– Mamy tam coś do zrobienia. A teraz, jeśli mogłabym prosić... Czekają nas dużo pracy i trochę nam się spieszy.

– Co musicie tam zrobić? – Mężczyzna nie ustępował.

– To nieistotne. Powiem tylko, że reprezentuję nowego właściciela. Proszę więc łaskawie zjechać nam z drogi.

– Nikt nie jest właścicielem tego szpitala. Nikt... poza moimi przyjaciółmi, którzy w nim mieszkają.

– Przykro mi, ale szpital jest obecnie pusty, a my naprawdę musimy się do niego dostać.

– Tam mieszkają moi starzy kumple z wojska. Myśli pani, że co ja tu robię? Właśnie byłem się z nimi zobaczyć.

O Boże, pomyślała Lilian. Chory umysłowo i do tego kaleka. Jeśli się nie ruszy, będą musieli zepchnąć go z drogi, co może skończyć się tym, że facet oskarży ich o napaść, a tego rodzaju rozgłos to ostatnia rzecz, której Downland potrzebuje. *Chciwi potentaci z branży nieruchomości wpełznąli niepełnosprawnego weterana w żywopłot z głogu.*

– Proszę – powiedziała, składając ręce. – Proszę tak ładnie, jak tylko potrafie... niech pan nam zjedzie z drogi i nas przepuści.

– Pani i tak nie powinna tam wchodzić – odpysknął mężczyzna. – A już na pewno nie sama. Na pani miejscu bałbym się tam zaglądać. Oni ze mną się przyjaźnią, ale nie są przyjaciółmi nikogo innego. Mogą pani zrobić takie rzeczy, że... Cóż, nawet nie chcę sobie tego wyobrazać.

David już jakiś czas temu wysiadł z samochodu i przysłuchiwał się rozmowie.

– Tam nikogo nie ma, kolego – wtrącił się w końcu. – Szpital jest pusty. Wszyscy wyprowadzili się z niego już wiele lat temu. Wiem, że zapewne ma pan swoje wspomnienia, ale to tylko... wspomnienia.

Mężczyzna zmienił niezgrabnie pozycję pod wygniecioną wodoodporną peleryną, a Lilian odniosła wrażenie, że poruszanie się sprawia mu trudność, jakby miał tylko jedną nogę lub jakby jego miednica była zniekształcona.

– To idźcie na górę – rzucił. – Wtedy sami się przekonacie.

– Byliśmy na górze. Ten budynek jest opuszczony.

W tym momencie na podjazd wbiegła kobieta w średnim wieku w długim brązowym płaszczu i skrzypiących kaloszach.

– Frank! – zawołała ostro. – Znowu szukasz tu guza?

– Daję tylko tym miłym ludziom kilka słów przestrogi, to wszystko – odparował mężczyzna na wózku.

– Już ja ci dam kilka słów przestrogi, ty wieczny utrapieńcu! – wykrzyknęła kobieta. – No dalej, zbieraj się z powrotem do domu albo już nigdy cię z niego nie wypuszczę!

– Ja ich tylko ostrzegąłem.

– Już ja ci dam ostrzeżenie!

Mężczyzna uruchomił wózek, zjechał z podjazdu i zniknął za rogiem. Odprowadzająca go wzrokiem Lilian jeszcze przez dłuższą chwilę widziała trzęsący się duży czarny grzyb jego parasola.

– Przepraszam za niego – odezwała się kobieta w płaszczu. – Po tym jak został ranny w Afganistanie, dwa lata spędził w Świętej Filomenie i nie potrafi się trzymać od tego miejsca z daleka.

– Mówił nam, że tu wciąż przebywają jego koledzy z wojska – powiedziała Lilian.

– Tak, wiem. I on naprawdę w to wierzy. Przeszedł terapię, ale akurat w to nigdy nie przestał wierzyć.

– Może kiedy przekształcimy szpital w luksusowy kompleks mieszkalny, dotrze do niego, że tamte dni już minęły – wyraziła nadzieję Lilian.

– Ach, więc to wy! W takim razie życzę powodzenia. To taki piękny stary budynek, przykro było patrzeć, że tak marnieje. A przy okazji... nazywam się Marion Crosby. Prowadzę mały dom opieki dla pięciu byłych pacjentów szpitala... kilka kroków stąd, w Downlea. Z nich wszystkich tylko Frank jest na chodzie, tyle że, niestety, nieustannie pakuje się w takie lub inne kłopoty.

Ostatnim razem rzucał bryłkami końskiego łąjna w jakąś biedną kobietę, bo jej koń wypróżnił się na drodze, tuż przed nim. Ale lepiej już pójde i dopilnuję, żeby pojechał prosto do domu i więcej nikogo nie denerwował.

Marion Crosby odeszła, a oni z powrotem wsiedli do samochodu i podjechali pod szpital. Deszcz już zelżał i przez chmury usiłowało się przebić rachityczne słońce.

– Możemy zacząć od zrobienia zdjęć w części reprezentacyjnej ogrodu, tej przed salonem – zaproponowała Lilian. – Ma być punktem centralnym całego projektu... no wiesz, z fontannami, ławkami i rabatami róż. Dlatego właśnie zamierzamy nazwać to miejsce Parkiem Filomeny.

Weszli na ganek i Lilian zaniepokoiło to, że drzwi frontowe są szeroko otwarte, tak samo jak wtedy, gdy przyjechali tu rano.

– Wydawało mi się, że je zamknęłam – mruknęła. – Byłam pewna, że to zrobiłam. Może ten cały Frank ma klucze.

– Można się tego dowiedzieć od tej... no, jak jej tam... Marion Crosby. Ale na wszelki wypadek powinniśmy chyba wymienić wszystkie zamki, nie uważasz? – podpowiedział David.

– Czy ja wiem? Nie jestem pewna, czy te drzwi w ogóle zatrzymamy. Są oryginalne, to prawda, ale wyobrażam sobie tutaj takie z witrażem. W stylu secesyjnym, z witrażem z drzewami i zachodzącym słońcem.

David rozejrzał się po podjeździe.

– Coś nie widać, żeby nasz nowy mierniczy już się pojawił – zauważył.

Gdy weszli do holu, Lilian zatrzymała się i zawołała:

– Halo?! Czy ktoś tu jest?! Halo?!

Słuchali przez dłuższą chwilę, nikt jednak nie odpowiadał. Lilian weszła do salonu, podeszła do drzwi wychodzących na taras, odblokowała je i otworzyła. Ogród na zewnątrz był rozmokły, zachwaszczony i zarośnięty. Po wyłożonych łupkiem ścieżkach wiły się pnącza, których pędy oplatały wyglądającego na nieskończenie smutnego kamiennego cherubina stojącego pośrodku nieczynnej fontanny.

– Będziemy musieli poszukać naprawdę kreatywnego architekta krajobrazu – powiedziała. – Takiego współczesnego Capability Browna. Kreatywnego, lecz

z klasycznym podejściem.

– Ja takie mam – usłyszała czyjś głos dochodzący zza jej lewego ramienia.

Zaskoczona Lilian szybko się odwróciła. Z wnętrza obok okien balkonowych wyłonił się wysoki mężczyzna o potarganych kasztanowych włosach. Miał na sobie długą kamizelkę z jasnobeżowej skóry, sztruksowe spodnie i zielone gumowce.

– Przepraszam, ale co pan tu robi? – rzuciła ostro Lilian. – To już nie jest własność publiczna. To posiadłość prywatna.

– Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna. – Nikt mi o tym nie powiedział.

– Cóż, ja to panu teraz mówię. Musi pan stąd odejść.

– Ale ja jestem ogrodnikiem. Jestem tu ogrodnikiem od dziesięciu lat.

– Przykro mi, lecz to już przeszłość. I szczerze mówiąc, trochę to dziwne, że nikt pana nie poinformował, że szpital został zamknięty i sprzedany pod przebudowę.

– Sprzedany?

– Tak, sprzedany. A to oznacza, że wszelkie umowy z nim związane zostały automatycznie rozwiązane. Z zarządcą, kucharzami, ludźmi myjącymi okna, konserwatorami. Z ogrodnikami również, jak przypuszczam.

Lilian popatrzyła przed siebie i dodała:

– Choć sądząc po wyglądzie ogrodu, raczej się pan nie przemęczał. Robił pan coś w nim czy tylko stał i patrzył, jak zarasta chwastami?

Mężczyzna zrobił krok do przodu i nagle zza chmur wyszło słońce i oświetliło jego twarz, co wyglądało trochę tak, jakby padł na niego blask z aureoli świętego. Mężczyzna był przystojny w mroczny nordycki sposób: miał szare, głęboko osadzone oczy, gęste brwi i mocno zarysowany podbródek z dołkiem pośrodku.

– Czekałem na instrukcje – odparł spokojnie, jak gdyby jego odpowiedź wszystko wyjaśniała.

– Niestety, ale nie może pan tu zostać. Jeśli zostawi mi pan swoje nazwisko i numer telefonu, możliwe, że gdy już rozpoczniemy roboty, znajdziemy dla pana jakąś pracę w ogrodzie, lecz w tej akurat chwili nic dla pana nie mamy.

Były ogrodnik wpatrywał się w nią w sposób, w jaki mężczyźni patrzą na kobiety, które uważają za nieodparcie atrakcyjne. Jego szare oczy były naprawdę niezwykle, jak morze w burzowy dzień.

– Martin Slater – przedstawił się.

– A numer telefonu?

– Nie będzie pani potrzebny. Ja jestem tu zawsze. Wystarczy mnie zawołać.

– Myślę, że wyjaśniłam panu, panie Slater, że nie może pan zostać na tym terenie. Niezależnie od tego, jaką umowę miał pan zawartą w związku z pielęgnacją ogrodów, wygasła wraz z zamknięciem szpitala. Chodzi o kwestie bezpieczeństwa, a także o ubezpieczenie. Jeśli uległby pan jakiemuś wypadkowi podczas przebywania tutaj, ponosilibyśmy za to odpowiedzialność.

Martin Slater uśmiechnął się i zamknął na chwilę oczy, zupełnie jakby sobie coś przypominał. Wtedy na taras wyszedł David, zobaczył go i spytał:

– A to kto?

– Pan twierdzi, że był zatrudniony w szpitalu jako ogrodnik – odpowiedziała Lilian.

– I przyszedł tu po co? Żeby prosić o powrót do dawnej pracy?

– Na to wygląda. To dlatego pan tu jest, panie Slater, tak?

Martin Slater otworzył oczy.

– Nigdy stąd nie odszedłem. I nigdy nie odejdę.

David skrzywił się i rzucił bezgłośnie „Czubek”. Potem podniósł aparat fotograficzny.

– Pstrykniemy kilka fotek? – spytał. – Póki jeszcze świeci słońce?

– Tak – odparła Lilian, po czym zwróciła się do tajemniczego mężczyzny: – Panie Slater, musi nam pan wybaczyć. Mamy sporo pracy, do której musimy się już zabrać. Może o zatrudnieniu pana porozmawiamy kiedy indziej.

– W pani wyglądzie jest coś... coś naprawdę wyjątkowego – wymamrotał Slater.

– No dobrze. Dziękuję. Odezwiemy się do pana. Chociaż nie powiedział pan, jak się można z panem skontaktować.

Przytknął opuszki palców do ust i posłał Lilian całusa. Potem odwrócił się i odszedł; najpierw szedł przez zarośnięty ogród, następnie przeciął pochyłą łąkę

i w końcu zniknął między drzewami.

– Kto to był, jak babcię Kocham? – sapnął David, odprowadzając mężczyznę wzrokiem.

– A niby skąd ja mam to wiedzieć. – Lilian westchnęła. – To miejsce wydaje się przyciągać wszelkiej maści dziwaków. To co? Robimy te zdjęcia? Może najpierw ogrodu, a potem tego boiska z boku. To tam zbudujemy basen. A potem przeszlibyśmy się może do kortów tenisowych.

---

\* Punch i Judy (ang. Punch and Judy) – tradycyjne przedstawienia kukiełkowe, często kojarzone z kulturą brytyjską, wystawiane w Anglii od XVII w. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

## Rozdział 5

Już prawie skończyli fotografować korty tenisowe, gdy pod front szpitala z chrzęstem opon na żwirze zajechało białe mini.

– O... nasz zastępczy mierniczy – ucieszyła się Lilian. Otworzyła furtkę w ogrodzeniu okalającym korty i przeszła podjazdem, by przywitać mężczyznę.

Z tym że to nie był mężczyzna. Drzwi mini otworzyły się i ze środka wysiadła młoda blondynka. Wyglądała na trzydzieści kilka lat, była ładna, trochę w stylu Julie Christie, z wysoko upiętym kokiem i grzywką, która sięgała aż do brwi. Miała na sobie obcisły różowy sweterek i obcisłą szarą spódnice.

– Lilian Chesterfield? – spytała, otwierając bagażnik.

– Zgadza się. A pani przyjechała z Billings Surveyors?

Młoda kobieta wyciągnęła z bagażnika ciężką czarną aktówkę i iPada.

– Tak. Przepraszam, że tak długo zajął mi dojazd. Przy Gatwick były roboty drogowe i samochody praktycznie stały w miejscu.

– Spodziewałam się przyjazdu Charliego Thorndyke’a.

– Och! To ja jestem Charlie Thorndyke. A właściwie Charlene Thorndyke, ale wszyscy mówią mi Charlie.

– Rozumiem. – Lilian była trochę poirytowana, że Dennis Billings nie uprzedził jej, że ich zastępczym mierniczym będzie kobieta. – Przypuszczam, że wie pani, że Alex poważnie zaniemógł.

– Tak, oczywiście. Dennis o wszystkim mi opowiedział. Macie jakieś nowe wieści, jak Alex się czuje?

– Niestety, na razie żadnych. Chodźmy do środka, pokażę pani, co Alex zdążył zmierzyć, zanim zachorował. Był w strasznym stanie, biedak. Nigdy

wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Och... a to David. David Barton. Davidzie, poznaj Charlie, naszą nową mierniczą.

– Cześć, David – Charlie machnęła do niego przyjaźnie ręką.

David podniósł dłoń na powitanie, a jego twarz rozświetliła się jak u szóstoklasisty na widok seksownej nowej nauczycielki od geografii.

– Cześć, Charlie – odpowiedział jej z uśmiechem.

Lilian i David wprowadzili nową współpracownicę do holu. Charlie zatrzymała się u podnóża schodów i pociągnęła nosem.

– Dąb – mruknęła. – I chlorheksydyna, o ile się nie mylę. I jeszcze lekki smrodek grzyba. Gdzieś w tym budynku coś butwieje.

– A to ci dopiero węch – rzucił z podziwem David. – Jestem pod wrażeniem.

– Czy wie pani, co planujemy tu zrobić? – spytała Lilian.

– O tak. Widziałam wasze projekty, kiedy zgłosiliście się do Dennisa z prośbą o przeprowadzenie pomiarów. Mam ich kopię na iPadzie. Dlatego wystarczy, że pokażecie mi, dokąd dotarł Alex, a ja już pociągnę stamtąd dalej.

Zabrali Charlie na górę do sali na trzecim piętrze, w której Alex po raz pierwszy usłyszał krzyki dochodzące ze skrzydła Montgomery’ego. Jego iPad nadal leżał na łóżku, tam, gdzie go upuścił.

Charlie znów powąchała powietrze.

– To miejsce wciąż ma szpitalną atmosferę, nie uważacie? Można by nawet pomyśleć, że oddziały nadal są pełne pacjentów. I nie chodzi mi tylko o ten zapach antyseptyków.

Umilkła i obróciła się wokół własnej osi.

– Jest zupełnie tak – ciągnęła – jakby cały budynek wstrzymywał oddech z nadzieją, że nic strasznego się tu za chwilę nie wydarzy. Czujecie to? To ładunki elektrostatyczne. Potrafią się gromadzić, gdy budynek stoi pusty przez dłuższy czas.

Jakby dla zilustrowania odczuć kobiety usłyszeli, że gdzieś na dole trzasnęły zamykające się drzwi.

– Ale tu nikogo innego nie ma, prawda? – upewniła się Charlie.

– To tylko przeciągi – uspokoił ją David. – Które potrafią też wywoływać różne odgłosy, na przykład gwizdy. No wiesz... mówię to tylko na wszelki



wypadek, gdybyś się przestraszyła, że to duchy tak gwizdzą.

Po sposobie, w jaki Charlie spojrzała na Davida, było wyraźnie widać, że nie przepadała za takim rodzajem poczucia humoru. Lilian wydało się, że w do połowy przykrytych grzywką oczach kobiety dostrzegła wyraz lekkiego zranienia, jak gdyby większość jej doświadczeń z mężczyznami była albo mało zabawna, albo wręcz bolesna.

– Zdam wam pełny raport na temat tutejszej wentylacji – zapowiedziała Charlie. – I oczywiście zagrzybienia, jeśli się na nie gdzieś natknę.

– Tak, oczywiście. W takim razie pozwolimy ci już zabrać się do pracy.

Zostawili Charlie w sali i zeszli na dół.

– Nie jest to szczególnie radosna osoba, nie sądzisz? – odezwał się David, gdy wyszli na zewnątrz, by dokończyć fotografowanie kortów. – Ale figurę ma naprawdę niczego sobie. Nie odmówiłbym, gdyby ktoś kazał mi zdjąć z niej wymiary.

\* \* \*

Zrobili jeszcze jakieś sześć zdjęć ogrodu, kiedy znów zaczęło padać, wycofali się więc z powrotem do budynku.

– I co teraz? – spytał David, spoglądając na zegarek.

– No nie żartuj, jakie znowu „co teraz”? – oburzyła się Lilian. – Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia. Ty musisz przede wszystkim pogonić wreszcie firmy budowlane, które nie złożyły jeszcze ofert. Jest pięć, na których odpowiedź wciąż czekamy. Zadzwoń też do naszych architektów i dowiedz się, jak daleko zaszli z pozwoleniami na budowę.

To był pomysł Lilian, żeby Park Filomeny uczynić jeszcze atrakcyjniejszym dla zamożnych potencjalnych nabywców poprzez dobudowanie dodatkowego skrzydła do istniejącego budynku, z siłownią, sauną oraz salą bankietową do organizowania imprez towarzyskich, potańcówek, konferencji czy premier książek.

Dlatego podczas gdy rozsiadłszy się na parapecie okna w salonie, David stukał w klawiaturę laptopa, ona krążyła wolno po parterze i zapisywała sobie, które z oryginalnych jakobińskich akcentów warto zachować, by nadały

projektowi charakteru i klasy. Na przykład drzwi prowadzące do kuchni były obramowane żłobionymi kolumnami, a na łączącej je górnej belce siedziały dwa cherubinki z trąbkami, bardzo stylowe, choć lewe skrzydło jednego z nich było odłamane, a drugiemu brakowało nosa.

Drzwi do kuchni były otwarte i kiedy Lilian przez nie przechodziła, znowu usłyszała metaliczny łoskot, znacznie głośniejszy niż dźwięk spadających noży, który słyszała wcześniej.

Zatrzymała się i nasłuchiwała. Po chwili do jej uszu znów dobiegło sapanie.

– Ach... ach... aaaach! – Tyle że teraz, ktokolwiek jęczał, robił to z jeszcze większą rozpaczą. Właściwie brzmiało to tak, jakby był w agonii. – Aaaaaach!

Tym razem Lilian nie zawołała, tylko szybko weszła do kuchni, w nadziei że uda jej się zaskoczyć intruza. Zobaczyła, że górne szuflady dębowego kredensu są wysunięte, a na podłodze są rozrzucone nie tylko noże, ale również szczypce, szpikulce i szpatułki.

Poza tym w blacie stołu tkwił wbity dwudziestopięciocentymetrowy nóż do mięsa. Mogłaby przysiąc, że nadal lekko się chwia.

– Kto tu jest?! – zawołała ostro, choć była przerażona i czuła się tak, jakby jej skóra się skurczyła. – No dalej, pokaż się! Gdzie jesteś?

Tym razem już się nie wahała i otworzyła wszystkie drzwiczki piekarnika, ale komory w środku były zimne i puste. Przeszła do zmywalni, lecz tam znowu przekonała się, że tylne drzwi są zamknięte i że w szafce na przybory do sprzątania nadal stoją tylko mop i kubek oraz smutno wyglądająca miotła.

Wróciła do kuchni. Była kompletnie skonsternowana. Gdyby nie słyszała nic poza tymi sapiącymi okrzykami bólu, mogłaby wmówić sobie, że jej wyobraźnia zestroiła się z atmosferą szpitala. Tak jak powiedziała Charlie, w budynku wyczuwało się niemal namacalne napięcie wywołane nagromadzeniem ładunków elektrostatycznych, a wypaczone drzwi i stuletnia hydraulika nieustannie pogwizdywały i pojękiwały.

Jej wyobraźnia nie mogłaby jednak wyciągnąć dwóch szuflad z kredensu ani wyrzucić tego wszystkiego na podłogę; nie mogłaby też wbić wielkiego noża w środek kuchennego stołu.

Lilian wróciła do holu i zawołała Davida. Odkrzyknął, że zaraz przyjdzie, ale warknęła: „Teraz, David!”, więc pojawił się w drzwiach salonu z komórką wciąż

przyciśniętą do ucha.

– Z kim rozmawiasz?

– Ze Smith i Boyd, z kontrahentami.

– Powiedz im, że oddzwonisz.

– Gordon, przepraszam, będę musiał zadzwonić później. Mam tu sprawę.

David rozłączył się i poszedł za Lilian do kuchni.

– Spójrz – powiedziała, stając przy stole. – Co o tym sądzisz?

– Nie wiem. A co mam sądzić? To nóż.

– A te wszystkie szpatułki i inne rzeczy, na całej podłodze?

David pokręcił głową, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Posłuchaj... – Lilian westchnęła – w tym budynku jesteśmy tylko ty, ja i Charlie, a Charlie jest na górze, na trzecim piętrze. Słyszałam, jak te sztucce spadają na podłogę, i wydawało mi się, że słyszę czyjeś jęki. Ale kiedy tu weszłam, żeby zobaczyć, kto tak jęczy, nikogo nie było. I to się zdarzyło już drugi raz.

– Może ten ktoś uciekł na zewnątrz, kiedy usłyszał, że wchodzisz – odparł David.

– Drzwi są zamknięte od środka. A innego wyjścia nie ma. Nikt nie mógł stąd wyjść tak, żebyśmy tego nie widziała. Zajrzałam nawet do piekarników.

Zmarszczywszy czoło, David spojrzał na sufit, jakby myślał, że może być w nim jakiś właz.

– I zobacz... – nie odpuszczała Lilian. – Dlaczego ktoś opróżnił te dwie szuflady, wyrzucając z nich wszystko na podłogę? I dlaczego wbił nóż w stół?

– I mówisz, że to się już raz zdarzyło? Kiedy?

– Dziś rano, tuż przed tym, jak usłyszeliśmy krzyk Alexa. Po tym całym dramacie nie sądziłam, że warto o tym wspominać. Pomyślałam, że odgłosy, które słyszałam, mogły być czymkolwiek... napelniającą się spłuczką albo czymś podobnym. A sztucce mogły leżeć na podłodze od czasu zamknięcia szpitala.

David przygryzł dolną wargę, rozejrzał się po kuchni, a potem, przechylając się na bok, zajrzał do zmywalni.

– Tam też nikogo nie ma – szybko poinformowała go Lilian.

– Może to poltergeist. To znaczy... czyta się o nich, no nie? I widziałem filmiki na Twitterze z przedmiotami, które w tajemniczy sposób same z siebie się unosiły. Raz nawet cały kosz na kółkach. Wzniósł się w powietrze... no ten kosz... na piętnaście metrów... i kręcił się w kółko jak bączek.

– David, ja nie wierzę w poltergeisty. Nie wierzę w żadne z tych paranormalnych bredni. Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie na to, co się tu dzieje.

– No tak, cóż... Może Charlie miała rację. No wiesz... mówiła, że coś tu wyczuwa, prawda? Może to te ładunki elektrostatyczne. Od nich ludziom włosy stają dęba, nie? Od tych ładunków znaczy... A ten budynek przecież stoi pusty już od bardzo dawna, od wielu lat. Skąd wiadomo, że tych ładunków nie zebrało się aż tyle, że mogły powyciągać sztućce z szuflad?

– Co? I wbić nóż w środek stołu? – zapytała z niedowierzaniem Lilian.

David wzruszył ramionami.

– Mnie tam nie pytaj. Dziwniejsze rzeczy się przecież zdarzają.

Lilian popatrzyła na nóż, lecz nie próbowała go ani dotknąć, ani wyrwać ze stołu. Jeśli te wszystkie niepokojące rzeczy nie były wywołane przez jakieś wytłumaczalne naukowo zjawisko, to musiały być wynikiem działania intruza, było więc możliwe, że zostawił na trzonku odciski palców lub DNA.

Właściwie to była prawie pewna, że to dzieło kogoś, kto próbował ich przestraszyć lub zrobić im kawał, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób temu komuś udało się wymknąć z kuchni tak, że tego nie widziała.

– No nie wiem – odezwała się. – Może za ścianami jest ukryte tajne przejście. Chodźmy i spytajmy Charlie, co o tym sądzi. Jest mierniczą. Może zmierzyć ściany i zobaczyć, czy nie różnią się grubością. Zresztą i tak chciałabym sprawdzić, jak jej idzie.

Chociaż w szpitalu były zainstalowane dwie duże windy, po jednej na każdym krańcu holu, prąd nadal nie był podłączony, musieli więc znowu skorzystać ze schodów. Wspinając się po nich, Lilian zastanawiała się, czy Roger French zapłacił już za podłączenie prądu firmie energetycznej. French był okropnym skąpiradłem. Już w pierwszym miesiącu pracy w Downland Developments Lilian przekonała się, że za każdym razem, gdy zapraszał pracowników na drinka, twierdził, że zapomniał portfela.

Korytarzem na trzecim piętrze przeszli do sali, w której zostawili Charlie, ona jednak musiała zakończyć już robienie tam pomiarów, bo nie było po niej śladu.

– Charlie! – zawołała Lilian, ale nikt nie odpowiedział. Zawołała ponownie: – Charlie, gdzie pani jest?

Odpowiedzi jednak nadal nie było.

– Może już na dzisiaj skończyła i pojechała do domu – podpowiedział David.

Lilian podeszła do okna i spojrzała w dół na podjazd.

– Jej samochód wciąż tam stoi.

– Charlieeee! – krzyknął David. – Chyba nie bawisz się z nami w chowanego, co?

Cisza. Nawet przeciąg nie wzdychał pod drzwiami.

– Boże, to miejsce zaczyna przyprawiać mnie o dreszcze – mruknęła Lilian. – Ona musi być gdzieś tu, na górze. Bo chyba nie słyszałeś, żeby schodziła, prawda?

Szli korytarzem, otwierali jedne drzwi po drugich i zaglądali do wszystkich pomieszczeń. Większość z nich była pusta, chociaż w paru wciąż stały łóżka, krzesła i szafy. W jednym pokoju stał blisko okna manekin krawiecki nakryty prześcieradłem. Jego widok na sekundę wystraszył Lilian, aż przycisnęła rękę do piersi. David zorientował się, co ją tak przeraziło, i nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Buuu! Straszniej już być nie może, co?

– Zamknij się – rzuciła Lilian. – Musimy znaleźć Charlie.

Na końcu korytarza drzwi prowadzące do ostatniej sali były otwarte. W środku panował mrok, bo zakurzone brązowe zasłony z juty były zaciągnięte. Jedynymi sprzętami, jakie Lilian udało się tu zobaczyć, były pojedyncze łóżko z kilkoma starannie złożonymi kocami oraz leżący na plecach, przewrócony biały wiklinowy fotel.

Lilian ruszyła do okna, by rozsunąć zasłony, lecz kiedy minęła łóżko, z przerażeniem odkryła, że na podłodze leży Charlie. Na boku, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Nogi też miała wyprostowane i nie mrugając, wpatrywała się z otępieniem w listwę przypodłogową.

– David! Ona tu jest! I wygląda, że chyba zemdląła albo miała jakiś atak!

Lilian przesunęła łóżko, tak by miała gdzie uklęknąć.

– Charlie? To ja, Lilian. Charlie, co się stało? Czy możesz mówić? Co ci się stało?

Delikatnie obróciła kobietę na plecy. Charlie oddychała, ale każdy jej oddech brzmiał jak spanikowany cichy pisk. Desperacko otwierając i zamykając usta, podniosła wzrok na Lilian, nie była jednak w stanie wypełnić płuc wystarczającą ilością powietrza, by móc cokolwiek powiedzieć.

– David, dzwoni po karetkę! Powiedz im, że to nagły wypadek! Potem wyjdź na zewnątrz i czekaj tam na nich!

Lilian odwróciła się do Charlie.

– Czy myślisz, że dasz radę wstać? – zapytała. – Byłoby ci o wiele wygodniej na łóżku.

Ale Charlie tylko się na nią gapiła oczami bez wyrazu. Lilian ujęła jej prawą rękę i spróbowała ją podnieść, tak by zarzucić ją sobie na szyję i podźwignąć kobietę z podłogi. Ale ramię Charlie było całkowicie sztywne, przyciśnięte do boku, i nie dało się go zgiąć w łokciu. Lewa ręka wyglądała tak samo, była zablokowana w miejscu i nieruchoma.

Lilian przysiadła na piętach i zastanawiała się, jak, na Boga, ma podnieść Charlie z podłogi i położyć na łóżku. Może gdyby udało jej się ją najpierw posadzić? Pochyliła się tak, że ich twarze dzieliły od siebie zaledwie centymetry. Wsunęła jej ręce pod plecy i spróbowała podciągnąć ją do pozycji siedzącej.

Napinała się tak mocno, jak tylko mogła, lecz kręgosłup Charlie po prostu nie chciał się zgiąć. To było jak próba podniesienia marmurowego posągu. Co gorsza, Charlie nie wykazywała żadnej reakcji. Nie mówiła, nie kiwała głową, nie kręciła nią. Nawet nie mrugała. Wciąż dyszała, ale to była jedyna oznaka tego, że jeszcze żyje.

Oczy Lilian wypełniły się łzami frustracji. Poddając się, chwyciła sztywne jak patyki palce Charlie i ucisnęła je mocno, z nadzieją że tym gestem przekaże kobiecie, że jej nie zostawi, że nie zostanie tu sama, sparaliżowana i bezradna.

W okno głośno bębnił deszcz. Lilian czujnie nadstawiała uszu na odgłos syreny nadjeżdżającej karetki, lecz jedyne, co słyszała, to dyszenie Charlie. Po chwili wydało jej się jednak, że znowu słyszy jęki, takie same jak wcześniej w kuchni.

– Ach! Ach! Aaach! – Wysokie i pełne rozpaczy, jak u człowieka łkającego z bólu. – Aaaach! – Brzmiały tak, jakby dochodziły z drugiego piętra, tuż pod nimi.

Puściwszy palce Charlie, Lilian wstała i podeszła do drzwi. Korytarz na zewnątrz był pusty, a tajemnicze jęki ucichły.

Stała w progu i nasłuchiwała. Teraz była już przekonana, że ktoś stara się ich nastraszyć i zmusić do wycofania się z przebudowy szpitala. Ktoś, kto nie zamierzał cofnąć się przed niczym, żeby tylko uwierzyli, że ten budynek jest nawiedzony. Wpatrując się w pusty korytarz i słysząc, jak Charlie walczy o każdy oddech, Lilian postanowiła, że odkryje, kim ten ktoś jest i doprowadzi do tego, że ta osoba zapłaci za to, co robi.

Karetka podjechała pod budynek bez syren, ale Lilian usłyszała, jak koła zachrzęściły na żwirze. Zaraz potem David i sanitariusze wbiegli na górę.

– Ona jest tu! – krzyknęła Lilian. – Próbowałam podnieść ją z podłogi, ale nie mogłam jej ruszyć! Jest całkowicie sparaliżowana!

Odsunęła się na bok, żeby wpuścić sanitariuszy do sali. David podszedł do niej i spojrzał na nią z troską.

– Wszystko w porządku? – spytał, a ona dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że policzki wciąż ma mokre od łez.

– Nie, David, nic nie jest w porządku – odpowiedziała, wyciągając chusteczkę i wycierając nią twarz. – Jestem sfrustrowana i zła. Zła jak wszyscy diabli.

## Rozdział 6

O jedenastej rano następnego dnia Moses był w ogrodzie i grabił trawnik, kiedy Grace wyszła z kuchni, żeby powiedzieć mu, że znów dzwoni doktor Wells.

Ściągnąwszy rękawice, poszedł odebrać telefon.

– Doktor Wells?

– Tak, kapitanie. Przepraszam, że znowu zawracam panu głowę, ale Alex Fowler domaga się pańskiej wizyty. I to nie raz ani dwa, tylko nieustannie. Tak naprawdę to wzywa pana co trzy, cztery minuty, i tak w kółko. Czym straszliwie rozprasza personel.

– Bardzo bym chciał wiedzieć, doktorze, co mógłbym dla niego zrobić, ale naprawdę nie mam pojęcia – bezradnie przyznał Moses. – Poza tym sądziłem, że zamierza go pan wprowadzić w stan śpiączki.

– Właśnie z tego powodu do pana dzwonię. Wczoraj w nocy nie przestawał krzyczeć, więc podałem mu tyle ketaminy i midazolamu, że powinno go to wyłączyć na miesiąc. Krzyczeć wprawdzie przestał, ale dalej wołał pana nazwisko. Jeszcze nigdy nie miałem pacjenta, który pozostałby choćby w połowie tak przytomny po otrzymaniu połączonych dawek o takiej mocy.

– Rozumiem zatem, że chce pan, żebym przyjechał i znów się z nim zobaczył, czy tak?

– Tak, jeśli to możliwe. Ostatnim razem pańska wizyta przyniosła mu chyba przynajmniej odrobinę ulgi.

– A co z badaniami, które miał pan przeprowadzić? Wykazały coś niezwykłego?

– Nie, nic. Rezonans magnetyczny niczego nam nie wyjaśnił, nie znaleźliśmy nic, co wskazywałoby na odruchową dystrofię współczulną lub zespół



przewlekłego bólu miejscowego. Jedyne wnioski, jakie mogę z tego wyciągnąć, jest taki, że ból tego pacjenta nie istnieje nigdzie indziej, jak tylko w jego umyśle.

– Może być i tak. Czytałem o ludziach cierpiących z powodu bólu urojonego, chociaż nie mogę powiedzieć, że bym sam się kiedykolwiek z takim przypadkiem spotkał. – Moses westchnął.

– Ale widzi pan, jeśli ból jest rzeczywiście urojony, to może to być dla nas korzystne. Nawet jeśli nie uda się panu uświadomić pacjentowi, że ma urojenia i że nigdy nie służył w wojsku, być może zdoła go pan przynajmniej przekonać, że skutecznie wyleczył pan jego obrażenia w Afganistanie, więc nie powinien już odczuwać długotrwałego bólu.

– No, jeśli naprawdę uważa pan, że to może w czymś pomóc... – mruknął Moses. Patrzył przy tym na Grace, która stojąc za sofą, wpatrywała się w niego gniewnie i bezgłośnie pytała: „Co jest? O co mu chodzi?”.

– Naprawdę nie wiem, czy jest pan w stanie mu pomóc, czy nie – przyznał szczerze doktor Wells. – Ale jeśli damy temu pacjentowi jeszcze więcej środków uspokajających, może się to skończyć fatalnie, a poza wprowadzeniem go w stan śpiączki nie mam żadnego innego pomysłu na to, jak moglibyśmy złagodzić jego ból.

– No dobrze. Przyjadę, skoro uważa pan, że powinienem. Pracowałem w ogrodzie, więc proszę mi dać pół godziny na prysznic.

– Jestem panu bardzo wdzięczny, kapitanie. I wiem, że personel pielęgniarski również będzie. Bardziej, niż jest to pan sobie w stanie wyobrazić.

\* \* \*

Kiedy Moses przyjechał do Świętego Heliera, doktor Wells czekał na niego w recepcji. Wyglądał na zmęczonego i zmartwionego i miał źle zapięte guziki w fartuchu, przez co ten wisiał na nim krzywo.

– Na razie przestał krzyczeć – poinformował Mosesa, prowadząc go do windy. – Nadal jest jednak przytomny i powtarza, że straszliwie cierpi... to znaczy pomiędzy pytaniami o pana oczywiście. Niewytłumaczalną rzeczą jest to, że doświadcza stresu pourazowego kaprala Terence'a Simonsa, mimo że go

przecież nie znał. Jak można leczyć pacjenta po traumatycznym przeżyciu, którego nigdy nie przeszedł?

Wysiedli z windy i ruszyli szpitalnym korytarzem.

– Sądzi pan, że mogłoby to w czymś pomóc, gdybyśmy spróbowali skontaktować się z prawdziwym kapralem Simonsem? – spytał Moses. – Może gdyby Alex Fowler zobaczył go, że tak powiem, na żywo, zrozumiałby, że nim nie jest.

– Też mi to wpadło do głowy i poprosiłem sekretarkę, żeby zadzwoniła w moim imieniu do stowarzyszenia kombatanckiego Combat Stress. Kapral Simons widniał w ich rejestrach, niestety półtora roku temu zmarł.

Moses zatrzymał się i znieruchomiał.

– Kapral Simons zmarł?

Z jakiegoś powodu ta wiadomość zaniepokoiła go nawet bardziej niż świadomość, że kapral Simons żyje. Ten człowiek wciąż pojawiał się w jego snach? Czyżby duch kaprala nie znalazł ostatecznego ukojenia w niebie lub w jakimkolwiek innym miejscu, w którego istnienie wierzył? A może duch Simonsa opętał Alexa Fowlera, zupełnie jak ten demon, który opętał dziewczynkę w *Egzorcystycie*.

– Przykro mi – odrzekł doktor Wells. – Powinienem był powiedzieć panu o tym wcześniej.

– Nie, nie... chodzi tylko o to, że... Po prostu powróciły do mnie wspomnienia.

Zamierzali znów ruszyć przed siebie, ale usłyszeli za plecami wózek szpitalny, a prowadzący go sanitariusz zawołał:

– Uwaga, panowie! Przejeżdżam!

Moses i doktor Wells cofnęli się pod ścianę, tak by sanitariusz mógł swobodnie przepchnąć wózek obok nich. Na wózku leżała młoda kobieta ze spletanymi blond włosami, aż po szyję nakryta jasnozielonym kocem. Gdy wózek ich mijał, spojrzała na Mosesa i nagle poderwała głowę; otwierała i zamykała usta jak ryba.

– Murrnggghh! – wystękała w końcu.

Sanitariusz odwrócił się do mężczyzn; jego mina w połowie wyrażała rozbawienie, w połowie współczucie. Potem znowu zaczął pchać wózek, lecz młoda kobieta nadal usilnie starała się utrzymać głowę podniesioną i wpatrywała się w Mosesa, aż w pewnym momencie wykrzyknęła:

– Murrgh... inggh... us!

– Proszę zaczekać! – zawołał Moses. Dogonił sanitariusza i złapał go za ramię, by go zatrzymać.

Następnie podszedł do kobiety i spytał:

– Co pani powiedziała?

Przestała podnosić głowę i prawie niesłyszalnie szepnęła:

– Min...

– Czy mogę już iść? – spytał z poirytowaniem sanitariusz. – Mam potem zejść do rentgena, a już jestem spóźniony.

– Jeszcze tylko chwila – poprosił Moses i spojrział na kobietę. – Weź kilka oddechów, skarbie, i spróbuj jeszcze raz.

Wpatrując się w niego z frustracją, oblizała wargi, chwilę z trudem łąpała oddech, po czym, zamknąwszy oczy, wychrypiąła:

– Mingus.

Moses odwrócił się do doktora Wellsa.

– Skąd ona to może wiedzieć? Jakim cudem, na Boga, ona to wie?

– Przepraszam, ale co wie? – zapytał skonsternowany Wells.

– W Afganistanie, w bazie Bastion, to była moja ksywka... Mingus. Wszyscy uważali, że wyglądam jak Charlie Mingus... no wie pan, ten pianista jazzowy. W tamtych czasach miałem gęstą czuprynę.

Doktor Wells podszedł do wózka szpitalnego i podniósł leżący w nogach pacjentki formularz przyjęcia na oddział ratunkowy.

– Charlene Thorndyke, lat trzydzieści dwa. Przyjęta wczoraj po południu o piętnastej trzydzieści pięć z objawami tetraplegii. Wstępne badania nie wykazały żadnych oznak urazu fizycznego, udaru czy przemijającego ataku niedokrwienego. Nic też nie wskazywało na paraliż powstały w wyniku infekcji, zatrucia substancjami toksycznymi czy któregoś z rzadkich schorzeń, takich jak zespół Guillaina-Barrégo. Można więc przypuszczać, że mamy tu do czynienia

z przypadkiem zaburzenia dysocjacyjnego. Zaledwie miesiąc temu leżał u nas młody człowiek, który był częściowo sparaliżowany na skutek stresu psychicznego. Może warto skontaktować się z jej lekarzem rodzinnym i sprawdzić, czy była leczona z powodu problemów psychicznych. Rzecz jasna, pełna nieruchomość może być również objawem schizofrenii katatonicznej. Tacy pacjenci potrafią zastygnąć w nienaturalnej pozie albo wręcz odwrotnie, mogą wpaść w stan hiperkinezy, czyli niezwyklego pobudzenia. Ale tego typu schizofrenia występuje stosunkowo rzadko.

Wells przełożył formularz na drugą stronę i szybko przeczytał zawarte tam adnotacje.

– Mój Boże – jęknął. – Tu jest napisane, że została znaleziona przez kolegów z pracy w szpitalu Świętej Filomeny w Downlea.

– Co takiego?! Ale przecież to tam znaleziono Alexa Fowlera.

– No właśnie. Przeprowadzała pomiary tak jak on. Z uwag zamieszczonych w formularzu wynika, że znaleziono ją leżącą na podłodze, całkowicie sparaliżowaną i chociaż oddychała, nie była w stanie mówić i wyjaśnić, co się jej stało.

– To niewiarygodne – szepnął Moses. – To przecież... to jakieś szaleństwo! Najpierw Alex Fowler, który twierdzi, że pamięta, jak go opatrywałem po tym, jak wszedł na minę pułapkę. A teraz ta młoda kobieta, która pamięta mój pseudonim z Helmandu. Przecież to niemożliwe. Nigdy nie widziałem żadnego z nich, nigdy dotąd!

Charlie miała teraz zamknięte oczy, wydawało się jednak, że oddycha już bardziej miarowo. Nagle na dalekim krańcu korytarza z głośnym piknięciem otworzyły się drzwi windy i wbiegła z niej lekarka w średnim wieku, o siwych, krótko obciętych włosach, z wyrazem twarzy przypominającym pysk rozwścieżonego bulteriera.

– No naprawdę! – wykrzyknęła. – Ten cały Aarif Shamsi myśli chyba, że jestem magikiem!

– Aarif Shamsi to nasz dyrektor finansowy – wyjaśnił Mosesowi półgębkiem doktor Wells. – Jest wielkim zwolennikiem opieki zdrowotnej, zwłaszcza gdy chodzi o zdrowie jego ksiąg rachunkowych.

– A ty co tak tu sterczysz? – warknęła lekarka na sanitariusza. – Prowadź dalej ten wózek. Muszę tej pacjentce jak najszybciej podłączyć kroplówkę z potasem.

– Doktor Morton, chciałbym pani przedstawić kapitana Mosesa Akinyemiego. To jego wzywał nasz krzyczący pacjent. Kapitan był na tyle uprzejmy, że przyjechał do nas z samego rana, żebyśmy mogli sprawdzić, czy jego obecność wpłynie uspokajająco na pacjenta. Kapitanie, przedstawiam panu doktor Helen Morton.

– Miło mi – odpowiedział Moses i dodał: – I proszę mówić mi po imieniu, pani doktor.

Lekarka skinęła głową, po czym zwróciła się do doktora Wellsa.

– Z pierwszych przeprowadzonych badań wynika, że pani Thorndyke ma ostrą hipokaliemię i doznała okresowego porażenia hipokaliemicznego. Dlatego podam jej potas. Ale takie porażenia są tak rzadkie, że chcę przeprowadzić jeszcze kilka innych badań, by mieć absolutną pewność.

Stojący trochę dalej sanitariusz ruszył z wózkiem szpitalnym i wtedy Charlie znowu otworzyła oczy.

– Mingus! – zawołała ochryplym szeptem. – Mingus, pomóż mi!

Sanitariusz zawahał się, ale doktor Morton machnęła na niego ręką.

– No dalej, jedź, na litość boską! Zaraz tam do was dołączę! – powiedziała z poirytowaniem.

– Mingus to przydomek kapitana Akinyemiego z czasów, gdy służył w wojskowym korpusie medycznym – wyjaśnił doktor Wells. – Jakimś cudem ta pacjentka o tym wie, chociaż nie potrafimy zrozumieć skąd.

– Tak, to rzeczywiście dziwne – przyznała Morton. – Cóż, muszę się już zbierać. Na dole czeka na mnie jeszcze pięciu pacjentów. Miałam nadzieję, że skończę dziś przed trzecią, żebym mogła spotkać się z córką, ale raczej nie wygląda na to, żeby mi się udało.

– Może po wizycie u Alexa Fowlera zajrzemy również do pani Thorndyke – zaproponował Wells. – Byłoby dobrze dowiedzieć się, skąd wie o przydomku Mingus. Być może nawet rzuci to jakieś światło na stan, w jakim się znajduje.

– Tak sądzisz? – Doktor Morton zamyśliła się. – Nie bardzo widzę, w jaki sposób mogłoby rzucić, ale...

– Cóż, choćby w taki, że mogła być w Afganistanie, chociaż kapitan Akinyemi nie pamięta, żeby ją tam widział. Albo kiedy tam była, mogła zarazić się jakąś miejscową chorobą. Od ukąszenia kleszcza na przykład.

– Ukąszenia kleszczy to faktycznie było coś, na co zawsze musieliśmy uważać – przyznał Moses. – Kleszcz kabulski może przenieść na człowieka wirusa krymsko-kongijskiej gorączki krwotocznej, a to może prowadzić do porażenia układu oddechowego i do śmierci. Ale bardzo wątpię, żeby chodziło o to. Okres wylegania się tej choroby u ofiar ukąszenia wynosi od dwóch do siedmiu dni.

– No dobrze – rzuciła doktor Morton. – Zajrzyjcie do niej później, jeżeli chcecie. Do tego czasu kroplówka z potasem powinna ułatwić jej możliwość mówienia. Dajcie mi znać, jeśli powie coś pomocnego.

Moses i doktor Wells patrzyli, jak lekarka odbiega, by dogonić jadącą na wózku Charlie, po czym Wells pokręcił głową i powiedział:

– Jest jedną z najlepszych, jakie tu mamy, ta nasza Helen Morton. Nawet opublikowała bardzo dobrze przyjętą pracę na temat różnych form katatonii. Ale jest wykończona z przepracowania i chronicznie niedostatecznie opłacana, zresztą jak my wszyscy. – Przerwał i prychnął. – Dobrze się składa, że wszyscy harujemy bezinteresownie jak święci.

\* \* \*

Weszli do pokoju Alexa. Panował w nim taki sam ponury półmrok jak wcześniej, bo rolety nadal były zaciągnięte, a Alex wciąż leżał na łóżku pomiędzy dwoma wysokimi odbojnikami, jakby spoczywał we własnej trumnie, ułożony w niej przedwcześnie. Już nie krzyczał, ale cały dygotał i nieustannie szeptał: „To boli, to boli. O Jezu, jak to boli”.

Kiedy Moses i Wells przeszli do pokoju, pielęgniarka, która siedziała w rogu, przestała przewijać wiadomości w komórce i wstała.

– Jakież zmiany? – zapytał ją doktor Wells.

Pokręciła głową.

– Jakieś pół godziny temu znowu krzyczał – odparła – ale tylko przez cztery, pięć minut, a potem przestał. Teraz na okrągło powtarza to samo: „To boli” i jeszcze: „Gdzie jest kapitan Ackin-jakiś tam?”.

Moses podszedł do łóżka. Alex obie ręce trzymał złączone nad klatką piersiową niczym błagające bezbronne szczenię, a jego powieki były mocno zaciśnięte.

– To boli, to boli! Gdzie jest kapitan Akinyemi? Gdzie jest kapitan Akinyemi? To boli!

– Alex – odezwał się Moses. – Alex, słyszysz mnie?

Oczy pacjenta pozostały zamknięte. Moses obejrzał się na doktora Wellsa, a następnie odwrócił do Alexa i powiedział już ostrzej:

– Terence! Kapralu Simons!

Alex otworzył oczy. Wciąż się trząsł, ale na jego twarzy wykwił wyraz zaskoczenia oraz ogromnej ulgi.

– Kapitan Akinyemi! Kapitan Akinyemi! Przyszedł pan!

– Tak, Terence, przyszedłem. Jestem tu, żeby położyć kres twojemu cierpieniu.

– Nie mogę w to uwierzyć! Przyszedł pan! Nie potrafi pan sobie wyobrazić, jak to bardzo boli!

– Potrafię, Terence. Potrafię. Ale obiecuję, że za kilka minut nie będzie cię już bolało. Został pan poważnie ranny, lecz to było dawno temu. Opatrzyłem wszystkie pana rany po tym, jak wszedł pan na minę. Podałem panu środki przeciwbólowe. Ale od tamtego czasu miał pan wiele lat na dojście do siebie. Teraz jest pan zdrowy i nie ma powodu, żeby dalej odczuwał pan ból. Ani w ciele, ani w umyśle.

Alex dalej się trząsł i wpatrywał dziko w Moseśa.

– Pan nie rozumie – powiedział. – Ja nie wyzdrowiałem. Rany się nie zagoiły. One nigdy się nie zagoją, dopóki tam nie wrócę.

– O czym pan mówi? O Afganistanie? Jak powrót tam miałby pana uleczyć?

– Pan nie rozumie. Muszę wrócić do tamtego miejsca, do tamtego momentu. O Jezu, jak to boli!

– Mówi pan o miejscu, w którym wybuchła mina? I o momencie, w którym to się stało? To niemożliwe, nie można cofnąć się w czasie. – Moses chwilę się wahał, potem dodał: – A ponadto... niech mnie pan posłucha... pan nie jest kapralem Simonsem. Nigdy nie był pan w tamtym miejscu w momencie, kiedy wybuchła ta mina. Ani wtedy, ani nigdy. Z jakiegoś powodu myśli pan, że jest kapralem Simonsem, ale tak naprawdę nazywa się pan Alex Fowler. Kapral Simons zmarł. Słyszysz pan, co do pana mówię? Kapral Terence Simons nie żyje, nie może pan być nim.

– To boli – szepnął Alex.

– Musi pan spróbować wbić sobie do głowy, że jest pan Alexem Fowlerem. Mieszka pan w Dorking z matką i nigdy nie poznał pan kaprała Simonsa, który zresztą już nie żyje.

– Pomóż mi – wychrypiał Alex, wyciągając do Mosesa obie ręce. – Niech mi pan pomoże, kapitanie. Proszę. Pan nie wie, jak to bardzo boli.

W tym momencie rozległo się pikanie pagera doktora Wellsa. Ten spojrzął na wiadomość i powiedział:

– Przykro mi, kapitanie Akinyemi... Potrzebują mnie pilnie na oddziale ratunkowym.

– Nie ma sprawy, doktorze – odrzekł Moses. – Zostanę tu jeszcze chwilę i zobaczę, czy uda mi się przekonać naszego przyjaciela, że nie jest tym, za kogo się uważa.

Wells chwilę się zastanawiał.

– No dobrze. Ale jeśli będzie pan musiał wyjść, zanim skończę na oddziale, może wpadnie pan tu jutro i zobaczymy się ponownie? – zapytał.

Gdy Wells wyszedł, Moses pochylił się nad poręczą przy łóżku Alexa.

– Dlaczego pan myśli, że gdyby wrócił do czasu i miejsca wybuchu, zakończyłoby to pański ból? – zapytał.

Oczy Alexa strzelały na boki, jakby próbował wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

– Nie jest pan kapralem Simonsem – powtórzył Moses. – Nie został pan ranny w Afganistanie. Nie wiem, dlaczego pan w to wierzy.



– Jestem i nie jestem – odparł Alex, choć mówił tak cicho, że Moses prawie go nie słyszał.

– Jest pan, ale nie jest? Tak właśnie pan powiedział? Więc tak naprawdę wie pan, że nazywa się Alex Fowler?

Pacjent stęknął, a potem zaczął się śmiać – śmiechem, który rozpoczął się od sarkastycznego staccato, następnie stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej histeryczny, a w końcu przeszedł w ostry, straszliwie przejmujący krzyk. Kopiając nogami i wymachując rękami, obijając się o poręcze, mężczyzna zaczął przewalać się na łóżku na boki.

Moses spróbował go przytrzymać, lecz Alex szamotał się zbyt gwałtownie. Pielęgniarka odłożyła telefon i podbiegła, by pomóc, lecz nawet we dwójkę nie byli w stanie unieruchomić pacjenta, który nadal przewalał się na łóżku, odbijał od poręczy i krzyczał, aż w końcu z jego ust trysnęła krew i bryzgnęła na marynarkę Mosesa.

Pielęgniarka wcisnęła guzik alarmowy przy wezglowiu łóżka. Czekać na pomoc, zmagali się z Alexem przez następnych kilka minut, nikt jednak się nie pojawił.

– Musiał być jakiś wypadek – wysapała pielęgniarka, usiłując utrzymać lewe ramię Alexa.

– Niech pani idzie po doktora Wellsa! – polecił Moses. – Albo po innego lekarza! Po kogokolwiek! Jego trzeba poddać sedacji! No już, proszę iść... ja go jakoś przytrzymam!

Kobieta wahała się, w końcu jednak wybiegła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

– Uspokój się! – wrzasnęła Moses, usiłując przekrzyczeć głośne zawodzenie Alexa. Potem, zdobywając się na najbardziej rozkazujący ton rodem z placu apelowego, ryknął: – Kapralu Simons! Spocznij, kapralu! Spocznij! To rozkaz!

Prawie natychmiast, przy wtórze przeciągłego jęku przypominającego dźwięk wyłączanego odkurzacza, krzyk zamarł Alexowi w gardle. Pacjent przestał się też szamotać, chociaż nadal dygotał.

Moses jeszcze przez chwilę trzymał ręce przyciśnięte do jego klatki piersiowej, ale kiedy stało się jasne, że Alex nie zamierza się więcej rzucać,

zabrał je i wyprostował się. Ciężko dyszał; czuł się zupełnie tak, jakby wziął udział w bójce.

Oczy Alexa znów były zamknięte, choć było widać, że gałki obracają się pod powiekami. Wargi miał pogryzione, broda błyszczała od krwi.

Jej szkarłatnymi kroplami obryzgane było wszystko wokół: łóżko, koszula, a także marynarka Mosesa.

– O rany, człowieku. Stan, w jakim jesteś, przyjacielu... – Moses westchnął. – Nie, to naprawdę nieludzkie.

Podszedł do drzwi, by sprawdzić, czy ktoś idzie, żeby podać Alexowi coś na uspokojenie, ale korytarz był pusty. Wrócił więc do łóżka i gdy spojrzął na leżącego na nim mężczyznę, zobaczył, że jego prawa powieka jest otwarta. Co dziwne, oko połyskiwało matową żółcią, wyglądając bardziej jak cytryna niż gałka oczna, i wydawało się, że brakuje w nim źrenicy. Lewa powieka była zamknięta.

Moses poczuł na ramionach i plecach pełzający dreszcz przerażenia, bo nagle twarz Alexa zaczęła się świecić, zupełnie tak samo jak oko, i w dziwny sposób zmieniać. Ciało pod koszulą również się rozświetliło, chociaż blask sięgał tylko do pasa, jakby pacjent nie miał nóg.

Moses otwierał i zamykał usta, ale był tak bardzo zaskoczony tym, co się przed nim działo, że nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku, w płucach nie miał nawet milimetra sześciennego powietrza, a jego umysł był kompletnie wyjałowiony ze słów.

– Jestem jego bólem – wyszeptał nagle Alex dziwnie zmienionym głosem i z akcentem podobnym do tego z Birmingham. – Nie jestem Terence'em Simonsem. Jestem jego bólem.

Mosesowi udało się wreszcie zaczerpnąć powietrza.

– Ktoś już tu idzie, żeby ci pomóc – wydusił przez zaciśnięte gardło. – Zaraz ktoś tu będzie.

– Jestem jego bólem – powtórzył Alex, lecz tym razem w jego głosie słychać było radość, zupełnie jakby rozkoszował się męką, przez którą przechodził. – Jestem jego bólem!

Ciało pacjenta wciąż świeciło pod kocem i Moses z przerażeniem stwierdził, że twarz Alexa przybrała rysy twarzy, która nawiedzała go w koszmarach przez tak wiele lat od powrotu z Afganistanu. To był kapral Simons lub połyskująca, mieniąca się mara po kapralu Simonsie.

– Pytałeś mnie, jak się nazywam? – wychrypiął Alex. – Jestem jego bólem!

I po tych słowach wygiął plecy w łuk tak ekstremalny, że rozległ się trzask pękających kręgow, po czym zaczął walić pięściami w materac z taką siłą, jakby chciał się przez niego przebić, a na sam koniec wydał z siebie ostry i przeszywający skowyt, który ciągnął się i ciągnął, wznosząc się i opadając, i brzmiąc zupełnie jak wycie stada wygłodniałych wilków w lesie.

Moses cofnął się i robiąc z palców znak krzyża, wystawił je w stronę zjawy. Nigdy nie był religijny, lecz w obliczu tej świecącej i wyjącej mary jedyną ochroną, jaką przyszło mu na myśl przywołać, była ochrona Jezusa Chrystusa.

## Rozdział 7

Krótko po siedemnastej żona Davida, Linda, przyjechała do szpitala Filomeny rodzinnym picasso, żeby zabrać męża do szkoły ich córki na wywiadówkę.

– Dasz tu sobie radę sama? – zapytał David Lilian, gdy wychodził na ganek. – Bo nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś okropnego. No wiesz, jak Alexowi i Charlie.

– Dam, dam. Zresztą nie zostanę długo – odpowiedziała. – Chcę tylko jeszcze raz obejrzeć salę recepcyjną i pokój bilardowy. Ciągłe nie mogę się zdecydować, czy powinniśmy przerobić je na wspólną część dla mieszkańców, czy lepiej zrobić z nich dodatkowe mieszkania. Ostatecznie mają przecież widok na ogrody, moglibyśmy więc zażądać za nie wyższej ceny.

– No dobra, ale jeśli usłyszysz jakieś krzyki lub dźwięk zrzucanych noży, szybko się stąd ewakuuj. Zadzwoń, kiedy skończę w szkole Dotty.

Gdy David wszedł do auta i odjechał, Lilian, zanim wróciła do środka, postąpiła jeszcze chwilę na ganku. Za koronami otaczających szpital drzew zachodziło słońce, a na pomarańczowym niebie krążyło stado szpaków. Lilian nie miała pewności, dlaczego naszło ją to akurat teraz, czuła się jednak w tym momencie bardziej samotna niż kiedykolwiek, nawet bardziej niż wtedy, gdy odeszła od Tima.

Po pięciu i pół roku małżeństwa Tim wydawał jej się tak nieciekawym, tak pozbawionym fantazji i pasji, że w końcu z nudów i z frustracji prawie codziennie na niego krzyczała. Tylko raz zabrał ją za granicę, do Hiszpanii, na katastrofalnie zorganizowane wakacje, poza tym każdy weekend spędzał na grze w golfa, z której wracał późnym wieczorem, tak pijany, że nie był w stanie się z nią kochać.

Kiedy go zostawiała, wierzyła, że ma wystarczająco dużo siły napędowej i kreatywności, by prowadzić satysfakcjonujące i interesujące życie na własną rękę, szybko wyrobiła sobie też dobrą markę w Downland Developments. Było jej więc dobrze, choć co wieczór musiała wracać do cichego i pustego domu, który wynajmowała przy wąskiej bocznej uliczce w Epsom. Na dodatek tego wieczoru w atmosferze szpitala Filomeny było coś wyjątkowo smutnego i samotnego; budynek sprawiał wrażenie miejsca, które straciło wszelką nadzieję.

Wróciła do środka. Wiedziała, że nie będzie mogła zostać tu dłużej niż pół godziny, bo już robiło się ciemno. Wprawdzie mogłaby użyć telefonu jako latarki, ale bateria była naładowana już tylko w dziesięciu procentach, a Lilian nie chciała znaleźć się w sytuacji, gdy nie miałaby kompletnie żadnego kontaktu ze światem.

Opuściła hol i weszła na korytarz prowadzący do dużej sali recepcyjnej. Idąc, pociągnęła nosem, i tym razem ona również poczuła ten zapach zgnilizny, o którym wspominała Charlie, a także słabą chemiczną woń środków odkażających.

W sali recepcyjnej wyczuwało się ten sam klimat smutku i opuszczenia co w innych częściach budynku. Pierwotnie Carverowie urządzali w tym pomieszczeniu przyjęcia, bale oraz inne towarzyskie wydarzenia. W czasach, gdy budynek przeistoczył się w szpital, siadywali tu rekonwalescenci, okaleczeni weterani, bez nóg, bez rąk, ślepi lub sparaliżowani. Nadal stało tu sporo krzeseł oraz kilka wózków inwalidzkich, a na podłodze, tam, gdzie upadły, leżały stare egzemplarze „Daily Express”.

Sala była tak samo wysoka jak salon i miała dwa olbrzymie kryształowe żyrandole, teraz spowite pajęczynami. W wielu miejscach na ścianach wisiały lustra w pozłacanych ramach, były jednak pozakrywane płachtami, żeby rannym żołnierzom oszczędzić widoku ich pokiereszowanych ciał.

Lawirując między krzesłami, Lilian przeszła do pomieszczenia, które niegdyś służyło za salę bilardową. Stół został sprzedany do pubu w Esher, ale na ścianie wciąż wisiała tablica do notowania wyników, jak również plansza do gry w rzutki.

Lilian uzmysłowiła sobie, że gdyby salę bankietową podzielili na trzy sypialnie, salon i łazienkę, to bilardowa świetnie nadawałaby się na urządzenie w niej atrakcyjnej kuchni połączonej ze strefą jadalną, zwłaszcza gdyby w ścianie

po prawej stronie wybić drzwi wychodzące na taras i ogród. Za taki apartament z łatwością mogliby zażądać nawet półtora miliona funtów, jeśli nie więcej.

Zabrzączał telefon, wyjęła go i odebrała.

– Halo? – powiedziała do słuchawki.

Nie było odpowiedzi, a numeru, spod którego dzwoniło, nie rozpoznawała. Nie była zdziwiona, ostatnio otrzymywała wiele telefonów od naciągaczy, głównie z informacją, że ktoś włamał się na jej konto PayPal.

Miała już wyjść, kiedy wydało jej się, że słyszy krzyk. Brzmiał tak, jakby dochodził gdzieś z góry, choć był tak słaby, że nie miała do końca pewności. Wróciła do sali recepcyjnej, zatrzymała się i nasłuchiwała.

Tak, ktoś krzyczał. I to nie jedna osoba, ale raczej trzy lub cztery, a może nawet więcej. I zdecydowanie dźwięk płynął z górnych pięter. Powtarzające się żalosne zawrodożenie, chociaż zbyt niewyraźne, by mogła zrozumieć, co ci ludzie wołali, czego się dopominali.

Przełaziła się przez nią fala niepokoju; kusiło ją, by opuścić szpital i odjechać stąd najszybciej, jak się dało. Ale pragmatyzm kazał jej zostać. Budynek był własnością Downland Developments, a nie przypadkowych intruzów, a ona za niego odpowiadała.

Tylko kim byli ci ludzie, którzy tak krzyczeli, i skąd się tu wzięli? Kiedy zaglądała z Davidem do każdego pokoju na górze, nikogo tam nie znaleźli, ci ludzie musieli więc ukrywać się albo na strychu, albo w jakimś schowku, albo może zakradli się do budynku frontowymi drzwiami, kiedy ona oglądała salę bankietową i pokój bilardowy.

Tylko dlaczego krzyczeli? I dlaczego z taką rozpaczą? Czego mogli chcieć?

Pragmatyczna część jej charakteru namawiała ją, by poszła na górę i sprawdziła, co się tam dzieje. Ale po chwili pomyślała o wyjąłym z bólu Alexie i o Charlie, całkowicie sparaliżowanej. Gdyby się okazało, że ludzie, którzy krzyczą, wszyscy są w agonii lub nie mogą się ruszać, jak poradzi sobie z nimi sama? Bardziej sensowne byłoby wezwanie pogotowia.

Wyciągnęła komórkę, lecz jej ekran był czarny; bateria całkowicie się rozładowała, tak że niemożliwe było nawet połączenie z numerem alarmowym. Lilian stała nieruchomo przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w krzyki dochodzące z góry i w końcu pomyślała: nie, nie idę tam. Bo może ci ludzie,

kimkolwiek są, chcą właśnie tego, i skończę dokładnie tak samo jak Alex i Charlie.

A na górze mogły być osoby, które nie chciały, żeby szpital został przekształcony w kompleks mieszkaniowy. W okolicy działała co najmniej jedna agresywna grupa aktywistów, lokalnych mieszkańców, którzy złożyli interpelację do rady miejskiej z wnioskiem o odrzucenie projektu Downland.

Zaczynało się robić ciemno także wewnątrz szpitala, krzyki jednak nadal trwały i brzmiały trochę jak jedno słowo powtarzane bez końca.

Tak, pomyślała Lilian. Idę. Znikam stąd. Mogę pojechać do Cock Inn i zadzwonić stamtąd. Pospieszyła korytarzem do drzwi wyjściowych, ale gdy do nich dotarła i nacisnęła na klamkę, okazało się, że nie chcą się otworzyć. Poruszyła klamką w górę i w dół kilka razy, ale drzwi nie ustępowały. W zamku nie było klucza i ani górne, ani dolne rygle nie były zasunięte, dlatego nie pojmowała, z jakiego powodu drzwi mogły się tak zaciąć.

Rozpaczliwe zawroty głowy płynące z góry ani na chwilę nie cichły i teraz, gdy stała w holu, wydało się jej, że potrafi rozpoznać słowa... a właściwie jedno słowo.

– Siostró! Siostró! Siostró!

Nie wierzę w duchy i nie wierzę w poltergeisty, pomyślała. Więc ci ludzie, którzy tam na górze przywołują pielęgniarkę, muszą być prawdziwi. Tylko że ja nie jestem w stanie im w żaden sposób pomóc. Zresztą ich tam i tak nie powinno być.

Znów mocno szarpnęła za klamkę, lecz drzwi nadal nie dawały się otworzyć.

Trudno, w budynku było mnóstwo innych. Przeszła korytarzem do kuchni, a stamtąd do zmywalni. Klucz wciąż tkwił w zamku tylnych drzwi prowadzących do przykuchennego ogródka, ale gdy próbowała go przekręcić, nie chciał się poruszyć. Szarpnęła klamką, lecz drzwi wciąż były zamknięte.

Teraz już zaczęła wpadać w panikę. Dlaczego nie mogła otworzyć i tych drzwi? Wpadła do salonu i po zapiaszczonej posadzce podbiegła do drzwi wychodzących na taras. Widać było przez nie ogród i blady księżyc wyzierający zza wysokiego olchowego żywopłotu niczym podstarzały podglądacz. Ale klamka, która powinna otworzyć drzwi, była zablokowana i nawet kiedy uderzyła w nie ramieniem, mimo że zadrżały, uparcie nie dawały się otworzyć.

Lilian przypomniała sobie o jeszcze jednych drzwiach wyjściowych, prowadzących na ogrodzone podwórze na tyłach z magazynem, który za czasów Carverów służył za stajnię. Pospieszyła przez hol i znajdując się za nim szatnię, gdzie na żeliwnych kołkach wciąż smętnie wisiało kilka płaszczy przeciwdeszczowych oraz wiatrówek, ale drzwi wychodzące na dziedziniec stajenny także były zablokowane na amen. Podobnie jak przy frontowych, rygiel nie był zasunięty, a w zamku nie było klucza. A jednak mimo że szarpała za klamkę i kopała w drzwi raz po raz, wszystko, co zdołała osiągnąć, to tylko rozłupać jedną z desek.

Trudno. Mimo że to mało dystygowane, będzie musiała wyjść przez któreś z okien. Wróciła do salonu i spróbowała otworzyć to po prawej stronie kominka. Znowu ta sama historia – było zatrzaśnięte. To po lewej stronie również nie dawało się otworzyć.

Poszła do kuchni i spróbowała z oknem za zlewem. Klamka nawet nie drgnęła.

Przerażenie Lilian sięgało zenitu. Była uwięziona w szpitalu i nie wiedziała dlaczego. Czy znajdował się w nim jakiś system zabezpieczeń, o którego istnieniu nie miała pojęcia, jakiś sposób pozwalający na zamknięcie wszystkich drzwi i okien, tak żeby nikt nie mógł wejść ani wyjść? Wydawało się to mało prawdopodobne w przypadku budynku tak starego i na dodatek tak dużego.

A może ktoś celowo zablokował wszystkie wyjścia, żeby ją tu uwięzić? Czy to mogli być ci ludzie na górze, którzy nadal wzywali pielęgniarkę?

Żeby się nieco uspokoić, wzięła kilka głębokich oddechów, po czym doszła do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać, co tak naprawdę się tu dzieje. Wróciła do holu i weszła na schody. Na szczęście do środka wpadało wystarczająco dużo światła księżycowego, by mogła widzieć, dokąd idzie, mimo to co chwila chwytiała się poręczy. Nie chciała spaść ze schodów, zwłaszcza teraz, gdy nie miała jak wezwać pomocy.

Krzyki nie ustawały i kiedy dotarła na pierwsze piętro, była w stanie stwierdzić, że dochodzą ze skrzydła Wavella, z korytarza po lewej.

– Siostró! Siostró! Proszę, siostró! Siostró!

No daj spokój, Lilian, powiedziała do siebie w duchu. Jeśli przywołują pielęgniarkę, to znaczy, że muszą czuć się naprawdę źle i nie mogą być aż tak



niebezpieczni. Poza tym, od kiedy to dajesz się zastraszyć facetom? Nie licząc twojego wujka Maurice'a, który próbował cię podglądać, kiedy się kąpałaś, gdy miałaś dwanaście lat, i tego nienaturalnie wysokiego mężczyzny, który pewnej zimowej nocy, gdy miałaś dziewiętnaście, śledził cię całą drogę do domu z Boogie Lounge w Epsom.

Przeszła korytarzem do podwójnych drzwi prowadzących na oddział. Jedna ich połowa była lekko uchylona i to właśnie dlatego słyszała krzyki, gdy była na dole w sali bilardowej. I rozbrzmiewały nadal, pełne napięcia i rozpaczliwe, jakby ludzie, którzy krzyczeli, w rzeczywistości wcale nie liczyli na to, że ktoś do nich kiedykolwiek przyjdzie i im pomoże.

Lilian pchnęła drzwi i otworzyły się na pełną szerokość. Weszła do środka. Okna po lewej wychodziły na ogród, podłogę zalewało więc rozproszone blade światło księżyca, z tym że widać było, że wkrótce przysłoni go szybko nadciągająca nawałnica ciemnych chmur.

Kiedy weszła na oddział, krzyki stały się jeszcze bardziej rozgorączkowane.

– Pielęgniarka! Siostró! Siostró!

Głosy sprawiały wrażenie męskich, wszystkie były ochryple i napięte, niektóre na granicy hysterii.

Wzdłuż prawej ściany oddziału stało dziewięć łóżek, kolejne trzy na dalekim końcu. Na większości wciąż leżały prześcieradła, a na czterech poduszki. Lecz chociaż nadal rozbrzmiewały krzyki, łóżka były puste. Lilian była w tej sali jedynym żywym człowiekiem.

Przez kilka sekund stała nieruchomo. Stała, słuchała i zastanawiała się, jak to możliwe, że słyszy te zdesperowane głosy, a jednak wokół niej nie ma nikogo. Było zupełnie tak, jakby wysłuchiwała echa szpitalnej przeszłości, kiedy leczeni tu ranni żołnierze wyli z bólu i rozpacz. Ale ich przecież już dawno nie było... tych mężczyzn, tych, którym udało się przeżyć.

– Halo?! – zawołała. – Czy ktoś tu jest?

Krzyki osłabły, zaczęły cichnąć. Brzmiało to trochę tak jak zamierający szum rozmów na widowni, kiedy na scenie pojawia się główna atrakcja przedstawienia.

– Gdzie jesteście?! – zawołała ostro Lilian, krocząc wolno przed siebie, choć serce biło jej tak mocno, że to aż bolało. – Słyszę was, ale nie widzę!

Teraz już krzyki zupełnie ucichły, ale zaczęła słyszeć słaby odgłos skradania się, pełzania i powtarzające się skrzypienie. Nasłuchując uważnie, ruszyła przed siebie wzdłuż łóżek.

– Gdzie jesteście? Ukrywacie się gdzieś? Powiedzcie, dlaczego was nie widzę?

Odgłosy skradania się i skrzypienie nie milkły.

– Ukrywacie się za ścianami? Jesteście w jakimś tajnym przejściu?

Teraz słyszała też szept, cichy i konspiracyjny, coś jakby: „Ściągnęliśmy ją tu podstępem, więc co teraz?”.

– Gdzie jesteście? – powtórzyła. – Życie? Dlaczego was nie widzę? Jesteście żywi czy jesteście z zaświatów?

Schyliła się, żeby zajrzeć pod łóżka. Ostatecznie Alex leżał przecież na podłodze, kiedy go znaleźli. Jedyne, co zobaczyła, to śmieci: zmięte gazety, kubki styropianowe i opakowania po słodyczach. A jednak wciąż słyszała te szepczące głosy, wciąż słyszała te odgłosy przemycania i skrzypienia.

Gdy podeszła do ostatniego łóżka, zobaczyła, co było źródłem tych dźwięków. Leżące na łóżku prześcieradło samo skręcało się i rozkręcało, jak w jakiejś magicznej sztuczce z liną, a materac pod nim wybrzuszał się i zapadał, jakby leżał na nim ktoś ciężki i w agonii rzucał się na boki. Tylko że na łóżku nie było nikogo.

Lilian zastygła w bezruchu, od stóp do głów sparaliżowana niedowierzaniem i grozą, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyła. To, czego była świadkiem, wydawało się niemożliwe, a jednak widziała to na własne oczy i słyszała na własne uszy. Lilian Pragmatyczna, Lilian Sceptyczna. Lilian, której trudno było uwierzyć w to, że człowiek naprawdę wylądował na Księżycu. Lilian, która opierała się przed przyjęciem szczepionki na covid.

Odsunęła się o krok od łóżka, lecz wtedy powietrze w sali rozdarł najgłośniejszy, najohydniejszy wrzask, jaki kiedykolwiek słyszała. W tym samym momencie łóżko przed nią zalało się krwią. Buchała ze środka materaca i wsiąkała w prześcieradło.

Lilian odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Szarpnięciem otworzyła drzwi na całą szerokość, przebiegła korytarz i zbiegła po schodach na dół. To, co działo się w tym szpitalu, zakrawało na obłęd; była tak przerażona, że aż skomlała.

Wpadła do salonu i podbiegła do rogu, gdzie oparty o ścianę stał porzucony fotel. Może mogłaby nim rzucić w drzwi wychodzące na taras i rozbić szybę. Chwyliła fotel za poręcze i spróbowała go podnieść, ale był z litego dębu i zdołała unieść go zaledwie trochę, była więc zmuszona opuścić go z powrotem. Spróbowała go przepchnąć, licząc na to, że może uda jej się użyć go jako tarana, ale kółka fotela były zardzewiałe i blokowały się.

Wciąż jęcząc, rozejrzała się dookoła. I wtedy dostrzegła pogrzebacz oparty o porzucony w kominku wózek inwalidzki. Pogrzebacz miał co najmniej metr długości i rączkę w kształcie łba konia. Podbiegła i podniosła go. Był żelazny i naprawdę ciężki, dlatego była pewna, że uda jej się rozbić nim szybę w którymś z okien.

Chwyciwszy go w obie dłonie, podbiegła do drzwi na taras. Zamachnęła się nim niczym kijem golfowym, lecz zanim zdążyła uderzyć w szybę, na zewnątrz w ogrodzie dostrzegła jakąś postać, nie dalej niż trzy metry od siebie, zatrzymała się więc w połowie uderzenia. W ogrodzie stał mężczyzna i chociaż miał na głowie czarny kapelusz z szerokim rondem, które zacieniało mu twarz, po blasku jego oczu Lilian zorientowała się, że na nią patrzy. Księżyc już wcześniej został pochłonięty przez chmury i na dworze było teraz o wiele ciemniej, zdołała jednak rozpoznać połysk jasnobezowej skórzanej kamizelki. To był Martin Slater, ogrodnik.

Upuściła pogrzebacz na podłogę i chwyciła za jedną z klamek przy drzwiach. Szarpnęła nią gwałtownie i krzyknęła:

– Nie chcą się otworzyć! Próbuję się stąd wydostać, ale nie mogę!

Martin Slater podszedł do drzwi.

– Nie mogę się stąd wydostać! – zawołała Lilian ponownie. – Drzwi nie są zamknięte na klucz, ale się nie otwierają! Żadne drzwi się nie otwierają!

Martin Slater sięgnął do zewnętrznej klamki drzwi tarasowych i nacisnął na nią. Otworzyły się tak samo łatwo jak wtedy, gdy Lilian otwierała je za pierwszym razem. Wyszła szybko na taras i stanęła obok Slatera.

– No i po sprawie – usłyszała jego mruknięcie. – Wygląda, że będą już grzeczne. – Mimo że nie mogła zobaczyć twarzy ogrodnika, słyszała, że jest rozbawiony. – Może przekreślała pani klamkę w złą stronę.

– Na litość boską, przecież nie jestem skończoną idiotką – warknęła. Bardzo starała się nie sprawiać wrażenia zdenerwowanej, w oczach jednak wciąż miała łzy, a nagłe zetknięcie ze świeżym powietrzem sprawiło, że zaczęło ciec jej z nosa. – Wiem, jak otwiera się drzwi.

– Tak, skarbie, jestem przekonany, że pani wie. Ale drzwi w takich starych domach potrafią bywać zdradzieckie. Wystarczy, że do zamka dostanie się trochę brudu i sprężynowe zaczepy mogą się samoczynnie zablokować.

– To nie były zablokowane zamki – oburzyła się Lilian. – Nie mogłam otworzyć żadnych drzwi ani żadnych okien! A w pokojach na górze byli jacyś ludzie. Włamywacze, krzyczący i wrzeszczący, chociaż nie mogłam ich znaleźć.

– Włamywacze? A jak oni się tu dostali, skoro drzwi i okna się nie otwierały? – zapytał sarkastycznie Slater.

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale brzmiało to tak, jakby byli na pierwszym piętrze, na oddziale Wavella. Wzywali pielęgniarkę. Słyszałam ich bardzo wyraźnie, ale kiedy poszłam na górę, nikogo tam nie było. Nie było tam nic poza pustymi łózkami.

Zza chmur ponownie wyłonił się księżyc i Lilian zobaczyła, że Martin Slater przygląda się jej z tego rodzaju zdystansowanym zatroskaniem, z jakim weterynarze patrzą na cierpiącego psa. I było w nim coś jeszcze, co ją niepokoiło, poza tym że pojawił się znikąd i z łatwością otworzył drzwi, których ona za nic nie była w stanie sforsować. Bił od niego jakiś dziwny zapach, częściowo przyjemny, jakby przycinał krzaki szaławii, częściowo jednak cierpki; wyobrażała sobie, że taki zapach może się unosić po wybuchu bomby. Ale może chodziło tylko o tę jego skórzaną kamizelkę.

– Nie zajrzałyby pan na górę? – zapytała. – Chciałabym się upewnić, że nie padłam ofiarą jakichś urojeń.

– Jeśli pani sobie tego życzy... – odparł i spojrzał na księżyc. – Prądu wam jeszcze nie podłączyli, prawda? No cóż, na razie powinniśmy chyba mieć jeszcze wystarczająco dużo światła.

Lilian wycofała się do salonu, a Slater podążył za nią. Po pokonaniu spowitego ponurym mrokiem korytarza i holu weszli na schody i wspięli się na pierwsze piętro. W szpitalu panowała teraz kompletna cisza. Nie trzaskały żadne drzwi, nie bulgotały rury. Nie słychać było nawet szeptu przeciagu.

– Oddział Wavella, tak? – dopytał Slater.

– Tak. Jak mówiłam, brzmiało to tak, jakby była tam co najmniej szóstka mężczyzn i jakby wszyscy zwywali pielęgniarkę.

Slater pierwszy ruszył korytarzem i kiedy dotarł do końca, pchnął drzwi prowadzące na oddział. Lilian trzymała się z tyłu, bojąc się tego, co mogą znaleźć za drzwiami. Ale po tym, jak wszedł do środka i rozejrzał się po sali, odwrócił się do niej i pokręcił głową.

– Miała pani rację. Tu nikogo nie ma. Są tylko same łóżka.

Lilian ostrożnie weszła na oddział. Żeby się przekonać, czy rzeczywiście były to jedynie halucynacje, czy raczej to, co widziała, zdarzyło się naprawdę, musiała sprawdzić jedną rzecz. Ruszyła wzdłuż rzędu łóżek i szła, aż dotarła do tego, które zalało się krwią. Materac wyraźnie był czymś na wskroś przesiąknięty, ale widać było, że nie jest już mokry ani czerwony, tak jak niecałe dziesięć minut temu. Teraz plama na materacu miała kolor umbry palonej, była zeskorupiała i zupełnie sucha.

Wygląd materaca bezsprzecznie wskazywał, że ktoś leżący na tym łóżku musiał doznać rozległego krwotoku, przypuszczalnie śmiertelnego, ale na pewno nie wydarzyło się to niedawno, tylko prawdopodobnie wtedy, kiedy szpital był czynny i leczono w nim całe rzesze rannych weteranów.

Podczas gdy Lilian w oszołomieniu wpatrywała się w zaplamiony materac, światło księżycy na zewnątrz na moment przygasło, po chwili jednak rozbłysło na nowo.

– Nie potrafię tego pojąć – wymamrotała. – Mogłabym przysiąc, że widziałam, jak ze środka tego materaca tryskała krew! Jak woda z fontanny... I to była świeża krew! Zresztą widać po niej plamy, tylko że to wszystko już wyschło. Naprawdę nie wiem... Nie wiem, czy mi się to przyśniło, czy... Nawet myślałam, żeby wezwać policję, ale teraz już nie chcę. Policja pewnie wstrzymałaby prace do czasu, aż przeprowadziłaby te swoje testy, a my i tak mamy już spore opóźnienie.

Przerwała i rozejrzała się. W sali nie było się gdzie ukryć, nie było tam żadnych szafek ani drzwi prowadzących do innych pomieszczeń.

– Wie pan co? Zaczynam na serio myśleć, że ktoś nam wykręca paskudny numer. Może to ktoś z grupy tych nieszczęsnych aktywistów, zwolenników

ochrony przyrody. Robią wszystko, co w ich mocy, żebyśmy tylko nie przebudowywali tego szpitala.

Martin Slater nic na jej spostrzeżenia nie odpowiedział.

– A może pan zna kogoś, kto mógłby się posunąć aż do takich akcji? – spytała. – W końcu tutejszym ogrodem zajmuje się pan już od dziesięciu lat. Musi pan znać wielu miejscowych.

Martin Slater nadal się nie odzywał, więc Lilian odwróciła się i ku swemu zaskoczeniu i konsternacji stwierdziła, że ogrodnika już z nią nie ma i że mówiła do siebie.

– Panie Slater! – zawołała. – Panie Slater!

Wybiegła z oddziału i pospieszyła do schodów. Tam na chwilę się zatrzymała, ale nie usłyszała odgłosów kroków ogrodnika.

Dlaczego wyszedł i zostawił ją samą? Nie powiedział nawet „idę” albo „to na razie”.

Zeszła na dół i hołem podbiegła do drzwi wejściowych, by sprawdzić, czy nadal są zaklinowane. Ku jej ogromnej uldze otworzyły się bez żadnych problemów. Zostawiła je otwarte i szybko przeszła do salonu, żeby pozamykać tam okna. Jeśli do szpitala rzeczywiście tego wieczoru wdarli się włamywacze lub nielegalni lokatorzy, nie chciała ułatwiać dostępu do niego kolejnym intruzom. Poza tym niezamykanie okien mogło naruszać zapisy polisy ubezpieczeniowej. Była przerażona, wciąż jednak pozostawała tą samą Praktyczną Lilian.

W końcu opuściła szpital i zamknęła za sobą frontowe drzwi. Postanowiła, że nazajutrz poprosi Sanjaya z biura, żeby dołączył do niej i Davida, i we trójkę przeszukają budynek, od piwnic aż po strych.

Może to tylko moja wyobraźnia, zastanawiała się, wyjeżdżając hondą za bramę szpitala i pokonując wysadzone drzewami kręte uliczki wiodące do toru wyścigów konnych w Epsom. Może jestem zbyt zagoniona, reaguję kompulsywnie. Może mój mózg celowo tworzy te przerażające urojenia, żeby mnie zmusić do odpuszczenia sobie, zrelaksowania się i cieszenia się życiem. Może to jakaś forma instynktu samozachowawczego.

Z drugiej jednak strony, może te krzyki i ten buchający krwią materac, to skrzęcające się prześcieradło... może to jednak nie były żadne urojenia. No i to

agonalne rzeźenie i sztucce rozrzucone na podłodze w kuchni? Może w szpitalu naprawdę ktoś się ukrywa... ktoś, kto źle nam życzy i zrobi wszystko, byśmy uwierzyli, że tracimy zmysły, i przez to ostatecznie zrezygnowali z przebudowy szpitala Filomeny i zostawili go pusty?

## Rozdział 8

Moses przyjechał do Filomeny krótko po jedenastej następnego ranka. Poprzedniego popołudnia zadzwonił do Downland i zapytał, czy istnieje możliwość porozmawiania z kimś, kto odpowiada za przebudowę szpitala. Podali mu numer komórki Lilian i kiedy do niej zadzwonił i opowiedział o swoich doświadczeniach z Alexem i Charlie, zgodziła się z nim spotkać.

Gdy zaparkował przed szpitalem, padał drobny, rzęsy deszcz, więc spiesząc w stronę ganku, naciągnął na głowę kaptur kurtki. Lilian czekała na niego w otwartych drzwiach.

– Pan Akinyemi?

– Proszę mi mówić Moses.

Wprowadziła go do holu. Przy schodach stali David i Sanjay rozmawiający o wczorajszym meczu ligowym między Tottenhamem a Manchesterem City. Rano we troje spędzili ponad dwie godziny na przeszukiwaniu budynku od strychu po piwnice; wyciągali nawet szuflady z wbudowanych w ściany szaf i zajrzeli ponownie do piekarników. Lilian znowu poszła obejrzeć łóżko, które widziała zalewające się krwią. Nadal miało ciemnobrązowe plamy, a materac był suchy jak przypieczona skórka chleba.

Teraz podeszła do kolegów i przedstawiła im Mosesa. Sanjay złożył dłonie razem w ramach powitania *namaste*, a David sprzedał Mosesowi lekkiego kuksańca łokciem.

– Zreferowałam pokrótce Davidowi i Sanjayowi to, co mi mówiłeś przez telefon, Moses – powiedziała Lilian. – O tym, że Alex myśli, że jest jednym z rannych, których opatrywałeś w Afganistanie, i o Charlie, która wiedziała, jak cię tam nazywają.



– Nie mam pojęcia, co sobie o tym pomyślicie – odparł Moses. – I zdaję sobie sprawę, że może to zabrzmieć niedorzecznie, ale poważnie zastanawiam się, czy nie mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju opętania. No wiecie, trochę jak w *Egzorcystcie*.

– Och, daj spokój – prychnęła Lilian. – Nie sądzę, żeby którekolwiek z nas na poważnie wierzyło w demony. Choć to prawda, że w tym budynku bezsprzecznie jest coś, co pozostało z czasów, gdy był tu szpital wojskowy. Może to jakiś rodzaj rezonansu. No wiecie... jak echo.

David skinął głową.

– Tak, być może to właśnie coś takiego. No bo, jak słowo daję... przeczesałiśmy ten cholerny budynek od góry do dołu i nikogo nie znaleźliśmy. Zdecydowanie nikogo tu nie ma.

– Nie ma też żadnych ukrytych głośników, co mogłoby tłumaczyć wrzaski i jęki, które słyszeliście – dodał Sanjay. – Więc może rzeczywiście rezonans... tak. Moja ciotka z Kanpur opowiadała mi, że miała w domu pokój, w którym często słyszała szlochającą kobietę, mimo że nikogo tam nie było.

Moses pokiwał głową.

– W jakiś sposób, którego nie potrafię zrozumieć – zaczął – wasz Alex Fowler doświadczył tego samego, czego doświadczał kapral Terence Simons, kiedy wszedł na minę pułapkę w Kajaki. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że wyglądał jak kapral Simons, ale to pewnie zestresowany umysł płatał mi figle.

– To wszystko jest takie dziwne – wtrącił David. – Może powinniśmy sprowadzić księdza, żeby pokropił to miejsce wodą święconą albo coś w tym stylu. A jeszcze lepiej... może po prostu zburzmy ten cholerny dom i postawmy luksusowe apartamenty od zera?

– Przekonywałem Alexa Fowlera, że nie jest kapralem Simonsem – kontynuował Moses. – Ale zanim od niego wyszedłem, wciąż uparcie obstawał przy tym, że nim jest. To znaczy nie tyle nim, co jego bólem.

– Jego bólem? Co przez to rozumiał? – zapytał David.

– Nie mam pojęcia. Ale było oczywiste, że doświadcza straszliwego bólu.

Lilian chwilę się zastanawiała, po czym powiedziała:

– Niedaleko stąd mieszka kobieta, która mówiła nam, że prowadzi dom opieki dla pięciu rannych weteranów, którzy byli tu kiedyś hospitalizowani. Może oni powiedzą ci coś więcej. Jak się ta kobieta nazywała, David? Nie mam pamięci do nazwisk.

– Crosby... Marion Crosby. Założę się, że ktoś w Cock Inn będzie wiedział, gdzie dokładnie mieszka.

– Tak, właśnie, Marion Crosby. Może warto byłoby się tam przejść i porozmawiać z tymi weteranami, którymi się opiekuje – podsunęła Lilian.

– To chyba dobry pomysł – zgodził się Moses. – Ale zanim się tam wybiorę, może pozwolilibyście mi się tu trochę rozejrzeć? Po tym, co opowiadaliście o tych krzykach i o łóżku całym we krwi, pomogłoby mi, gdybym zapoznał się z tym miejscem, wczuł się w jego atmosferę.

– Oczywiście. David... oprowadzisz Mosesa? Ja muszę zadzwonić do Rogera i powiedzieć mu, że przeszukaliśmy cały budynek i niczego nie znaleźliśmy.

Sanjay spojrział na zegarek.

– A ja będę się już musiał zbierać. O wpół do dwunastej mam spotkanie w wydziale planowania przestrzennego w Reigate.

David zwrócił się do Mosesa:

– Zacznijmy od góry, od trzeciego piętra. To tam znaleźliśmy Charlie Thorndyke i to tam Alex zostawił iPada.

Wspięli się po schodach i udali korytarzem do sali, gdzie znaleźli Charlie leżącą na podłodze. Jutowe zasłony były rozsunięte, a wiklinowy fotel podniesiony i ustawiony w rogu.

– Leżała tam, między łóżkiem a ścianą – powiedział David. – I była sztywna jak deska. Nie mogliśmy zgiąć jej nawet palców.

Moses rozejrzał się po pokoju, próbując zorientować się, czy jest w nim coś, co choćby w najmniejszym stopniu mogłoby się kojarzyć z Afganistanem. Ale to był angielski budynek szpitalny, w szary angielski dzień, z deszczem uderzającym w okna, i nie było tam ani upału, ani kurzu, ani muzyki *dombura* z jej pospiesznym bębnieniem, które brzmiało tak, jakby tłum ludzi w sandałach zbiegał po schodach.

– I jak? Wypatrzyłeś coś? – spytał David.

Moses pokręcił głową.

– W takim razie pokażę ci ten drugi pokój. Sprawdziliśmy w iPadzie Alexa i to było ostatnie pomieszczenie, które mierzył. Ale Alexa znaleźliśmy w jednym z oddziałów na piętrze niżej, chociaż nie mamy pojęcia, dlaczego przerwał mierzenie w połowie i postanowił tam zejść.

Moses wychodził już z sali, gdy wydało mu się, że usłyszał czyjś szept tuż za plecami. Zatrzymał się i odwrócił. Nikogo nie zobaczył, uznał więc, że to musiał być szmer instalacji hydraulicznej albo gołąb lądujący na dachu.

– Wszystko w porządku?! – zawołał do niego David z głębi korytarza.

– Tak, wydało mi się tylko...

Szept się powtórzył, tak cichy i świszczący, że ledwie przypominał ludzki głos. Lecz tym razem Moses wyraźnie usłyszał, że ktoś wypowiedział słowo „Mingus”.

Poczuł mrowienie na ramionach i wzdrygnął się. Wszedł z powrotem do sali i ponownie się po niej rozejrzał. Nawet schylił się i zajrzał pod łóżko.

„Mingus”, usłyszał znowu i teraz nie miał już wątpliwości.

David wrócił do drzwi.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, tak, dzięki za troskę. Tyle że przysięgam, że słyszałem tu jakiś głos.

– Głos? Naprawdę? I co mówił?

– Wydało mi się, że wyszeptał... Mingus, tak jak nazywano mnie w Afganistanie.

Stali obaj nieruchomo przez ponad minutę, nasłuchując, ale już nie usłyszeli żadnego szepotu.

– Może tylko sobie to wyobraziłem – rzucił w końcu Moses. – Nadal prześladowają mnie obrazy z czasu pobytu w prowincji Helmand. Kiedy się widziało młodych ludzi wchodzących na miny pułapki, ich nogi i ręce oderwane w eksplozji... To nie jest coś, o czym daje się łatwo zapomnieć.

– Tak, przypuszczam, że nie – powiedział David. – Ja chyba najgorsze, co widziałem, to jak mój człowiek od mycia okien spadł z drabiny i złamał sobie nogę. Kość goleniowa wyszła na zewnątrz, wystawała mu przez nogawkę ogrodniczek.

Wrócili korytarzem do pokoju, w którym Alex upuścił na łóżko iPada. Mosesowi przez cały czas towarzyszyło nieprzyjemne wrażenie, że jest śledzony, i nawet ze dwa razy obejrzał się przez ramię, by się upewnić, że nikogo za nim nie ma. Niemal czuł, jak ktoś dyszy mu w kark.

Weszli do pokoju i rozejrzeli się po nim. Nie licząc łóżka, na które Alex rzucił iPada, nie było tu innych mebli, choć na ścianie wciąż wisiał obraz. Była to oprawiona w ramkę reprodukcja przedstawiająca kobietę w purpurowej pelerynie, stojącą na brzegu jeziora, odwróconą plecami, nie sposób więc było określić jej wieku. Na środku jeziora coś się unosiło, kłoda albo skupisko traw lub wodorostów. Obraz był opatrzony tytułem *Jezioro straceńców*.

Moses wciąż mu się przyglądał, gdy nagle wydało mu się, że kątem lewego oka pochwycił jakiś ruch. Z początku pomyślał, że to tylko cień Davida, przechodzącego do drzwi, kiedy się jednak odwrócił, zobaczył, że ten stoi przy oknie.

– I co, coś tu znalazłeś? – zapytał Mosesa.

– Nie wiem... Nie sędzę. Nie.

David uniósł jedną brew.

– Nie brzmisz, jakbyś był szczególnie przekonany.

– Wydawało mi się, że widziałem, jak coś się porusza. Ale... no wiesz... to prawdopodobnie znowu tylko nerwy.

– Jakiego rodzaju coś?

– Coś jak cień. Albo kłęb dymu. Albo ktoś machający czarnym welonem w powietrzu.

– O rany, zaczynają mnie przez ciebie przechodzić ciarki, serio!

– Wybacz, David, ale ta sytuacja bardzo mnie niepokoi. Myślałem, że przeżycia z Afganistanu mam już dawno za sobą, a wygląda na to, że mnie dogoniły, a ja nie mam pojęcia, w jaki sposób to się dzieje ani z jakiego powodu.

David poklepał go pocieszająco po ramieniu.

– No już, już – mruknął. – Spokojnie. Chodźmy, zjedźmy teraz na dół. Pokażę ci oddział, gdzie znaleźliśmy Alexa. A później... no cóż, może to dobry pomysł, żebyśmy dzisiaj na tym skończyli, co ty na to? Cokolwiek się tutaj dzieje, raczej

nie ma na to racjonalnego wytłumaczenia. To znaczy... pewnie jakieś jest... musi być... ale niech mnie drzwi ścisną, jeśli miałbym zgadywać, co to by miało być.

Kiedy wyszli na korytarz, Moses rzucił ostatnie spojrzenie na pokój, jakby oczekiwał, że znów zobaczy tam ten przemykający cień, ale nie było po nim śladu. Zobaczył tylko zdezelowane łóżko i krople deszczu spływające po oknie. Przypuszczał, że musiał sobie ten cień wyobrazić, choć jednocześnie miał dziwne uczucie, że w pokoju coś jest, czuł to coś i wiedział, że to coś widzi i czuje jego.

Zeszli na dół do skrzydła Montgomery'ego. Na oddziale wciąż stało w rzędzie osiem łóżek, a pogięty stojak na kropłówki nadal leżał na podłodze tam, gdzie Alex go przewrócił. Moses, idąc wolno na koniec sali, przyglądał się każdemu łóżku po kolei, David podszedł do drzwi balkonowych i wpatrywał się w deszcz.

– Lilian mówiła, że Alex krzyczał, gdy go znaleźliście – zagadnął Moses.

– Krzyczał? Krzyczał to niedopowiedzenie stulecia. Darł się tak, że nie dało się słyszeć własnych myśli. Pogryzł sobie wargi i odgryzł koniec języka. Wyglądał, jakby miał na twarzy czerwoną maskę covidową.

– No dobra – rzucił Moses. – Myślę, że widziałem tu już wystarczająco dużo. Pojadę teraz znaleźć tę kobietę, tę Marion Crosby, i zobaczę, czy ci ludzie, którymi się opiekuje, będą w stanie powiedzieć mi coś więcej.

Wrócił do drzwi oddziału. Przez chmury zaczęło przeświecać blade światło słoneczne. Zobaczył więc odbicie Davida w szybie, jakby jego duch stał na balkonie na zewnątrz. Ale kiedy David odwrócił się i ruszył do wyjścia, jego odbicie pozostało tam, gdzie było – nadal zaglądało do środka z drugiej strony szyby.

Moses zatrzymał się i wyteżył wzrok. Żałował, że okulary zostawił w samochodzie; krótkowzroczność utrudniała mu zrozumienie tego, co widzi. Odbicie – mniej więcej tego samego wzrostu co David i z taką samą krótką fryzurą – było do niego podobne, nie wyglądało jednak na to, że tak jak on ma na sobie szary biznesowy garnitur. Choć było półprzezroczyste i Moses wyraźnie widział przez nie poręczę balkonu i odległą linię drzew, mógłby dać sobie rękę odciąć, że odbicie było w piaskowym mundurze bojowym, takim samym, jakie nosił on i jego koledzy, gdy walczyli w prowincji Helmand.

– Co się dzieje? – zapytał go David. – Znów usłyszałeś jakieś głosy?

Moses wskazał na drzwi balkonowe za jego plecami.

– Spójrz. Czy ja mam halucynacje, czy to może jakieś złudzenie optyczne?

– Ale co masz na myśli?

– Nie wydaje ci się, że tam na zewnątrz ktoś stoi? Na balkonie?

David odwrócił się i zmrużył oczy, by lepiej widzieć.

– To tylko moje odbicie.

– Na początku tak było, ale kiedy się odwróciłeś, nie odwróciło się wraz z tobą. Dalej wpatrywało się w okno. I nie tylko to... Przez chwilę byłem pewny, że ma na sobie mundur polowy.

David wrócił pod drzwi balkonowe i stanął tak blisko, że czubkiem nosa prawie dotknął szyby.

– Hm – mruknął, na wpół z rozbawieniem. – Obawiam się, że to tylko ja. Rozpoznałbym siebie wszędzie. Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem!

Moses podszedł do niego i przekonał się, że David miał rację. Odbicie było jego odbiciem i teraz miało na sobie garnitur dokładnie taki jak on.

David odblokował podwójne drzwi balkonowe i otworzył je szeroko. Nie musiał mówić: „Spójrz, tu nikogo nie ma”, ponieważ nikogo tam nie było. Tylko kałuża wypełniona przemoczonymi niedopałkami papierosów, w miejscu, gdzie pacjenci skrzydła Montgomery’ego musieli wychodzić na ukradkowe „dymki”.

– Musiało mi się przewidzieć – mruknął Moses. – Choć przez chwilę...

– Chodźmy poszukać Lilian – zaproponował David. – Może będzie chciała pojechać z tobą do tej Crosby.

Gdy schodzili na dół, Moses z niejakim rozgoryczeniem powiedział:

– Oto i cały ja, słyszę rzeczy, których nikt inny nie słyszy, i widzę rzeczy, których nikt inny nie widzi. – A kiedy dotarli na parter, odwrócił się do Davida i dodał: – Pewnie myślisz, że mam poluzowane klepki albo że cierpię na ostry stres pourazowy po pobycie w Afganistanie, co?

– Nie, kolego – odparł David, kręcąc głową. – Wcale tak nie myślę, zupełnie nie.

– Jesteś pewien? Bo sam zaczynam już powątpiewać we własną pocztytalność.

– Ujmijmy to w ten sposób: mógłbym pomyśleć, że brakuje ci którejś klepki, gdybym razem z Lilian nie znalazł Alexa krzyczącego, jakby obdzierali go ze

skóry, czy Charlie leżącej na podłodze, sztywnej jak pieprzona deska do prasowania. No i jeszcze te noże rozrzucone po całej podłodze w kuchni... Nie, o nic się nie martw... kiedy mówisz, że coś słyszałeś i widziałeś, to ja ci wierzę. To może być faktycznie tak, że ktoś tu stosuje wszelkiego rodzaju wyrafinowane sztuczki, by nas nastraszyć i zmusić do wycofania się z przebudowy. Albo to, albo to ten... Jak nazywa się to, o czym mówiła Lilian? Ten „rezonans”.

– Może ci weterani, którymi opiekuje się Marion Crosby, będą mieli dla nas jakieś odpowiedzi – mruknął Moses. – Jeśli nie, być może powinniśmy zrobić to, co zasugerowałeś... wezwać księdza, żeby przeprowadził tu egzorcyzmy. Albo po prostu zrównać ten szpital z ziemią.

## Rozdział 9

Dom opieki prowadzony przez Marion Crosby znajdował się przy obsadzonej żywopłotami wąskiej Tumber Street, niecały kilometr na wschód od szpitala. Budynek był prawie w całości ukryty za rzędem jesionów; prowadziła do niego nieduża brama z pięcioma poziomymi deskami i z drewnianym szyldem z napisem *Limani* i wyrzeźbionym konturem kotwicy.

Podeszli do drzwi frontowych i Lilian wcisnęła dzwonek. Dom był duży, ze ścianami wyłożonymi kamieniem i oknami z ołowianymi szprosami. Miał kształt litery L, prawdopodobnie w ciągu lat musiał być rozbudowywany. Boki ganku porastał bluszcz, który szeleścił, gdy na liście spadały krople deszczu.

Marion otworzyła drzwi i na widok Lilian i Mosesa na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Miała na sobie fartuch kuchenny, a obie jej ręce były oblepione mąką.

– Och! – wykrzyknęła. – Mam nadzieję, że nie przyszlście z powodu Franka? Chyba nie narobił żadnych szkód, kiedy był w szpitalu?

– Nie, nie – szybko uspokoiła kobietę Lilian. – I bardzo przepraszamy, że nie zapowiedzieliśmy się z wizytą, ale niestety, nie wiedzieliśmy, jak moglibyśmy się z panią skontaktować. Przyjechaliśmy, ponieważ, jeśli byłoby to możliwe, chcielibyśmy krótko porozmawiać z pani podopiecznymi.

Marion uniosła brwi.

– Porozmawiać...? Ale o czym? O czymś konkretnym? Bo z przykrością muszę państwa uprzedzić, że żaden z nich nie jest szczególnie wygadany.

– O ich przeżyciach w Afganistanie – wyjaśnił Moses. – To znaczy, jeśli uważa pani, że to ich zbytnio nie zdenerwuje.



– Cóż, raczej nie. – Marion zastanowiła się. – I tak najczęściej nie gadają o niczym innym. Zwłaszcza Frank. Ale czy jest jakiś powód, dla którego chcecie z nimi o tym porozmawiać?

– Będę z panią szczerą – odezwała się Lilian. – Odkąd rozpoczęliśmy przebudowę, mieliśmy w Filomenie kilka niepokojących incydentów. Dwoje naszych kolegów uległo wypadkom i próbujemy dojść do sedna tego, co się z nimi stało.

– I jest całkiem możliwe, że te incydenty mogą mieć jakiś związek z tym, co wydarzyło się w Afganistanie – dopowiedział Moses. – Nie mamy pojęcia jaki, i właśnie dlatego chcielibyśmy porozmawiać z pani podopiecznymi.

Marion zawahała się. Było jasne, że pragnie ich chronić, niemal jak matka. Po kilku sekundach skinęła jednak głową.

– No dobrze. Wejdźcie, zapraszam. Trzech z nich wprawdzie śpi, ale powinniście móc porozmawiać z Michaeliem i z Frankiem. Przepraszam za ręce w mące. Jestem właśnie w trakcie pieczenia bułeczek.

Weszli do sieni, zatęchłej i mrocznej, z wiszącym na jednej ścianie olejnym obrazem przedstawiającym brodatego kawalerzystę, stojącym pod drugą ścianą stojakiem na okrycia wierzchnie, obwieszonym długimi czarnymi płaszczami przeciwdeszczowymi, z których jeden miał kaptur, i wyglądało to tak, jakby z kąta sieni obserwował ich wysoki mnich.

Marion wprowadziła gości do pokoju dziennego. Szerokie podwójne okno wychodziło na ogród obsadzony rododendronami i jabłonkami. Przy stole pod oknem siedziało dwóch mężczyzn grających w warcaby, a trzeci, z otwartymi ustami, spał w skórzanym fotelu. Spod szarych nogawek jego dresów wystawały protezy stóp, wyglądające jak dwie zagięte metalowe chochle, z pneumatycznymi cylindrami zamiast pięt.

– Frank... Michael... – powiedziała Marion. – Macie gości.

Michael spojrział w bok, a Frank, skrzętnie wykorzystując jego chwilową nieuwagę, przeskoczył jeden z jego czerwonych pionków i go zbił. Potem on również spojrział w stronę drzwi, niepokojąco mlecznymi oczami.

– Och, to pani – rzucił, kiedy zauważył Lilian. – Chyba nie przyszła pani, żeby zabronić mi odwiedzania moich starych kumpli, co?

– Nie, nie przyszedłem niczego panu zabraniać – odpowiedziała Lilian. – Wręcz przeciwnie, zawsze będzie pan mile widziany w szpitalu, musi mnie pan jedynie uprzedzić, że pan przyjdzie. To kwestia bezpieczeństwa. Jeśli coś by się tam panu stało, odpowiedzialność za to spadłaby na naszą firmę.

– Wątpię, żeby mogło mi się tam coś stać, skarbie. Jeśli już komuś coś się ma stać, to raczej będzie to pani lub któryś z pani ludzi. A co do moich kumpli, to ten szpital jest teraz ich domem. Gdzie indziej mieliby pójść?

– Właśnie – przytaknął Michael z akcentem z Belfastu. – Gdzie indziej mieliby pójść?

Michael był postawny, miał rude włosy i szeroką twarz ze złamanym nosem w kształcie litery S. Jego bladoniebieskie oczy lekko zezowały, więc Lilian trudno było stwierdzić, czy patrzy na nią bezpośrednio, czy utkwiał wzrok ponad jej ramieniem. Nie dostrzegła u niego żadnego fizycznego upośledzenia, żadnych brakujących rąk czy nóg, ale po sposobie, w jaki mówił – monotonicznie i beznamiętnie – podejrzewała uraz mózgu.

– Przyszliśmy do was – przejął rozmowę Moses – by zapytać, czy kiedy zostaliście ranni w Afganistanie, wam lub waszym kolegom przydarzyło się coś niezwykłego. Coś, co... wydało wam się... dziwne.

– Rozerwało mi połowę biodra – odparł Frank. – To mi się wydało dziwne, oględnie mówiąc.

– Oczywiście, oczywiście. Ale przez „dziwne” miałem na myśli... czy kiedykolwiek doznaliście uczucia podzielenia? Takiego wrażenia... no jak by to ująć...? Takiego, że była w was inna osoba, która nie była wami?

– Inna osoba we mnie, która nie była mną? Co pan przez to rozumie? Nie łapię.

– A ja tak – odezwał się Michael. – Zostałem postrzelony w dolną część pleców i kiedy odzyskałem przytomność, ból był tak okropny, że, słowo honoru, naprawdę myślałem, że to ktoś inny go odczuwa, a nie ja. To było tak, jakby ten ból był innym człowiekiem, człowiekiem stworzonym z bólu. I nadal czasami mam takie uczucie, najczęściej kiedy hydromorfon przestaje działać.

– Proszę... – wtrąciła się Marion, podstawiając krzesło. – Może sobie usiądziecie.

Moses pomógł dostawić je do stołu, przy którym siedzieli Frank i Michael, a potem doniósł drugie.

– Frank – odezwała się Lilian. – Mówi pan, że pana koledzy z wojska są nadal w szpitalu Filomeny. Naprawdę ich pan tam widzi?

– Nie mówiłbym, że widzę, gdybym nie widział, no nie?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale mnie chodzi bardziej o to, w jaki sposób ich pan widzi, bo my ich nie widzimy.

– Bo nie macie gogli, to dlatego.

– Nie mamy czego?

– Noktowizorów – wyjaśnił Moses. – To takie gogle, które umożliwiają widzenie w prawie całkowitej ciemności. Wszystko przez nie wygląda zielono, ale można odróżnić ludzi i obiekty, których nie byłoby się w stanie zobaczyć bez nich. Były standardowym wyposażeniem żołnierzy w Afganistanie.

– Ale... Frank... czy pan ma takie gogle? – dopytywała Lilian.

– Jasne. Ładne a-en-a-fau-es sześć-es, które udało mi się zwędzić, zanim odesłali mnie do domu. Jak miałbym widzieć kumpli, gdybym ich nie miał?

– Czyli zakłada pan te gogle, kiedy przychodzi pan do szpitala, i w ten sposób jest pan w stanie ich zobaczyć, tak? Ale poza tym są niewidzialni?

Frank przewrócił oczami, jakby nie mógł uwierzyć, że Lilian tak wolno przyswaja to, co się do niej mówi.

– No dobrze, rozumiem – powiedziała. – To ilu w takim razie ich tam jest?

– Piętnastu, może dwudziestu. Nie jest tak łatwo ich policzyć, bo ciągle się ruszają. Całkiem sporo jest ich w skrzydle Wellingtona i chyba sześciu w skrzydle Montgomery’ego. Kilku jest też w salach na górze. To te najgorsze przypadki.

– Naprawdę aż tylu weteranów wciąż kręci się po szpitalu? A gdzie ukrywają się za dnia?

– Nigdzie się nie ukrywają, skarbie. Nie rozumie pani? To jest ich dom.

Lilian wyprostowała się na krześle. Logiczna część jej umysłu nie chciała przyjąć do wiadomości, że po szpitalu nadal błąka się co najmniej kilkunastu rannych żołnierzy. Chyba że były to duchy, tyle że ona w duchy po prostu nie wierzyła

Michael dotarł pionkiem do końca planszy i zdobył damkę. Potem, nie patrząc w górę, mruknął:

– Powinieneś jej opowiedzieć, co widzieliśmy w Musa Qala, Frank.

– Czy ja wiem? Pewnie w to też nie uwierzy.

– No dalej, opowiedz, Frank – zachęcił go Moses. – Ja też prawie trzy lata spędziłem w prowincji Helmand. Byłem kapitanem korpusu medycznego. Wszystko może być pomocne w zrozumieniu tego, co tak naprawdę dzieje się w szpitalu Filomeny, nawet jeśli nie uważa pan, że to coś ważnego.

– Pewnie pomyślicie, że to stek bzdur.

– Mimo wszystko niech pan opowie – namawiał go dalej Moses. – Przyciągnij worek z piaskiem i opowiadaj. Tak się mówiło, gdy któryś z żołnierzy miał do opowiedzenia jakąś niewiarygodną i długą historię – wyjaśnił, zwracając się do Lilian.

Frank wzruszył ramionami.

– To był dwa tysiące dwunasty, koniec lipca. Było tak cholernie gorąco, że mogliśmy smażyć jajka na naszych foxhoundach. Wszyscy byliśmy zestresowani i totalnie wykończeni. Nie spaliśmy przez dwie noce z rzędu, a w ciągu dnia wpadliśmy w zasadzkę i straciliśmy jednego z sierżantów. Nazywał się Twilley. Naprawdę pierwszorzędny chłop. Tak więc, jeśli mam być tak do końca szczerzy, pewnie po prostu mieliśmy wtedy zwidy.

– Może jednak wcale ich nie mieliśmy – przerwał mu Michael bezbarwnym głosem, nadal nie podnosząc oczu znad planszy z warcabami. – Widziałem to samo co ty, tak jak trzech czy czterech innych chłopaków. Więc to, co widzieliśmy, musiało być czymś realnym?

– Cóż, tak czy siak – ciągnął Frank. – Rozbiliśmy obóz na noc pod Musa Qala, wioską nad brzegiem rzeki Musaqara. Dostaliśmy cynk, że pewien talib z naszej listy najbardziej poszukiwanych ukrywa się gdzieś w okolicy i całe popołudnie chodziliśmy od drzwi do drzwi, szukając go. Szukanie celu w Afganistanie to nie przedszkole, zwłaszcza gdy jedynym opisem, jaki się dostało, było to, że facet nosi brodę i *peraahan tunbaan*... dokładnie jak każdy inny dziadyga w Afganistanie, całe piętnaście milionów takich dziadyg.

– Rozbiliśmy namioty naprzeciwko cmentarza – wtrącił Michael. – To była najlepsza pozycja, żeby mieć oko na drogę w obu kierunkach, na północ i na

południe, poza tym teren był otwarty ze wszystkich stron, więc nikt nie mógł się do nas podkraść.

– Zgadza się – przytaknął Frank. – Tamtej nocy księżycza przybywało i nie było zbyt wiele chmur, więc widzieliśmy całą drogę aż do cmentarza. Widzieliśmy białe nagrobki i te bazgroły na nich. Prawdziwy horror. Tak czy inaczej, wyszedłem z namiotu na wieczornego fajka i byłem na zewnątrz tylko z pięć minut, gdy nagle zauważyłem faceta stojącego przy jednym z nagrobków. Był ubrany cały na białą, ale miał czerwone oczy. Świecące czerwone oczy, jak para rozżarzonych węgli, i długie czarne włosy, które stały na sztorc, jakby wsadził palce do gniazdka z prądem. Zawołałem kaprała Denmana, który stał niedaleko z trzema innymi chłopakami, i kiedy się odwrócił, też go zobaczył... tego gościa w bieli. Jeden z chłopaków, z którymi gadał kapral, to był nasz tłumacz, Ahmed. Kapral kazał mu krzyknąć po pasztuńsku: „Kto idzie?!”.

– To wtedy wyszedłem z namiotu i też tego gościa zobaczyłem – wtrącił Michael. – I zaraz potem zobaczyliśmy trzech innych facetów w bieli idących w naszą stronę między nagrobkami. Wszyscy mieli te czerwone, rozżarzone oczy i czarne włosy, które unosiły się jak dym.

– Tłumacz znowu zapytał, kto idzie – kontynuował Frank. – Ale żaden z nich nie odpowiedział, więc kapral Denman kazał jednemu z żołnierzy wystrzelić ostrzegawczo w powietrze. Ale to ich nie zatrzymało. Szli dalej i zaczęli już przechodzić przez drogę w naszą stronę. Więc kapral Denman wydał rozkaz, żeby ten żołnierz ich zastrzelił... Miał strzelać tak, żeby ich zabić, na wypadek gdyby mieli na sobie pasy samobójców. I żołnierz to zrobił. – Frank nabrał tchu. – Kiedy dostali serią, ich białe szaty sflaczały, ale nie było krwi. Szaty opadły na drogę i rozwiały się jak gazety, mimo że nie było aż tak dużego wiatru. A ci faceci... Oni też się rozplnęli. Zawirowali jak chmury czarnego dymu, a potem... puf...! zniknęli, jakby ich tam nigdy nie było.

– Frank – odezwał się Michael, wciąż nie podnosząc oczu.

– No co?

– Zapomniałeś o Ahmedzie.

– A, no tak. To całe sedno tej historii, tak naprawdę – powiedział Frank. – Ahmed, nasz tłumacz... jemu kompletnie odbiło. Ale tak absolutnie. Wymachiwał rękami i darł się jak opętany, a kiedy spytałem go, o co chodzi,

wciąż bełkotał o jakichś „dah-dahach” czy czymś takim. A potem zwał i tyle go widzieliśmy, no nie, Michael? Już nigdy więcej nie pokazał się nam na oczy. Cokolwiek to było, te „dah-dahy”, musiało mu napędzić niezłego stracha, tyle wam powiem.

– Ale nie odkryliście nigdy, kim ci ludzie naprawdę byli? – zapytała Lilian.

– Nie mieliśmy okazji, skarbie. Nie mieliśmy okazji. O tych dziwadłach opowiadam wam właśnie dlatego że, czymkolwiek były, po tym, jak je zobaczyliśmy, mieliśmy już tylko samego pecha. Następnego dnia rano Mike dostał kulka w plecy od snajpera. Potem, tego samego dnia, tylko po południu, w naszego foxhunda trafił pocisk raketowy, który urwał mi połowę pieprzonego biodra i zabił trzech z naszego patrolu. Pozostałych pięciu weszło na minę na drodze, kiedy wracali do bazy, dwóch zginęło, trzech było poważnie rannych. Ci trzej... Oni nadal są tam, w Świętej Filomenie.

Rozważając to, co usłyszała, Lilian przez chwilę milczała, a potem spytała:

– Myśli pan, że mógłby pójść z nami do szpitala i zabrać ze sobą gogle, żebyśmy my też mogli zobaczyć pana przyjaciół?

– Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie może – wtrąciła się Marion. – Za godzinę ma tu być jego fizjoterapeuta, a Frank zwykle potem długo śpi.

– W takim razie może jutro? To naprawdę ważne, byśmy dowiedzieli się wreszcie, co tam się, u licha, dzieje.

– Zobaczymy – odparła Marion. – Zobaczymy. Nie za bardzo bym chciała, żeby Frank się nadmiernie ekscytował. Już samo to, że twierdzi, że widzi przyjaciół... Cóż, myślę, że to wiele mówi o tym, w jakim jest stanie.

– No dobrze – zgodziła się Lilian. – Jeśli poda mi pani swój numer, zadzwonię jutro, żeby ustalić, czy da się to zorganizować. Frank... Michael... byliście panowie obaj bardzo pomocni. Bardzo wam dziękujemy.

\* \* \*

W drodze powrotnej do szpitala Lilian zapytała:

– I co o tym wszystkim myślisz, Moses? Sądzisz, że ta rozmowa miała w ogóle jakiś sens?

– Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia. Słyszałem mnóstwo opowieści o duchach, kiedy byłem w Afganistanie. Było tam takie jedno miejsce, punkt obserwacyjny na skale, który przez chwilę kontrolowali Brytyjczycy, zanim przejęli go Amerykanie. Wielu stacjonujących tam żołnierzy zgłaszało, że widywali duchy. Chyba nawet nakręcono o tym dokument telewizyjny. Jednym z tych duchów była podobno mała dziewczynka. Inne były widoczne na kamerach termowizyjnych, ale kiedy poświeciło się na nie białym światłem, okazywało się, że ich tam nie ma. Pomimo to Afgańczycy naprawdę w te swoje duchy wierzyli.

– A ty? Widziałeś kiedyś jakiegoś? – spytała Lila.

– Ja? Nie. Może jako medyk byłem zbyt sceptyczny. Kiedy musisz zbierać ręce i nogi ludzi, którzy zostali rozerwani na kawałki, ale wciąż żyją i z tobą rozmawiają, trudno jest wierzyć w duchy jakiegokolwiek rodzaju. Pewne jest tylko to, że przestałem wierzyć w Boga.

– A jednak Frank upiera się, że jego wojenni kompani nadal błakają się po szpitalu, prawda? I tak, zgoda... mogą być niczym więcej niż tylko wytworem jego wyobraźni, ale co z tymi krzykami i szeptami, które sami słyszeliśmy? I tymi dziwnymi rzeczami, które widzieliśmy? I najgorsze ze wszystkiego... co z tym, co spotkało biednego Alexa i Charlie? Musi istnieć na to jakieś wytłumaczenie.

– Ale ty też przecież nie wierzysz w duchy, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Wierzę, że jak się umiera, to się już nie żyje. Nie chodzi się i nie straszy ludzi. No bo... jak się nad tym zastanowić, po co martwy człowiek miałby coś takiego robić? Jaki byłby w tym sens?

## Rozdział 10

Zanim zamknęła szpital na noc, przez prawie minutę stała u stóp schodów z pochyloną głową i jedną ręką opartą na słupku poręczy. Nasłuchiwała. Była to minuta ciszy dla zmarłych, lecz jeśli gdzieś się tam nadal ukrywali, to milczeli.

W końcu wyszła, pokonała dziedziniec i kiedy otwierała drzwi samochodu, obejrzała się, żeby sprawdzić, czy w którymś z okien nie zobaczy migotania świecy lub latarki, albo może wyglądającej na zewnątrz twarzy, w oknach jednak było ciemno. Żadnych rannych żołnierzy. Żadnych duchów z gorejącymi czerwonymi oczami i włosami jak smugi dymu. Żadnych „dah-dahów”.

Wsiadła więc do samochodu i pojechała do swojego małego wiktoriańskiego bliźniaka w pobliżu centrum Epsom. Po wejściu do domu zaciągnęła zasłony, włączyła światło, po czym poszła na górę, żeby przebrać się w biały golf i tartanową spódnicę.

Zanim wyszła z domu, przyjrzała się sobie w lustrze przy drzwiach frontowych i zapytała na głos:

– I co, Lilian? Wierzysz w duchy czy nie?

Jej odbicie wpatrywało się w nią z jedną brwią uniesioną, lecz milczało, co uznała za potwierdzenie, że nadal pozostała zdrową sceptyczką. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby odbicie jej odpowiedziało.

Wyszła z domu i ruszyła w czterokilometrową trasę na osiedle w Ewell, gdzie stał budynek, w którym mieszkała kiedyś z Timem. Jego zielony mercedes metalick stał na ulicy, tak samo brudny jak zwykle. Gdy zajrzała do środka przez tylną szybę, zobaczyła kilka pudełek po big macach, pomięte egzemplarze „Racing Post” i różne inne śmieci, które Tim prawdopodobnie rzucał po prostu przez ramię z siedzenia kierowcy.



Ich mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze i miało okna z widokiem na ogród. W środku telewizor grał tak głośno, że musiała nacisnąć dzwonek trzy razy, zanim przez matowe szkło świetlika zobaczyła, że drzwi salonu otwierają się i w progu pojawia się sylwetka Tima.

– Kto tam?! – zawołał.

– A jak myślisz? Przyjechałam zabrać swoje książki kucharskie.

– Ach, to ty – mruknął i otworzył. – No tak, jasne. Wejdz. Tylko wybacz bałagan. Phyllis zwykle wpada regularnie, żeby posprzątać, ale ostatnio rozłożyło ją jakieś choróbsko. Mam nadzieję, że to nie covid.

Lilian weszła do przedpokoju. Tim wyglądał równie niechlujnie jak mieszkanie. Był postawnym mężczyzną, któremu do pięćdziesiątych urodzin brakowało dwóch lat. Siwe włosy miał skołtunione, a jego nigdyś przystojna twarz była opuchnięta, czerwona i nieogolona. Był w workowatym fioletowym swetrze z dziurą na ramieniu i obwisłych dżinsach. Lilian trudno było uwierzyć, że kiedyś uważała, że Tim wygląda jak młodszy brat Paula Newmana.

I na dodatek śmierdział – zatęchłym potem i papierosami. Ale kiedy przeszła do salonu, wyczuła jeszcze inny zapach. Bronze Goddess, Estée Lauder, jeśli się nie myliła. Bergamotka, piżmo i kokos. A przez oparcie sofy był przewieszony skąpy czerwony damski sweterek zapinany na guziki.

– To chyba nie ta Hannah, co? – mruknęła.

– Co? Nie, nie! To Margaret z agencji nieruchomości. Wpadła tylko zrobić półroczną inspekcję.

– I zostawiła sweter?

– Och, daj spokój, Lil! Zawsze jesteś taka podejrzliwa! Że go zostawiła, zauważyłem, dopiero gdy wyszła. Ona najwyraźniej też. Podrzucę go jej do biura jutro, jeśli będę miał okazję.

– Tim, nie obchodzi mnie, z kim się spotykasz i co robisz. Chcę tylko zabrać swoje książki kucharskie.

Wskazał na stolik, gdzie leżał stosik sześciu książek, mocno podniszczonych, z przepisami Gary’ego Rhodesa, Madhur Jaffrey i Kena Homa.

– Mogłeś je włożyć do kartonu. Jak mam je znieść do samochodu? Na głowie?

– Och, wybacz. Nie pomyślałem o tym.

– Bo ty nigdy nie myślisz. Nigdy.

– Zaczekaj. Poszukam jakichś toreb.

Poszedł do kuchni i wrócił z dwiema plastikowymi torbami z Asdy. Wkładając do nich książki, powiedział:

– Przypuszczam, że nie będziesz miała ochoty wyskoczyć jutro wieczorem na drinka?

– Z tobą?

– No oczywiście, że ze mną. Wiem, że jesteśmy rozwiedzeni i w ogóle, ale nadal za tobą tęsknię.

– Ile już razy przez to przechodziliśmy? Ja też tęsknię, ale za Timem, którym byłeś, kiedy się pobieraliśmy... a nie za tym, którym się stałeś.

– Zmieniłem się, Lilian. Przysięgam, że się zmieniłem.

– Ale twoje gatki raczej nie, sądząc po tym, jak cuchniesz. Czy ty się w ogóle oglądałaś ostatnio w lustrze? Niektórzy śpiący na kartonach bezdomni wyglądają lepiej.

– Naprawdę trudno jest teraz znaleźć nową pracę. Gdybyś wiedziała, ile internetowych rozmów kwalifikacyjnych odbyłem. Zooma mam dosłownie po dziurki w nosie. Sęk w tym, że im wyższe się ma kwalifikacje, tym mniej jest dostępnych wakatów.

– Taaa... jasne.

– Boże, ty mi nigdy nie wierzyłaś. Ale trudno... I tak chciałbym znowu spróbować, chciałbym, żebyśmy do siebie wrócili. Nawet jeśli na początku tylko jako przyjaciele.

– Nie, Tim. Kiedy zacząłeś mnie bić, to był koniec, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Przysięgam ci, Lil! Przysięgam na swoje życie, że już nigdy cię nie uderzę, nigdy!

– Mówiłeś tak za każdym razem. „Och, przepraszam, kochanie, nigdy cię więcej nie skrzywdzę!” Dlaczego więc oczekujesz, że teraz ci uwierzę? No ale skończmy z tym... Mogłabym dostać moje książki, proszę? Czeka mnie jeszcze

mnóstwo pracy dziś wieczorem i nie mam czasu na sterczenie tu i wysłuchiwanie twoich pustych obietnic.

Tim podał jej dwie ciężkie torby i ruszyła z nimi w stronę drzwi wejściowych. Kiedy jednak wyszła do przedpokoju, podbiegł do niej i złapał za rękaw kurtki, zmuszając ją, żeby się do niego odwróciła.

– Tim... puść mnie! To nie ma sensu. Jesteśmy rozwiedzeni i ja się z tego stanu rzeczy bardzo cieszę. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek do ciebie wróciła i była znowu twoim workiem treningowym. Mówię serio.

– Lil... prawda jest taka, że jestem spłukany.

Spojrzała na byłego męża, usiłując dostrzec w jego twarzy choćby ślad Tima, którym był kiedyś. Tego zabawnego, pewnego siebie Tima. Tima, który był zawsze zadbany, zawsze pewien swojej wartości, zawsze opiekuńczy. Teraz jednak nie mogła się żadnej z tych cech w nim dopatrzeć. Oczy miał przekrwione, skórę między brwiami suchą i łuszczącą się, a na ustach bąble od opryszczki. I ponieważ stał teraz tak blisko niej, wyczuła w jego oddechu zapach alkoholu.

– Powiedziałam: puść mnie.

– Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie upokarzające, że muszę cię o to prosić, Lil, ale pracy na pełny etat nie mam prawie od roku. Za to mam dziewięć i pół tysiąca debetu i z czynszem zalegam już trzy miesiące. Była tu Margaret z administracji, choć przyznaję, że to nie jest jej sweter. Przyszła, żeby mnie ostrzec, że jeśli nie ureguluję zaległości do końca miesiąca, wyrzuci mnie stąd na zbity pysk. A kiedy jest koniec miesiąca? W piątek. To znaczy, że zostały mi tylko trzy dni, a później będę spał na kartonach na ulicy.

– Uderzyłeś mnie, Tim. Dlatego się z tobą rozwiodłam. Pobiliś mnie.

– Przecież powiedziałem, że mi przykro, nie? Ile razy jeszcze mam cię przeproszać? Byłem w wielkim stresie. Za dużo piłem. Nie byłem sobą.

– Nadal pijesz. Jak cię na to stać, skoro masz dziewięć i pół tysiąca długów?

– Wyrobiłem sobie kartę kredytową Ocean. No wiesz, jedną z tych dla ludzi ze złą historią kredytową. Ale limit na niej to tylko tysiąc pięćset funtów. Nie mam już nawet na paczkę fajek, a co dopiero mówić o butelce wódki.

– Tim, otworzysz mi drzwi, proszę?

Puścił jej ramię.

– Lil, błagam cię. Jesteś moją ostatnią deską ratunku. Od mamy i Netty pożyczyłem już tyle, że nie mogę prosić ich o więcej.

– Przykro mi, Tim, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

– Jak tylko znajdę pracę, oddam ci wszystko co do pensa. Przysięgam na własne życie. – Nie poddawał się.

– Nie, i to nie dlatego, że wiem, że nigdy mi nie oddasz, ale dlatego, że nie chcę mieć z tobą do czynienia, nigdy więcej. Nie nienawidzę cię, bo to by oznaczało, że jeszcze coś do ciebie czuję, a tak po prostu nie jest. Nie czuję do ciebie już absolutnie nic.

Tim spojrzał na nią z góry, z twarzą skurczoną rozpaczą. W oczach miał łzy, a z kącików ust ciekła mu ślina.

Lilian odłożyła jedną z toreb na podłogę i sama otworzyła sobie drzwi.

– Potrzebujesz pomocy, Tim. Anonimowych Alkoholików czy czegoś w tym stylu. Pożyczenie ci pieniędzy nie wyciągnie cię z dołka, w który się wpakowałeś. W gruncie rzeczy to prawdopodobnie tylko pogorszyłyby sprawę, bo wszystko wydałbyś na alkohol.

Po tych słowach podniosła torbę i odeszła korytarzem w kierunku schodów. Nie słyszała, żeby drzwi mieszkania zamknęły się za nią, i wyobrażała sobie, że Tim wciąż stoi w progu, zaśliniony i ze łzami spływającymi po policzkach.

Na szczycie schodów zawahała się jednak. Przez jeden ulotny moment była skłonna wrócić i powiedzieć mu, że tak, pomoże mu mimo wszystko, z dobroci serca, jeśli nie z miłości. Ale zaraz potem przypomniała sobie, jak uderzył ją w twarz w kuchni, tak mocno, że zatoczyła się i tyłem głowy uderzyła w kuchenkę. Miała aż sześć szwów i przez ponad miesiąc musiała chodzić w wełnianej czapce, aż odrosły jej włosy.

Wyszła z budynku, wrzuciła książki do bagażnika i ruszyła do domu. Była zła na Tima za to, że poprosił ją o pieniądze, i miała wyrzuty sumienia, że mu odmówiła, wiedziała jednak, że prawdopodobnie bardziej mu pomogła, mówiąc: nie.

Z rozmyślań wyrwał ją kierowca furgonetki, który wyminął ją nagle niebezpiecznie bez wrzucenia kierunkowskazu. Zatrąbiła na niego i gdy go wyprzedzała, opuściła szybę i wrzasnęła: „Idiota!”.

Pokręcił głową, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

\* \* \*

Kiedy podgrzewała w mikrofalówce curry z kurczaka, zadzwoniła do szpitala Świętego Heliera, by zapytać o stan Alexa i Charlie.

Zarówno doktor Wells, jak i doktor Morton wyszli już do domów, ale dyżurująca pielęgniarka przekazała jej, że Alex został wprowadzony w śpiączkę farmakologiczną, żeby nie musiał dłużej tak cierpieć, a Charlie podano środki uspakajające, by mogła zasnąć. Rano miała przejść kolejne badania.

– Czy wie pani, jak długo będziecie utrzymywali Alexa w śpiączce?

– Nie mam pojęcia, niestety. Nadal nie wiemy, dlaczego tak cierpi, prawdopodobnie więc będziemy go w niej utrzymywali, dopóki nie znajdziemy sposobu na uśmierzenie jego bólu. Powiem szczerze, że jednym z powodów, dla których doktor Wells wprowadził go w śpiączkę, było to, że chcieliśmy, żeby przestał krzyczeć. Tymi straszlivymi wrzaskami doprowadzał personel do załamania nerwowego.

# Rozdział 11

Następnego dnia David musiał z samego rana zawieźć córkę do dentysty, Lilian pojechała więc do Filomeny sama.

Do sfinalizowania projektu zagospodarowania Parku Filomeny potrzebowała teraz już tylko dokładnych pomiarów wszystkich pomieszczeń w szpitalu, ale na szczęście Roger French znalazł jej kolejnego mierniczego i ten miał się pojawić już nazajutrz rano.

Dzień był cieplejszy i bardziej słoneczny niż poprzednie, ponieważ wiatr zmienił kierunek na południowo-zachodni. Z tego powodu słychać było wyraźnie odgłosy ruchu na autostradzie pięć kilometrów dalej, a poza tym głośny szelest okolicznych drzew, które zdawały się szeptać do siebie: „Wróciła, nie poddała się, widzicie?”.

Lilian zostawiła uchylone frontowe drzwi, na wypadek gdyby wszystkie zamki w domu miały się znowu zablokować jak przed dwoma dniami. Kiedy przechodziła przez hol, zatrzymała się u podnóża schodów i chwilę nasłuchiwała.

W budynku panowała głucha cisza. Żadnych trzaskających drzwi. Żadnego wołania o pomoc. Nawet bulgotania w starych rurach kanalizacyjnych. Gdyby Alex i Charlie nie leżeli w szpitalu, mogłaby uwierzyć, że te krzyki i płacz, to łóżko, które zalało się krwią... że to wszystko jej się tylko przyśniło.

Przeszła do salonu, usiadła w fotelu i otworzyła laptopa, by przejrzeć wstępne plany i szacunkowe koszty, które wcześniej przygotowała. Mimo że ostateczne pomiary nie zostały jeszcze zakończone, miała już dość jasny pogląd na to, ile Park Filomeny będzie mógł zaoferować luksusowych apartamentów dla emerytów i ile Downland będzie za nie żądać. Mieszkanie z tylko jedną sypialnią miało kosztować prawie osiemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, spodziewała się więc, że gdy sprzedadzą wszystkie, firma osiągnie zysk w wysokości co najmniej

trzydziestu milionów, a ona otrzyma bardzo hojną premię. Może nawet będzie mogła kupić sobie dom i zrezygnować z wynajmu.

Siedząc w fotelu, który po tym, jak dwa dni temu próbowała nim wybić szybę w drzwiach na taras, był zwrócony przodem do ogrodu, stuknęła w klawiaturę przez około pół godziny, aż nagle jej uwagę przyciągnął jakiś ruch pośród drzew po drugiej stronie trawnika.

Marszcząc czoło, spojrzała tam. Z początku nie widziała nic poza falującymi gałęziami i dwoma gołębiami, które dreptały tam i z powrotem po trawie, dziobiąc w ziemi. Zamierzała już wrócić do arkusza kalkulacyjnego, gdy dostrzegła wysokiego, szczupłego mężczyznę przedzierającego się przez las, a za nim dwóch innych, równie szczupłych. Trudno ich było wyraźnie zobaczyć, gdyż skrywali się w cieniu.

Odłożyła laptopa ostrożnie na podłogę i wstała. Zanim zdążyła podejść do drzwi tarasowych, mężczyźni zniknęli, ale i tak otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Teraz, gdy szpital Filomeny stał się posiadłością prywatną, wejście mężczyzn na ten teren było wykroczeniem i jeśli mieli coś wspólnego z aktywistami, którzy próbowali zatrzymać przebudowę szpitala, nie zamierzała ociążać się z ostrzeżeniem ich, że powinni trzymać się od tego miejsca z daleka.

Zeszła szybko po trawiastym zboczu do granicy lasu. Zatrzymała się i spróbowała stwierdzić, czy mężczyźni nadal chowają się za pniami drzew, czy może już odeszli.

– Halo?! – zawołała. Nie było odpowiedzi, zaryzykowała więc i ostrożnie weszła między drzewa. Gołębie gruchały gardłowo, liście szeleściły na wietrze, lecz to było wszystko. – Halo? Jeśli nadal tu jesteście i mnie słyszycie, chcę, żebyście wiedzieli, że to jest teraz własność prywatna i intruzi będą karani za wtargnięcie!

Ponownie żadnej odpowiedzi.

– I jeśli któryś z was będzie próbował dalej przeszkadzać w rozbudowie szpitala... możecie być pewni, że to również nie ujdzie wam płazem!

– I całkiem słusznie – dobiegł męski głos zza jej pleców.

Zaskoczona wyrzuciła z siebie „Och!” i odwróciła się. Zaledwie trzy metry od niej stał Martin Slater, z obydwoma rękami wciśniętymi w kieszenie skórzanej kamizelki i z osobliwym, zadziornym uśmiechem na twarzy.

– Panie Slater! Nie powinien pan podkradać się do ludzi w ten sposób! – warknęła, usiłując brzmieć na bardziej złą, niż w rzeczywistości była.

– Przepraszam. Ale zobaczyłem, że skacze pani po trawie jak kózka, i zaciekawiło mnie, za czym pani tak goni. Lub za kim.

– Zobaczyłam jakichś mężczyzn idących między drzewami. Chciałam ich tylko ostrzec, że wtargnęli na teren prywatny.

– Nie sądzę, żeby było się czym przejmować – powiedział spokojnie Martin.

– To pewnie byli tylko ogrodnicy z klubu golfowego, którzy szli na skróty do pubu.

– O tej porze? Z rana? Pub przecież nie jest jeszcze nawet otwarty.

Lilian usłyszała trzask gałązek pomiędzy drzewami i odwróciła się, by sprawdzić, czy któryś z tamtych mężczyzn nie pojawił się ponownie.

– Nie obchodzi mnie, kim oni są – rzuciła, patrząc w las. – Nie ma publicznego przejścia przez ten teren, nawet jeśli wcześniej było. Więc jeśli w przyszłości zobaczy pan kogoś idącego tędy na skróty, byłabym wdzięczna, gdyby przekazał mu pan, że od teraz musi, niestety, wybierać dłuższą drogę.

Nie wypatrzyła nikogo między drzewami, odwróciła się więc do Martina Slatera. Ku jej zaskoczeniu zniknął bez śladu; albo uskoczył za drzewa i naigrawał się z niej, ukrywając się za nimi, albo był najszybszym biegaczem, jakiego w życiu spotkała.

Stała tam i czuła, że w górę jej pleców pełnią mrowiące zimno. Trawa pod jej stopami, poruszana wiatrem, falowała. To był już drugi raz, kiedy Martin Slater zniknął tak niespodziewanie. Chociaż nie wierzyła w duchy, zaczynała przypominać jej ducha Petera Quinta z *Dokręcania śruby* Henry’ego Jamesa. Przystojny, wysoki, szyderczy i... niezwywy.

Tym razem jednak nie wołała za nim. Nagle usłyszała kolejne trzaśnięcie gałązek, weszła więc między drzewa, rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów ogrodnika lub mężczyzn, których widziała tu wcześniej.

Przez prawie minutę z zaciśniętymi pięściami nasłuchiwała odgłosów. Nie było już jednak żadnych trzasków ani skrzypienia. Tylko szept liści: *Ona wróciła, wróciła, ale nie wie, co straszy w tym lesie i w tym szpitalu, i nigdy się tego nie dowie.*



Kiedy szła z powrotem do szpitala, zahaczyła stopą o coś, co wystawało spod liści, i gdyby nie przytrzymała się najbliższego drzewa, prawdopodobnie by się przewróciła. Z początku myślała, że potknęła się o korzeń lub odłamana gałąź, kiedy jednak spojrzała w dół, zobaczyła, że to coś brudnobiałego, pogrubionego na końcu.

Odgarnęła stopą liście na bok i wtedy zorientowała się, co to jest. Duża kość, jak z uda człowieka.

Lilian podniosła najbliższą gałązkę i użyła jej do odgarnięcia obumarłego listowia. Wtedy jej oczom rzeczywiście ukazała się zakrzywiona kość, do połowy zakopana w ziemi. Gdy oskrobała ją trochę z brudu, zdała sobie sprawę, że to część miednicy.

Kontynuowała odgarnianie ziemi – coraz szybciej i coraz bardziej gorączkowo – i stopniowo odsłaniała resztę, kręgosłup i żebra, zmiażdżone, wyglądające jak zgnieciony koszyk. Odkryła też trzy kości ramienia oraz dwie trójkątne kości łopatki. Kopała głębiej i mocniej, nigdzie jednak nie natknęła się nawet na ślad po czaszce.

Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Nie mogła wiedzieć, kiedy szkielet został tu zakopany, ale kości były oblepione ziemią i gnijącymi liśćmi, domyślała się więc, że mógł tu leżeć od dobrych kilku lat.

Bez względu jednak na to, jak długo tu leżał, wiedziała, że teraz, w końcu, będzie musiała wezwać policję.

\* \* \*

Była w połowie drogi do szpitala; wspinała się właśnie po trawiastym zboczu, gdy na tarasie pojawił się David.

– O, tu jesteś, Lilian! Zastanawiałem się właśnie, gdzie się podziałaś! – zawołał.

Była zdyszana, więc odpowiedziała, dopiero gdy dotarła na taras.

– Znalazłam jakieś kości. Ludzkie szczątki.

– Co takiego? Żartujesz, prawda?

– Chciałabym. Wydało mi się, że zobaczyłam mężczyzn idących na skróty przez las, więc poszłam im powiedzieć, że weszli na teren prywatny, i wtedy

znalazłam ten szkielet, a przynajmniej jego część. Jest zakopany w ziemi. Ale nie bardzo głęboko. Kość udowa stała na sztorc; o mały włos się o nią nie potknęłam i nie przewróciłam.

Zrobiła przerwę, by odetchnąć i uspokoić się.

– Idę właśnie do środka, żeby zadzwonić na policję – powiedziała po chwili.

– Jak on wygląda? To znaczy, czy to szkielet dorosłego, czy dziecka?

– Sądząc po wielkości, musiał to być ktoś dorosły. Ale nie wiem, czy mężczyzna, czy kobieta. Nie było tam żadnych ubrań ani niczego takiego. I nie mogłam znaleźć czaszki.

– A niech to szlag. I co? Jak myślisz, ktoś w szpitalu został zamordowany i chcieli to zatuszować?

– David, nie mam bladego pojęcia – rzuciła, wchodząc do salonu. – Wiem tylko tyle, że ta przebudowa wydaje się przekłeta. Albo przekłeta, albo ktoś robi wszystko, co w jego mocy, żeby ją zatrzymać. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że te kości zostały tam celowo podłożone, żebyśmy musieli wstrzymać prace.

Wyjęła telefon z torebki i wybrała numer policji w Surrey.

– Tak. Nie, nie chodzi o wypadek. Jestem w szpitalu Filomeny w Downlea i na należącym do niego terenie znalazłam zakopany ludzki szkielet. Cóż, tak... szpital jest zamknięty, lecz został przejęty przez Downland Developments, a ja jestem kierowniczką projektu. Tak. Lilian Chesterfield. Nie.

Czekała, aż znajdą detektywa, który z nią porozmawia.

– Naprawdę się dziwię – odezwał się tymczasem David – że ten Martin Slater nie natknął się na te kości wcześniej. Jest tu ogrodnikiem od lat, prawda? Więc skoro kość wystawała nad ziemię, jak mówiłaś, to...

– Martin Slater tam był, tuż przed tym, zanim znalazłam kości, ale zniknął. Nie wiem, dokąd poszedł.

– Mijałem go po drodze tutaj. Przechodził obok pubu. Pomachałem nawet do niego, ale chyba mnie nie widział.

Lilian opuściła telefon i wbiła w Davida zdumione spojrzenie.

– Szedł obok pubu? To musi być... Ile? Prawie dwa kilometry stąd. Nie mógł dojść tak daleko w pięć minut.

– Ale to był on, na pewno. Miał na sobie tę samą skórzaną kamizelkę...

– Stał obok mnie, a potem nagle go nie było. Tylko żeby dotrzeć do Cock Inn tak szybko, musiałyby całą drogę biec. Nic z tego nie rozumiem. Czy on biegł, kiedy go widziałeś?

David pokręcił głową.

– Nie. Szedł krokiem spacerowym, jakby mu się nigdzie nie spieszyło.

– Halo? – dobiegł stłumiony głos z telefonu.

– O... tak, jestem.

– Tu detektyw komisarz Barry Routledge. Jeśli dobrze zrozumiałem, znalazła pani ludzkie szczątki.

– Tak – potwierdziła Lilian, lecz cały czas patrzyła na Davida, a pytanie, które zawisło między nimi, brzmiało: jak Martin Slater zaszedł tak daleko w tak krótkim czasie?

– Podobno jest pani w szpitalu Filomeny w Downlea. Czy to się zgadza? – zapytał komisarz Routledge.

– Tak, zgadza się. Zarządzam tutejszą przebudową.

– I znalazła pani coś, co wygląda jak ludzki szkielet?

– Tak. A w każdym razie jak jego większa część.

– Dobrze. Czy istnieje możliwość, żeby zrobiła pani zdjęcie, tak żebym zyskał jakieś pojęcie, z czym mamy do czynienia? W tej chwili jestem w Reigate, ale mogę przyjechać i zobaczyć się z panią w ciągu najbliższej godziny. Proszę zrobić zdjęcie, tylko nie może pani niczego ruszać, dobrze? I niech pani dopilnuje, żeby nikt inny tego nie robił.

Lilian przerwała połączenie.

– Naprawdę nie mogę w to uwierzyć – rzuciła. – Z minuty na minutę jest coraz gorzej. Aż się boję pomyśleć, co jeszcze tu znajdziemy.

– Wolno mi te kości obejrzeć? – zapytał David.

– Tak – rzuciła. – Tylko nie możemy ich ruszać.

– Och, świetnie. Taka troska o zwłoki, a my to już nieważni, co?

Ruszyli razem w dół zbocza, w stronę drzew. Wiatr targał włosami Lilian, nawiewając je na twarz i do oczu.

– Tam. – Wskazała kość miednicy i połamane żebra wystające spod ściółki leśnej. Wyjęła telefon i sfotografowała je z trzech stron.

David pokręcił głową z niedowierzaniem.

– O cholera jasna – powiedział z niedowierzaniem. – Ktokolwiek to był, wygląda na to, że został zmiażdżony, nie uważasz? Coś takiego spotkało kiedyś znajomego mojego ojca. Pracował na budowie i spadł na niego pięciotonowy blok betonowy. Ojciec mówił, że kiedy zdjęli z niego ten blok, facet był płaski jak naleśnik. Ale nie wyobrażam sobie, jak coś takiego mogło się wydarzyć tutaj... pośród tych drzew.

Zaczęli się wspinać z powrotem na zbocze i byli dopiero w jego połowie, gdy Lilian wydało się, że zobaczyła migotanie światła latarki w jednym z górnych okien szpitala. Zatrzymała się, odgarnęła włosy z oczu i spojrzała jeszcze raz. Po kilku sekundach w oknie pojawiła się blada twarz kogoś, kto wyraźnie wpatrywał się w Lilian.

Chwyliła Davida za rękaw.

– Zobacz... spójrz tam w górę! Tam ktoś jest, w skrzydle Montgomery’ego!

– Tak, widzę – potwierdził David. – Ale nie panikujmy... to pewnie ten zastępczy mierniczy i prawdopodobnie nas szuka.

Pomachał i zawołał:

– Hej! Wracamy już do środka! Spotkamy się w holu!

Ten ktoś pozostał w oknie, nie zdradzając żadnych oznak tego, że usłyszał wołanie. A gdy wznowili wspinaczkę po zboczu, w oknie obok pojawiła się inna twarz, równie blada. A potem kolejna, tym razem jednak w oknie na piętrze powyżej skrzydła Montgomery’ego. Ta była czarna.

– Czy to nie ten Moses? – spytał David, odchylając się do tyłu, by lepiej się przyjrzeć, zanim weszli do środka przez drzwi tarasowe.

– Nie mówił, że tu wróci – odpowiedziała Lilian. – Tak czy inaczej, chodźmy na górę i zobaczmy, kto tam jest, zanim zdąży uciec. Te wtargnięcia do budynku zaczynają mnie już poważnie wkurzać.

Pospieszyli przez salon do holu i weszli na schody. Kiedy dotarli do skrzydła Montgomery’ego, Lilian brakowało tchu i waliło jej serce, pchnęła jednak drzwi, otwierając je na całą szerokość, i weszła do środka. David podążył tuż za nią.

Przez krótką chwilę myślała, że widzi stojących przy oknach dwóch mężczyzn w mundurach polowych z kamuflażowym wzorem. Ale mężczyźni zniknęli prawie natychmiast, a ona nie wiedziała, czy nie dała się zwieść grze światła słonecznego i cienia.

– Nikogo tu nie ma – orzekł David, rozglądając się po pomieszczeniu. – Musieli się spłoszyć i uciec, gdy usłyszeli, że wchodzimy po schodach.

– Uciec dokąd? Przecież sprawdzaliśmy i wiemy, że stąd nie ma innego wyjścia.

– Może poszli na górę, tam, gdzie był ten czarny facet.

– No to chodźmy i przekonajmy się – rzuciła.

Wspięli się na trzecie piętro. Chodzili od pokoju do pokoju, tak jak to robili wcześniej, otwierając każde drzwi i zaglądając do środka. Nikogo tam nie było.

– Widzieliśmy te twarze, tak czy nie? – odezwała się Lilian. – To nie było przecież złudzenie optyczne?

David milczał. Bębnił palcami po poręczy, patrząc w dół klatki schodowej i przygryzając dolną wargę.

– Co? O co chodzi? – spytała go Lilian.

– Nie wiem. Szczerze powiem, że nie jestem pewien, czy chcę dalej pracować w tym szpitalu. Musi być jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co to może być. I, cholera, nie chcę skończyć jak Alex albo jak Charlie.

– Co właściwie chcesz powiedzieć?

David nadal wpatrywał się w schody w dół.

– Pewnie pomyślisz, że jestem tchórzem, ale tu się dzieje naprawdę coś strasznego i nawet jeśli to nic innego jak tylko aktywiści odwalający głupie kawały, to ja mam żonę i dzieciaki, o których muszę myśleć. I jeśli zdzieriałbym sobie gardło w agonii jak Alex albo byłbym sparaliżowany jak Charlie, to jak, do cholery, oni by sobie wtedy poradzili?

– No co ty, David. Nie możemy się teraz poddać. To, co się stało z Alexem i Charlie, to mogło być tylko zbiegiem okoliczności. Ludzie dostają, dajmy na to, udarów, a od nich paraliżu. A stres może powodować straszny ból.

Wygooglowałam wszystko na ten temat. Nie ma powodu sądzić, że coś takiego przydarzy się tobie... lub mnie.

– Ale to z każdą minutą robi się coraz bardziej pokręcone! Z całą pewnością widzieliśmy te twarze w oknach, przynasz chyba? A kiedy przyszliśmy to sprawdzić, nikogo nie znaleźliśmy! Tak samo jak słyszeliśmy wołających ludzi... i tam też nikogo nie było! A teraz na dodatek znalazłaś jeszcze szkielet w lesie! Założę się, że w Google’u nie wyczytałaś niczego na temat szkieletów w lesie i tego, jak tam trafiają!

– David, nie ma czegoś takiego jak duchy.

Wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

– Ty naprawdę w to wierzysz? – spytał. – Naprawdę wierzysz, że to wszystko jest tylko jakąś podstępłą zabawą?

– Tak. Muszę w to wierzyć. Bo co innego mogłoby to być?

David otworzył usta, jakby miał zamiar odpowiedzieć, ale zaraz potem odwrócił się.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi.

## Rozdział 12

Pielęgniarka Danjuma pisała właśnie esemesa do siostry w sprawie jej zbliżających się urodzin, kiedy Alex zaczął przewracać się na łóżku z boku na bok i jednocześnie żałośnie i gardłowo zawodzić, zupełnie jak zwierzę, które straciło młode.

Siostra Danjuma odłożyła telefon i podeszła do łóżka. Doktor Wells powiedział jej, że pacjent został poddany tak mocnej sedacji, że jest mało prawdopodobne, by przez najbliższe osiem godzin odzyskał przytomność, powieki chorego drgały jednak i co chwilę uderzał pięściami w barierki z boku łóżka.

– Mamo – wymamrotał, po czym gwałtownie się szarpnął.

Danjuma wcisnęła guzik alarmu.

– Już dobrze, Alex – szepnęła. – Uspokój się. Uspokój.

– Mamo... Widzę cię! Widzę cię, mamo! Co ty robisz w ogrodzie?

Znowu uderzył w barierki i szeroko otworzył oczy. Patrzył na Danjumę, ale raczej na pewno jej nie widział. Z powodu białego opatrunku z gazy na brodzie, którym doktor Wells zabezpieczył jego pogryzione usta, wyglądał, jakby miał kozią bródkę.

– Zaczyna padać, mamo! Musisz wejść do środka! – krzyczał dalej.

– Alex, czy wiesz, gdzie jesteś? – zapytała go siostra Danjuma.

– Mamo, pada! Musisz wrócić do środka!

Nagle stałe pikanie monitora pokazującego parametry życiowe Alexa ucichło i zostało zastąpione panicznym *bip-bip-bip* sygnałów alarmowych, ale te również zaraz ucichły i zostało już tylko ciągłe i monotonne buczenie.

Spojrzawszy na ekrany monitorów, siostra Danjuma stwierdziła, że serce pacjenta się zatrzymało. Alex nie oddychał i stopniowo wyłączały się również wszystkie inne funkcje życiowe. Spadało ciśnienie krwi, temperatura ciała, saturacja.

Danjuma ponownie wcisnęła guzik alarmu. Potem ściągnęła okrywający pacjenta koc, podsunęła w górę jego koszulę i sięgnęła po elektrody defibrylatora przy łóżku. Wykonała jedno wyładowanie; Alexem szarpnęło, lecz serce nie ruszyło. Przyłożyła elektrody do piersi jeszcze raz i ciało pacjenta ponownie gwałtownie się wyprężyło. Przez cały czas patrzył na nią, ale ślepo, a monotony pisk trwał i trwał.

W końcu drzwi sali otworzyły się z hukiem i wbiegł doktor Wells, a za nim jeden z członków jego zespołu, młody brodaty Pakistańczyk, doktor Janjua.

– Wykonałam dwa wyładowania – poinformowała ich Danjuma. – Nie reaguje.

Doktor Wells spojrział na monitor.

– Spróbuj jeszcze raz – polecił.

Pielęgniarka zaczekała, aż defibrylator się naładuje, po czym spróbowała zrestartować serce Alexa po raz trzeci. Pacjent podskoczył, jakby kopnął go muł, lecz linia zapisu pracy serca pozostawała płaska.

– Jeszcze raz – rzucił doktor Wells.

Danjuma poddała Alexa jeszcze pięciu defibrylacjom, aż w końcu doktor Wells położył jej rękę na ramieniu.

– Wystarczy, siostró – szepnął. – Niestety, pacjent odszedł.

Gdy tylko to powiedział, zwieracze Alexa puściły i ciało wydalilo z siebie resztki moczu i kału. Pokój wypełnił się ostrym odorem ekskrementów.

– O mój Boże – westchnęła ze smutkiem siostra Danjuma. – To taki młody człowiek. Zaledwie kilka minut temu obudził się i wołał matkę. Otworzył oczy, chociaż nie wiem, czy mnie widział.

– Obudził się? Naprawdę? Przecież podałem mu tyle ketaminy i midazolamu, że uśpiłoby to stado słońi.

– Wołał do matki, żeby wróciła z ogrodu, bo pada.



– Czy wiemy już, z jakiego powodu odczuwał tak silny ból? – spytał doktor Janjua.

– Nie, nie wiemy, nie mamy najmniejszego pojęcia. – Doktor Wells skrzywił się. – Fizycznie nic mu nie dolegało, kompletnie nic. Stąd pozostaje mi tylko zakładać, że cierpiał na jakieś rzadkie zaburzenie psychiczne. Szczerze wierzył, że jest żołnierzem, który został poważnie ranny w Afganistanie, i za sprawą jakiegoś zagadkowego mechanizmu odczuwał ból tego żołnierza.

– Ale skąd to się w ogóle mogło u niego wziąć? – dopytywał Janjua.

– Nie wiemy. Może przeczytał w gazecie artykuł o tym żołnierzu lub obejrzał o nim dokument w telewizji i z jakiejś przyczyny zaczął uważać, że nim jest. Teraz, gdy zmarł, raczej wątpliwe, byśmy się tego dowiedzieli.

Niebieskie oczy Alexa były nadal szeroko otwarte, choć zaczynały już zachodzić mgłą. Doktor Janjua przyglądał się mu z zawodową ciekawością, ale też z wyraźnym lękiem, jakby się bał, że Alex nagle ożyje i krzyknie: „Buuu! Nabrałem was!”.

– Trzeba będzie poinformować najbliższą rodzinę – stwierdził Wells. – O ile wiem, nie miał żony ani dzieci, ale chyba mieszkał z matką. Musimy uzyskać od niej zgodę na pobranie jego mózgu do badań.

– I nic nie wskazywało, że mógł być pod wpływem środków halucynogennych czy czegoś podobnego? – zapytał Janjua.

– Nie, nic. Nie wykryliśmy nawet obecności alkoholu.

Żeby podejść do monitora rejestrującego funkcje życiowe, doktor Wells zaczął obchodzić łóżko i znajdował się już w połowie drogi, gdy nagle zatrzymał się i przycisnął rękę do serca.

Doktor Janjua spojrział na niego z niepokojem i spytał:

– Doktorze? Czy wszystko w porządku?

Wells nie odpowiedział; nadal trzymał się za serce, a po chwili wolno osunął na kolana.

– Doktorze... co się dzieje?

W tym momencie Wells szeroko otworzył usta i wydał z siebie krzyk – ostry, udręczony, rozedrgany krzyk rozpacz, krzyk, jakiego doktor Janjua nie słyszał

od czasu, gdy leczył pewnego starszego mężczyznę, który wpadł pod pociąg metra.

Wells upadł bokiem na podłogę i wciąż krzycząc, przekręcił się na plecy, a następnie zaczął wierzcąc nogami, wyprężał się, wyginał plecy w łuk i bębnił w podłogę obiema pięściami. Oczy miał wybałuszone, twarz szkarłatną, usta wykrzywione.

Janjua pospiesznie ukląkł obok niego i starając się przytrzymać go w miejscu jedną ręką, drugą rozwiązywał mu krawat.

– Siostro! Trzydzieści miligramów oksykodonu! – zaordynował. – Szybko!

Doktor Wells chwycił Janjuę za rękaw i szarpnął.

– Moje nogi! – wydyszał. – Co się stało z moimi nogami?

– Nic się z nimi nie stało, doktorze – odpowiedziała pielęgniarka. – Dostał pan jakiegoś ataku. Proszę się postarać nie ruszać.

Przez ułamek sekundy Wells patrzył na kolegę, jakby go nie rozpoznawał, po czym, bez żadnej zapowiedzi, znów zaczął krzyczeć.

Siostra Danjuma podała doktorowi Janjui strzykawkę hypodermiczną. Ze względu na ryzyko infekcji lub zgięcia igły czy też trafienia w nerw w normalnych okolicznościach Janjua nigdy nie wykonałby zastrzyku domięśniowego przez ubranie, lecz Wells miotał się tak gwałtownie, że nie chciał tracić czasu na próby ściągnięcia z niego fartucha i koszuli.

Chwycił go mocno za ramię i wstrzyknął mu oksykodon. Po mniej niż minucie krzyki zamieniły się w serię rozedrganych sapnięć i stopniowo doktor Wells zaczął się odprężać, choć nadal niespokojnie podrygiwał i przekręcał z boku na bok.

Janjua podźwignął się na nogi. Spojrzał na Alexa, którego twarz była już biała jak wosk. Oczy miał nadal otwarte, ale wyraz jego twarzy wyrażał spokój, a nawet zadowolenie, jak u człowieka, który spłacił wszystkie swoje długi.

\* \* \*

Prawie w tym samym czasie po drugiej stronie szpitala Charlie zaczęła cicho płakać. Oczy wypełniły jej się łzami, które wisiały na rzęsach, dopóki nie zamrugała, po czym spływały bokami jej twarzy na poduszkę.

Na początku była sama. Siostra O'Grady pilnowała jej aż do południa, lecz jakiś czas temu zrobiła sobie przerwę i zeszła na dół po kawę i batonik KitKat. Gdy wróciła i miała już wejść do pokoju, zauważyła jakieś zamieszanie na drugim końcu korytarza, zatrzymała się i zaczęła się przyglądać, ciekawa, co się tam dzieje.

Przed salą, w której leżał Alex Fowler, dostrzegła doktor Morton z dwójką członków jej zespołu oraz dwóch pielęgniarzy i dwóch sanitariuszy. Potem zobaczyła, że z pokoju wytaczany jest wózek szpitalny i że leży na nim ktoś nakryty prześcieradłem.

Była zbyt daleko, żeby pójść i spytać, o co chodzi, poza tym wiedziała, że tak naprawdę nie powinna była zostawiać Charlie bez opieki, więc kiedy jeden z lekarzy odwrócił się i ją zauważył, czmychnęła szybko do pokoju. Usiadłszy przy łóżku, zdjęła pokrywkę z kubka z kawą i rozerwała opakowanie batonika. Dopiero wtedy zauważyła błysk łez w oczach Charlie.

– No, no, kochanie, a co to za płacze? – spytała, po czym wstała i odłożyła kawę i batonik na szafkę nocną. – Coś cię boli, skarbie?

Charlie rzuciła jej wściekłe spojrzenie i lekko pokręciła głową.

Siostra O'Grady wyciągnęła chusteczkę z pudełka i delikatnie wytarła oczy pacjentki.

– Nic cię nie boli, więc o co chodzi? – zapytała. – Masz siłę odpowiedzieć? A może jest ci smutno? Chcesz może, żebym do kogoś zadzwoniła?

– Oni nam mówili... – wyszeptowała Charlie, z trudem poruszając ustami.

– Kto ci co mówił, kochanie?

– Ci ludzie. Mówili nam, żebyśmy odeszli – szepnęła Charlie nie swoim głosem.

– O jakich ludziach mówisz?

– Tych w bieli. Myśleliśmy, że mamy zwidy, ale tak nie było.

– Kogo masz na myśli? Co to za ludzie w bieli?

Charlie wpatrywała się w nią, ale nie odpowiadała. Zaczęła jęczeć i kołysać się na boki. Siostra O'Grady chwyciła ją za lewe ramię i próbowała przytrzymać, ale Charlie kołysała się dalej, coraz mocniej i mocniej, wykręcając rękę pielęgniarki w jedną stronę, potem w drugą, jakby próbowała się uwolnić.

Pielęgniarka sięgnęła ponad łóżkiem, żeby wezwać pomoc, i wcisnęła guzik alarmu.

– Charlie, dziewczyno, musisz się natychmiast uspokoić! – powiedziała.

Ale Charlie zaczęła się jeszcze mocniej rzucać i objąć o poręcz na bokach łóżka, zrywając przy tym przyklepione elektrody łączące klatkę piersiową z kardiomonitorem. Teraz już dyszała, jakby przebiegła wiele kilometrów albo jakby zbliżała się do orgazmu.

– Chryste, czy ty się możesz uspokoić?! – krzyknęła na nią O’Grady. – Wyrzwasz mi rękę ze stawu!

\* \* \*

Minęły ponad dwie minuty, zanim drzwi się otworzyły i pojawiła się doktor Morton. Była zdenerwowana i spięta, bo zaledwie przed chwilą zostawiła doktora Wellsa, którego zabrano na oddział intensywnej terapii. Przyproceedziła ze sobą doktora Marka Latimera, jednego ze szpitalnych konsultantów w dziedzinie neurologii, a także dwie pielęgniarki.

Doktor Latimer miał obejrzeć Charlie, ponieważ był specjalistą od zaburzeń ruchu i trzy lata spędził na badaniach nowych metod leczenia katatonii.

– Siostró O’Grady? – powiedziała doktor Morton. – Siostró O’Grady... co pani, na Boga, robi?

Pielęgniarka nachylała się pod dziwnym kątem nad barierką z boku łóżka. Stała w tej pozycji już w chwili, gdy Morton z kolegą i pielęgniarkami weszła do pokoju, nie odwróciła się jednak, by ich przywitać, i teraz też się nie odwracała, stała zwrócona do nich plecami, z głową pochyloną, wiszącą zaledwie trzy lub cztery centymetry nad klatką piersiową pacjentki.

– Siostró O’Grady? – Morton położyła rękę na jej ramieniu i wtedy siostró O’Grady upadła do tyłu jak kłoda, uderzając głową o nogę krzesła, na którym wcześniej siedziała. Była kompletnie sztywna, ręce miała wyciągnięte w górę, jak gdyby błagała stwórcę o ratunek.

Zarówno Morton, jak i Latimer uklękli przy niej. Pielęgniarka oddychała, oczy miała otwarte. Doktor Morton przycisnęła dwa palce do jej tętnicy szyjnej.

– Puls ma normalny – powiedziała.

– Tak, ale spójrz – rzucił jej kolega, próbując zgiąć rękę leżącej i ściągnąć ją w dół. – Ona jest całkowicie usztywniona. Popatrz... spójrz na palce. Są jak patyki. I zobacz nogę. Za nic nie mogę wyprostować jej w kolanie.

– Siostró O’Grady. – Doktor Morton pochyliła się nad pielęgniarką. – Czy pani mnie słyszy, siostró? Czy może pani mówić? Może mi pani powiedzieć, co się pani stało?

O’Grady wydała z siebie gardłowy, charkotliwy odgłos i wzięła oddech, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zanim to zrobiła, jedna ze stojących z tyłu pielęgniarek zawołała:

– Pani doktor! Pani doktor... pacjentka!

– O co chodzi?

– Odeszła, pani doktor! Nie żyje!

Morton chwyciła się boku łóżka, żeby pomóc sobie w podźwignięciu się na nogi. Spojrzała na Charlie; nie ulegało wątpliwości, że pielęgniarki miały rację. Wcześniej przykleiły z powrotem elektrody do piersi pacjentki, lecz ciągnąca zielona linia na ekranie pokazywała, że jej serce nie bije. Nie wykazywała też żadnych innych oznak życia. Nie oddychała, a jej oczy zmieniły już kolor na ciemniejszy i były mętne.

Aby sprawdzić puls, lekarka podniosła lewy nadgarstek Charlie i przekonała się, że ręka jest wiotka, a nie jak wcześniej całkowicie sztywna. Prawe ramię również było wiotkie. Palce u rąk i nóg wszystkie były giętkie, a kolana dawały się łatwo zgiąć i podciągnąć w górę.

Doktor Morton odwróciła się do kolegi, który masował ramiona i kark siostry O’Grady.

– Czy ty możesz w to uwierzyć? – spytała. – Charlene Thorndyke została do nas przywieziona, ponieważ była całkowicie sparaliżowana, od stóp do głów. A po śmierci nie wykazuje już żadnych oznak paraliżu. Ale za to sparaliżowała siostrę O’Grady, dokładnie w ten sam sposób, w jaki była sparaliżowana pacjentka.

– Masz rację – przyznał doktor Latimer, uciskając barki pielęgniarki. – Każdy mięsień w jej ciele jest mocno zaciśnięty.

– I posłuchaj... – kontynuowała Morton. – Dopiero co byłam u Boba Wellsa. Miał nagły atak tak ostrego bólu, że nie mógł przestać krzyczeć, i musieliśmy podać mu coś na uspokojenie. Tylko że to był dokładnie taki sam stan, w jakim był jego pacjent, Alex Fowler, zanim zmarł.

Nie przestając masować ramię siostry O’Grady, Latimer ze zmarszczonym czołem popatrzył w górę na koleżankę, zupełnie jakby próbował rozwiązać zawile zadanie matematyczne.

– Czy ty naprawdę chcesz powiedzieć, że kiedy ci pacjenci zmarli, objawy swoich chorób przekazali opiekunom? Przecież to niemożliwe.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, Mark. To wszystko wygląda jak historia z powieści science fiction. Pacjenci umierają, ale ich choroby żyją dalej. Żadne z tych dwojga nie cierpiało na nic zaraźliwego... przynajmniej o ile wiemy. Alex Fowler doświadczał stresu pourazowego żołnierza, który został ciężko ranny w Afganistanie. To nie był nawet jego własny stres pourazowy. A Charlene Thorndyke sparaliżowało bez powodu, w każdym razie nie potrafiliśmy go wskazać. Łączyło ich jedynie to, że oboje padli ofiarą tych dolegliwości, gdy pracowali w szpitalu Świętej Filomeny w Downlea.

– Ale przecież ten szpital chyba zamknęli wieki temu, prawda?

– Tak, ale teraz przekształcają go w jakieś luksusowy kompleks mieszkaniowy i tych dwoje tam pracowało. O ile wiem, oboje byli mierniczymi.

Doktor Latimer wstał z klęczek.

– Czy jedna z was mogłaby sprowadzić sanitariusza? – zwrócił się do pielęgniarek. – Biedna siostra O’Grady musi trafić na intensywną terapię. I im szybciej, tym lepiej.

Zamilkł, po czym po chwili zastanowienia dodał:

– Może w Świętej Filomenie jest coś, co obojgu zaszkodziło. Jakieś chemikalia lub wyciek gazu. Z pewnością należałoby to sprawdzić. Ale masz rację, Helen, to rzeczywiście wygląda, jak coś z powieści science fiction. A właściwie, jak dla mnie, z horroru.

## Rozdział 13

Lilian rozmawiała przez telefon z Rogerem Frenchem, kiedy pod Świętą Filomenę podjechały dwa srebrne bmw, a za nimi radiowóz i dwie białe furgonetki z charakterystycznymi pasami w niebiesko-żółtą szachownicę, jedna z napisem *Medycyna Sądowa*, druga – *Sekcja Psów Służbowych*.

– Wybacz, Roger, ale muszę kończyć. Właśnie przyjechała policja – powiedziała Lilian do słuchawki.

– Niech cholera weźmie tę pieprzoną przebudowę! – wrzasnął French po drugiej stronie linii. – Jeden wielki wrzód na tyłku od samego początku! Nie rozumiem, po co zawiadomiłaś gliny o tym szkielecie. Jeśli kogoś tam pochowali, to prawdopodobnie miał być tam pochowany. W końcu to był szpital. Nie dzwonisz po gliny, jak wykopiesz jakieś kości na cmentarzu, prawda?

– Roger, musiałam to zrobić. Ten szkielet nie był pochowany, nie leżał w trumnie.

– No nie wiem... Te opóźnienia kosztują nas tysiące funtów każdego dnia. Tysiące, nie przesadzam. Poza tym poważnie martwię się, że policja powie o tym prasie, a wtedy w mediach jak grzyby po deszczu zaczną pojawiać się historie o tym, jak to Święta Filomena jest miejscem zbrodni czy czymś takim. Sama doskonale wiesz, jak trudno sprzedać nieruchomości, w których kogoś zamordowano. Ten dom w Gloucester, gdzie Fred i Rosemary West zabili młode dziewczyny... Musieli go zburzyć, a potem jeszcze zmielić na pył każdą cegłę, żeby zombiaki nie przychodziły polować na pamiętki.

– Roger, muszę iść. Pukają do drzwi.

– Czy ten zastępczy mierniczy już się pojawił? – zdążył jeszcze zapytać French.

– Jeszcze nie. Dam ci znać, jak się zjawi. Zadzwońię do ciebie później – obiecała Lilian i rozłączyła się.

Poszła otworzyć drzwi wejściowe. Na ganku stał posepny wysoki mężczyzna z gęstymi wąsami, ubrany w luźny brązowy prochowiec. Towarzyszyło mu dwóch młodych śledczych, którzy wyglądali jak para prezenterów sobotniej telewizji popołudniowej. Za nimi stało dwóch techników kryminalistycznych w workowatych kombinezonach – łysy mężczyzna i duża kobieta z burzą potarganych rudych włosów – a także trzech umundurowanych funkcjonariuszy, z których jeden trzymał na smyczy dyszącego czekoladowego labradora.

Mężczyzna z wąsami okazał legitymację.

– Detektyw komisarz Routledge – powiedział. – A to detektyw sierżant Woods i detektyw posterunkowy Merrick. Pani zapewne nazywa się Chesterfield.

– Zgadza się – potwierdziła Lilian. – Proszę wejść. Kości są w lesie na tyłach budynku.

– A właśnie... dziękuję za zdjęcia. Przydały się. Dzięki nim stało się jasne, że muszę zebrać całkiem spory zespół.

Lilian przeprowadziła policjantów przez salon na taras. Kiedy ruszyli w dół zbocza w kierunku drzew, z kortów nadbiegł David i do nich dołączył. Lilian przedstawiła go.

David potargał uszy psa, ale ten potrząsnął łbem i warknął. Śmiejąc się, David powiedział:

– Nie wiem dlaczego, ale psy mnie nie lubią. Pewnie czują ode mnie zapach mojego kota.

– Nie jest największym miłośnikiem kotów, ten mój Quest, to prawda – odpowiedział przewodnik psa. – I jest bardzo wrażliwy na klimat otoczenia. Jak to miejsce na przykład. Całkiem niezłą ma atmosferkę, co?

– O tak... – przytaknął David. – Powiem panu, że to najstraszniejszy budynek, w jakim kiedykolwiek pracowałem. To znaczy, trafiło mi się parę starych i dość upiornych, ale ten wygrywa w przedbiegach, naprawdę wygrywa.

Lilian spiorunowała go wzrokiem. Odkrycie szkieletu w lesie wystarczająco opóźniło ich prace, więc po co mówić policji o twarzach, które widzieli



w oknach, o rozrzuconych nożach lub o zawodzeniu i płaczu, czy o drzwiach, które nie chciały się otworzyć.

– Co dokładnie ma pan na myśli, mówiąc „najstraszniejszy”? – zainteresował się komisarz Routledge.

– Kości są tu, na dole – przerwała im Lilian. – Prawie potknęłam się o jedną z nich, właśnie dlatego je znalazłam.

Ale David nie dał się uciszyć.

– Lilian i ja zastanawialiśmy się, czy to wszystko nie jest czymś wyrefinowanym żartem. Jest tu stowarzyszenie lokalnych mieszkańców... nie robią tajemnicy z tego, że nie chcą, by Filomena została przekształcona w luksusowy budynek mieszkalny i centrum rekreacyjne. Nie zawsze mieścił się tu szpital, kiedyś był to prywatny dom bogatej rodziny i jest wpisany na listę zabytków. Przypuszczamy, że ci ludzie mogą spróbować wszystkiego, żeby tylko nas stąd wypłoszyć.

– Co takiego zrobili? – drążył Routledge. – Mam nadzieję, że wam nie grozili? Bo jeśli tak, to mogą udzielić im ostrzeżenia.

– Nie, nie grozili, ale ukrywali się w szpitalu, wydawali różne dziwne odgłosy i rzucali nożami. Wie pan... udawali duchy i poltergeisty. Przeszukaliśmy to miejsce od góry do dołu, ale nie byliśmy w stanie ich znaleźć.

Lilian pokręciła głową, lecz milczała. Nie mogła uwierzyć, że David z taką beztrąską dokłada do jej już i tak skomplikowanych problemów kolejne.

– Cóż, może najpierw rzućmy okiem na szkielet – powiedział komisarz. – Potem, jeśli zechcecie, możemy przejść się z psem po budynku. Jeżeli ktoś się tam ukrywa, uwierzcie mi: Quest na pewno go wywęszy.

Przedarli się przez gęstwinę do miejsca, gdzie Lilian odkryła kości. Dwójka techników kryminalistycznych przykucnęła przy szkielecie i dłońmi w nitrylowych rękawiczkach ostrożnie oczyściła je ze zgniłych liści. Łysy mężczyzna przyjrzał się jednej z kości nóg, po czym spojrzął na detektywa komisarza i przedstawił swoją opinię:

– W przybliżeniu, Barry, powiedziałbym, że leżą tu od około dziesięciu do piętnastu lat. Może trochę dłużej. – Mówił beznamiętnym, biurokratycznym tonem jak urzędnik miejski.

– No dobrze... – Routlege zastanawiał się przez chwilę. – Więc ktokolwiek to był, został tu prawdopodobnie zakopany, kiedy szpital jeszcze działał. Będę musiał skontaktować się z oddziałem służby zdrowia w Surrey, żeby sprawdzić, czy mają u siebie akta szpitala. I przy odrobinie szczęścia może będę w stanie zlokalizować kogoś, kto tu w tamtym czasie pracował. Ktoś musi wiedzieć, czyje to szczątki i dlaczego nie zostały pochowane na cmentarzu.

Łysy technik podniósł kość żebrową i obejrzał ją z bliska.

– Tak czy inaczej, przeprowadzimy standardowe badania radiometryczne, może też densytometrię kostną – powiedział. – Miejmy nadzieję, że dzięki temu ustalimy wiek zmarłego, jego pochodzenie rasowe i coś o jego stylu życia. No na przykład, jak dobrze był odżywiony, tego typu rzeczy.

– Z tym że to równie dobrze mogą być szczątki kogoś, kto tu mieszkał, gdy budynek był zwykłym domem prywatnym – wtrąciła rudowłosa techniczka. – Niektórzy ludzie chcą być grzebani we własnej posiadłości. I to w najdziwniejszych miejscach. Tak było z tym majorem Labelliere'em, którego pochowano na szczycie Box Hill, do góry nogami, bo mówił, że cały świat stoi na głowie.

– Ale to nie jest niedawny pochówek? – upewnił się komisarz. – Nie możemy tego łączyć z żadnymi aktualnymi zgłoszeniami o osobach zaginionych?

– Nie. Choć nie wykluczałbym zabójstwa – odparł technik. – Sposób, w jaki żebra zostały zmiżdżone... Widzicie, jak są powyginane do wewnątrz? To mogło się stać, gdy ten człowiek jeszcze żył i miał narządy wewnętrzne. W każdym razie, wszystko pomierzemy, przeskanujemy i powinniśmy móc dać wam rozstrzygającą odpowiedź.

Podczas gdy rozmawiali, przewodnik psa pozwolił mu powęszyć wokół drzew, w końcu jednak wrócił. W ręce trzymał małą łopatkę ogrodniczą.

– To wszystko, co znaleźliśmy – powiedział. – I przypuszczam, że leżało to tu mniej więcej tak długo jak te kości. Nikogo tu ostatnio nie było, poza oczywiście panią Chesterfield.

– Naprawdę? – Lilian zmarszczyła czoło. – Zesłam tu wyłącznie dlatego, że zauważyłam co najmniej trzech mężczyzn idących na skróty przez las. To jest teraz teren prywatny i chciałam ich ostrzec, że naruszają prawo.

– Cóż, przykro mi, musiało się pani wydawać. – Przewodnik psa był pewny swego. – Jedyne żywe istoty, które tędy ostatnio przechodziły, to wiewiórki.

– Pan żartuje! Widziałam ich bardzo wyraźnie.

Nachmurzył się i powiedział:

– Przykro mi. Quest nie przegapia niczego, gdy chodzi o zapachy zostawiane przez ludzi. Pot, tkanka skórna, kosmetyki... Potrafi je wszystkie wyczuć w powietrzu, a także na ziemi.

– Jest pan absolutnie pewny?

– Bez dwóch zdań, proszę pani.

Łysy technik wstał i klasnął w dłonie.

– No dobra, to my idziemy po sprzęt i zabieramy się do roboty.

Lilian wpatrywała się w drzewa. Była kompletnie zdezorientowana twierdzeniem przewodnika, że nikt nie przechodził przez las, przynajmniej nie w ostatnim czasie. Wciąż miała w pamięci wyraźny obraz wysokich i smukłych sylwetek mężczyzn. Każdy z nich wyglądał zupełnie jak Slender Man<sup>2</sup>.

– Może w czasie, gdy technicy będą rozkładali swój kram, my przejdziemy się z Questem po szpitalu? – zaproponował komisarz. – Wtedy będziemy wiedzieli na pewno, czy jacyś miejscowi urządzają tu sobie głupie zabawy, czy może istnieje inny powód tych incydentów.

– Te stare budynki... Mówię wam, potrafiać żyć własnym życiem – wtrącił się do rozmowy detektyw posterunkowy Merrick. – Ja i mój kumpel często przesiadywaliśmy w tej starej mleczarni w Epsom po tym, jak została zamknięta, i przysięgam, że pewnej nocy słyszeliśmy tam stukot butelek i gwizdanie mleczarzy, chociaż miejsce było kompletnie opuszczone. Ze strachu prawie narobiliśmy w gacie.

– Tak się jednak składa, że ja nie wierzę w duchy – powiedziała chłodno Lilian.

– Ja również nie – rzucił komisarz Routledge. – Poza tym miałem do czynienia z więcej niż jednym przypadkiem, kiedy ktoś próbował przstraszyć sąsiadów lub krewnych, wmawiając im, że nieruchomość jest nawiedzona.

– A tak! – krzyknął sierżant Woods. – Pamiętasz tego kolesia z Brockham, który włąził na dach domu swojej babki i dał się przez komin, żeby się

wystraszyła i przeniosła do domu starców? – Komisarz pokręcił głową z rozbawieniem. – Ale babka nie była taka głupia, jak myślał – kontynuował Woods. – Kupiła fajerwerki i kiedy facet zaczął krzyczeć, odpaliła jeden i puściła w powietrze prosto przez komin! Durny drań o mało od tego nie oślepl!

Dotarli już do szpitala i Lilian wprowadziła wszystkich do środka przez taras. Quest już od progu wściekle węszył i szarpał się na smyczy.

– To gdzie pani zdaniem ci protestujący mogą się ukrywać? – spytał przewodnik psa.

– Może powinniśmy zacząć od oddziałów na górze – zaproponowała. – To tam zdarza się najwięcej dziwnych rzeczy... Ludzie wołają o pomoc, jakby byli pacjentami, słysząc zawrozczenie i trzaskanie drzwiami. I widzieliśmy tam twarze i postacie... choć mogło to być przywidzenie wynikające z gry świateł.

– Albo hologramy – zasugerował detektyw sierżant Woods. – Teraz projektory hologramów można kupić za naprawdę nieduże pieniądze, a nawet skonstruować samemu. Jak się odpowiednio taki ustawi, można zrobić tak, żeby wyglądało, że ktoś gdzieś stoi, chociaż go tam wcale nie ma.

– To prawda – potwierdził detektyw posterunkowy Merrick. – Organizowane są nawet trasy koncertowe z hologramami nieżyjących piosenkarzy. Elvis i Tupac, Whitney Houston. Nawiasem mówiąc, byłem w zeszłym miesiącu na uniwersytecie w Sussex i pokazali mi tam hologram, który można usłyszeć i nawet... poczuć. Oczywiście to są już naprawdę zaawansowane rzeczy, ale tutaj jakiś głupek spokojnie mógł użyć projektora kupionego za trzydzieści funtów na Amazonie.

– Tylko że my mieliśmy tu dwie osoby poszkodowane – przypomniał David. – Dwójkę mierniczych. Oboje zostali zabrani do szpitala. Jedno z nich zaczęło krzyczeć z bólu, choć nie wydawało się, żeby był ku temu jakikolwiek powód, a drugie, kobieta, było całkowicie sparaliżowane. I w tym przypadku również nie mogliśmy dojść do tego, co to spowodowało.

– I żadnego z tych incydentów nie zgłosiliście na policję? – zdziwił się Routledge.

– Wydawało nam się, że nie ma takiej potrzeby – odparła Lilian. – Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ich skrzywdził.

– Ale teraz myśli pani, że ktoś może ukrywać się w szpitalu i że to ta osoba jest odpowiedzialna za te wypadki, tak?

– Sama już nie wiem. Po prostu nie wiem. Oboje mogli mieć ukryte problemy zdrowotne i być może to tylko przypadek i pech, że odezwały się akurat, kiedy się tu zjawili.

Weszli na pierwsze piętro, do skrzydła Wavella, z Questem pokonującym po dwa, trzy stopnie naraz.

– Powiem jedno – mruknął komisarz Routledge, gdy szli korytarzem. – To miejsce faktycznie ma dość upiorną atmosferę. Gdybyście mi powiedzieli, że widzieliście tu prawdziwego ducha, chyba byłbym nawet skłonny w to uwierzyć.

David i detektyw sierżant Woods otworzyli podwójne drzwi i pierwsi weszli na oddział. Nie licząc dyszenia Questa i drapania jego pazurów na szarej winylowej wykładzinie, w środku było zupełnie cicho. Przez chwilę wszyscy stali całkiem nieruchomo, bo dopadło ich nagłe i niewytłumaczalne uczucie, że w pomieszczeniu buzuje napięcie, jak gdyby weszli tu sekundę przed czymś katastrofalnym, co miało się wydarzyć, na przykład przed wybuchem bomby.

– Hm – mruknął komisarz, ruszając wolno w stronę rzędu łóżek. – A więc to stąd waszym zdaniem ktoś wołał o pomoc, tak?

– Tak – potwierdziła Lilian, obserwując Questa, który obwąchiwał ściany i zakamarki za zasłonami.

– Ale kiedy przysłuchacie się, kto tak krzyczy, nikogo tu nie było?

– Tak.

Komisarz dotarł do łóżka z przemoczoną materacem, zeskorupałym i brązowym. Lilian zastanawiała się, czy powinna opowiedzieć, że widziała, jak materac tryskał świeżą krwią – lub wydawało jej się, że widziała – ostatecznie jednak postanowiła o tym nie wspominać. Zaczynała podejrzewać, że to panika, w jaką wpadła z powodu świadomości, że jest zamknięta w szpitalu, mogła wywołać u niej halucynacje; a może to był trick – hologram, jak sugerował ten młody detektyw.

Nieustannie próbowała przekonywać samą siebie, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie dla wszystkiego, co się tu wydarzyło: dla jęków i krzyków, zablokowanych okien i drzwi, a także dla tego, co stało się z Alexem i Charlie.

Musiało jakieś istnieć, musiało. Bo jeśli nie istniało, to powinna zacząć kwestionować własne zdrowie psychiczne. Poza tym, jeżeli nie zdołają odkryć, kto lub co było przyczyną tych dziwnych zdarzeń, istniało ryzyko, że Roger French odsunie ją od tego projektu i może już nigdy więcej nie zleci czegoś tak dużego jak przebudowa Świętej Filomeny. Jej kariera i całe życie rozpadłyby się wtedy w gruzy. A przecież perspektywa sukcesu tego przedsięwzięcia była jedyną rzeczą, która trzymała ją w kupie podczas ostatnich miesięcy z Timem, i wszystkim, co jej zostało.

Quest spod ścian przeniósł się z węszeniem pod łóżka. Doszedł już prawie do tego z materacem pokrytym zaschniętą krwią, gdy nagle zatrzymał się, podniósł łeb i spojrzął w stronę opiekuna. Wydawał się drzeć, a jego sierść była nastroszona.

– No dalej, Questy, szukaj dalej – zachęcił go opiekun. – Jeszcze nie czas na twój podwiczorek.

Ale pies został tam, gdzie był – nadal drżał i zaczął dyszeć.

– Questy, przestań się lenić i weźże się wreszcie do roboty, co? – zezłościł się opiekun. Odwrócił się do Lilian i wyjaśnił: – Czasami potrafi być z niego prawdziwa uparta mała łajza. Gdyby istniał związek zawodowy dla psów, byłby pewnie jego przewodniczącym. Próbuje mnie szantażować, odmawia pracy, dopóki nie dostanie smaczka.

Gdy tylko to powiedział, Quest przewrócił się na bok na podłogę, oczy wyszły mu z orbit, łapy zesztyniały i zaczął mieć konwulsyjne drgawki, jakby był chory na nosówkę.

– No co ty, Questy, co się z tobą dzieje, chłopaku? – rzucił z niepokojem przewodnik i natychmiast padł na kolana obok swego pupila.

Chcąc na niego spojrzeć, Quest przewrócił oczami, zaraz potem jednak zaczął skomleć – piskliwie i żałośnie.

– Coś go z jakiegoś powodu boli – stwierdził opiekun. – Cholera... pewnie coś zżarł, gdy przeszukiwaliśmy las. Widziałem tam całkiem sporo muchomorów sromotnikowych. Lepiej zawiozę go do weterynarza. Jeśli nie zrobi mu się płukania żołądka, wątroba może nie wytrzymać i wtedy koniec.

Podźwignął psa z podłogi i ruszył do drzwi; ze sztywnymi łapami Questa wystającymi mu po obu stronach ramion wyglądał, jakby niósł stolik do kawy.

Zdążył pokonać zaledwie połowę drogi, gdy nagle Quest w jego ramionach szarpnął się, wyprężył i wyrwawszy się z uścisku, spadł z głośnym hukiem na podłogę.

Przewodnik przykleknął przy psie i ponownie wziął go na ręce, ale zanim zdążył go podnieść, zwierzę zaskomlało jak znękanе bólem dziecko, dostało konwulsji, łeb przechylił się na bok i Quest z wywieszonym językiem opadł bez życia w ramionach swego pana.

Nastąpiła chwila przepełnionej szokiem ciszy, którą głośnym sapnięciem przerwał w końcu detektyw Merrick.

– Cholera jasna – zaklął. – On przecież tylko wachał te cholerstwa.

– Co, na Boga, mogło to spowodować? – wychrypiał z przejęciem Routledge.

– Te muchomory nie mogły być aż tak trujące... prawda?

Opiekun Questa położył go delikatnie na podłodze, po czym wyprostował się. W oczach miał łzy. Woods i Merrick popatrzyli na siebie z uniesionymi brwiami, a stojący dalej trzej funkcjonariusze w mundurach w zakłopotaniu zaszuriali nogami.

– On... on po prostu zdechł – wymamrotał oszołomiony przewodnik. – Po prostu... zdechł. Nigdy wcześniej nie miałem psa, z którym by się stało coś takiego. Nawet z tym, który został postrzelony.

– Cummings, Rolle, pomóżcie znieść to biedne zwierzę na dół, dobrze? – zarządził komisarz Routledge.

Dwóch mundurowych podniosło Questa i wyniosło jego bezwładne ciało z oddziału, a za nimi wyszedł przewodnik.

– Eee... to jaki jest teraz plan, szefie? – odezwał się sierżant Woods.

Komisarz rozejrzał się po oddziale, zupełnie jakby oczekiwał, że pojawi się ktoś jeszcze i wyjaśni, co stało się z Questem.

– Cóż, skoro pani Chesterfield i jej koledzy przeszukiwali już wszystkie pomieszczenia i nikogo nie znaleźli, nie ma sensu, żebyśmy robili to bez psa. Wróćmy do ogrodu i zobaczmy, jak radzą sobie technicy. A ja tymczasem zadzwonię do Guildfordu i sprawdzę, czy mogą nam przysłać innego tropiciela.

Lilian w drodze powrotnej do schodów towarzyszył posterunkowy Merrick.

– Rozumiem, dlaczego to miejsce przyprawia panią o gęsią skórę – powiedział. – Ale czy naprawdę sądzi pani, że to jakaś miejscowa grupa aktywistów tak się tu dzieli?

– To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie – odparła. – Chyba że jakaś banda idiotów robi to tylko po to, żeby nas przestraszyć. Tylko w jakim celu ktoś miałby chcieć nas straszyć? Jaki byłby tego sens?

– Ja tam na przykład mam otwarty umysł – wtrącił się David, który szedł tuż za nimi. – Mój dziadek zarzekał się, że jego dom był nawiedzony. Mówił, że kiedyś słyszał, jak w środku nocy ktoś u niego na strychu grał na ukulele.

– Może to był duch George’a Formby’ego – zakpił komisarz.

– A kto to taki ten Formby? – zdziwił się sierżant Woods.

– Piosenkarz musicalowy i gwiazda kina. Bardzo popularny w latach czterdziestych dwudziestego wieku. Śpiewał, akompaniując sobie na ukulele. I trzeba przyznać, że niektóre piosenki miał trochę odjechane. Nie słyszałaś *When I’m Cleaning Windows*?

Woods miał pustkę wymalowaną na twarzy, więc Routledge dorzucił:

– Nieważne, Andy. Nieważne.

Dwóch mundurowych wyniosło Questa na zewnątrz i umieściło na tyle furgonetki Sekcji Psów Służbowych. Komisarz Routledge i jego dwaj detektywi wyszli na dwór przez drzwi tarasowe i zeszli po zboczku do lasu, gdzie technicy kryminalistyczni rozstawili już sześciokątny niebieski namiot. Lilian i David niechętnie podążyli za nimi.

Jedna kłapa namiotu była podpięta w górę tak, by można było widzieć, co dzieje się w środku. Technicy usunęli ze szkieletu wszystkie liście i ziemię, a teraz specjalnym skanerem wykonywali trójwymiarowe zdjęcia.

Rudowłosa techniczka wyszła z namiotu i ściągnąwszy z twarzy maskę, przetała czoło wierzchem dłoni.

– Sądząc po wyglądzie obręczy miedniczej, to prawie na pewno mężczyzna – oznajmiła. – Można to określić na podstawie kształtu spojenia łonowego. U mężczyzn wygląda ono trochę jak głowa Myszki Miki, z dwoma okrągłymi uszami. U kobiet kąt spojenia jest szerszy.



Z namiotu wyłonił się jej kolega i ściągnąwszy maskę, głośno wydmuchał nos, a następnie ze zmarszczonym czołem, jakby badał próbkę krwi, uważnie przyjrzał się chusteczce.

– Jak myślicie, kiedy będziecie mogli przewieźć szczątki na Lambeth Road? – zapytał komisarz.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeszcze dziś wieczorem – odpowiedział technik. – Szkoda tylko, że nie udało nam się znaleźć czaszki, bo jeśli chodzi o identyfikację, zęby są prawie tak dobre jak dowód osobisty. A w zasadzie lepsze. Dowód można podrobić, ale nie podrobi się kartoteki dentystrycznej.

Zadzwoił telefon Routledge'a. Komisarz odwrócił się i odszedł na bok, by przyjąć połączenie.

– W porządku – usłyszeli, jak mówi. A potem: – Tak. Rozumiem. Dobrze.

Gdy skończył, wrócił do pozostałych.

– Zakład Kynologii nie przysłał nowego tropiciela, dopóki ich weterynarz nie przeprowadzi pełnej sekcji zwłok Questa – powiedział. – Boją się, że w budynku może być jakaś toksyczna substancja, na przykład środki chemiczne, które pozostały z czasów, gdy Filomena działała jako szpital, albo może trucizna podłożona celowo przez aktywistów.

– To co my mamy teraz robić? – zapytała Lilian.

– Nic... nic, dopóki nie dowiemy się, co zabiło biednego Questa. – Routledge bezradnie rozłożył ręce. – Jeśli się okaże, że to substancja toksyczna, to zanim wprowadzimy tu następnego psa, być może będziemy musieli przeprowadzić całościowe oczyszczenie terenu. A na razie mogą tylko państwa prosić, żebyście mieli oczy i uszy otwarte. Jeśli pojawi się choćby cień podejrzenia, że ktoś chce wdrzeć się do budynku lub ma zamiar zrobić coś złego, niezwłocznie dajcie nam o tym znać.

Wrócili zboczem do szpitala, po czym obeszlili budynek i znaleźli się na jego froncie. Komisarz wsiadł do samochodu, opuścił jeszcze jednak szybę, by przed odjazdem zamienić ostatnie słowo z Lilian i Davidem.

– Wyślemy w miasto kilku ludzi i dowiemy się, czy w okolicy są jacyś lokalni działacze, którzy mogliby chcieć wam zaszkodzić – zapowiedział. – Uwierzcie mi, miałem już do czynienia z tego rodzaju zadymiarzami. Punki, które rozkładają się na środku drogi i zatrzymują ruch, bo chcą, żeby rząd nakazał

wstawienie podwójnych szyb w domach komunalnych i ocalił planetę. Weganie, którzy rozbijają witryny sklepów mięsnych. Studenci obalający pomniki handlarzy niewolników. Co tylko można sobie wymarzyć, do koloru, do wyboru...

Po tych słowach odjechał, a pozostałe wozy policyjne podążyły za nim. Furgonetka Sekcji Kynologicznej odjechała już wcześniej.

\* \* \*

Lilian i David wracali przez dziedziniec na ganek, gdy na podjeździe pojawił się kolejny samochód, czerwony fiat 500, i podjechał do nich z chrzęstem opon na żwirze. Siedząca za kierownicą siwowłosa kobieta opuściła szybę i zawołała:

– Przepraszam! Przepraszam!

– Tak? – zwróciła się do niej Lilian.

– Przejeżdżałam tędy wcześniej i nie mogłam nie zauważyć pojazdów policyjnych. Zastanawiam się, co się stało.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć.

– Chyba nie doszło tu do aktu wandalizmu, prawda? Ani niczego w tym stylu?

– Obawiam się, że nie wolno mi udzielać takich informacji. Przynajmniej, dopóki policja nie zakończy swoich działań.

Siwowłosa kobieta otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Była otulona czekoladowobrązowym kardiganem z szalowym kołnierzem, pasującym do brązowej tweedowej spódnicy, brązowych rajstop i topornych butów. Lilian przypominała aktorkę Judi Dench.

– Chodzi o to, że kiedyś tu pracowałam, w szpitalu Świętej Filomeny – zaczęła kobieta. – Byłam przełożoną personelu pielęgniarskiego. Zastanawiałam się, czy macie tu państwo ten sam rodzaj problemów, jaki my mieliśmy.

– A co to były za problemy? – zaciekała się Lilian.

– Cóż, nikt nigdy o tym nie mówił, przynajmniej nie publicznie, wszystko było trzymane w tajemnicy. Ale to one były prawdziwym powodem, dla którego Filomena została zamknięta.

– Myślałam, że szpital zamknięto, bo otworzyli nowy i lepszy na północy.

– Och, tak, tak, otworzyli... nowe wojskowe centrum rehabilitacyjne w Loughborough. Ma basen, saunę i dużo lepszą siłownię. Ale to nie był główny powód zamknięcia Filomeny.

– Więc dlaczego została zamknięta?

Siwowłosa kobieta przeniosła wzrok na budynek szpitala, a Lilian wydało się, że dostrzegła, jak starszą panią wstrząsnął dreszcz.

– Właśnie przez to personel pielęgniarstwa przestał mówić o szpitalu Święta Filomena i między sobą zaczęli go nazywać... Świętą Zjawą.

---

\* Slender Man (tłum. smukły mężczyzna) – postać fikcyjna, element legendy miejskiej (*creepypasty*) mówiącej o tajemniczej postaci, która pojawia się niespodziewanie i budzi przerażenie wśród dzieci lub ujawnia się na fotografiach.

## Rozdział 14

Gdy tylko starsza kobieta powiedziała: „Świątą Zjawą”, wszystkie otaczające dziedziniec drzewa zaszeleściły i zaczęły szeptać coś jakby: *Ona zdradziła nasz sekret.*

– A może opowie nam pani o tym coś więcej? – zaproponowała Lilian.

Kobieta milczała. Wciąż patrzyła na budynek, jakby oczekiwała, że w jednym z okien zaraz ktoś się pojawi.

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Nie powinnam. W dniu, w którym wyprowadziliśmy ostatniego pacjenta, zjawił się tu urzędnik z Ministerstwa Obrony Narodowej. Zebrał nas wszystkich... pielęgniarki i pielęgniarzy... i przestrzegł, że nasze umowy zawierają klauzulę o zachowaniu tajemnicy. Zakazano nam ujawniać jakichkolwiek informacji o żołnierzach, których tu leczylimy, o ich nazwiskach, stanie zdrowia, obrażeniach, nawet o tym, ilu ich tu było. Gdybyśmy nie posłuchali, groziło nam postępowanie sądowe i kara grzywny, a nawet więzienie.

– Cóż, powiem pani tylko tyle, że odkąd tu pracujemy, mieliśmy kilka bardzo niepokojących incydentów. Zastanawiam się, czy to, czego wy doświadczyliście, nie było w jakikolwiek sposób podobne. Zwłaszcza że zaczęliście nazywać szpital Świątą Zjawą.

Starsza pani zmarszczyła brwi, nadal wpatrując się w okna.

– Mówiąc „niepokojące incydenty”, ma pani na myśli... – Zawiesiła głos.

– Słyszeliśmy krzyki – wtrącił David.

Lilian rzuciła mu poirytowane spojrzenie, ale on powtórzył:

– Krzyki. Naprawdę głośne. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

– No dobrze, tak – przyznała Lilian. – Krzyki i ludzi wołających o pomoc. Ale kiedy poszliśmy ich szukać, nikogo nie znaleźliśmy.

– I jeszcze to, co stało się z Alexem i Charlie – odpowiedział David.

Lilian skinęła głową.

– Alex i Charlie to nasi miernicy. Oboje poważnie się rozchorowali, kiedy tu pracowali... Alex czuł taki ból, że nie mógł przestać krzyczeć, a Charlie... Charlene... ją kompletnie sparaliżowało. Ale to nie wszystko. Słyszeliśmy głosy i widzieliśmy ludzi, mimo że szpital był pusty. Ktoś trząsał drzwiami i dwukrotnie rozrucił noże po całej podłodze w kuchni.

Przerwała, ponieważ siwowłosa kobieta odwróciła się do niej z miną wyrażającą nie tyle niedowierzanie, ile czystą ulgę. Wyglądała jak świadek w sali sądowej, który opowiedział wysoce nieprawdopodobną historię, lecz widzi, że ława przysięgłych mu wierzy.

– Doświadczaliście czegoś podobnego? – zapytała ją Lilian. – Krzyków, walenia drzwiami... tego rodzaju rzeczy? Czy to dlatego nazwaliście to miejsce Świętą Zjawą?

– Krzyki, tak... tak! – Kobieta westchnęła z ulgą. – Te straszne, okropne wrzaski! I to trzaskanie drzwiami! Ale nie tylko to. Niektóre z moich pielęgniarek były pewne, że widziały ludzi na korytarzach, w nocy, kiedy wszyscy pacjenci spali. Ale gdy do nich wołały... znikali za rogiem, przechodzili przez zamknięte drzwi lub po prostu rozplýwali się jak we mgle.

Lilian pomyślała o szczupłych mężczyznach, których widziała idących między drzewami, i o dwóch postaciach w mundurach polowych, którzy na ułamek sekundy mignęli jej w skrzydle Montgomery'ego.

– Może wejdzie pani do środka i opowie nam o tym coś więcej? – powtórzyła zaproszenie. – Aż do teraz zakładałam, że te krzyki i inne rzeczy to sprawa lokalnych aktywistów. Jest tu taka grupa, która prowadzi kampanię przeciwko przekształceniu Filomeny w ekskluzywny kompleks mieszkalny. Ale jeśli tego rodzaju rzeczy działy się, gdy był to jeszcze szpital...

Siwowłosa kobieta spojrzała ze zrozumiałym niepokojem na drzwi wejściowe szpitala, które wciąż były uchylone.

– No nie wiem – rzuciła. – Sama też widziałam kilku z tych ludzi. Jeżeli to w ogóle byli ludzie...

– W takim razie możemy porozmawiać tutaj, jeśli pani woli.

– Nie, nie. Myślę, że powinnam wejść. Muszę się przekonać, że to wszystko było tylko wytworem naszej wyobraźni... lub przynajmniej częściowo. Może to była po prostu zbiorowa histeria. W każdym razie, to nie krzyki doprowadziły do tego, że ministerstwo nas zamknęło, ani ci mężczyźni, których widywaaliśmy nocami chodzących po korytarzach. Szalę przeważało to, co stało się z doktorem Cobbem.

– A co się z nim stało? – zaniepokoił się David.

– Wejdzmy do środka, to państwu opowiem. Może ten budynek jest nawiedzony, będę się jednak czuła bezpieczniej tam. Z jakiegoś powodu zawsze mam wrażenie, że jestem śledzona i obserwowana. Przypuszczam, że tak nie jest, ale mimo wszystko to uczucie jest tak nieprzyjemne...

David otworzył szerzej drzwi i kobieta o siwych włosach weszła ostrożnie do holu z Lilian kroczącą tuż za nią. Starsza pani podeszła do podnóża schodów, po czym zatrzymała się, rozejrzała i z lewą ręką przyłożoną do ucha i ze zmrużonymi oczami intensywnie nasłuchiwała.

– Coś pani słyszy? – spytała ją Lilian.

– Nie. Teraz nie – powiedziała spokojnie kobieta. – Ale zdarzało się, że nawet gdy nie było słychać krzyków czy trzaskania drzwiami, słyszeliśmy taki słaby, monotony dźwięk, trochę jak muzyka orientalna, taka w stylu arabskim.

– Chodźmy do salonu – zaproponowała Lilian. – Stamtąd będziemy mogli zobaczyć, co robią technicy. Dziś rano natknęłam się na ludzkie kości zakopane w lesie i policja przyjechała je obejrzeć.

– Ludzkie kości? Mój Boże. Czy policja ma jakieś domysły, czyje mogą być? Lilian pokręciła głową.

– Są zdania, że mogły być tam zakopane od dłuższego czasu – odparła. – Chociaż pewność zdobędą, dopiero kiedy przeprowadzą badania. A, właśnie, jestem Lilian... Lilian Chesterfield. Jestem kierowniczką tej przebudowy. A to mój asystent, David Barton.

– Brenda Wake – przedstawiła się starsza pani. – Siostra Brenda Wake. Teraz jestem już na emeryturze, ale nadal pomagam w miejscowym ośrodku zdrowia.

Przeszli do salonu. Lilian i Brenda usiadły na parapecie, a David przyciągnął dla siebie stary fotel.

– Mówiąc kości, miała pani na myśli szkielet czy tylko kilka kości? – spytała Brenda.

– Cały szkielet, oprócz czaszki – odpowiedziała Lilian.

– Mój Boże. Jakby te krzyki i to, co się stało z waszymi biednymi współpracownikami, to było mało...

– Tak, ale co z tym lekarzem?

– Z doktorem Cobbem? Był konsultantem ortopedycznym i przyjeżdżał do nas dwa razy w miesiącu, żeby leczyć tych, którzy mieli urazy stawów. Przemieszczenia bioder, tego typu rzeczy. Bardzo miły człowiek. Spokojny, zawsze uprzejmy. Sprawiał, że chorzy czuli się dziesięć razy lepiej, nawet ci, którzy mieli pozostać unieruchomieni do końca życia.

Lilian słuchała, lecz w tym samym czasie patrzyła przez drzwi tarasowe, ponieważ zauważyła, że furgonetka techników kryminalistycznych powoli zjeżdża na wstecznym trawiastym zboczem w kierunku lasu. Musieli przygotowywać się do zebrania kości i przewiezienia ich do laboratorium policyjnego w Lambeth, gdzie mieli je poddać bardziej szczegółowym badaniom.

– Pewnego popołudnia... – kontynuowała Brenda – nigdy nie zapomnę tej daty, bo to było dzień przed Halloween... No więc, tamtego dnia doktor Cobb był na trzecim piętrze i zajmował się młodym spadochroniarzem. Derek Walker... tak się nazywał ten chłopak. Zawsze żartował ze swojego nazwiska, bo doznał poważnego urazu obu nóg, gdy spadochron nie otworzył się prawidłowo nad Musa Qala, i nie sądził, że kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie chodzić. Tak naprawdę jego nogi były w takim stanie, że doktor Cobb rozważał podwójną amputację. No więc tego dnia byłam w kuchni i jadłam późny lunch, gdy nagle usłyszałam naprawdę głośny huk. Kilka sekund później jedna z pielęgniarek zawołała mnie na pomoc. Wybiegłam do holu, a tam na podłodze leżał doktor Cobb. Wyglądało to tak, jakby spadł z trzeciego piętra. Obie nogi miał złamane. Mówię złamane, ale tak naprawdę były zmiażdżone. Pielęgniarki zajęły się nim, a ja poszłam sprawdzić, czy Derekowi nic nie jest, i zapytać, czy wie, jak to się stało, że doktor Cobb spadł do holu.

Brenda wzięła głęboki oddech i wyraźnie poruszona, mocno zacisnęła usta.

– I co... wiedział? – zapytała Lilian.

– Nawet jeśli, to nie mógł mi tego powiedzieć. Był martwy... Leżał twarzą w dół na podłodze, jakby spadł z łóżka.

– Był martwy? Dowiedzieliście się, jak zmarł?

– Przeprowadzili sekcję w szpitalu East Surrey, ale wynik nie był jednoznaczny. Dwa dni później doktor Cobb również zmarł. Kiedy spadł, mocno uderzył głową w posadzkę i to spowodowało rozległy krwotok mózgu. Nie powinnam była o tym wiedzieć, ale moja dobra znajoma pracowała wtedy w kostnicy w East Surrey. Powiedziała mi, że złamania w nogach doktora Cobba były pod każdym względem identyczne jak te u Dereka Walkera. Aż do ostatniego milimetra. Jakby to były te same nogi. Powiedziała mi też, że pracownikom kostnicy zakazano ujawniania tego komukolwiek, zwłaszcza mediom. Pod groźbą natychmiastowego zwolnienia.

– Więc tak naprawdę nam też nie powinna pani o tym mówić – skonstatował David.

– Nie, nie powinnam, ale oni niewiele mi już teraz mogą zrobić. Nie zwolnią mnie, bo jestem na emeryturze. A państwo, jak sądzę, też pewnie nie będziecie chcieli iść z tym do mediów albo pisać o tym w internecie. Myślę o tym szpitalu prawie każdego dnia, zastanawiając się, kim byli ci ludzie snujący się w nocy po korytarzach i jak doktor Cobb mógł mieć złamane nogi w identyczny sposób co Derek Walker... i jak zmarł Derek. Nie chciałabym pójść do grobu, nigdy się tego nie dowiedziawszy.

– Znała pani może weterana o imieniu Frank? – spytała ją Lilian. – Nazwiska nie znam, ale ma takie dziwne białawe oczy i mówił nam, że wybuch pocisku raketowego urwał mu połowę biodra. Obecnie opiekuje się nim pewna kobieta, Marion Crosby. Prowadzi dom opieki niedaleko stąd i oprócz Franka zajmuje się tam jeszcze kilkoma innymi żołnierzami.

– Och, musi mieć pani na myśli Franka Willarda. Tak, oczywiście, że go znałam. I znam też Marion. Wspaniała kobieta. Jej mąż zginął w Afganistanie i to właśnie dlatego jest taka oddana opiece nad tymi biednymi kalekami mężczyznami.

– Frank często odwiedza Filomenę. Powiedział nam, że nadal tu mieszkają jego kompani. Piętnastu, może dwudziestu. Tak nam mówił.



Brenda uniosła brwi.

– Naprawdę nie wiem, co na to powiedzieć – przyznała. – Frank miał urojenia, jak wielu z tych mężczyzn, którzy zostali ranni w Afganistanie. Miny pułapki, improwizowane ładunki wybuchowe... Nie tylko urywały im nogi, uszkadzały ich również psychicznie. Nie potrafili przestać przeżywać momentów, w których eksplodowały miny na drodze, i niejeden był przekonany, że gdyby tylko mógł wrócić do tamtych chwil, zdołałby wyjść z tych wypadków bez szwanku i wtedy odzyskałby utracone kończyny i znów byłby szczęśliwy. Lub szczęśliwszy w każdym razie. Przynajmniej nie potrzebowaliby protez.

– No dobrze, ale pani i pani pielęgniarki widywałyście tu przecież tych dziwnych obcych ludzi – nie ustępowała Lilian. – Może to ci sami, których Frank uważa za swoich dawnych towarzyszy z wojska. Może jest tu jakaś ukryta piwnica, której nie udało nam się znaleźć, albo tajne przejście. A może mieszkają tu prawdziwi dzicy lokatorzy i to oni krzyczą i trzaskają drzwiami, żeby nas nastraszyć i przepłoszyć?

– Jeśli nawet, to jak sprawili, że wasz mierniczy wył z bólu, a kobietę sparaliżowało?

– Nie mam pojęcia i nie udaję, że je mam. Ale nie wierzę w duchy. Dopóki ktoś nie udowodni mi ponad wszelką wątpliwość, że istnieją, będę uważała, że jesteśmy oszukiwani, i to przez ludzi, którzy nie dbają o to, czy któreś z nas z tego powodu ucierpi. Można przecież dać komuś zastrzyk z czymś, co wywoła u niego nieznośny ból, prawda? I z czymś, co może ich sparaliżować?

– Tak, rzeczywiście można – zgodziła się Brenda. – Serotonina i niektóre inne substancje mogą wywoływać intensywny ból. I istnieje też kilka substancji chemicznych, które mogą doprowadzić do paraliżu, na przykład kurara, tetrodotoksyna czy *Gelsemium elegans*, znane jako „trawa złamanego serca”. Sir Arthur Conan Doyle o mało się nie zabił, przyjmując wyciąg z *gelsemium*. Wprawdzie nie dostał paraliżu, ale miał okropną biegunkę.

– Może powinniśmy ściągnąć tu firmę od termowizji, która przejrzałaby cały szpital – wtrącił David. – Jest taka jedna, z której usług korzystałem kilka lat temu, kiedy prowadziłem rozbudowę domu w Betchworth. Znaleźli tam cały zamurowany pokój, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

– Nie wiem, czy Roger zgodziłby się za to zapłacić – odparła Lilian. – Ale mogę go zapytać. Gdybyśmy odkryli, że jest tu gdzieś ukryte pomieszczenie z mieszkającymi w nim ludźmi, z pewnością byłoby to tańsze niż anulowanie całej inwestycji.

Brenda miała sceptyczną minę.

– Naprawdę wierzycie, że mogą być tu ludzie mieszkający w jakiejś tajnej kryjówce? – spytała.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, w co mam wierzyć – przyznała Lilian. – Jeszcze nigdy nie czułam się tak zagubiona... i nigdy się tak nie bałam. Jeśli stoją za tym prawdziwi ludzie, to jest to niesamowicie przerażające, bo najwyraźniej chcą nas skrzywdzić. Ale jeśli nie... to kim te zjawy są, na Boga, i czego mogą od nas chcieć?

## Rozdział 15

Moses dotarł do Świętego Heliera krótko po dwunastej w południe. Był zmęczony, zdenerwowany i od migreny kłuło go za oczami. Po wczorajszych przeżyciach z Alexem dręczyły go w nocy koszmary o wyjących psach i szczerzących się maskach śmierci tańczących wokół jego łóżka, spał więc niespokojnie. Rano Grace przygotowała mu jego ulubione śniadanie – makaron z jajkami – ale zostawił je właściwie nietknięte. Wyrzucając niedojedzony makaron do kosza, Grace powiedziała, że się o niego poważnie martwi. Odparł, że on martwi się o siebie jeszcze bardziej.

Teraz podszedł do szpitalnej recepcjonistki i poprosił, żeby przesłała wiadomość na pager doktora Wellsa, że już przyjechał.

– Przykro mi, proszę pana. Doktor Wells jest nieosiągalny.

– Nieosiągalny? Prosił mnie, żebym przyjechał i zobaczył się z nim dzisiaj. Nie może mu pani przynajmniej przekazać, że jestem? Mogę poczekać, jeśli to konieczne.

– Niestety, doktor jest niedysponowany i nie wiem, kiedy poczuje się na tyle dobrze, by móc z kimś rozmawiać.

– Doktor Wells zachorował? – Moses był zdziwiony.

– Niestety, nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Może chciałby pan porozmawiać z kimś innym?

– Z doktor Morton? – Mosesowi przysłała na myśl druga lekarka, którą poznał w Świętym Helierze. – Jest wolna?

– Proszę poczekać, sprawdzę, czy uda mi się ją znaleźć.

Czekał w pokoju dla krewnych pacjentów prawie dwadzieścia minut, w końcu jednak doktor Morton pojawiła się; niosła pod pachą grubą teczkę i wyglądała na

znękaną. Wstał z krzesła.

– Moses... przykro mi, że pan tak długo czekał – powiedziała. – Musiałam przejąć dwa najpoważniejsze przypadki doktora Wellsa.

– Recepcjonistka powiedziała mi, że zachorował.

W sali nie było nikogo więcej. Doktor Morton zamknęła drzwi i zwróciła się do Mosesa:

– Proszę usiąść. Był pan w to zaangażowany od samego początku, więc powinien pan wiedzieć, co się stało. Być może będzie pan mógł nam jakoś pomóc.

– W takim razie... proszę mi wszystko opowiedzieć. Stan doktora Wellsa... czy jest poważny?

– W tej chwili wprowadziliśmy go w śpiączkę farmakologiczną. Doświadczał niewyobrażalnego bólu, dokładnie tak samo jak Alex Fowler. Zajmował się właśnie Alexem i nagle upadł. Lekarz, który był z nim wtedy, twierdzi, że zaczął krzyczeć dokładnie tak samo jak Fowler. Niezwykle w tym wszystkim jest to, że Fowler w tym samym momencie zmarł.

– Alex Fowler zmarł?

– Niestety, tak. Ale to nie wszystko. Kobieta, która również się rozchorowała w Świętej Filomenie, Charlene Thorndyke... też wczoraj zmarła, a pielęgniarka, która się nią opiekowała, została dotknięta dokładnie takim samym paralizem jak ona. Zmarło dwóch pacjentów, a ich objawy natychmiast przeniosły się na osoby, które były z nimi w pokoju.

Moses patrzył na lekarkę szeroko otwartymi oczami.

– Ale jak to możliwe? – spytał.

– Nie tylko to jest zagadką, nie uważa pan? Nadal nie wiemy, dlaczego Alex Fowler doświadczał tak porażającego bólu, a Charlene Thorndyke była całkowicie sparaliżowana. Nie zdążyliśmy wykonać wszystkich badań, które zamierzaliśmy przeprowadzić, ale na podstawie tego, co zdołaliśmy stwierdzić, wiemy, że żadne z nich nie wykazywało nawet najmniejszych oznak obrażeń fizycznych lub jakichkolwiek zaburzeń neurologicznych.

Moses podźwiął się z krzesła i przeszedł do okna. Na zewnątrz, na parking, jakaś kobieta, zapewne matka, próbowała podnieść z ziemi

krzyczącego malucha.

– Myślę, że odpowiedź na te pytania można znaleźć tylko w szpitalu Filomeny – powiedział.

– Może mieć pan rację – przyznała doktor Morton. – Mój kolega, doktor Latimer, zdecydowanie podejrzewa, że dzieje się tam coś dziwnego. Oboje zmarli zostali wczoraj wieczorem odesłani na sekcję zwłok, może więc za kilka dni będziemy wiedzieli nieco więcej.

– Miejmy nadzieję, że sekcja wykaże coś, czego wam nie udało się znaleźć. W każdym razie zamierzam wrócić do Filomeny. Wczoraj rozmawialiśmy z jednym z tamtejszych byłych pacjentów, ja i pani Chesterfield... To ta kobieta, która odpowiada za przebudowę szpitala. Były pacjent z całym przekonaniem twierdzi, że nadal widuje w szpitalu dawnych kolegów z wojska błakających się po korytarzach. Obiecał, że pojedzie z nami do szpitala, żebyśmy mogli zobaczyć ich na własne oczy.

– Chyba nie sugeruje pan na poważnie, że Święta Filomena jest nawiedzona?

– Nie wiem, co sugeruję, pani doktor – odparł z rezygnacją Moses. – Pani Chesterfield podejrzewa, że to grupa lokalnych aktywistów próbuje ją wystraszyć.

– To już brzmi bardziej prawdopodobnie. Wymieńmy się adresami mailowymi. Pan napisze do mnie, jeżeli odkryjecie coś interesującego w Filomenie, a ja prześlę panu wyniki sekcji, jak tylko je dostanę.

Moses patrzył, jak kobieta na parkingu wlecze dziecko do samochodu, sadza je w foteliku i, wciąż wrzeszczącemu, zapina pasy.

– Prawdę powiedziawszy, pani doktor, zaczynam myśleć, że nigdy nie dowiemy się, co tak naprawdę spowodowało, że Alex Fowler i Charlene Thorndyke cierpieli tak, jak cierpieli, i zmarli. Kiedy służyłem w Afganistanie, widziałem rzeczy, których nadal nie potrafię w pełni zrozumieć. A pani równie dobrze jak ja wie, że w świecie medycyny wciąż jest wiele niewyjaśnionych tajemnic. Im więcej dowiadujemy się o wirusach i innych patogenach, tym bardziej uświadamiamy sobie, jak mało wiemy i jak wiele musimy się jeszcze dowiedzieć.

Doktor Morton otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać umieszczone w niej dokumenty, strona po stronie, oblizując przy tym kciuk. Bez unoszenia wzroku

powiedziała:

– Tak, Moses, ma pan rację. I może też pewnego dnia odkryjemy, że duchy jednak istnieją.

\* \* \*

Moses wjechał na dziedziniec Świętej Filomeny akurat w czasie, gdy dwóch techników kryminalistycznych szykowało się do odjazdu. Kiedy podszedł, stali na ganku, rozmawiając z Lilian i Davidem.

– Zebraliśmy wszystkie kości, które udało nam się zlokalizować – powiedział łysy technik. – Niemniej nadal mamy jeszcze sporo do zrobienia. Musimy pobrać próbki gleby i przeszukać większy obszar. Być może uda nam się znaleźć czaszkę.

– O co chodzi? – zdziwił się Moses. – O jakich kościach mowa, jeśli wolno mi spytać?

Odpowiedziała mu Lilian.

– Znalazłam dziś rano szkielet zakopany w lesie.

– Szkielet? Mój Boże! Wiadomo czyj?

– Jeszcze nie – odparł technik. – Zabieramy szczątki do laboratorium na dalsze badania, a nasi koledzy będą sprawdzać bazę danych pod kątem zgłoszeń o zaginionych osobach z tej okolicy. Więc może coś się znajdzie, kto wie?

Zwrócił się do Lilian:

– Zagrozdziłoby teren taśmą. Proszę tam nie chodzić i dopilnować, żeby nie chodził nikt inny. Każde nowe skażenie utrudni nam pracę jeszcze bardziej.

– Oczywiście – zapewniła Lilian i dwójka techników bez słowa odeszła do furgonetki, wsiadła do niej i odjechała.

– Szkielet? – rzucił Moses. – Jest takie powiedzenie w Nigerii: *Sau daya, duk kasuwa sun iya rawa*. To znaczy: „Kiedyś, dawno, dawno temu, wszystkie kości potrafiły tańczyć”.

Lilian pokręciła głową.

– To prawdopodobnie nic złowrogiego – powiedziała. – Te kości mogą być szczątkami kogoś, kto tu mieszkał, kiedy był to dom prywatny. Tyle tylko że nie

ma trumny ani nagrobka, czego chyba można byłoby się spodziewać, nie uważasz?

Weszli do holu, a potem do salonu. Brenda Wake nadal tam była; stała przy oknie i rozmawiała przez telefon.

– Tak, wróćę za jakąś godzinę. Nie, nie martw się. Mogę po drodze kupić rybę z frytkami.

Gdy skończyła, Lilian przedstawiła ją Mosesowi.

– Kiedy Brenda tu pracowała jako przełożona, niektórym z jej pielęgniarek wydawało się, że widziały mężczyzn chodzących po korytarzach. Ale gdy tylko próbowały do nich podejść, znikali.

– Jak już mówiłam Lilian, to mogła być zbiorowa histeria – wyjaśniła Brenda. – W tamtym czasie atmosfera tutaj była niesamowicie napięta. Ci młodzi żołnierze wracali z Afganistanu w strasznym stanie, również psychicznym. Koszmary, jakie niektórzy mieli... Naprawdę nie da się tego opisać.

– Chciałbym o tym z panią za chwilę porozmawiać – powiedział Moses. – Najpierw jednak mam, niestety, do przekazania bardzo smutne wieści. Przyjeżdżam prosto ze Świętego Heliera. Zarówno Alex Fowler, jak i Charlene Thorndyke nie żyją.

Lilian popatrzyła na niego ze zdumieniem i przycisnęła rękę do serca.

– Nie żyją? Oboje? – spytała z niedowierzaniem.

– Pojechałem tam, żeby zobaczyć, jakie postępy robią, i porozmawiać z doktorem Wellsem. Dla mnie to też był wielki szok. Ale to jeszcze nie wszystko. To, co się stało potem, jest chyba nawet gorsze niż śmierć tych dwojga.

Wyjaśnił, jak dolegliwości, które występowały u Alexa i Charlie, przeniosły się po ich zgonie na doktora Wellsa i siostrę O'Grady.

Serce Lilian zaczęło mocno walić i poczuła, że brakuje jej tchu, jakby miała zemdleć. Złapała się parapetu i przysiadła na nim.

Brenda usiadła obok niej i wzięła ją za rękę.

– O Boże, toż to prawie to samo, co stało się z doktorem Cobbem – zauważyła. – Złamania w jego nogach były identyczne jak te u Dereka Walkera i to pod każdym względem.

Odwróciła się do Mosea i opowiedziała mu, jak doktor Cobb spadł z trzeciego piętra do holu, łamiąc sobie przy tym kości ud i podudzi, i jak zmarł.

– Co tu się dzieje? – rzucił poruszony Moses. – Jeśli stoją za tym aktywiści, to jak udaje im się robić coś takiego? A jeśli nie oni, to kto? Lub co?

– Trudno mi uwierzyć, żeby to miało cokolwiek wspólnego z działaniem aktywistów – odrzekła Brenda. – Jak mówiłam Lilian, być może za moich czasów dochodziło tu do zbiorowej hysterii i ta histeria w jakiś sposób została w szpitalu po tym, jak wszyscy pacjenci go opuścili.

– Charlie czuła, że w tym szpitalu panuje taka atmosfera, że można by ją wręcz kroić nożem – przypomniała Lilian.

– Tak, tylko jak dolegliwości jednego pacjenta miałyby się przenosić na kogoś innego? – mruknął sceptycznie Moses.

– Jeśli pyta pan mnie, to nie wiem, nie mam pojęcia – odparła Brenda. – Ale czytałam o czymś podobnym, co działo się w szpitalu psychiatrycznym w Delhi. Szpital zamknięto i zrobili z niego budynek z lokalami mieszkalnymi, ale prawie wszyscy, którzy się do nich wprowadzili, oszaleli. Obcinali głowy swoim zwierzętom domowym, podpalali się lub rzucali z dachów. W końcu tak wielu mieszkańców popełniło samobójstwo, że budynek postanowiono zburzyć.

– Kto wie...? – Moses westchnął. – Tak czy inaczej, musimy odkryć, co się tu dzieje, i to jak najszybciej. Jesteśmy to winni tej dwójce, która zmarła, i tym, którzy nadal cierpią. Gdy wstępowałem do wojskowego korpusu medycznego, złożyłem ślubowanie, że poświęcę wszystkie siły na ratowanie życia ludziom i uśmierzanie ich bólu. I choć wprawdzie przeszedłem już na emeryturę, to w sercu nadal jestem tej przysiędze wierny.

– Zadzwoń do Marion Crosby i zapytam, czy może przywieźć tu Franka z jego noktowizorem – powiedziała Lilian. – Nawet jeśli okaże się, że nie zobaczymy przez gogle jego dawnych towarzyszy broni, przynajmniej wyeliminujemy jedno podejrzenie.

– A jeśli ich zobaczymy, to... co wtedy? – zapytał Moses.

– Bóg jeden wie. Może oszalejemy i zaczniemy skakać z dachu.



## Rozdział 16

Kiedy Marion Crosby przywiozła Franka do Świętej Filomeny, zapadał już zmierzch, a między drzewami pohukiwała sowa, jakby chciała sprawić, że wszyscy obecni poczują się jak w opowieści o duchach.

David pomógł Marion wyjąć wózek Franka z tyłu kombi, a potem podźwignąć z przedniego siedzenia Franka, który trzymał na kolanach czarny hełm wyposażony w gogle noktowizyjne.

Potem David przeniósł wózek przez stopień w wejściu i w końcu wszyscy weszli do środka. Ponieważ wcześniej robiło się ciemno, David przywiózł z domu lampę ledową, której używał podczas wyjazdów pod namiot z rodziną. Choć nieduża, dawała zaskakująco jasne światło. Oświetlała hol jak w amatorskiej sztuce teatralnej: ich cienie rozciągały się wysoko, sięgając aż do sufitu.

– No to gdzie ukrywają się ci pańscy przyjaciele, Frank? – spytała Lilian.

– Już pani mówiłem, złotko – Frank uśmiechnął się. – Oni się nie ukrywają. Nie muszą. To jest ich miejsce. Tu mieszkają!

– W porządku, mieszkają. Ale gdzie są?

– Na górze, przez większość czasu. Na korytarzach lub w salach, ale oczywiście nie mogą się tam z nimi spotkać, bo nie działają windy.

– W takim razie gdzie pan się z nimi spotyka? – nie ustępowała Lilian.

– Schodzą na dół, kiedy już wiedzą, że przyszedłem. Zbierają się w tym dużym pokoju z żyrandolami, tym, który nazywaliśmy świetlicą. Prawie wszyscy się tam schodzą. Niektórzy cierpią na tak ostry stres pourazowy, że nadal nie wiedzą, gdzie, do cholery, są ani nawet kim są.

– Ale ci, którzy schodzą, żeby się z panem zobaczyć... – wtrąciła Brenda. – Skąd wiedzą, że pan tu jest?

Frank sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął z niej harmonijkę ustną. Dmuchał w nią, uzyskując wysoki i piskliwy akord, po czym ją podniósł.

– Gram *If Tomorrow Never Comes*, a oni schodzą.

– A pan wtedy zakłada gogle, tak? – upewniła się Lilian. – I dzięki nim ich pan widzi?

– Zgadza się, złotko. Dam im sygnał harmonijką i kiedy wszyscy się zejdą, przekażę wam gogle i sami sobie ich zobaczycie.

Lilian odwróciła się do Mosesa, Davida i Brendy.

– Jesteśmy na to gotowi? Wszyscy? – zapytała.

Moses spojrział na Franka.

– Proszę mi tylko powiedzieć... – odezwał się z wahaniem – czy istnieje jakiegokolwiek ryzyko, że pańscy koledzy zrobią komuś z nas krzywdę, tak jak zostali skrzywdzeni Alex i Charlene?

– No właśnie – dodała Lilian. – Ostrzegaliśmy pana, że pana przyjaciele mogą być niebezpieczni.

– Jesteście ze mną, więc o nic nie musicie się martwić – zapewnił Frank. – Poza tym, nic im przecież nie zrobiliście, prawda? Nie jesteście ich wrogami.

– Ale Alex i Charlene też im nic nie zrobili – przypomniał David.

– Nie mam pojęcia, co stało się tamtej dwójce, kolego. Mogli się pochorować od czegośkolwiek. No wie pan... to był kiedyś szpital, co nie? Kto wie, jakie zarazki mogą się tu jeszcze czaić po kątach...

– Przypuszczam, że to całkiem możliwe, że jakieś wirusy albo bakterie mogły tu przetrwać z tamtych czasów – potwierdziła Brenda. – W Rosji odkryli przecież tego pithovirusa, prawda? Uważają, że ma ponad trzydzieści tysięcy lat, a mimo to wciąż jest zakaźny.

– Tak, ale odkryto go w lodzie na Syberii – zripostował Moses. – A to jest budynek szpitala w Surrey.

– Zgoda – przyznała Brenda. – Mimo to nadal uważam, że powinniśmy brać pod uwagę, że przez kogoś z rannych z Afganistanu lub innego miejsca na Bliskim Wschodzie mógł zostać przywieziony jakiś nieznaną wirus. A zakładając, że tak było, mógł przetrwać znacznie dłużej w chłodniejszym

klimacie. Jak wszyscy wiemy, wirusy bardzo łatwo adaptują się do nowych warunków. Pomyślcie o wariantach covidu. To znaczy, niektóre z nich są...

Zniecierpliwiony David nie pozwolił kobiecie dokończyć.

– No tak, jasne – wtrącił. – Ale nawet jeśli Alexa i Charlie złapali wirusa... albo raczej dwa różne wirusy... to nie tłumaczy krzyków, które słyszeliśmy, prawda? Albo wyglądających przez okna dziwnych twarzy, które ja i Lilian widzieliśmy, ani mężczyzn, których pani widziała, tych chodzących po korytarzach?

– Cóż, jeśli o mnie chodzi, nadal skłaniam się do zdania, że cierpieliśmy wtedy na urojenia.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Jak już mówiłam, mogliśmy widzieć różne rzeczy na skutek zbiorowej hysterii, której uległ cały personel pielęgniarski. Żyliśmy w ciągłym stresie, atmosfera była nieustannie napięta. I kiedy mówię „napięta”, mam na myśli to, że wszyscy byli tu nakręcenі do entej potęgi, dniami i nocami. Zresztą może na nasze postrzeganie wpłynęła jakaś choroba, którą roznosiliśmy między sobą, nie zdając sobie z tego sprawy. Wiedzieliście, że malaria może wywoływać epizody psychotyczne? Tak samo jak HIV i AIDS. I można nawet dostać halucynacji, gdy spadnie nam za bardzo poziom cukru we krwi.

– Czymkolwiek było to, co widzieliśmy z Lilian, nie zobaczyliśmy tego oboje z powodu niskiego poziomu cukru we krwi. Zjedliśmy na lunch po kawałku ciasta.

– David – upomniała kolegę Lilian, choć była przyzwyczajona do tego, że miał zwyczaj żartować, gdy był poważnie zaniepokojony.

– Przepraszam – mruknął. – Ale może przejdźmy już do tej świetlicy i sprawdźmy, co uda nam się tam zobaczyć, zgoda?

\* \* \*

Przeszli w milczeniu korytarzem do sali recepcyjnej. David szedł z przodu, niosąc lampę, a Moses pchał wózek inwalidzki Franka. Jedynym dźwiękiem, jaki im towarzyszył, był odgłos ich kroków na zapiaszczonym linoleum i skrzypienie jednego z kółek wózka Franka.

Ponieważ Lilian już wcześniej zdjęła pokrowce z wiszących na każdej ścianie luster, gdy wkroczyli do sali, oślepiające światło z lampy Davida zaczęło błyskać z lewej i z prawej. Z każdej strony spoglądały na nich ich własne odbicia, jakby do pomieszczenia ostrożnym krokiem weszło trzydzieści osób, a nie pięć.

– I co teraz? – spytała Lilian.

Frank założył hełm na głowę i dopasował gogle.

– Teraz musimy wyłączyć tę lampę – rzucił. – Moi kumple nie zejną na dół, jeśli nie będzie ciemno. Owszem, zobaczymy ich, ale oni nie lubią, gdy widać ich zbyt wyraźnie. Niektórzy stracili połowę twarzy i wiedzą, że takich szczegółów nie da się zobaczyć przez gogle. I byłoby dobrze, gdybyście zachowali spokój. Szeptanie ich przeraża. Przypomina im to snajperów.

Lilian rozejrzała się.

– Czy wszyscy jesteśmy gotowi? – spytała. – W takim razie, David, jeśli mógłbyś...?

David wyłączył lampę i pokój pogrzyżył się w ciemności. Kiedy ich oczy przyzwyczyli się do niej, słaby blask księżycy z ogrodu, odbijając się w lustrach, oświetlił kryształowe żyrandole tak, że zalśniły jak gigantyczne pająki.

Frank wyjął harmonijkę, przedmuchał ją, wydobywając z niej pojedynczy pisk, a następnie zaczął grać *If Tomorrow Never Comes*, lekko fałszując. Co chwilę przerywał dla nabrania oddechu, bo oprócz połowy biodra stracił również jedno płuco.

Wydawało się, że grał i grał. Po prawie pięciu minutach Lilian zaczęła się zastanawiać, czy on również nie ma urojeń. Chciała zapytać Brendę, czy jej pielęgniarki widziały dziwnych mężczyzn na korytarzach tylko wtedy, gdy było ciemno lub prawie ciemno, ale milczała, na wypadek gdyby przyjaciele Franka usłyszeli jednak jego grę i byli bliscy pojawienia się; bała się ich wystraszyć.

Dość niespodziewanie, w połowie akordu, Frank przestał dmuchać w harmonijkę. Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym wyciągnął rękę i machał nią w ciemności, aż natrafił na rękaw Lilian. Szarpnął za niego, przyciągając ją do siebie, tak że prawie przy nim kucnęła. Wtedy ściągnął hełm i ostrożnie nałożył go na jej głowę. Z początku czuła się w nim dziwnie – hełm był niewygodny i cisnął ją w czoło – potem jednak przesunęła go trochę w tył i przekręciła lekko

w lewo. Okulary gogli znalazły się na poziomie oczu i jej pole widzenia zostało nagle zalane jasnozielonymi obrazami.

Nie mogła powstrzymać się przed zrobieniem gwałtownego kroku w tył i wydaniem pisku przerażenia. Przez gogle ujrzała co najmniej dwudziestu mężczyzn stojących w grupie po przeciwnej stronie sali. Sylwetki wszystkich jarzyły się na zielono, przez co nie była w stanie zobaczyć wyraźnie twarzy, ale z pewnością mogła stwierdzić, że niektórym z nich brakuje rąk lub mają protezy nóg przypominające drągi.

– David! – krzyknęła. – Widzę ich! Oni tu są!

– Ciszej! – syknął Frank. – Na litość boską! Bo ich sprowokujesz!

Ale sama już widziała, że mężczyźni ruszyli w jej stronę. Niektórzy maszerowali zdecydowanie, jakby zamierzali ją schwytać, inni kuśtykali na protezach, jeszcze inni szli chybliwie, podpierając się kulami.

Była przerażona. Trzęsła się cała od stóp do głów, jakby oblano ją lodowatą wodą; wydała z siebie krzyk tak piskliwy, że sama ledwie mogła znieść jego przenikliwość.

Mężczyźni odpowiedzieli jej tym samym – takimi samymi udręczonymi krzykami, jakie wydawał Alex i jakie słyszała na pustych oddziałach. Krzyczeli wszyscy, cała dwudziestka, niczym piekielny chór, a ona przez gogle widziała, że usta tych biedaków są szeroko rozdziawione. Krzyk trwał i trwał, i w miarę jak mężczyźni się zbliżali, stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż zrobił się tak ogłuszający, że żyrandole zaczęły drzeć i brzęczeć.

Lilian odwróciła się i zobaczyła, że Frank z przerażeniem wycofuje się z wózkiem.

– Wkurzyłaś ich! – krzyknął do niej. – Ty głupia dziwko! Tylko ich, kurwa, wkurzyłaś!

Zerwała z głowy hełm i gogle i rzuciła nimi w ciemność.

– David! – zawołała. – Włącz lampę!

Nic się nie wydarzyło; pokój był pogrążony w kompletnej ciemności. Tyle że krzyki były teraz tak dojmujące, że David mógł jej nie usłyszeć. Ruszyła więc do miejsca, gdzie go ostatnio widziała, lecz wpadła na Mosesa.

– Co się dzieje? Kto to tak krzyczy?! – wrzasnął jej prosto w twarz.

Lilian przepchnęła się obok niego i wtedy wreszcie odnalazła Davida, który kręcił się w kółko w oszołomieniu. Krzyki nie tylko wywoływały przerażenie, ale również dezorientowały, były tak głośne, że nie mogli odróżnić strony lewej od prawej, nie wiedzieli, gdzie się znajdują, a nawet kim są.

– Lampa! – krzyknęła Lilian wprost do ucha Davida.

Włączył ją i salę recepcyjną natychmiast zalało światło. W tym samym momencie krzyki ustały i w pomieszczeniu zaległa martwa cisza. Dwudziestu mężczyzn zniknęło, a oni stali, patrząc na siebie. Wszyscy byli w szoku, poza Frankiem, który kręcił głową ze złości i rozczarowania.

– Naprawdę to spieprzyłaś, co, złotko? – warknął do Lilian. – Naprawdę spierdoliłaś! Co ja wam mówiłem? Żebyście byli cicho... to mówiłem! Czy to aż taka wielka prośba? W Afganistanie, jeśli nie zamknąłeś jadaczki, to te gnidy mogły cię usłyszeć i sprzątnąć, zanim zdążyłbyś powiedzieć: „Dlaczego nie trzymałem pieprzonej japy zamkniętej na kłódkę?”.

Lilian zignorowała go.

– Widziałam ich – oznajmiła, wciąż ciężko dysząc. – Widziałam ich przez te gogle. Było ich ponad dwudziestu. I wygląda na to, że to rzeczywiście są ranni żołnierze. Niektórzy mieli protezy nóg, inni wyglądali, jakby brakowało im rąk.

– A więc jednak nie padliśmy wtedy ofiarą zbiorowej hysterii – szepnęła Brenda. Po tonie jej głosu można było wywnioskować, że jest tak samo wstrząśnięta jak Lilian.

– Ten krzyk... – odezwał się Moses, przytykając palce do uszu. – Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem. Nawet Alex nie krzyczał aż tak głośno.

– No dobrze, ale kim oni w takim razie są? – spytał David drżącym głosem. – Duchami?

– To zależy, czym według ciebie tak naprawdę są duchy – odparła Lilian. – Ja nigdy nie wierzyłam ani w duchy, ani w dusze, ani w nic takiego.

– Więc co widziałaś tutaj dzisiaj? Pytam serio. Co to twoim zdaniem było?

– Nie wiem, David. Ci wszyscy zieloni ludzie... Naprawdę nie wiem. Byłam raz na seansie spirytystycznym, w Brighton. Ale tam to było oczywiste, że to pic. Kobieta medium dopiero po dwudziestu próbach odgadła imię zmarłej osoby, z którą rzekomo rozmawiała. Ale to, co widziałam teraz...

– Gdybyś tego nie spieprzyła, sami powiedzieliby wam, kim są. – Frank przepchnął wózek do przodu.

– Ale pan wie, kim oni są, prawda? – spytała Lilian. – To pana dawni przyjaciele z wojska, a przynajmniej tak pan mówił.

– Mogę podać wam nazwiska, stopnie i numer każdego z nich, złotko. No, przynajmniej większości z nich. I mogę wam powiedzieć jedno: to nie są żadne duchy. To moi starzy kumple, którzy tu mieszkają.

– Jezu – stęknął David. – Muszę się chyba napić.

Lilian zwróciła się do Franka:

– Czy istnieje jakaś szansa, że daliby się panu sprowadzić tu z powrotem? Tym razem bylibyśmy cicho, bo już by nas tak nie zaskoczyli.

– Nie, dzisiaj na pewno już nie wrócą. Są zbyt ostrożni. Jeśli chcecie, możemy spróbować jeszcze raz jutro wieczorem. Ale ich widziałaś, złotko, prawda? Widziałaś ich, więc wiesz, że są prawdziwi.

– To zależy, co rozumieć przez „prawdziwi”. Mój Boże, nie mogę przestać się trząść. Mimo to nadal nie jestem w stu procentach przekonana, że to wszystko nie jest jakąś wymyślną mistyfikacją.

– Jak to „mystyfikacją”? – oburzył się Frank. –To obraza. Obrażasz ich, mówiąc tak. To, przez co ci ludzie przeszli, co wycierpieli... Nie mogę uwierzyć, że w ogóle coś takiego pani powiedziała. Mistyfikacja! Też mi coś! Może dajcie sobie odstrzelić połowę waszej cholernej miednicy, a potem zobaczymy, czy będziecie mieli ochotę bawić się w robienie komukolwiek głupich kawałów.

– Frank – odezwała się Marion. – Myślę, że już pora się zbierać. Lepiej, żebyś się tak nie forsował. Wiesz, jak ci od tego rośnie ciśnienie.

– A pani co o tym myśli, Marion? – spytała Lilian. – Czy Frank dał pani kiedyś popatrzeć przez te gogle?

– Proponował, ale nie chciałam. Mój mąż, Ted... Przywieźli go tutaj po tym, jak został ranny w prowincji Helmand, i tutaj zmarł. Nie chcę odkryć, że jego duch nadal tu jest.

– A więc pani wierzy, że ci ludzie, których widziałam... Wierzy pani, że mogą być duchami?

– Nie wiem, w co mam wierzyć, mówiąc szczerze. Jedyne, czego chcę, to zachować dobrą pamięć o tych, którzy zginęli, i troszczyć się o tych, którzy przeżyli.

\* \* \*

Marion zawiozła Franka do samochodu i zapakowała jego wózek do bagażnika. Przed odjazdem powiedziała do Lilian:

– Mam nadzieję, że nikomu o tym pani nie powie. Mam na myśli wojsko albo media.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała Lilian. Nie wspomniała, że gdyby wieść o wyjących zjawach w Parku Filomeny się rozeszła, mógłby to być koniec inwestycji, a Roger French straciłby miliony.

David też musiał się zbierać; był umówiony z córką, którą miał zabrać do McDonalda. Nie komentował już wydarzeń wieczoru, lecz Lilian widziała, że jest bardzo roztrzęsiony. Przed odjazdem rzucił jej spojrzenie, które pytało: „I co my teraz, do cholery, zrobimy?”.

Zamknęła budynek, a potem zaprosiła Mosesa i Brendę do Cock Inn na drinka, by porozmawiać o tym, co widzieli. Na miejscu przez jakiś czas siedzieli przy stoliku w milczeniu, popijając zamówione napoje i zastanawiając się, co powiedzieć.

Pierwszy odezwał się Moses.

– Lilian, tylko ty z nas widziałaś tych ludzi, niemniej wszyscy słyszeliśmy ich krzyki.

– Zgadza się – przytaknęła Lilian. – A to oznacza, że te gogle nie były specjalnie ustawione tak, żebym mogła widzieć i słyszeć ludzi, których tam naprawdę nie było. Jak te gogle do wirtualnej rzeczywistości. Mamy kilka takich w biurze do pokazywania klientom, jak będą wyglądały ich przyszłe domy. Są niesamowite.

Moses opuszką palca obrysowywał na blacie stołu niewidzialne koło, zupełnie jakby w ten sposób mógł wyczarować wyjaśnienie tego, czego tego dnia byli świadkami.



– Według mnie – odezwał się po chwili – zdecydowanie istnieje jakiś związek między tym, co dzieje się w Filomenie, a tym, co się działo w Afganistanie.

– Na to wygląda, to prawda, tylko jaki to może być związek? – spytała Lilian.

– Kiedy Alex myślał, że jest kapralem Simonsem, powiedział mi, że musi wrócić do momentu, w którym został poraniony przez minę. Ani on, ani Charlene nigdy wcześniej nie widzieli mnie na oczy, nie znali mnie, a jednak oboje mnie rozpoznali i zwracali się do mnie tak, jak nazywano mnie, kiedy służyłem w prowincji Helmand. – Moses na chwilę zamilkł i zamyślił się, a potem dodał: – To dzisiaj było przerażające. Prawdę mówiąc, nadal cały się trzęsę. Dlatego to nic zaskakującego, że wszyscy się zastanawiamy, czy ten szpital jest nawiedzony. Może jest, w pewnym sensie... ale nie w sposób, w jaki zwykle myślimy o nawiedzonych miejscach. Nie przez duchy pojawiające się w powieściach grozy, przezroczyście lub obleczone w prześcieradła... tylko przez jakiś inny rodzaj energii.

– Śmiało, mów dalej – zachęciła Brenda. – Zdaje się, że wiem, co próbujesz powiedzieć.

– Myślisz o tych upiornych białych postaciach, o których opowiadali nam Frank i jego kolega? O tych „dahdahach”? – spytała Lilian.

– Cóż, na pewno nie zaszkodziłoby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. – Moses kiwnął głową. – Te całe „dahdahy” mogły być halucynacjami wywołanymi alkoholem albo narkotykami. Ale czymkolwiek były, być może wywarły trwałe wpływy na umysły ludzi, którym wydawało się, że je widzą. Może to, co mamy tutaj, w Świętej Filomenie, to przypadek kolektywnego zaburzenia po przeżytych traumatycznym stresie.

– Co przez to rozumiesz? – spytała Lilian.

– To, że być może wszystkie traumy, jakich doświadczyła każda z ofiar podczas pobytu w Afganistanie, pozostawiły jakąś trwałą wibrację w budynku i ta wibracja może czasami objawiać się w formie krzyków i zjaw. Oczywiście tylko teoretyzując. Może to wszystko to nonsens, a twoje podejrzenia są słuszne i rzeczywiście stoją za tym jacyś bardzo sprytni oszuści. Ale może też to, z czym mamy tu do czynienia, jest jakiegoś rodzaju echem z przeszłości, kiedy Filomena była jeszcze szpitalem. Być może właśnie tym są te zjawiska: echem przeszłości.

– Więc jak się dowiemy czegoś więcej o tych „dahdahach”?

– Już próbowałem, lecz nie ma o nich nic ani w Google’u, ani w żadnych innych wyszukiwarkach. – Moses bezradnie rozłożył ręce. – Mówią tylko, że „dah” to fonetyczny zapis myślnika w kodzie Morse’a. Wicie, jak w „da-da-dah”. Ale kiedyś przyjaźniłem się z pewnym Rosjaninem, który służył w Afganistanie. Wiedział wszystko, co można było wiedzieć, o afgańskiej kulturze i mitologii.

– Jesteś w stanie się z nim skontaktować?

– Spróbuję. Mieszkał w Londynie, bo przeniósł się do Anglii, by pracować w ambasadzie rosyjskiej. Skończyło się na tym, że ożenił się z Angielką i nie wrócił już do Rosji. Nazywa się Artiom Goroczow. Nie wiem, czy nadal mieszka w Anglii, bo nie widziałem go od prawie dziesięciu lat, ale oczywiście mogę spróbować poszukać z nim kontaktu.

– Trzeba próbować wszystkiego, co tylko może pomóc nam zrozumieć, co się tu dzieje – powiedziała Lilian. – Nie wierzę ani w duchy, ani w demony, ale jeśli odkryjemy, że ci krzyczący mężczyźni nimi są, wtedy przynajmniej będziemy mogli zorganizować jakieś egzorcyzmy.

– Nigdy nie pojmę, dlaczego wojsko nie kazało zburzyć tego szpitala – mruknęła Brenda.

– Może sądzili, że to niczego nie zmieni – mruknął Moses. – Podobno czasami jest tak, że to nie same budynki są nawiedzone, a miejsca, na których stoją. Albo może minister obawiał się, że ktoś zapyta, dlaczego wyburzają zabytkowy budynek, a on nie wiedziałby, co na to odpowiedzieć. „Och, musieliśmy, bo straszły w nim duchy”.

– Chcecie jeszcze po drinku? – zapytała Lilian. – Bo ja sobie zamówię.

## Rozdział 17

Kilka minut po północy, mimo że podane mu wcześniej środki uspokajające powinny nadal działać, doktor Wells znowu zaczął krzyczeć.

Leżał sam w pokoju, ale gdy tylko dyżurująca na końcu korytarza pielęgniarka usłyszała krzyk, szybko włączyła kamerę monitoringu nad łóżkiem Wellsa i zobaczyła, że, targany drgawkami, rzuca się gwałtownie z boku na bok i szarpie za utrzymujące go w miejscu więzy.

Po wezwaniu rezydenta, który tej nocy miał dyżur, pobiegła do pokoju Wellsa. Kiedy otworzyła drzwi, rozchodzący się w sali krzyk był tak głośny, że poczuła się prawie tak, jakby wpadła na litą ścianę. Zakrywszy uszy dłońmi, podeszła do łóżka i żeby było ją słychać, zawołała na cały głos:

– Doktorze Wells! Doktorze Wells!

Nie zwrócił na nią uwagi, tylko dalej miotał się na łóżku; oczy miał wytrzeszczone, a usta otwierały się i zamykały jak u wyrzuconej na brzeg ryby. Wydawało się, że jest w stanie krzyczeć bez przerwy, bez nabierania oddechu.

Doktor Kummunduh, lekarz rezydent, wpadł do pokoju w fartuchu, którego nie zdążył jeszcze zapiąć. Był młody, z rzadkim ciemnym wąsikiem pod nosem i włosami, które sterczały pionowo w górę jak u szczotki do ubrań, miał już jednak wymagane kwalifikacje w zakresie leczenia bólu.

– To jakieś szaleństwo! – zawołała pielęgniarka. – On powinien być w śpiączce. Proszę spojrzeć... wciąż jest podłączony do kroplówki. Jak to możliwe, że się wybudził i tak strasznie krzyczy?

Lekarz pochylił się nad łóżkiem i chwycił Wellsa za ramiona, by przytrzymać go w miejscu.

– Doktorze Wells, proszę spróbować się uspokoić – powiedział stanowczo. – Jeśli jest pan w stanie, proszę powiedzieć, jak bardzo boli i gdzie! Czy słyszy pan, co do pana mówię? Zwiększę panu dawkę ketaminy, ale nie chcę ryzykować podniesienia ciśnienia krwi lub tętna! Bo już i tak są bardzo wysokie!

Wells wpatrywał się w młodego lekarza, choć zdawało się, że go nie widzi. I krzyczał dalej.

– Podam mu zastrzyk z hydromorfonu! – zwrócił się rezydent do pielęgniarki.  
– Mam nadzieję, że to doraźnie uśmierzy ból, a potem zobaczę, czy będziemy musieli odstawić ketaminę i podać mu coś mocniejszego!

Ledwo zdążył to powiedzieć, Wells niespodziewanie przestał krzyzczeć, opadł na łóżko i leżał sztywno i nieruchomo, z rękami wyciągniętymi płasko po bokach.

– Doktorze Wells? – zapytał ostrożnie młody lekarz, rozluźniając uścisk na ramionach pacjenta.

Doktor Wells popatrzył na niego i wyszeptał coś, co zabrzmiało jak „pół”.

– Czy nadal odczuwa pan ból, doktorze?

– Pół.

– Przepraszam, ale nie wiem, o co panu chodzi.

– Czy nadal będzie pan potrzebował hydromorfonu, doktorze? – spytała pielęgniarka rezydenta.

Wells, ciężko dysząc, zaciskał i rozwierał pięści, a jego nozdrza falowały mocno przy każdym oddechu. Z jakiegoś powodu w pokoju nagle dało się wyczuć silne napięcie i pielęgniarka z ostrożności zaczęła wolno odsuwać się od łóżka.

– Nie jestem... nie jestem pewien – odpowiedział Kummunduh. – Nie wiem, czy czuje ból, czy nie. Doktorze Wells? Słyszysz mnie pan? Czy nadal pana boli, doktorze?

– Pół – uparcie powtarzał Wells.

– Nie wiem, co stara mi się pan powiedzieć. Ból zmniejszył się o połowę? Czy o to chodzi?

Wells zamrugnął, a potem sięgnawszy rękami w górę, uczeplił się rękawa fartucha młodego lekarza.

– To... jest... puł... łapka – wydyszał w końcu.

– Pułapka? Nadal nie rozumiem. Co jest pułapką?

I w tym momencie Wells eksplodował. W pokoju rozległ się ogłuszający huk i pacjenta rozerwało – w powietrze uniosły się roztrzaskane kości, strzępy innych tkanek oraz pościeli i krew, po czym opadły jak deszcz. Głowa Wellsa, oderwana z szyi, uderzyła w barierkę na szczycie łóżka, a okrwawiona twarz zabłysła jak demoniczna maska. Jelita rozlały się na podłodze i zmieszały z krwią, tworząc śliską papkę. Oba ograniczniki po bokach łóżka spadły; ściany były zbryzgane strumieniami krwi.

Doktora Kummunduha odrzuciło w tył. W jego ustach z oderwaną żuchwą dziko majtał się język, obie gałki oczne pękły. Pielęgniarka była już prawie za drzwiami, ale ją też dopadł podmuch eksplozji i odrzucił na korytarz; uderzywszy głową w listwę przypodłogową, skręciła sobie kark.

Nastała chwila kompletnej, niczym niezmaconej ciszy, a potem rozdzwonił się alarm przeciwpożarowy i korytarz wypełnił się odgłosem biegnących stóp.

\* \* \*

W ciągu niespełna dwudziestu minut trzecie piętro szpitala Heliera zostało ewakuowane, a przed pokojem, w którym leżał doktor Wells, stłoczyło się sześciu policjantów w żółtych kamizelkach odbłaskowych, trzech techników kryminalistycznych w białych kombinezonach z polietylenu oraz czterech specjalistów od rozbijania bomb z Królewskiego Korpusu Logistycznego, wszyscy w beżowych kombinezonach przeciwodłamkowych.

Nieco ponad godzinę później dołączył do nich komisarz Routledge, nieuczesany i w swetrze nałożonym tyłem na przód. Przywitał go detektyw sierżant Woods, który wymieniał właśnie ostatnie uwagi z kapitanem ekipy saperów.

– A... cieszę się, że udało ci się dojechać, szefie – powiedział do Routledge'a.  
– Kapitan Forbes właśnie dał nam zgodę na wejście. Pokój jest czysty.

– Ale doszło tu do eksplozji, tak? – zapytał komisarz. – I zginął jakiś lekarz?

– Tak jest... doktor Wells. Leżał na tym piętrze, był leczony z powodu przewlekłego bólu. Lekarz dyżurny, który się nim zajmował, został poważnie ranny, a pielęgniarka ma skręcony kark.

– To co to było? Jakiś rodzaj zamachu terrorystycznego?

Kapitan Forbes pokręcił głową.

– Z tego, co udało nam się ustalić, w grę nie wchodził ładunek wybuchowy. W zasadzie nie potrafimy zrozumieć, co się stało z ciałem ofiary. Nie wykryliśmy żadnych typowych śladów wystąpienia ognia i spalenia najbliższych przedmiotów, co zwykle towarzyszy eksplozji, nie było też odłamków. W pokoju stoi butla z tlenem, ale jest nienaruszona.

– W środku są teraz technicy – oznajmił sierżant Woods. – Okropna tam jatka. Jeden z nich zwrócił kolację, kiedy to zobaczył.

– Przeszukaliśmy dokładnie wszystkie inne pomieszczenia na tym piętrze, łącznie z toaletami – ciągnął kapitan Forbes. – W żadnym nie natrafiliśmy na ślady ładunków wybuchowych, więc przekazałem pielęgniarkom, że można z powrotem sprowadzić pacjentów na górę.

Do kapitana dołączyli pozostali członkowie ekipy saperów; nieśli pod pachami hełmy przeciwołamkowe jak nurkowie głębinowi.

– No dobrze – rzucił kapitan. – W takim razie my znikamy. Ale będę bardzo zainteresowany tym, co odkryją technicy. W całej swojej karierze nie miałem do czynienia z przypadkiem spontanicznego wybuchu ludzkiego ciała. A właśnie na coś takiego mi to wygląda... na spontaniczny wybuch.

Kiedy ekipa saperów poczłapała do wyjścia, Woods ruchem głowy wskazał w stronę drzwi pokoju, w którym leżał Wells.

– Chcesz tam zajrzeć? – spytał komisarza.

– Zajrzę, ale za chwilę. – Routledge wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

– Nie dziwię ci się, szczerze mówiąc. Tam jest naprawdę niezły chlew.

– Wspominałeś przez telefon, że ten lekarz był powiązany z tą dziwną sprawą, której przyglądamy się w Filomenie.

– No tak, szefie, przede wszystkim właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem. Rozmawiałem z dyżurującą tu dziś pielęgniarką i powiedziała mi, że doktor Wells leczył tego faceta przywiezionego ze Świętej Filomeny. Tego, o którym wspominała pani Chesterfield... tego, co przez cały czas krzyczał z bólu. Gość wczoraj kojfnął... tak powiedziała ta pielęgniarka... a niemal w sekundę po jego

śmierci Wells zaczął krzyczeć tak samo jak on. Musieli go wprowadzić w śpiączkę, żeby nie cierpiał.

– Doktor Wells zaczął mieć te same bóle co ten zmarły facet? – Komisarz nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. – Jak to możliwe?

– Pielęgniarka mówiła, że żaden z lekarzy nie potrafił tego wyjaśnić. Prowadzili badania, robili mu testy, ale wybudził się jakąś godzinę temu i znowu zaczął krzyczeć, a kiedy lekarz z nocnego dyżuru przyszedł sprawdzić, co się dzieje, Wells wysadził się w powietrze.

– Jak, do cholery, ktoś może sam wysadzić się w powietrze?

– Pewnie lekarze sądowi do tego dojdą. Albo może i nie. Jeśli mam być szczerzy, nie zdziwiłbym się, gdyby im się nie udało. To znaczy... musisz przyznać, że ta sprawa z każdą sekundą robi się coraz bardziej pokręcona. Najpierw te zakopane kości. Potem biedny stary Quest, który ot tak robi się sztywny i odwala kitę. A teraz eksploduje lekarz. Tego, kurna, nawet jakby się chciało, nie dałoby się wymyślić.

Komisarz Routledge nie mówił nic przez dłuższą chwilę, tylko wpatrywał się w drzwi pokoju doktora Wellsa, wyraźnie usiłując zebrać odwagę na to, by wejść do środka.

W końcu pchnął drzwi. Wewnątrz pokój był intensywnie oświetlony czterema lampami ledowymi, żeby technicy kryminalistyczni mogli robić zdjęcia i pobierać próbki – światło było tak oślepiająco jasne, że Routledge musiał osłonić oczy ręką.

W swojej karierze widywał ludzi zadźganych, spalonych i zmiażdżonych w wypadkach samochodowych. Raz widział nawet gościa, który wpadł do prasy drukarskiej i którego tak wykręciło, że ledwie przypominał człowieka. Ale nigdy jeszcze nie widział czegoś tak makabrycznego jak rozsądzone ciało Wellsa. Jego żebra były roztrzaskane, płuca, wątroba i jelita zmieszane w krwistą błyszczącą płataninę, a penis i moszna wisały na tabliczce pacjenta na końcu łóżka jak zagubiona rękawiczka, którą ktoś przewiesił przez płot.

Dookoła wszystkie cztery ściany aż po sufit były obryzane krwią, odchodami oraz kleksami lepkich tkanek.

Routledge przywitał techników machnięciem dłoni, lecz ci, jeśli nawet to zauważyli, nie pokazali tego po sobie. Pozostał w pokoju jeszcze przez kilka

sekund, po czym wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Sierżant Woods patrzył na niego z zaciekawieniem, nic jednak nie mówił; czekał, aż komisarz pierwszy wyrazi swoje zdanie.

– Kurwa mać – rzucił Routledge i przyłożył rękę do żołądka, jakby się upewniał, że kolacja w nim pozostanie.

– Wiesz już, co miałem na myśli? – powiedział Woods. – Jak mówił kapitan Forbes, gdyby to była bomba, byłoby mnóstwo świadczących o tym śladów. Nawet do zdetonowania kawałka ce cztery potrzebny jest detonator albo spłonka. Podpalenie go zapalną dałoby tylko tyle, że spłonąłby jak drewno, ale by nie wybuchł.

– Tak, wiem, znam się co nieco na materiałach wybuchowych – odburknął komisarz kwaśno, naciskając pięścią na usta, by zdławić odruch wymiotny.

– To jaki jest teraz plan działania, szefie?

– Rutynowy. Sprawdzimy monitoring. Dowodów rzeczowych na to, że ktoś podłożył bombę w łóżku doktora Wellsa, może nie być, ale i tak musimy sprawdzić, czy do pokoju wchodził ktoś jeszcze poza upoważnionym personelem szpitala... albo ktoś, kto się przebrał za personel szpitala. Zejdź na dół do biura ochrony i poproś o nagrania z kamer z tego piętra z ostatnich ośmiu godzin.

W pobliżu pokoju doktora Wellsa korytarz był nadal odgradzony, ale na dalekim jego końcu pacjenci byli już wwożeni na wózkach do szpitalnych sal, w których poddawano ich intensywnej terapii.

– A co z tą kobietą, która została przywieziona ze Świętej Filomeny? – spytał komisarza Woods. – Tą, którą sparaliżowało? Może powinniśmy do niej zajrzeć?

– Nie bardzo wiem, po co. Ona nie miała takich samych objawów jak doktor Wells. Ale przypuszczam, że w sumie można. Powiem ci, że ta sprawa ma tyle sensu, co chińska układanka.

Woods podszedł do pielęgniarki z nocnej zmiany, która stała za taśmą policyjną, rozmawiając z dwoma policjantami. Była niską, przysadziłą kobietą o pulchnych policzkach i kędzierzawych rudych włosach. Woodsowi przywodziła na myśl Manczkinów z *Czarnoksiężnika z Oz*.

– Kobieta, którą leczycie – zwrócił się do niej – ze Świętej Filomeny, sparaliżowana... Czy istnieje możliwość, żebyśmy do niej zajrzeli i upewnili się, że nic jej nie jest?



– Charlene Thorndyke? Nie, to, niestety, nie jest możliwe. Pani Thorndyke zmarła wczoraj po południu.

– Zmarła?

– Niestety, tak. Nie znamy jeszcze przyczyny śmierci, lecz jej paraliż musiał być zakaźny, bo pielęgniarkę, która się nią opiekowała, też sparaliżowało.

– Co proszę? Ta kobieta zmarła, a kiedy to się stało, pielęgniarka dostała paraliżu? Czy to chce mi pani powiedzieć?

Podszedł do nich komisarz Routledge.

– Co się dzieje? Jakiś problem? – zapytał.

– Ta kobieta z Filomeny... ona też zmarła. A pielęgniarka, która wtedy przy niej była, dostała paraliżu, takiego samego jak ona. To prawie identyczna sytuacja jak ta z doktorem Wellsem. No... w pewnym sensie.

– Siostra O’Grady – wtrąciła pielęgniarka. – Uroczą dziewczyną, bardzo pracowitą. Była u nas niecały miesiąc. A skończyła z porażeniem spastycznym. Nie może ruszyć żadnym mięśniem. Nie może nawet mrugać. Jak na razie nie wiemy, czy paraliż został jej przekazany przez Charlene Thorndyke, ani jak to się mogło stać, jeśli tak rzeczywiście było. Byliśmy raczej pewni, że paraliżu Charlene Thorndyke nie wywołał wirus ani nie była to infekcja bakteryjna.

– Czy moglibyśmy ją zobaczyć? – spytał komisarz. – Po tym, co stało się z doktorem Wellsem, sądzę, że dobrze byłoby przydzielić jej kogoś do ochrony.

– Chyba nie myśli pan, że ktoś będzie próbował wysadzić w powietrze również i ją?

– Nie mam żadnych przesłanek, by sądzić, że ktokolwiek chciałby tę panią skrzywdzić – odpowiedział komisarz. – Ale tak naprawdę to nie mam też żadnych podstaw uważać, że doktor Wells padł ofiarą czegoś innego niż bardzo niezwykłego wypadku. Wolę jednak być ostrożny, niż potem żałować.

– No dobrze – zgodziła się pielęgniarka. – Powinni ją tu zaraz przywieźć z oddziału ratunkowego.

Gestem pokazała, żeby Routledge i Woods poszli za nią korytarzem. Kiedy skręcili za róg, dwóch sanitariuszy akurat wyprowadzało wózek szpitalny z windy. Gdy ich mijali, detektywi zobaczyli, że leży na nim starszy mężczyzna

z włosami przypominającymi na wpół zdmuchnięty puch dmuchawca. Pacjent spał z otwartymi ustami.

– Cierpliwości – rzuciła do nich pielęgniarka. – Na pewno wkrótce ją przywiozą.

Czekali więc. Routledge nieustannie przęłykał ślinę, bo do ust wciąż podchodziła mu żółć; obawiał się, że posiłek z wieczora jednak postanowi wrócić na powierzchnię, choćby nawet w szczątkowej formie. Szczęśliwie już po chwili drzwi windy rozsunęły się i na korytarz został wypchnięty kolejny wózek.

– O, oto i ona – ucieszyła się pielęgniarka.

Siostra O’Grady leżała na plecach w tej samej usztywnionej pozie, w jakiej widział ją doktor Latimer, i była przykryta cienkim białym kocem. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu, jakby była sklepowym manekinem, a ciemne włosy rozsypywały się na poduszce. Prowadzący wózek sanitariusz zapytał pielęgniarkę dyżurną:

– Do trzystadziewiątki z nią?

– Tak jest.

Sanitariusz ruszył z wózkiem przed siebie, a komisarz Routledge, sierżant Woods i pielęgniarka podążali tuż za nim.

– Czy to już ostatni pacjent? – spytała, zwracając się do sanitariusza.

– Został jeszcze jeden – odpowiedział mężczyzna. – Ta starsza kobitka, którą przywieźli z domu opieki Bethany Park, ta, która miała udar.

Już prawie dotarli do końca korytarza, gdy nagle Routledge zauważył, że spod wózka wydobywają się kłęby białego dymu.

– Hej, chwileczkę! Proszę się zatrzymać! – zawołał, łapiąc sanitariusza za ramię. Ten cofnął się o krok i w chwili, gdy to zrobił, spod wózka buchnął wielkimi kłębami tak gęsty dym, jakby pod spodem paliło się ognisko. Cuchnące cierpko opary w kilka sekund wypełniły cały korytarz.

Zanim ktorekolwiek z nich zdążyło zareagować lub pojąć, co się dzieje, wózek z leżącą na nim siostrą O’Grady zajął się ogniem. Cały płonął dziko, sycząc i plując iskrami niczym stos pogrzebowy.

– Gaśnica! – krzyknął Routledge, choć sanitariusz biegł już korytarzem po czerwonej gaśnicy piankową wiszącą na ścianie przy windach.

Trawiące wózek płomienie wznosiły się, prawie sięgając sufitu. Chcąc uratować z nich siostrę O'Grady, sierżant Woods próbował podejść do wózka, lecz żar był już tak wielki, że nie miał jak się zbliżyć. Osłaniając twarz obiema rękami, wycofał się.

A siostra O'Grady pośród płomieni, które zajęły już także jej włosy, nagle zaczęła się podnosić do pozycji siedzącej. Mimo że była sparaliżowana, jej ciało pod wpływem gorąca samo się wyginało, a kości trzeszczały, kiedy ulegała kremowaniu żywcem. Biedaczka nie była w stanie nawet krzyknąć, nie mogła zrobić nic poza wpatrywaniem się w nich poprzez płomienie; wyglądała zupełnie tak, jakby patrzyła na nich z samych czeluści piekieł.

Wymachując gaśnicą, przybiegł sanitariusz, było już jednak za późno. Siostra O'Grady opadła na płonący wózek, twarz miała poczerniałą, ramiona uniesione, w pozie, jaką przyjmują często ofiary poparzeń.

Sanitariusz spryskał pianą cały wózek i płomienie stopniowo przygasały. Korytarz zasnuty był dymem i fruującymi cząstkami popiołu. Wszędzie unosił się odór spalonego ciała.

Komisarz Routledge odwrócił się i spojrzał na sierżanta Woodsa oraz na stojącą obok niego pielęgniarkę. Policzki obojga były zaczerwienione od gorąca, a oczy załzawione.

Chciał ich zapytać, co tu się w ogóle wydarzyło i jak wózek mógł się z niczego zająć ogniem, lecz gdy tylko otworzył usta, jego żołądek zacisnął się i Routledge zwymiotował na wół strawioną irlandzką potrawkę na przód swojego płaszcza.

## Rozdział 18

Kiedy Lilian następnego dnia rano przyjechała do szpitala Filomeny, zastała tam Martina Slatera, który nożycami ogrodniczymi przycinał kłącza fioletowej wisterii obrastającej ganek.

Gdy do niego podeszła, opuścił nożyce i cofnął się, uśmiechając się tym swoim uśmieszkiem, który sprawiał, że za każdym razem, gdy go spotykała, myślała, że ogrodnik odkrył jakiś jej wstydlivy sekret, ale nie powie jaki.

– Ooo... widzę, że pan wrócił, panie Slater.

– Tak, wróciłem, bo uznałem, że trzeba przyciąć wisterię – odpowiedział z uśmiechem. – Zwykle robię to najpóźniej pod koniec lata.

– Trochę nieoczekiwanie zniknął pan ostatnio.

– Doprawdy? Pewnie musiałem mieć jakąś pilną sprawę do załatwienia. Od czasu do czasu miewam takie pilne sprawy. Ogrodnictwo to nie wszystko, czym się zajmuję.

– Ominęło pana moje odkrycie.

– A tak, domyśliłem się, że coś pani znalazła, bo dziś rano widziałem tam w dole namiot i taśmy policyjne wokół niego.

Lilian popatrzyła na mężczyznę, mrużąc oczy, ale jego twarz niczego nie zdradzała. Jedyne, czego Lilian była się w stanie dopatrzeć, to aury tajemniczości i nutki rozbawienia, jak gdyby bez względu na to, jak tragiczna okazywała się rzeczywistość, Slater zawsze potrafił zobaczyć w niej zabawną stronę.

– To były kości – poinformowała go. – Ludzkie kości. Właściwie cały szkielet, tylko że bez czaszki.

– No, no, proszę. Szkielet. Ale bez czaszki, mówi pani?

– Przypuszczam, że nie ma pan pojęcia, dlaczego te kości mogły zostać tam zakopane? Policja chciała z panem o nich porozmawiać, ale pan oczywiście zniknął, a ja nie mam jak się z panem skontaktować. Naprawdę powinien pan dać mi swój numer telefonu.

Slater nadal się do niej uśmiechał, ale nie odpowiedział, a po chwili wrócił do przycinania wisterii.

– Wiedział pan, że one tam są? – nie odpuszczała Lilian.

– Wiem coś na temat wisterii i wiem, że tak samo jest z ludźmi.

– O czym, na Boga, pan mówi?

– Im mocniej przycinamy wisterię, tym gęściej się rozrasta. Dlatego za każdym następnym razem trzeba ją przycinać jeszcze bardziej.

– Ja nie mówię o wisterii. Mówię o szkielecie, który znalazłam w lesie. Technik kryminalistyczny powiedział, że to był najprawdopodobniej mężczyzna.

– Skąd miałbym to wiedzieć. Nie mogłem wiedzieć, prawda?

– Co to znaczy, że nie mógł pan wiedzieć?

– Myśli pani, że te gałęzie, które obcinam, wiedzą, skąd pochodzą?

Lilian już chciała na niego warknąć, zdała sobie jednak sprawę, że ogrodnik się z nią bawi i że nigdy nie udzieli jej poważnej odpowiedzi.

– Niech mi pan zapisze swój numer, bardzo pana proszę. Poza tym, bardzo możliwe, że policja tu dziś wróci, więc jeśli wie pan coś o tym szkielecie, będzie pan mógł im o tym powiedzieć.

Slater nadal się uśmiechał i nadal przycinał wisterię – *ciach, ciach, ciach* – kiedy jednak Lilian weszła do środka i chciała zamknąć za sobą drzwi, zawołał za nią:

– Ci mężczyźni, o których pani mówiła, że ich widziała... Czy gliny znalazły po nich jakiś ślad?

– Nie, panie Slater, nie znalazły.

– Hm... Tak właśnie myślałem, że nie znajdą.

– Dlaczego tak pan myślał?

– Dlaczego tak myślałem? Dlatego, że niektóre rzeczy są tu, a niektóre tam, a to, na co się patrzy, nie zawsze jest tym, co się widzi.

– Będzie pan chciał, żebyśmy zapłacili panu za wykonanie tej pracy? – spytała go Lilian, celowo zmieniając temat. – A jeśli tak, to ile?

– Cokolwiek. Tyle, ile uzna pani za stosowne, proszę pani. Tyle, ile uzna pani za stosowne.

Lilian nic na to nie odpowiedziała; zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak mogła.

\* \* \*

Najpierw poszła do salonu i przez okno wyjrzała na ogród. Technicy kryminalistyczni już przyjechali i właśnie podnosili kłapę namiotu. Ku swemu zaskoczeniu, zobaczyła Martina Slatera idącego w ich kierunku. Wydawało się niemożliwe, żeby w mniej niż pół minuty zdążył obejść szpital, minąć korty tenisowe i werandę na tyłach i być już w połowie trawiastego zbocza, ale udało mu się to.

Obserwowała przez chwilę, jak rozmawia z dwójką techników. Ci podnieśli kłapę namiotu nieco wyżej, tak, żeby ogrodnik mógł zajrzeć do środka, ale kości oczywiście już tam nie było, bo zabrano je poprzedniego dnia. Zastanawiała się, o czym rozmawiają ze Slaterem, kiedy kiwali głowami z wielką powagą.

Zabrzączał jej telefon. Gdy wyjęła go z kieszeni kurtki, stwierdziła, że dzwoni David. Zmywarka zalała podłogę w jego kuchni, więc prawdopodobnie David będzie w stanie przyjechać dopiero przed przerwą na lunch.

Gdy tylko Lilian wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, znów zaczął brzęczeć. Tym razem dzwonił Tim.

– Tak, Tim? – rzuciła niecierpliwie, starając się mówić tonem wskazującym na to, że przerwał jej w środku czegoś ważnego.

– Słuchaj, Lilian... chciałem cię tylko przeprosić – powiedział ostrożnie.

– Nie musisz mnie przeproszać. Jedyne, co musisz, to znaleźć sobie jakąś pomoc.

– Wiem, wiem, znajdę. Obiecuję. Ale do tego czasu muszę opłacać czynsz.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– Przysięgam, Lil – ciągnął Tim. – Przysięgam na swój honor, że jak tylko dostanę nową pracę, oddam ci. Każdego pensa. Z odsetkami.

– Ile potrzebujesz?

– Trzysta pięćdziesiąt. Dostaniesz wszystko z powrotem, daję słowo. Słowo honoru.

– Honoru? Jakiego honoru?

– Och, daj spokój, Lil. Przecież powiedziałem, że przepraszam.

– Nadal masz to samo konto bankowe?

– Tak, ale nie wpłacaj pieniędzy do banku. Zabiorą je od razu na poczet długu. Wolałbym gotówkę. Przyjechałbym po nią po lunchu. Gdzie wtedy będziesz?

– No dobrze. Muszę nie mieć piątej klepki, ale dobrze. Przyjedź około trzeciej. Wyjmę gotówkę w przerwie na lunch. Będę w Filomenie.

– Jesteś wielka, Lil. Po tym, jak cię potraktowałem, miałabyś wszelkie prawo mnie spławić.

– Nawet nie wiesz, jak byłam tego bliska, Tim, uwierz mi.

Rozłączyła się i włożyła telefon do kieszeni. Kiedy ponownie wyjrzała przez drzwi tarasowe, po Martinie Slaterze nie było już śladu, a dwójka techników zniknęła w namiocie. Lilian miała bardzo dziwne wrażenie, że była świadkiem czegoś więcej niż tylko rozmowy trzech osób, że raczej oglądała tajemnicze przedstawienie, o niejasnym znaczeniu religijnym. W jednej minucie ta trójka tam była, a już w następnej zniknęła i jedyne, co zostało, to tańczące z wiatrem na trawie suche liście.

Opuściła salon i przeszła korytarzem do sali recepcyjnej. Kiedy zbliżała się do ciężkich dębowych drzwi pomieszczenia, poczuła, że jej serce zaczyna bić nieco szybciej, i zdała sobie sprawę, że boi się tego, co może na nią czekać po drugiej stronie. W szpitalu panowała prawie kompletna cisza, może oprócz sporadycznego grzechotu ram okiennych gdzieś na górze. Aż nagle... gdy już miała pchnąć drzwi, znów usłyszała to *ciach, ciach, ciach* nożyc Martina Slatera.

Mój Boże, pomyślała, czy on przybiegł z ogrodu?

Drzwi do sali recepcyjnej otworzyły się z przeciągłym i piskliwym skrzypieniem, jakby pod nimi był uwięziony szczur. Wraz ze wszystkimi innymi Lilian wyzierającymi z luster po obu stronach sali przeszła na jej środek. Oprócz niej nikogo tam nie było – tylko ona i jej odbicia. Żadnego z zielonych

krzyczących mężczyzn. A jednak, gdy się zatrzymała, wydało jej się, że słyszy nie tylko stukanie okien i trzaskanie nożyc Slatera, lecz także muzykę. Była tak cicha, że Lilian nie miała pewności, czy nie dochodzi z auta zaparkowanego na drodze poza terenem szpitala ani czy w ogóle ją słyszy. Pojawiała się i znikiała. Lilian odnosiła wrażenie, że brzmi jak muzyka z Bliskiego Wschodu – ta falująca, grana na lutniach dombra, wraz z charakterystycznym dudnieniem bębnow tabla.

– Gdzie się ukrywacie? – zapytała głośno. – Pokażcie się. Już was przecież widziałam, słyszałam wasze wrzaski. Gdzie jesteście?

Nie było żadnej odpowiedzi. Tylko stukot nożyc Slatera i grzechot okien. Muzyka też ucichła lub była tak daleko, że Lilian nie mogła już jej słyszeć.

– Myślicie pewnie, że mnie wystraszyście i porzucę ten projekt! – zawołała jeszcze głośniej. – Chyba że was zaskoczę! Kimkolwiek jesteście, nie zamierzam się poddać i zrezygnować, więc lepiej przyzwyczajajcie się do tej myśli!

Okrażała salę, przystając od czasu do czasu, by nasłuchiwać i bębnić palcami po oparciach porzuconych krzeseł niczym zniecierpliwiony nauczyciel.

Jeśli ci zieloni krzyczący mężczyźni są żywymi ludźmi, a nie holograficznymi obrazami żywych ludzi, to być może ukrywają się tu w jakimś schowku lub tajnym przejściu i są w stanie mnie słyszeć? – pomyślała.

I może w końcu do nich dotrze, że nie wierzę w duchy i nie są mnie w stanie przestraszyć i stąd wykurzyć?

„Tylko co, jeśli to jednak są duchy? – zapytał przebiegły głosik w tyle jej głowy. – Jak myślisz, dlaczego wojsko porzuciło ten szpital, nie podając żadnego wyjaśnienia? Jeśli to naprawdę są duchy, co wtedy zrobisz?”

W tym momencie usłyszała głośne brzdęknięcie dochodzące od strony kuchni. Wypadła z sali recepcyjnej i korytarzem przebiegła do holu, a następnie przez łukowate przejście z marmurowymi aniołkami. W kuchni zastała to co poprzednio, tylko że tym razem na podłodze leżały nie noże, a przybory kuchenne: tarki do sera, trzepaczki oraz szpatułki najróżniejszych rozmiarów.

Kuchnia i tym razem była pusta, zmywalnia również. Lilian zaczęła kopać leżące na podłodze przedmioty.

– Gdzie jesteście?! – wrzasnęła. – Wiem, że się gdzieś ukrywacie! Dlaczego nie macie odwagi wyjść i się ze mną zmierzyć, zamiast prowadzić te głupie,



dziecinne gierki?

Jeszcze raz kopnęła przybory kuchenne, po czym, sapiąc z wściekłości i frustracji, stanęła przy stole i napała na niego obiema rękami, jakby chciała wbić go w podłogę.

Wciąż ciężko dyszała, gdy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych.

– Znajdę was! – powiedziała głośno rozedrganym głosem. – Zapamiętajcie sobie moje słowa: ja was znajdę! A kiedy znajdę, pożałujecie, że zostaliście poczęci, a co dopiero, że się urodziliście!

Opuściła kuchnię i poszła otworzyć drzwi.

\* \* \*

To byli detektywi – komisarz Routledge i sierżant Woods – którym towarzyszyło trzech mundurowych oraz przewodnik psa policyjnego z dyszącym owczarkiem belgijskim u boku. Pies miał postawione uszy, jakby już wyczuwał, że w szpitalu kryje się coś podejrzanego.

– Dzień dobry, pani Chesterfield – przywitał się komisarz. – Dostaliśmy pozwolenie na podjęcie kolejnego przeszukania z użyciem psa tropiącego.

– A więc biedny Quest niczym się nie zatruł, tak? – zapytała Lilian.

– Nie, proszę pani. Został poddany gruntownej autopsji weterynaryjnej na Lamberth Road, ale w jego organizmie nie znaleziono śladów toksyn... żadnych. Przyczyna zgonu nie jest jeszcze do końca ustalona. Jakiegoś rodzaju udar, tak przypuszczają. Poprosiłem, żeby w pierwszej kolejności zbadali sprawę zatrucia, i zapewnili mnie, że na pewno nie zszedł z tego powodu.

– W takim razie zapraszam, wejdźcie do środka.

Komisarz Routledge zawahał się.

– Zanim zaczniemy przeszukiwanie, jestem zmuszony przekazać pani złe wieści – powiedział. – Oboje wasi mierniczy wczoraj zmarli... Alex Fowler i Charlene Thorndyke. Pomyślałem, że powinienem powiedzieć pani o tym osobiście.

– Już o tym wiem. Przyjechał tu wczoraj Moses Akinyemi i poinformował mnie o tym. To tragiczne. Powiedział też o doktorze Wellsie i pielęgniarce, która zajmowała się Charlene... jak nagle oboje dostali tego samego rodzaju objawów.

– Nie mamy na to żadnego wytłumaczenia. Ale w świetle tych wydarzeń bezzwłoczne przeszukanie tego budynku wydaje się tym bardziej istotne. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czego tak naprawdę szukamy. Ta sytuacja wydaje się ogromnie zagadkowa. Niemniej mam nadzieję, że zorientujemy się, co to jest, gdy już to znajdziemy. O ile znajdziemy.

Lilian zauważyła łysego technika kryminalistycznego idącego przez dziedziniec w stronę furgonetki i nagle przypomniała sobie o kościach. Rozejrzała się za Martinem Slaterem, ale nie było go już w pobliżu, nie przycinał wisterii, chociaż gałązki i fioletowe kwiaty, które odciął, nadal leżały rozrzucone na ziemi.

– Nasz ogrodnik... Martin Slater... ten, z którym chcieliście porozmawiać o szkielecie – powiedziała. – Był tu jeszcze kilka minut temu. Teraz pewnie przeniósł się już gdzieś na tyły budynku. Pójdę tam i może uda mi się go znaleźć i przyprowadzić.

– Przydałoby się. Po zakończeniu przeszukania chętnie zamienilibyśmy z nim kilka słów.

Lilian cofnęła się i otworzyła drzwi szerzej, tak by ekipa policyjna mogła wejść do środka. Do holu wkroczyli wszyscy z wyjątkiem psiego przewodnika. Ten stał i pociągając za smycz, zachęcał podopiecznego do wejścia.

– No chodź, Orion, na litość boską. Co się z tobą dzieje?

Ciągnął i ciągnął, lecz pies nie chciał się ruszyć z miejsca; uszy nadal miał postawione, a nogi sztywne jak kołki. Jego opiekun spróbował siłą przyciągnąć go w stronę ganku, lecz zwierzę zapierało się, jak mogło, buksując łapami w żwirze. Miało wybałuszone oczy, jakby było krańcowo przerażone.

Komisarz wrócił do drzwi i zawołał:

– No dawaj, Bernett! Nie mamy całego dnia!

– To Orion, szefie. Za cholerę nie chce się ruszyć! – odkrzyknął przewodnik.

– Co z nim nie tak? Postrasz go, że jeśli nie ruszy tyłka, nie dostanie swojego ulubionego smakołyka!

– Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał! Nie wiem, co mu się stało! – Przewodnik ponownie szarpnął za smycz, zagwizdał, a na koniec krzyknął: – No ruszaj się, ty nieposłuszny matole!

Ale po blisko pięciu kolejnych minutach krzyczenia i zachęcania przewodnik poddał się i cisnął smycz Oriona na ziemię.

– Nie da rady, szefie. Czegóż się boi, chociaż nie mam pojęcia czego. To nasz najodważniejszy pies. Jest posłuszny i łagodny jak baranek, ale kiedy każe mu ścigać przestępcę, rzuca się za nim jak bestia.

– To co go tak teraz wystraszyło? – zapytał Routledge.

– Mnie proszę o to nie pytać. Ale on ma cholernie dobry węch. Jeśli w jakimś pomieszczeniu jest jakiś łajdak, który chce zrobić coś brutalnego, Orion potrafi to wyczuć, zanim jeszcze gość to zrobi. Zaczyna wtedy warczeć i najeża się. Więc dlaczego tutaj sra tak po gaciach? Cóż, jeden Bóg może to wiedzieć.

Komisarz Routledge zastanawiał się chwilę, po czym zwrócił się do sierżanta Woodsa:

– Chyba będziemy musieli zmienić taktykę, Andy. W tym budynku ewidentnie jest coś, czego psy tropiące naprawdę nie lubią. Może to, co zabiło Questa. Tylko że bez psa przeszukanie nie ma większego sensu. Pani Chesterfield i jej kolega sprawdzali już cały budynek i niczego nie znaleźli.

– To co w takim razie szef proponuje? Tę całą termowizję?

Routledge kiwnął głową.

– Kamera na podczerwień przynajmniej nie padnie martwa ani nie odmówi wejścia do środka – powiedział. – A jeśli są tu jakieś tajne przejścia albo kryjówki, wykryje je. Badanie termowizyjne nie będzie tanie, zwłaszcza w budynku tej wielkości, ale w tych okolicznościach myślę, że mogą dać nam na nie zgodę.

– Ale nic z tego, co tu się dzieje, nie wyjdzie wtedy do wiadomości publicznej, prawda? – spytała zaniepokojona Lilian. – Chyba nie będziecie chcieli powiadamiać prasy o tym, co tu robicie?

– Cóż, zwykle jednak powiadamiamy media – odparł Routledge.

– Ale jeśli wieść o tym, czym się tu zajmujecie, do nich trafi, może to źle wpłynąć na nasz projekt. Może nawet trzeba będzie z niego zrezygnować lub co najmniej odłożyć na później. To kosztowałoby Downland fortunę.

Komisarz zamknął na chwilę oczy, jakby szukał w sobie siły na to, by odpowiedzieć spokojnie.

– Pani Chesterfield – odezwał się w końcu – w tym budynku mogło zdarzyć się coś, co bezpośrednio lub pośrednio doprowadziło do tego, że kilka osób straciło życie. W tej chwili moim najważniejszym zadaniem jest ustalenie, co to było i kto za to odpowiada. Jeśli pani pracodawca straci część zainwestowanych pieniędzy... Powiem szczerze, że zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Nie oczekiwałam, że będzie pana obchodziło – odparła zimno Lilian. – I nie chciałabym też, żeby pan myślał, że nie obchodzą mnie ludzie, którzy zmarli, bo tak nie jest. Obchodzą mnie oni, i to bardzo.

Miała już wyjaśnić, że jeśli jej firma będzie zmuszona zrezygnować z budowy Parku Filomeny, to ona prawdopodobnie straci pracę i całe jej życie się rozsypie, wyobraziła sobie jednak, jak bardzo samolubnie i histerycznie by to zabrzmiało, więc się powstrzymała.

– Pójdę poszukać Slatera – rzuciła.

– Dobrze, zaczekamy tu – zgodził się komisarz. – Tylko niech to nie trwa zbyt długo. Chcę wrócić do Reigate i załatwić badanie termowizyjne.

Lilian pospiesznie obeszła budynek szpitala. Slatera nie było przy kortach tenisowych, nie było go też w ogrodzie. Zeszła po trawiastym zboczku w dół, by sprawdzić, czy nie wrócił, żeby porozmawiać z technikami kryminalistycznymi, lecz już w połowie drogi zobaczyła, że ci się pakują i że Slatera z nimi nie ma.

Odwróciła się, wspięła na zboczce i weszła do budynku przez taras, po czym pospieszyła do drzwi frontowych. Komisarza Routledge'a zastała stojącego przy otwartych drzwiach samochodu, czekającego na nią z oczywistym zniecierpliwieniem. Była tak zdyszana, że ledwie łapała oddech.

– Przykro mi, ale znowu gdzieś sobie poszedł – wydyszała. – Prosiłam go, żeby dał mi numer telefonu, ale nie zrobił tego.

– No nic, trudno. – Komisarz zaczął się zbierać do odjazdu. – I tak czekamy na ustalenie, czyje to były szczątki. Niemniej byłbym wdzięczny, gdyby poprosiła go pani o numer albo spytała, jak moglibyśmy się z nim skontaktować... Oczywiście jeśli go pani spotka. Prawdopodobnie nie będzie miał nam nic użytecznego do powiedzenia, powinniśmy jednak sprawdzić wszystko, co się da. Och... i czy mógłbym dostać od pani plany szpitala, żebym mógł je przekazać technikom od termowizji?

Jakby chciała odpowiedzieć za Lilian, siedząca na szczycie jednego ze szpitalnych kominów wrona zaczęła ochryple krakać, a zaraz potem dołączyły do niej dwie inne.

## Rozdział 19

Po odjeździe policji Lilian wróciła do salonu i wyjrzała przez drzwi tarasowe, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się Martin Slater, ale ogród był pusty. Wiatr wzmagał się i na trawniku wirowało jeszcze więcej suchych liści.

Rozczarowana, przeszła do kuchni i zaczęła zbierać rozrzucone na podłodze szpatułki, trzepaczki i tarkę do sera. Nie wiedziała, po co zawraca sobie tym głowę, nadal jednak była oszołomiona i wytrącona z równowagi wiadomościami o śmierci Alexa i Charlie i musiała zająć głowę czymś całkowicie przyziemnym.

Wrzuciła ostatnią szpatułkę do szuflady, po czym wróciła do salonu i usiadła przy kominku. Wstrząsały nią dreszcze, choć w pokoju nie było zimno.

Mimo że była zdezorientowana i zaniepokojona wydarzeniami w szpitalu, nadal czuła, że nie może, ot tak, po prostu odejść ze Świętej Filomeny i nie wrócić tu. Krzyki, zakrwawione łóżko, dziwne twarze wyglądające przez okna... wszystko to przerażało ją wystarczająco, nawet jeszcze zanim Frank Willard przywołał tych strasznych zielonych ludzi, a wieść o śmierci Alexa i Charlie jeszcze bardziej ją zmroziła. Lecz świadomość, jak destrukcyjny wpływ na jej karierę będzie miało odejście, była tylko jednym z powodów, dla których uważała, że powinna zostać.

Nadal sądziła, że te przerażające incydenty to sprawa miejscowych działaczy, usiłujących wstrzymać przebudowę szpitala. A jeśli tak było, nie mogła dać tym ludziom wygrać i pozwolić, by to, co zrobili, uszło im płazem – zwłaszcza jeśli to oni odpowiadali za to, co stało się z Alexem i Charlie, bezpośrednio czy pośrednio.

Do tego, by zaczęła wierzyć, że szpital jest zamieszkały przez duchy lub inne nadnaturalne istoty, była jeszcze daleka droga. A nawet jeśli szpital był nawiedzony, to jak mogłaby zostawić tu te biedne dusze krzyczące bez końca

z bólu? To byłoby tak, jakby zobaczyła rannego psa leżącego przy drodze i odjechała, nie udzielwszy mu pomocy.

Z rozmyślań wyrwał ją odgłos trzaskających gdzieś na górze drzwi. Wstała więc i wyszła do holu.

– Halo?! – zawołała i nasłuchiwała, ale odpowiedzi nie było, choć ciche gwizdy przeciągu pod drzwiami brzmiały tak, jakby szpital oddychał.

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi frontowych i Lilian aż podskoczyła. Miała nadzieję, że to nie Tim, bo nie była jeszcze po gotówkę, którą chciał od niej pożyczyć. Kiedy poszła otworzyć, okazało się, że na ganku stoi Moses z niskim siwym mężczyzną w okularach bez oprawek.

– Znalazłem go – oznajmił Moses z uśmiechem. – Przedstawiam ci mojego starego znajomego Artioma Goroczowa. Jak się okazało, nie mieszkał zbyt daleko. Pomyślałem, że w Anglii może być tylko jeden Artiom Goroczow, więc go wygooglowałem, i oto i on. Prowadzą z żoną sklep z pamiątkami w Coulsdon.

Artiom również się uśmiechnął, odsłaniając usta pełne wyszczerbionych zębów, jakby miał w zwyczaju gryźć kawałki betonu.

– *Oczeń prijatno paznakomitsa*, szanowna pani – powiedział, zdejmując z dłoni ciasną brązową skórzaną rękawiczkę i wyciągając rękę. – Bardzo miło mi panią poznać.

– Zreferowałem Artiomowi to, co Frank i jego kolega mówili nam o „dahdahach” – wyjaśnił Moses. – A on twierdzi, że chyba wie, o co im mogło chodzić.

– Może wejdźmy do środka – zaproponowała Lilian. – Zaledwie dwadzieścia minut temu była tu policja.

– Pewnie przywieźli nowego psa tropiącego? – spytał Moses, gdy przechodzili do salonu.

– Tak, przywieźli i byli gotowi przeszukać budynek, ale dasz wiarę, że pies nie chciał tego zrobić? Absolutnie odmówił współpracy. Jego opiekun nie mógł wciągnąć go nawet na ganek.

– Naprawdę? Cóż, szczerze mówiąc, wcale się temu biednemu zwierzęciu nie dziwię. Opowiadałem Artiomowi o krzykach, które słyszeliśmy tu wczoraj, gdy Frank wezwał kolegów z wojska. Mówię „kolegów”, ale kto wie, co to były za

istoty. Słowo „straszne” jest zdecydowanie zbyt słabe na określenie tego, co się tutaj działo! Nie chcę być wulgarny i nie powiem, czego wszyscy przez te zjawy omal nie zrobiliśmy.

Lilian kiwnęła głową.

– Widziałam ich i słyszałam. Ale zupełnie nie mam pojęcia, co to tak naprawdę było. Nadal myślę, że to mogło być swoistego rodzaju złudzenie... jakiś trik. Przykro mi, że nie mogę wam zaoferować nic do picia, lecz jeśli chcecie, możemy skoczyć na kawę do pubu. Ja i tak muszę przejść się do banku.

Artiom krążył po salonie, wężąc, jakby był psem tropiącym.

– To miejsce ma jakąś dziwnie upiorną atmosferę – mruknął. – Kiedy Rosjanie coś podobnego wyczuwają w nieznanym domu, mówią, że mają *zutkoje czustwo*, okropne przecucie. Moi rodzice posiadali kiedyś daczę, w której miało się podobne odczucia... upiorne. Dowiedzieli się, że wiele lat wcześniej chłopak najpierw zadźgał tam na śmierć śpiących rodziców, a następnie wrzucił do pieca małą siostrę.

Moses patrzył przez drzwi tarasowe, przyglądając się nie tylko ogrodowi, lecz również własnemu przezroczystemu odbiciu, które wyglądało tak, jakby jego duch stał na zewnątrz i zaglądał do środka.

– To było takie dziwne, że zarówno Alex, jak i Charlie wiedzieli, kim jestem, mimo że nigdy wcześniej mnie nie spotkali – powiedział. – A Charlie mówiła do mnie Mingus, tak jak nazywali mnie w bazie Bastion. – Odwrócił się od okna. – Kiedy ostatni raz widziałem Alexa, mógłbym przysiąc, że przez kilka sekund wyglądał jak kapral Simons. I wydawało się, że nie ma nóg. Ale to musiało być tylko złudzenie. To, czego naoglądałem się w Afganistanie, wpłynęło na mnie bardziej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Uświadomiłem to sobie, dopiero kiedy wróciłem do domu i próbowałem żyć normalnie. Tylko że nie da się żyć normalnie po tym, jak doświadczyło się takich rzeczy, i nie ma sensu udawać, że się da.

– Tak, zgadzam się z tobą w zupełności w kwestii psychologicznych skutków brania udziału w wojnie – przyznał Artiom. – Ale te postacie w białych szatach, które, jak twierdzi twój weteran, widział w Musa Qala... Mam poważne obiekcje co do tego, że były to jedynie halucynacje wywołane stresem. Prawdopodobnie mogło to być coś więcej.



Lilian intrygował akcent mężczyzny. Bez wątpienia był Rosjaninem, jednak samogłoski przeciągał jak ktoś z angielskiej klasy wyższej.

– Ma pan na myśli te „dahdachy”? – zapytała.

– Tak. A powodem, dla którego kwestionuję, że te postacie były jedynie halucynacjami, jest to, że ich opis przedstawiony przez Moseśa dokładnie pasuje do starożytnych rysunków Da Dard Rohonah\*, jakie miałem okazję oglądać. W afgańskiej mitologii są nazywane Duchami Bólu. Białe szaty, czerwone oczy, które płoną jak rozżarzone węgle, i czarne włosy, sterczące w górę jak szczecina szczołki.

– No dobrze, ale co takiego te Duchy Bólu robią? – chciała wiedzieć Lilian.

– Pierwsza pisemna wzmianka o nich pojawia się po bitwie pod Peszawarem, która odbyła się dwudziestego siódmego listopada w roku tysiąc pierwszym. Ale istnieją rysunki, które je przedstawiają, powstałe wiele wieków wcześniej.

– Bitwa pod Peszawarem? Nie mogę powiedzieć, bym kiedykolwiek o takiej słyszała.

– Toczyła się między armią dynastii Ghaznawidów sułtana Mahmuda bin Sebuktigina a armią dynastii Hindu Shahi pod wodzą króla Jayapala – wyjaśnił Artiom. – To była ogromna bitwa o kontrolę nad terytorium zwanym wtedy Kabul Shahan. Choć Ghaznawidów było mniej, podobno walczyli jak wilki przeciwko stadu owiec. Odnieśli spektakularne zwycięstwo i wyróżnili w pień tysiące wojowników Jayapala. To była prawdziwa krwawa jatka. Według kilku historyków – kontynuował Rosjanin – Mahmud z Ghazni tego dnia nie tylko wygrał bitwę... Legenda głosi, że po jej zakończeniu pojawiły się Da Dard Rohonah, Duchy Bólu, które zadbały o to, aby Hindusi zostali ukarani na wieki i już nigdy nie próbowali najechać tych ziem.

– I jak te duchy to zrobiły? – zapytała Lilian.

– Da Dard Rohonah zawsze zaciekle chroniły swych świętych ziem przed najeźdźcami i niewiernymi. Rzekomo potrafią sprawiać, że każdy żołnierz wroga, który poniesie rany w bitwie, nigdy się z nich nie wyleczy. Tym sposobem ci żołnierze już nigdy nie są w stanie wrócić na pole walki. Po bitwie pod Peszawarem ranni z armii Jayapala doświadczali straszliwego bólu całymimi mięśiącami, wielu się zabiło, bo nie byli w stanie dłużej znośić niekończących się

męczarni. Sam Jayapala czuł się tak upokorzony porażką, że rzucił się na stos pogrzebowy i obrócił w popiół.

– Ale te Duchy Bólu... to tylko mit, prawda? – upewniła się Lilian. – Przecież nie mogą istnieć naprawdę. W Wielkiej Brytanii wierzyliśmy kiedyś, że za śmierć łożeczkową dzieci odpowiadają czarownice, a demony za to, że ludzie wpadają w obłąd, ale oczywiście to tylko przesady.

– Może to tylko mit – wtrącił Moses – ale Frank Willard był przekonany, że on i jego kompani z oddziału rzeczywiście je widzieli. I Frank opisał je dokładnie tak, jak wyglądają na starożytnych rycinach, o których mówił Artiom: w białych szatach, z czerwonymi oczami i sterzczącymi w górę czarnymi włosami. Skąd mógł to wiedzieć?

– Może widział te rysunki w jakiejś książce lub programie telewizyjnym – zasugerowała Lilian. – I... no cóż... może był pod wpływem jakiejś substancji.

– To możliwe – przyznał Moses. – W prowincji Helmand wśród naszych żołnierzy powszechne było zażywanie opium. A po opium oczywiście można widzieć rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

– Ach, ale to, co mnie interesuje, to przede wszystkim te krzyki, które tu słyszeliście – wtrącił Artiom. – Bo to brzmi zupełnie tak, jakbyście wciąż mieli tu żołnierzy, którzy zostali ranni w Afganistanie i nadal odczuwają ból... nawet jeśli nie samych żołnierzy, to przynajmniej ich emanację.

– Sama nawet sugerowałam, że to może być jakiś rodzaj rezonansu z przeszłości – powiedziała Lilian. – Ale nadal nie widzę, jak to wszystko mogłoby spowodować ból, który odczuwał Alex, czy paraliż Charlie.

Artiom pokiwał głową.

– Mam przyjaciela w Moskwie, który pracuje w Związku Weteranów z Afganistanu – oznajmił. – Sowietci wycofali się stamtąd w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, ale przyjaciel powiedział mi w ściślejszej tajemnicy, że prawie wszyscy weterani, którzy zostali tam ranni, po zakończeniu wojny nadal z powodu obrażeń odczuwali straszliwy ból. I wciąż go odczuwają, nawet do dziś.

– Przecież to się zdarzyło tak dawno temu. – Lilian nadal była sceptyczna.

– To prawda – zgodził się Artiom. – Niemniej nawet obecnie większość z nich musi być poddawana sedacji lub brać mocne środki przeciwbólowe, a setki

popęłniły samobójstwo, zupełnie jak ranni wojownicy Jayapala. A wie pani, ilu sowieckich żołnierzy zostało rannych w Afganistanie? Sześćdziesiąt tysięcy. Nasze wycofanie się z tego kraju było nie tylko jednorazowym zwycięstwem mudzahedinów... to było ponadczasowe zwycięstwo Da Dard Rohonah. Nie ma takiej możliwości, by Rosja kiedykolwiek jeszcze spróbowała najechać Afganistan.

– A więc uważa pan, że to, co dzieje się w szpitalu Filomeny... że to wszystko może mieć związek z Afganistanem? – zapytała Lilian.

Artiom skrzywił się.

– Nie da się tego stwierdzić na pewno – odparł. – Opowiadam pani o tych legendach tylko dlatego, że wydają się tak niezwykle podobne do tego, co dzieje się w tym szpitalu.

– Nie chcę wierzyć w żadną z tych rzeczy – oznajmiła Lilian, przysiadając na parapecie. – Nie wie pan nawet, jak bardzo tego nie chcę.

– Ciekawe, czy amerykańscy weterani z Afganistanu czują się podobnie, odkąd Amerykanie się stamtąd wycofali – mruknął Moses.

– Jest to więcej niż prawdopodobne – rzucił Artiom. – Ale Amerykanie zrobili taki bałagan ze swoim wycofaniem się stamtąd, że trudno byłoby to zweryfikować. Wątpię, czy kiedykolwiek będą gotowi przyznać, że cierpienia ich żołnierzy po tej kampanii będą się ciągnąć w nieskończoność. A przynajmniej dopóki wszyscy ranni nie popełnią samobójstwa lub nie pomrą ze starości. Inaczej jest w Rosji. U nas oficjalnym określeniem na trwałe skutki uczestnictwa w wojnie jest nazwa „syndrom afgański”.

\* \* \*

Pojechali wszyscy do Cock Inn, pospiesznie wbiegli do środka, bo właśnie zaczęło padać. Znaleźli stolik w kącie, usiedli przy nim i zamówili kawę i kanapki z soloną wołowiną. Deszcz stukał w okno, przy którym siedzieli, jakby ich podsłuchiwał.

Moses opowiedział Lilian, jak on i Artiom spotkali się w Londynie na przyjęciu z okazji wydania książki na temat walk w Afganistanie, pod tytułem *Sixty-Nine Degrees East*.

– Mieliśmy sobie tyle historii do przekazania – dodał. – Ale obaj zgodziliśmy się, że ani Rosja, ani Ameryka, ani Wielka Brytania nie powinny były nigdy interweniować w Afganistanie. Tysiące ludzi zginęło po obu stronach z powodu walki o kraj, którego nikt z nas nie rozumiał.

– Niemniej, jeśli chodzi o jego mitologię, to trzeba przyznać, że jest ogromnie fascynujący – zaznaczył Artiom. – Mają tam tak wiele legend o olbrzymach, trollach i dżinach.

– Po sposobie, w jaki opowiadał pan o Duchach Bólu, można wnioskować, że pan wierzy, że te legendy mówią prawdę – zauważyła Lilian. – Albo przynajmniej niektóre z nich.

– Wiele milionów ludzi wierzy w istnienie Boga, czyż nie? Nawet przy o wiele mniejszej liczbie dowodów. Ten wasz weteran... Jak mu tam? Frank! No więc Frank powiedział, że zarówno on, jak i jego koledzy widzieli Da Dard Rohonah. A jak wielu ludzi widziało Boga?

– Proszę... – odezwał się Moses z pełnymi ustami. – Czy moglibyśmy nie wdawać się w religijne kłótnie? Od razu dostaję od nich niestrawności.

– W żadnym wypadku nie miałem zamiaru cię denerwować. No ale mimo wszystko ten wasz Alex doświadczał straszliwego bólu, który nie chciał ustąpić, prawda? I wyglądało to tak, jakby został mu zadany przez Da Dard Rohonah. No i ta młoda kobieta, która została sparaliżowana.

– Ona raczej nie odczuwała bólu – zauważyła Lilian. – Nie mogła jedynie się poruszyć.

– Tak mi mówił Moses. Tak się jednak składa, że w mitach afgańskich jest mowa o pewnym dżinie zwanym Al Kaboos, który może człowieka całkowicie sparaliżować. Najczęściej robi to, kiedy ten śpi, ale krążyły opowieści o tym, że paraliżował ludzi, gdy nie spali, w samym środku spożywania posiłku lub podczas pracy w polu przy zbieraniu maku, a nawet podczas stosunku. Jeśli powie się lub zrobi coś, czego Al Kaboos nie pochwała, może człowieka sparaliżować na całą resztę życia lub do czasu, aż wybląga się u niego przebaczenie.

Lilian wolno pokręciła głową.

– Nawet jeśli udałoby się panu sprawić, że uwierzyłabym w duchy i dżiny, nadal trudno byłoby mi uwierzyć, że mogą być również i tutaj, w Anglii,

i uprzykrzać mi życie.

– Dlaczego uważa pani, że to aż tak nieprawdopodobne? – zapytał Artiom. – Potrafi pani wyobrazić sobie, jak czuli się Afgańczycy, gdy byli stale najeżdżani przez obce siły? Dlaczego pani sądzi, że nie próbowaliby zagwarantować sobie, żeby to się już nigdy nie powtórzyło? Jeśli moje doświadczenia czegoś mnie nauczyły, to tego, że nie da się narzucić swojego sposobu życia innym, nieważne, jak bardzo nie akceptuje się czyjejś kultury lub religii. Wcześniej czy później to, co się komuś zrobiło, wraca do człowieka, żeby go prześladować.

– Ta rozmowa staje się dla mnie zbyt filozoficzna – jęknęła Lilian. – Poza tym muszę iść i wypłacić trochę gotówki.

\* \* \*

Kiedy wróciła z banku, Tim czekał już na nią przed Świętą Filomeną. Jedna strona kołnierza jego płaszcza była podniesiona, sznurówki w butach – rozwiązane. Białka oczu miał zabarwione na żółto, jakby chorował na żółtaczkę.

– Naprawdę to doceniam, Lil. Nawet nie wiesz jak bardzo. Byłem o włos od wylądowania na ulicy.

– Wejdz do środka i dam ci tę kasę.

Tim wszedł za nią do holu.

– Przysięgam, że oddam ci, jak tylko dostanę pieniądze z zasiłku.

– To akt dobroczynności, Tim, a nie pożyczka. Dałabym te pieniądze każdemu, komu groziłoby spanie na ulicy.

Postawiła torebkę na stoliku w holu, otworzyła ją i wyjęła kopertę pełną gotówki. Oprócz pieniędzy dla byłego męża wzięła z banku również sto funtów dla siebie, odliczyła więc z całości trzysta pięćdziesiąt funtów dla Tima, który w tym czasie rozglądał się po holu.

– Niezła miejscówka – mruknął z uznaniem. – Chociaż nie wiem, czy chciałbym w czymś takim mieszkać. Raczej trudno to wewnątrz nazwać przytulnym.

– Kiedyś był to dom prywatny, a następnie szpital i nadal trochę to wygląda i pachnie jak szpital. Zaczekaj tylko, aż Downland tu skończy. Nie uwierzysz, ale ten hol będzie w przyszłości czymś krytym basenem.

Wsunęła banknoty z powrotem do koperty i podała ją byłemu mężowi.

– Jesteś wielka, Lil. Naprawdę. Mogę dać ci całusa?

– Wolałabym nie. Jak powiedziałam, to akt miłosierdzia, a nasze dni dawania sobie całusów dawno minęły.

W tym momencie usłyszała chrzęst kół podjeżdżającego po żwirze samochodu i kilka sekund później rozległo się pukanie do drzwi. To ponownie był Moses; wyglądał na mocno przybitego.

– Moses? – zdziwiła się Lilian. – Co się stało?

– Złe wieści. Byłem w drodze do domu, gdy usłyszałem je przez radio. W szpitalu Heliera była eksplozja i zginął w niej lekarz. Zginęła też tamtejsza pielęgniarka, w pożarze. Nie ma jeszcze wyjaśnienia ani wybuchu, ani pożaru i nie wiadomo, czy były ze sobą powiązane. Ale lekarz, który zginął, to doktor Robert Wells, ten, który zajmował się Alexem Fowlerem.

– O mój Boże – jęknęła Lilian. – To musiało być to, o czym mówił komisarz Routledge. Powiedział, że coś złego wydarzyło się po tym, jak Alex i Charlie zmarli, ale nie chciał mi powiedzieć, co to było. Och... – Zorientowała się, że mężczyźni się nie znają. – To Tim, mój były mąż. Tim, poznaj kapitana Mosesa Akinyemiego.

– Miło mi – rzucił Tim, salutując.

Moses odwzajemnił salut, po czym ponownie zwrócił się do Lilian:

– Uznałem, że powinienem wrócić i poinformować cię o tym, w razie gdybyś jeszcze nie słyszała. Próbuję ci powiedzieć, że... Czy nie uważasz, że sama możesz być w niebezpieczeństwie, jeśli postanowisz tu nadal pracować... w Filomenie?

– Nie do końca widzę, jak śmierć doktora Wellsa w szpitalu może mieć związek z tym, co działo się tutaj.

– Szczerze mówiąc, ja niby też nie, ale mimo wszystko odnoszę dziwne wrażenie, że te zdarzenia są trochę jak części układanki. Najpierw Alex, który prawie umarł z bólu, kiedy tu był, i który potem rzeczywiście umarł, później doktor Wells. I Charlene, którą sparaliżowało, gdy tu była, i która też potem zmarła. Ty widziałas te istoty przez noktowizor Franka, a my wszyscy

słyszeliśmy ich krzyki. A teraz Artiom powiedział nam o Da Dard Rohonah i o tym, który sprawia, że ludzi paraliżuje we śnie.

– Sama już nie wiem. – Lilian westchnęła. – To wszystko wydaje się takie pogmatwane. Niektóre rzeczy są prawdziwe, jak Alex i Charlie, a niektóre... jak wyjęte z jakichś bajek, jak te „dadachy” i dżiny.

Tymczasem Tim przeszedł do okna w odległym krańcu holu i wyjrzał przez nie na ogród. Potem podszedł do zwieńczonego łukiem przejścia prowadzącego do kuchni, nad którym czuwały wyszczerbione posążki aniołków.

– Jeśli istnieje jakiś związek między śmiercią doktora Wellsa i Alexa i Charlene – powiedział Moses – to czy nie jest możliwe, że może to mieć też jakiś związek z tym, co widzieliśmy i słyszeliśmy tutaj, w Świętej Filomenie? Może to jednak nie byli miejscowi aktywiści?

– Chyba nie myślisz serio, że to były duchy? Albo dżiny? Albo jakieś inne nadprzyrodzone istoty?

– Tego nie powiedziałem. To, że ludzie opowiadają historie o duchach, dżinach i tym podobnych, nie znaczy jeszcze, że z czymś takim mamy do czynienia tutaj. Jak już wspominałem, to może być jakąś nieznaną nam formą energii. Albert Einstein podkreślał, że wszyscy składamy się właśnie z energii. I jak sama sugerowałaś, to może być jakiś rodzaj rezonansu, jak to upiorne wrażenie w domu, w którym mieszkali rodzice Atrioma. Generalnie chcę tylko powiedzieć, że może byłoby bezpieczniej, gdybyś przez jakiś czas trzymała się z daleka od Filomeny. Przynajmniej dopóki policja nie przeprowadzi tu badań. Bądźmy realistami. Jeden z ich psów tropiących zdechł, a drugi był zbyt przerażony, żeby tu wejść, więc kto wie, co policja może tu znaleźć?

Lilian spojrzała przez hol na ponury portret sir Edmonda Carvera. Czcigodny były właściciel Świętej Filomeny wyglądał dziś na bardziej znużonego niż zwykle.

– To prawda, że przechodzą mnie ciarki, gdy tu jestem, Moses – przyznała Lilian. – Zwłaszcza gdy jestem sama. Tylko jaki sens miałyby moja ucieczka? Jeśli ucieknę, nigdy nie odkryję, kto tu tak krzyczy i szepcze, i nie dowiem się, czy ci ludzie, których tu widzimy, są prawdziwi czy nie. A jeśli się tego nie dowiem, nie będę mogła tego zatrzymać, prawda? A jeśli nie położę temu kresu, stracę prawdopodobnie pracę i w kręgach deweloperskich zyskam reputację

histeryczki, która myślała, że szpital Filomeny jest nawiedzony. Tak, jasne, tu się dzieje coś bardzo dziwnego, ale... nie spocznę, dopóki nie dowiem się, co to tak naprawdę jest.

– Doskonale to rozumiem – odparł Moses. – Mimo to nadal uważam, że postąpiłabyś rozsądniej, gdybyś zaczekała, aż policja dokładnie przeszuka budynek. I mówię to jako ktoś, kto służył w strefie wojennej.

– Cóż, dzięki za radę i doceniam twoją troskę. Naprawdę ją doceniam. Ale teraz... mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Muszę sprawdzić, czy mój szef jest w stanie znaleźć jeszcze jednego mierniczego. Poza tym zostało mi kilka naprawdę skomplikowanych planów, nad którymi muszę jeszcze popracować.

– Bardzo z ciebie zdeterminowana kobieta.

– Chyba raczej uparta, ale jak wolisz.

– No dobrze – rzucił Moses. – Dasz mi znać, gdy tylko policja przeprowadzi badania? I zanim wyjdę, chyba powinienem się jeszcze pożegnać z twoim byłym mężem.

– Tim! – zawołała Lilian. – Moses już wychodzi!

Czekali, ale od strony łukowatego przejścia nie nadeszła żadna odpowiedź.

– Tim! – zawołała Lilian ponownie, lecz odpowiedzi nadal nie było.

– Musiał wyjść, a myśmy tego nie zauważyli – mruknął Moses.

– Wcale bym się nie zdziwiła. W najmniejszym stopniu. Czasami, gdy chodziliśmy na przyjęcia i nie spodobali mu się goście, po prostu znikał, nie mówiąc nikomu, że wychodzi... nawet mnie.

Moses podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Zanim jednak zrobił krok na zewnątrz, odwrócił się do Lilian.

– Proszę, mówię poważnie. Powinnaś być bardzo ostrożna, gdy tu jesteś. Po tych krzykach, które słyszeliśmy, ja na pewno bym tu nie został. Poza tym, nadal jestem wstrząśnięty tym, co stało się z doktorem Wellsem. Spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co tam zaszło, i dam ci znać.

– Dzięki, Moses.

– Wiesz co? Po tym, czego byłem świadkiem za czasów służby w wojskowym korpusie medycznym, naprawdę trudno mi jest uwierzyć, że świat nadal uważa wojnę za coś tak oczywistego. Politycy podejmują głupie decyzje,



które prowadzą do cierpień i śmierci na skalę prawie niemożliwą do wyobrażenia, ale tylko wzruszamy ramionami i wzdychamy: „Och, jakie to straszne”.

– Masz rację. Tylko czy naprawdę sądzisz, że świat kiedykolwiek się zmieni?

– Nie chodzi mi tylko o te miliony niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, które są zabijane. Sam mam wciąż koszmary... są dziesiątki tysięcy żołnierzy, którzy już do końca życia będą cierpieć psychiczne i fizyczne tortury. I w imię czego? Po co?

– Nie wiem, Moses. Nie ma na to chyba sensownej odpowiedzi.

Lilian rozejrzała się po dziedzińcu.

– Nie widzę samochodu Tima, więc chyba musiał już pojechać. Chociaż nie pamiętam, czy w ogóle widziałam tu wcześniej jego samochód.

Moses podniósł rękę.

– No dobrze, naprawdę muszę już lecieć. A ty uważaj na siebie, Lilian. Mamy w Nigerii takie powiedzenie: *Ijàpá kì í kúrò ní ilé rè· nìtorí èrù n' bà á*. To znaczy: „żółw nigdy nie opuszcza swojego domu, ponieważ się boi”. Ja jednak głęboko wierzę, że powinnaś pomyśleć o zrobieniu czegoś odwrotnego. Opuść ten dom i wróć tu dopiero wtedy, gdy będziesz pewna, że jest bezpieczny.

\* \* \*

Lilian zamknęła drzwi i wróciła do holu.

– Tim! – zawołała. – Jesteś tu jeszcze? Tim?!

Nadal nie słyszała odpowiedzi, przeszła więc przez łukowe przejście do kuchni.

– Tim?

Kuchnia była pusta i cicha.

A niech go szlag! – pomyślała ze złością. Niech go wszyscy diabli! I on się zastanawia, dlaczego go zostawiłam? Dałam mu kasę, mimo że wiem, że mi jej nigdy nie zwróci, a on nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby przyjść i się pożegnać!

---

\* Rohonah (lub Rohina) to postać występująca w mitologii afgańskiej, która jest uważana za bóstwo opiekuńcze chroniące swoich wyznawców przed złem i zapewniające im szczęście oraz dobre zdrowie, i symbolicznie reprezentuje słońce. Dah-dah natomiast to Demony Bólu lub

Duchy Bólu, postacie występujące w wierzeniach i folklorze afgańskim, zwłaszcza u plemion pasterskich. Według tych wierzeń dah-dah to złe duchy, które powodują ból fizyczny i choroby.

## Rozdział 20

Marion Crosby była na górze i zmieniała pościel, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

– Michael! – zawołała z półpiętra. – Mógłbyś zobaczyć, kto przyszedł, proszę?

– Już idę! – odrzyknął Michael.

Pokuśtykał do przedpokoju i otworzył drzwi. Przed progiem stał wysoki mężczyzna z kasztanowymi włosami, w beżowej skórzanej kamizelce; uśmiechał się, jakby znał Michaela, ale nie widział go od miesiący.

– Tak?

– Szukam Franka – odpowiedział mężczyzna. – Franka Willarda. Zastałem go?

– Możliwe, że tak. A z czym pan przychodzi?

– Chcę z nim zamienić słówko. Można by to nazwać nadrabianiem zaległości.

– Pan też tam był? W Afganistanie? – zapytał Michael.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął, na krótko zamykając oczy, jakby wspominał jakąś przyjemną chwilę.

– Kto przyszedł?! – zawołała z góry Marion.

– Stary znajomy Franka. Mówi, że wpadł na krótką pogawędkę.

– Ach, w takim razie poprosz go, żeby zdjął buty, jeśli nie ma nic przeciwko – odrzyknęła Marion.

Mężczyzna w skórzanej kamizelce wszedł do sieni i ściągnął zielone gumowce. Nie miał skarpetek, a paznokcie u nóg były postrzępione, jakby raczej je wyskubywał, niż przycinał cążkami.

– Frank jest tam – powiedział Michael i poprowadził przybysza do salonu. – Frank, chłopie! Wyobraź sobie, że masz gościa!

Frank siedział w salonie sam, ponieważ pozostali trzej weterani pojechali do szpitala w Epsom na cotygodniową fizjoterapię. Pił herbatę, pogryzając herbatnika, i oglądał powtórkę meczu piłkarskiego z poprzedniego dnia, Chelsea kontra Everton. Spojrzał w górę i zamrugał na widok mężczyzny w beżowej skórzanej kamizelce, nie wykonał jednak żadnego ruchu, by przyciszyć telewizor.

Nieznajomy wyciągnął rękę.

– Jak się masz, Frank? Jak się trzymasz?

– Czy ja cię znam? – odparł na to Frank.

Mężczyzna przysunął sobie fotel i usiadł obok niego.

– Czy mnie znasz? No chyba, że tak. Może wyglądam inaczej niż wtedy, kiedy widziałeś mnie po raz pierwszy, ale ty też się zmieniłeś. Wyglądasz co najmniej dwadzieścia lat starzej. Mam nadzieję, że nie obrazisz się, że to mówię.

– Och, wielkie dzięki za komplement. Ale strata połowy pieprzonego biodra raczej nie pomaga człowiekowi w utrzymaniu młodzieńczego wyglądu.

Mężczyzna nachylił się do Franka i nic nie mówiąc, wpatrywał się w niego przez ponad dwadzieścia sekund. W meczu nastąpiła przerwa na reklamy, więc Frank podniósł pilota i wyłączył dźwięk.

– Nie pamiętasz mnie, co? – rzucił mężczyzna.

– Jest piosenka z takim tytułem – mruknął Michael.

Frank wolno pokręcił głową.

– Nie, szczerze mówiąc, nie pamiętam. Ale po tym, jak trafiłem na minę, nie pamiętam całej masy różnych rzeczy. To człowiekowi rozwala mózgowicę... taki poważny uraz... i ciało też.

– Widziałem cię w Musa Qala, Frank – powiedział nieznajomy. – Widziałem cię w Kandaharze i widziałem cię w Kabulu.

– Serio? Z jakim pułkiem tam byłeś?

– Och, nie byłem z żadnym pułkiem.

– To co tam robiłeś? Chyba nie byłeś z prasy, co? – drążył Frank. – Nie wyglądasz na reportera.

Mężczyzna uśmiechnął się, niemal z czułością, wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Franka.

– Byłem tam, żeby dopilnować, byś został ukarany za wtargnięcie do mojego kraju – powiedział. – I nie ukarany tylko ten jeden raz, ale na zawsze.

Frank wyszarpnął ramię i wbił w mężczyznę spojrzenie wodnisto mlecznych oczu, których źrenice wyglądały jak dwa czarne łebki od szpilki.

– Co to znaczy „twojego kraju”? Nie jesteś chyba talibem, co? Czy może jesteś?

– Jestem strażnikiem moich ziem, gór i równin, rzek i jezior, i wszystkich, którzy tam żyją. I strzegę ich dłużej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. To jest nasza ziemia, nie wasza, i nie wolno pozwolić, byście kiedykolwiek o tym zapomnieli.

– Wiesz co, koleś – warknął Frank. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym gadasz. Rozumiesz, o czym on bredzi, Michael?

Michael oderwał wzrok od iPhone’a, w którym coś przeglądał.

– Ani w ząb, Frank. Chociaż prawdę mówiąc, nie za bardzo go słuchałem.

Frank odwrócił się do nieznajomego.

– Nie wiem, kim jesteś, kolego, ani dlaczego tu przyszedłeś i wciskasz mi tę drętwą gadkę, ale gdybym był tobą, zamknąłbym dziób i sobie poszedł. I to szybko.

Mężczyzna nadal uśmiechał się łagodnie i z jakiegoś powodu wydawało się to bardziej przerażające, niż gdyby się wściekał.

– Wywołałeś zamieszanie, Frank – powiedział. – To, że przychodziłeś do szpitala, odwiedzać starych kumpli z wojska, to nic takiego. To tak, jakbyś odwiedzał kumpli w więzieniu. Nic złego się od tego nie stało. Ale potem przyszedłeś i przyprowadziłeś ze sobą tych innych... I pozwoliłeś im zobaczyć swoich przyjaciół z armii...

– No i co z tego? Co tobie do tego?

– Frank... wiesz równie dobrze jak ja, że ci ludzie zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby wyzwolić twoich koleżków. Nie mogę na to pozwolić. Twoi przyjaciele muszą odsiedzieć wyrok, a to jest wyrok na wieczność.

Frank podniósł pilota do telewizora i powiedział:

– Słuchaj, stary... nadal nie mam najmniejszego pieprzonego pojęcia, o czym gadasz, a jak widzisz, próbuję tu oglądać futbol. Jeśli się stąd w sekundę nie wyniesiesz, zawołam panią Crosby, żeby tu zeszła, a jeśli nie posłuchasz jej, może wezwać gliny.

Mężczyzna siedział jeszcze przez dłuższą chwilę, jakby próbował przypomnieć sobie coś, co mu wyleciało z pamięci. Potem wstał i wyciągnął rozprostowaną prawą dłoń; zawisła około dziesięciu centymetrów nad głową Franka.

– *Khwdey de pa tandar owaha!* – wymamrotał groźnie brzmiącym szeptem. – *Khwar au zar shay!*

Frank z irytacją uchylił głowę na bok i odepchnął od siebie rękę mężczyzny.

– Zamknij tę swoją jadaczkę, ty cholerny świrze, i wynocha stąd!

Mężczyzna odwrócił się bez słowa, opuścił salon i w holu wziął kalosze.

– Wyprowadź go, Michael, dobrze? – poprosił Frank.

Michael poszedł za mężczyzną. Ten nawet nie próbował zakładać kaloszy. Otworzył sobie drzwi wejściowe i wyszedł na ganek boso, buty trzymając w ręce.

Michael podszedł do drzwi i zawołał za nim:

– Tylko nie próbuj tu wracać, słyszysz mnie?!

Ale jakimś cudem mężczyzna już zniknął. Brama z pięcioma sztachetami była nadal zamknięta i nie było widać, żeby mężczyzna odchodził Tumber Street, ale nigdzie go nie było.

– Miałeś rację, Frank – rzucił Michael, gdy po zamknięciu drzwi wrócił do salonu. – To był jakiś pieprzony czubek, bez dwóch zdań. Przykro mi, że go wpuściłem.

Frank wycelował pilotem w telewizor, żeby włączyć dźwięk. Komentator z podekscytowaniem krzyczał: „Tak! Tak! Niebiescy zasłużenie prowadzą dzięki tej dobrze strzelonej bramce”. I w tym samym momencie Frank eksplodował.

Huk nie był głośniejszy od odgłosu pękającej plastikowej torby, mimo to bordowy szlafrok Franka był porozrywany na strzępy. Wystrzelone z pękniętej na pół klatki piersiowej, wyszczerzonej jak otwarte okiennice podwójnego okna, serce, płuca i wątroba rozbrzyły się na ekranie telewizora. Oderwana od karku

głowa spadła za fotel, a jelita, ześliznąwszy się między nogami, utworzyły na dywanie mazistą lśniąca pryzmę.

Tapety na ścianach spłynęły krwią i koronkowymi pasmami skóry Franka, a firanki w oknie przy fotelu zmieniły kolor na bordowy.

Michael, z ustami wciąż otwartymi, bo właśnie zamierzał zapytać Franka o wynik meczu, stał i w całkowitym oszołomieniu wpatrywał się w makabryczne szczątki kolegi. Przeżegnał się, po czym osunął na kolana, nie będąc w stanie wołać o pomoc, nie mógł bowiem wydobyć z siebie głosu. Czuł się tak, jakby znów był w Afganistanie, w chwili, gdy jego szakał wjechał na ładunek wybuchowy, a on tak mocno walnął głową w zbrojone poszycie, że potem przez prawie miesiąc był nieprzytomny.

Marion zawołała z półpiętra:

– Frank? Co to był za hałas? – I po chwili: – Frank? Co tam się dzieje?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, zbiegła pospiesznie na dół i weszła do salonu. Z początku nie potrafiła zrozumieć, na co patrzy, potem położyła rękę na ramieniu klęczącego podopiecznego i powiedziała:

– Mój Boże, Michael. Co tu się stało?

Tylko potrząsał głową i wydawał zduszone dźwięki z głębi krtani.

Wpatrując się z przerażeniem w szczątki, Marion podeszła do nich, a potem odwróciła się, wyszła szybko z salonu, pobiegła do toalety i zwymiotowała do umywalki wędzone śledzie, które zjadła na śniadanie.

\* \* \*

Robiło się już ciemno, gdy kapitan Forbes, ściągając nitrylowe rękawiczki, wyszedł frontowymi drzwiami z domu Marion Crosby.

Na całej Tumber Street migały niebieskie światła alarmowe wozów policyjnych i karetki. Zespół techników kryminalistycznych, który właśnie dojechał, rozstawiał w ogródku lampy ledowe, choć do domu mieli wejść dopiero wtedy, gdy oddział zajmujący się utylizacją materiałów wybuchowych da im znać, że teren jest czysty.

– I co? – spytał komisarz Routledge, gdy podszedł do niego kapitan Forbes z Królewskiego Korpusu Logistycznego. – Tylko nie mów mi, że to ten sam

modus operandi, co w przypadku tego lekarza z Heliera.

– Niestety, tak to właśnie wygląda, Barry – odpowiedział Forbes. – Wyszadziło go w powietrze, ale nie ma żadnych pozostałości po ładunku wybuchowym. Nawet semtexu czy ce cztery. Naprawdę nie mamy pojęcia, jak można by to ugryźć.

– Mówisz poważnie, że nie masz żadnego pomysłu na to, jak mógł zostać zabity?

Kapitan Forbes skrzywił się.

– To dla mnie całkowita zagadka. Rozważaliśmy nawet to, że ktoś mógł ofierze wetknąć do ust wąż z powietrzem pod wysokim ciśnieniem, ale po prostu nie ma mowy, żeby ktoś mógł to zrobić i usunąć wąż bez pozostawienia śladów.

– A więc nie masz pojęcia, z czym się tu mierzymy, tak? Lambeth Road też wciąż nie jest w stanie dojść do tego, w jaki sposób został załatwiony tamten lekarz. Ani jak zginęła pielęgniarka... ta, która spaliła się żywcem.

– Myślisz, że to ten sam sprawca?

– Wydaje się to bardzo prawdopodobne, ale nie ma możliwości, by stwierdzić to na pewno. Wciąż nie mamy nawet cienia pomysłu na to, w jaki sposób lekarz został wysadzony w powietrze, i nadal nie wiemy, jak pielęgniarka została podpalona. Laboratorium twierdzi, że do jej podpalenia nie użyto żadnych łatwopalnych substancji chemicznych. Poza tym nie mamy motywu zamordowania obojga i nie widzę żadnego w przypadku i tego gościa tutaj. Mamy tylko poszlaki, nic więcej.

Z domu wyszło kolejnych dwóch speców od materiałów wybuchowych, którzy w jasnobrązowych kombinezonach przeciwdłamkowych wyglądali jak wielkie pluszowe misie. Kiedy przyczłapali się do Routledge'a i Forbesa, podszedł do nich również jeden z techników kryminalistycznych – wysoki, pośpepny mężczyzna z uszami jak u Wielkomiluda z powieści dla dzieci Roalda Dahla.

– To co, możemy już tam zaczynać? – zapytał, zwracając się do saperów. Brzmiał tak, jakby wolał być gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj, o wpół do szóstej po południu, postawiony przed perspektywą zbadania miejsca zbrodni, w którym człowiek został w brutalny sposób rozerwany na setki kawałków.



– Tak, teraz już możecie wchodzić – potwierdził jeden z saperów. – Ale powiem jedno: na waszym miejscu wziąłbym ze sobą mopa i wiadro.

Przed bramą domu czekało kilku reporterów wraz z ekipą telewizyjną ze Sky News. Forbes wskazał ich ruchem głowy i zwrócił się do komisarza:

– Co masz zamiar powiedzieć tym tam?

– Niewiele mogę powiedzieć poza poinformowaniem ich, że jeden z pacjentów prywatnego domu opieki dla rannych weteranów wojennych został, niestety, uznany za zmarłego i że na razie przyczyna śmierci nie została ustalona.

– Pewnie będą pytali o to, co tu robią saperzy, nie sądzisz?

– Nie mam jeszcze pomysłu na to, jak im to wyjaśnię. Może powinienem powiedzieć, że podejrzewaliśmy, że zmarły mógł przechowywać w domu materiały wybuchowe. No wiesz, pamiątki z okresu służby w wojsku... granaty ręczne, naboje karabinowe czy coś takiego.

– W sumie to niezły pomysł – przyznał Forbes. – W końcu wezwali nas przecież w zeszłym tygodniu, gdy ten koleś z Gloucestershire pojawił się w lokalnym szpitalu z pociskiem przeciwpancernym w tyłku. Zbierał amunicję, tak nam powiedział, i podobno przypadkowo usiadł na jednym z pocisków. Nieziemsko dobry cel, tylko tyle powiem. Ale na szczęście pocisk nie był uzbrojony i lekarze usunęli go, zanim zdążyliśmy się o tym przekonać.

Komisarz Routledge spojrzał w stronę drzwi wejściowych.

– Chyba tam wejdę i rzucę na niego okiem. Jak bardzo jest rozpruty? Tak jak ten lekarz?

– Niestety, nieco bardziej spektakularnie – odparł Forbes. – Powiem tak: jak tylko wrócimy dziś do koszar, rąbnę sobie naprawdę dużą szkocką. A może nawet i dwie. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Te dwa wezwania... naprawdę mnie zaniepokoiły. Ciała obu ofiar nosiły wszelkie znamiona potężnej eksplozji. Mówimy o takim samym ciśnieniu wybuchu jak w przypadku granatu ręcznego... coś w okolicach trzech barów lub około trzystu kilopaskali. Absolutnie śmiertelne, zwłaszcza w zamkniętej przestrzeni. A jednak nie znaleźliśmy nawet grama materiału wybuchowego.

– Słyszałem kiedyś o spontanicznych samospaleniach – powiedział Routledge. – Wiesz, ludzie po prostu stają w płomieniach bez żadnego powodu. Ale o tym, żeby ktoś nagle wybuchł sam z siebie... nigdy.

## Rozdział 21

Następnego dnia rano David, wieszając płaszcz przeciwdeszczowy w holu, zawołał:

– Lilian?! Czy mamy jakichś gości?!

– Nie! – odkrzyknęła z salonu. – Niedługo ma przyjechać policja i przeprowadzić badania termowizyjne. Ale na razie nikogo jeszcze nie ma. Liczyłam, że dziś po południu zjawi się nowy mierniczy z Johnson’s w Guildfordzie, ale okazuje się, że chyba będzie dopiero w poniedziałek. A dlaczego pytasz?

– Bo przy naszej bramie na tyłach stoi jakiś samochód. A leje jak z cebra. Po co ktoś miałby tam parkować, gdyby nie wchodził do środka?

– Nie mam pojęcia. Poza tym głowię się tu nad podłączeniem kanalizacji w każdym z mieszkań. Mamy trzy możliwe schematy... chcesz przyjść i rzucić okiem?

David wszedł do salonu, gdzie Lilian, trzymając iPada, siedziała na parapecie.

– Wyglądał tak, jakby ktoś w nim mieszkał – rzucił David, siadając obok niej. Lilian zamrugła.

– Co wyglądało tak, jakby ktoś w nim mieszkał? – spytała zdezorientowana.

– Ten samochód zaparkowany przy tylnej bramie. Pełno w nim starych gazet i pudełek z KFC.

– Jakiej był marki?

– Mercedes, klasa C, brudnozielony. Mój ojciec ma takiego samego, ale srebrnego.

Lilian odłożyła iPada i wstała.

– O co chodzi? – zdziwił się David. – Co się stało?

– Samochód mojego byłego wygląda niepokojąco podobnie. Był tu wczoraj, ale wyszedł bez pożegnania. Po prostu zniknął.

– Może nie mógł go uruchomić i zadzwonił po ubera – podpowiedział David.

– Pójdę rzucić okiem.

Lilian poszła do holu po płaszcz przeciwdeszczowy i parasolkę. David też włożył płaszcz. Na dwór wyszli przez drzwi tarasowe, zeszli na dół po trawiastym zboczu, obeszli namiot techników, który nadal osłaniał miejsce, z którego usunięto szkielet, i między drzewami przeszli do bramy na tyłach.

Gdy tylko Lilian zobaczyła auto, od razu wiedziała, że to mercedes Tima. Wysłała za bramę, spróbowała otworzyć wszystkie drzwi po kolei, a na koniec zajrzała przez szybę do środka.

– Dlaczego zaparkował właśnie tutaj? – zastanawiał się David. – A jeśli się zepsuł, to dlaczego twój były nie zostawił na nim kartki?

– Och, wiem dokładnie, dlaczego zaparkował go tutaj. Bał się, że jeśli wjedzie nim na frontowy dziedziniec, mogłabym zmienić zdanie w sprawie pożyczania mu pieniędzy na czynsz i udać, że mnie nie ma.

Lilian wyciągnęła telefon z kieszeni płaszcza i wystukała numer Tima. Telefon dzwonił i dzwonił, David czekał, szurając nogami, krople deszczu kapąły na nich z góry spomiędzy gałęzi. W końcu Lilian poddała się i wysłała Timowi wiadomość przez WhatsAppa: poprosiła, żeby do niej zadzwonił.

– Nie udało się? – zapytał David.

– Spróbuję jeszcze raz później. Jak go znam, to zszedł do kiosku po „Racing Post”, a telefon zostawił w domu.

Pocłapali z powrotem w górę zbocza.

– Ciekawe, czy uda im się ustalić, czyje były te kości – mruknął David, gdy mijali namiot techników.

– Tak, ciekawe. Ale może to nie był nikt z rodziny Carverów. Może jakiś włóczęga zmarł w tym lesie i przykryły go liście spadające z drzew, jak w jakiejś baśni.

– Ha! Powiem ci, że czasami odnoszę wrażenie, że cała ta przeklęta inwestycja jest rodem z baśni braci Grimm.

Kiedy wrócili do środka, odwiesili płaszcze i przeszli do salonu. Lilian przywiozła ze sobą termos z kawą i teraz nalała po kubku dla każdego.

– Będę musiała spotkać się z ludźmi z South East Water, żeby ustalić, czy każde mieszkanie może być podłączone oddzielnie do głównego kolektora, czy będziemy musieli połączyć je wszystkie razem na naszym terenie, tak żebyśmy mieli tylko jedno przyłącze.

– Teraz jest tu szambo, tak?

– Tak, ale mamy prawo być podłączeni do miejskiej sieci kanalizacyjnej i wolałabym takie rozwiązanie dla Parku Filomeny.

Podczas gdy David przeglądał sporządzone przez projektantów różne wersje podłączenia do kanalizacji, Lilian próbowała ponownie dodzwonić się do Tima.

– Moglibyśmy wszystkie rury połączyć w jedną pod kortem tenisowym – zasugerował David. – Potem potrzebowałibyśmy niecałe sto metrów rury, żeby dotrzeć do głównego kanału pod drogą.

– Ciii! – syknęła Lilian, podnosząc rękę. – Słyszysz to?

David spojrział na nią, marszcząc brwi.

– To telefon. Wydaje się, jakby dzwonił gdzieś na górze.

Lilian zeszła z parapetu.

– Dzwonię teraz na komórkę Tima. Zaczekaj – powiedziała.

Wcisnęła na ekranie telefonu ikonkę zakończenia połączenia i telefon na górze ucichł.

– Spróbuj jeszcze raz – zaproponował David.

Ponownie wybrała numer byłego męża i natychmiast usłyszeli dzwonienie telefonu gdzieś na wyższych piętrach.

– Odłóż to – rzuciła Lilian, wskazując na swojego iPada w rękach Davida. – Idziemy na górę zobaczyć, dlaczego jego telefon tam jest. O ile wiem, nawet tam nie wchodził. Gdy go widziałam ostatni raz, przechodził pod tym łukiem do kuchni.

Przeszli do holu i wspięli się schodami na pierwsze piętro. Zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać. Telefon dalej dzwonił, ale na piętrze nad nimi.

– Chyba dochodzi ze skrzydła Montgomery’ego – mruknęła Lilian.

Szli tak szybko po schodach, że Lilian brakowało już tchu. Pospieszyli korytarzem do skrzydła Montgomery’ego i otworzyli podwójne drzwi. Telefon przestał dzwonić w tej samej chwili, gdy weszli do środka, Lilian zadzwoniła więc na numer byłego męża po raz trzeci.

– To mnie na serio zaczyna przyprawiać o ciarki – mruknął David, kiedy telefon Tima znów zaczął dzwonić.

Znaleźli go na poduszce ostatniego łóżka. Lilian podniosła go i wpatrywała się w niego, dopóki nie ucichł.

– No to gdzie jest twój były? – zapytał David, rozglądając się po sali. – Jego samochód stoi na zewnątrz, telefon jest tutaj. To znaczy, że musi się gdzieś tu kręcić.

Lilian sprawdziła zapis połączeń.

– Jeden z ostatnich numerów, pod który dzwonił, to numer jego agentów od wynajmu, Bartletta i Cooke’a. Potem zadzwonił do jakiejś Sandry. A potem do mnie. Później znów do Sandry. I na koniec do restauracji Thai Cottage.

Nie miała pojęcia, co zrobić. Jesliby Tim wszedł wczoraj na górę, gdy rozmawiała z Mosesem, bez wątpienia by to widziała. Tylko po co miałby tu wchodzić? I dlaczego zostawiłby tutaj telefon? Nigdy się z nim nie rozstawał. Gapił się w niego od samego rana, nawet gdy siedział na sedesie. I tak samo było wieczorami, kiedy jadł kolację trzymaną na kolanach, nawet wtedy, gdy w telewizji leciały wiadomości.

David rozejrzał się i pociągnął nosem, jakby Tim mógł zostawić za sobą jakiś charakterystyczny zapach.

– Niedługo przyjeżdżają gliny, prawda? – powiedział. – Z tą ich termowizją? Jeśli twój były gdzieś się tu ukrywa, to pewnie go znajdą, nie?

Lilian nie odpowiedziała. W szpitalu zrobiło się nagle bardzo cicho. Nie słychać było bulgotania w rurach, żadnego skrzypienia. Nawet deszcz spływający po szybach okien nie wydawał żadnych odgłosów.

Wypełniło ją mroczne poczucie grozy, lęku, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła. Musiała przywołać całą swoją samokontrolę, żeby nie wymaszerować szybko z oddziału, nie zbiec na dół po schodach i nie uciec ze szpitala na deszcz.

– Możemy go poszukać, jeśli chcesz – zaproponował David, choć bez większego przekonania.

Tak, moglibyśmy, pomyślała, ale jeśli go znajdziemy i się okaże, że jest sparaliżowany jak Charlie albo może nawet nie żyje?

Nadal stała bez ruchu, gdy jakiś głos bardzo blisko niej wyszeptał:

– Lil?

Zszokowana, odwróciła się szybko.

– Tim? – spytała. – Tim, czy to ty? David... słyszałeś to?

– Coś słyszałem – przyznał David. – Myślałem, że to może telefon.

Serce Lilian waliło mocno. Obracała się w kółko, mówiąc:

– Tim? Gdzie jesteś? Tim? Odezwij się do mnie, Tim! Gdzie jesteś?

– To mogło być cokolwiek, Lilian – przerwał jej David. – Wiesz przecież, jak tu jest.

– Lil! – rozległo się wycie: ostry i wysoki rozdarty przerażeniem głos. – Lil! Na miłość boską, Lil! Ratuj mnie!

Zaraz po tym rozległ się krzyk – pełen bólu krzyk, który ciągnął się i ciągnął, wznosząc się i opadając, jak w upiornej przejażdżce kolejką górską przez piekło. Dochodził z telefonu Tima, głośniejszy niż cokolwiek, co Lilian słyszała wydobywającego się z głośnika telefonu. Upuściła go na podłogę, lecz krzyk trwał nadal, z każdą sekundą coraz bardziej przepętniony udręką.

Cofnęła się, przycisnęła ręce do uszu, oczy wypełniły jej się łzami. Bez względu na to, jak bardzo Tim ją skrzywdził i poniżył, kiedyś go kochała, a teraz krzyczał do niej, żeby go uratowała, a ona nie wiedziała jak.

David był tak samo zszokowany jak ona, schylił się jednak i podniósł telefon, trzymając go w palcach, jakby był rozgrzany do czerwoności. Chciał go wyłączyć, ale ekran był czarny, bez żadnych widocznych ikon, i nawet gdy gorączkowo wciskał kciukiem guzik uśpienia, to tylko sprawiało, że krzyk był jeszcze głośniejszy i bardziej udręczony.

– Rozbij go! – krzyknęła Lilian.

– Co?

– Roztrzaskaj go! Dłużej tego nie zniosę!

David rzucił telefon na podłogę i nadepnął na niego. Zrobił to jeszcze raz i jeszcze raz, ale krzyk wciąż trwał, w końcu jednak ekran pękł i nastąpiła cisza.

Lilian odjęła dłonie od uszu i spojrzała na kolegę oczami nadal zamglonymi od łez.

– Jak to możliwe? To był Tim i mnie wołał. Jak to możliwe?

David popatrzył w dół na roztrzaskaną komórkę.

– Może... – zaczął z wahaniem. – Nie wiem, może próbował do ciebie zadzwonić z jakiegoś miejsca. Tylko z jakiego? Nie wiem, nie mam pojęcia. Ale to jest jego telefon, tak? Więc jak mógł z niego dzwonić?

Lilian krążyła po sali, otwierając i zaciskając pięści w zdumieniu i frustracji.

– On musi być gdzieś tutaj, w Świętej Filomenie. Czuję to! Gdzie indziej mógłby być?

Davida kusiło, by odpowiedzieć, że sądząc po odgłosach, to w piekle, ale powstrzymał się.

\* \* \*

Lilian z ponurą miną pospieszyła do skrzydła Wellingtona. Wpadła na oddział przez podwójne drzwi i zawołała:

– Tim! Jesteś tu?! Tim?!

Odpowiedzi nie było, ruszyła więc wzdłuż sali i schylała się co krok, by zobaczyć, czy Tim nie leży pod jednym z pustych łóżek.

W otwartych drzwiach oddziału pojawił się David.

– Nie ma go tu? Pójdę i zajrzę do pokoi piętro wyżej – powiedział.

Kiedy wspinał się na trzecie piętro, Lilian zeszła na dół do skrzydła Wavella. Tam również nie było śladu po jej byłym.

– Tim! – zawołała po raz nie wiadomo który przy schodach na pierwszym piętrze. – Tim, jeśli jesteś gdzieś w szpitalu, zawołaj i daj mi znać gdzie! Jeśli nie możesz zawołać, zagwiźdź albo w coś zabębniij, zrób cokolwiek!

Czekała i słuchała, ale nikt się nie odezwał.

– Tim – powtórzyła, prawie niesłyszalnie, myśląc o chwilach, gdy ją bił. Dlaczego miałoby ją obchodzić, gdzie jest teraz, albo dlaczego woła, żeby mu pomóc? Ale obchodziło ją. Nie mogła nic na to poradzić.

Wychyliwszy się przez balustradę na trzecim piętrze, David zawołał:

– Tu go nie ma! Nie wiem, gdzie może być. Może być wiele kilometrów stąd.

– Ale jakim cudem? Przecież krzyczał, żebym go ratowała. Mam przeczucie, że jest gdzieś w szpitalu. Musimy go tylko poszukać, pokój po pokoju.

Już miała wspiąć się na trzecie piętro i dołączyć do Davida, kiedy usłyszała chrzęst opon wjeżdżających na podjazd samochodów. Wyrzała przez okno i ujrzała trzy radiowozy, furgonetkę i dwa inne pojazdy.

– Przyjechali przeprowadzić badania – powiedziała. – Jeśli Tim wciąż tu jest, to go znajdą, prawda?

Zeszła na dół i otworzyła drzwi wejściowe. Detektyw komisarz Routledge wszedł do środka, a za nim sierżant Woods i pięciu mundurowych oraz trzech mężczyzn i kobieta, wszyscy taszczyli walizki z kamerami termowizyjnymi.

– Pani jest zapewne Lilian Chesterfield – powiedziała kobieta, wyciągając rękę. – Sarah Saunders, Ośrodek Badań Termicznych z Surrey. To nasi najlepsi pracownicy, certyfikowani specjaliści drugiego stopnia. Wszyscy poza mną. Ja mam stopień trzeci.

– Wyjaśniłem pani Saunders, czego tu szukamy – dołączył do rozmowy komisarz. – Ukrytych pokoi lub przejść i wszelkich oznak, że mamy tu niechcianych gości ukrywających się gdzieś na terenie budynku.

– Muszę pana poinformować, panie komisarzu, że jest bardzo prawdopodobne, że mój były mąż może gdzieś tu być – powiedziała Lilian, starając się nie dopuścić do tego, by głos jej drżał. – Przyszedł tu wczoraj, żeby się ze mną zobaczyć, i myślałam, że odjechał, ale jego samochód nadal stoi przy tylnej bramie i znaleźliśmy jego telefon w skrzydle Montgomery’ego.

Komisarz spojrział na nią z niepokojem.

– Dobrze się pani czuje? Proszę wybaczyć, że to mówię, ale wydaje się pani nieco zdenerwowana.

Oczy Lilian wypełniły się łzami.

– Znaleźliśmy jego telefon i w jakiś sposób było z niego słyhać, jak Tim krzyczy. Błagał mnie, żebym go uratowała. Nie mogłam tego znieść i poprosiłam Davida, żeby rozbił telefon. Wciąż leży na podłodze na górze.

– Słyszała pani byłego męża krzyczącego z jego własnego telefonu?



Lilian skinęła głową i wyciągnęła chusteczkę, żeby wytrzeć oczy.

– I ten telefon nadal leży na górze, ale jest rozbity, tak?

– Gdyby pan to tylko słyszał... – wtrącił David.

– No dobrze. Może nie jest uszkodzony aż tak, że nie da się z niego odzyskać danych – powiedział Routledge. – Jak się nazywa pani były mąż?

– Tim. Tim Chesterfield. Mogę podać panu jego adres zamieszkania, numer komórki, maila i wszystko inne. Co tylko pan potrzebuje. On tu w jednej minucie był, a już w następnej nie został po nim nawet ślad.

Komisarz odwrócił się do Sarah Saunders.

– Słyszała pani? Były mąż pani Chesterfield może znajdować się gdzieś na terenie budynku. Chcecie już rozpocząć badanie?

– Tak. Wszystko już mamy ustalone. John, Pete, zaczynacie na trzecim piętrze, prawda? I Gary, ty prześwietlisz tę dużą salę recepcyjną, tak? Ja najpierw zajmę się kuchnią, a potem salonem.

Routledge skinął głową i odwrócił się do swoich ludzi.

– Sahn i Johnson, idźcie na górę z sierżantem Woodsem i zróbcie kilka fotek temu rozbitemu telefonowi, dobra? Pani Chesterfield powie wam dokładnie, gdzie jest. Potem wrzucicie go do torebki na dowody. Jeśli nie zlokalizujemy byłego męża pani Chesterfield tutaj, wyślemy komórkę na Lambeth Road, może uda im się namierzyć, skąd mógł dzwonić. Harris, Williams, Treadwell, was proszę, żebyście towarzyszyli specjalistom od termowizji. Miejcie oczy szeroko otwarte na wszystko, co odstaje od normy. Jak już wcześniej wspominałem, miały tu miejsce pewne dziwne zdarzenia i naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć wam na pewno, czego możecie się spodziewać. Prawdopodobnie niczego, ale znacie to zawołanie skautów...

– Akela, damy z siebie wszystko? – rzucił funkcjonariusz Harris.

– To zawołanie zuchów, ty durniu. A teraz bierzcie się do roboty.

\* \* \*

Sarah Saunders i jej trzech specjalistów odeszli, by prześwietlić Świętej Filomenę piętro po piętrze termograficznymi kamerami, a Lilian, David i komisarz Routledge przeszli do salonu.

– Proszę wybaczyć, że o to pytam, ale czy jest pani z byłym mężem w dobrych stosunkach? – spytał komisarz.

– Nie rozumiem, jaki to może mieć związek z czymkolwiek.

– Ano taki, że być może rzuci nam to jakieś światło na to, dlaczego pani były mąż rzekomo zniknął, choć być może nadal gdzieś tu jest. Nie uwierzy pani, do jakich rzeczy potrafią się posuwać niektórzy ludzie. Mieliśmy takiego jednego gościa w Redhill, który ukrył się na strychu domu byłej żony i szpiegował ją przez dziurę w suficie sypialni.

– Cóż, jeśli już musi pan wiedzieć, nasze stosunki były nieco napięte. Ale Tim przyjechał tu, bo potrzebował pożyczyć pieniądze na czynsz. Inaczej mógłby skończyć jako bezdomny na ulicy. Dałam mu trzysta pięćdziesiąt funtów w gotówce.

– Jeśli on tu jest, tak jak jego telefon, to pieniądze mogą też tu być.

– Nie obchodzą mnie pieniądze – jęknęła Lilian. – Może i jesteśmy z byłym mężem w stanie wojny, ale nie chcę, żeby stało się z nim to samo, co spotkało Alexa Fowlera czy Charlie Thorndyke.

Routledge podszedł do drzwi tarasowych i wyjrzał na ogród. Już nie padało, a zza chmur zaczynało wychodzić zmętniałe słońce.

– A właśnie! Słyszałem, że ostatnio złożył wam wizytę niegdysiejszy pacjent szpitala. Niejaki Frank Willard.

– Tak, złożył – potwierdziła Lilian.

Komisarz odwrócił się od drzwi wychodzących na taras i uniósł brew, jakby oczekiwał, że Lilian powie coś więcej. Ale miała opory przed opowiadaniem policjantowi o upiornych przyjaciółkach z wojska, których Frank przywołał znikąd, i o tym, jak ona i towarzyszące jej osoby słyszeli ich krzyki. Nie chciała, żeby to zabrzmiało tak, jakby wszyscy, którzy byli wtedy w szpitalu, padli ofiarą zbiorowej hysterii. Śledczy policyjny oczekuje raczej faktów niż opowieści o halucynacjach.

– Frank Willard pozostaje pod opieką pewnej kobiety, Marion Crosby, w prywatnym domu opieki znajdującym się niedaleko stąd – dodała.

– Cóż, pozostawał. Z przykrością muszę panią poinformować, że pan Willard odszedł, by sprawować służbę w wyższej instancji.

– Co? Frank nie żyje? O mój Boże! Jak zmarł? Dlaczego?

– Jeszcze nie jesteśmy pewni. Ale padł ofiarą bardzo paskudnego wypadku. Najdziwniejsze jest to, że stracił życie w dokładnie taki sam sposób, w jaki zginął doktor Wells ze szpitala Heliera. Dlatego interesuje mnie, czy było w jego wizycie coś, co uznała pani za w jakimkolwiek sensie niezwykle.

– Co to był za „paskudny wypadek”? – chciała wiedzieć Lilian.

– Nie wolno mi jeszcze zdradzać szczegółów. Gdy doszło do wypadku, w pokoju znajdował się jeszcze inny pacjent pani Crosby, Irlandczyk, ale doznał tak poważnego szoku na skutek tego, co widział, że do tej pory nie jest w stanie o tym mówić. Ani o niczym innym, tak naprawdę. Zaniemówił na amen.

Lilian zamierzała zadać kolejne pytanie, ale do salonu wszedł jeden ze specjalistów wraz z dwoma umundurowanymi policjantami. Cała trójka wyglądała na zszokowaną, jakby przed chwilą byli świadkami poważnego wypadku.

– Co się stało? – zapytał ich Routledge. – Nie mówcie, że coś znaleźliście.

Specjalista podszedł i wyciągnął drżącą dłoń, w której trzymał kamerę termograficzną, wyglądającą jak duży czarny pistolet z ekranem z tyłu.

– Proszę spojrzeć – rzucił. – To było na trzecim piętrze, na samym końcu, po północno-wschodniej stronie.

Ustawił kamerę tak, żeby zarówno Lilian, jak i komisarz mogli widzieć ekran, i odtworzył materiał, który nagrał. Zobaczyli korytarz, cały w opalizujących fioletach, zieleniach, czerwieniach oraz żółciach, lekko się chwiejący, bo mężczyzna szedł podczas nagrywania. Gdy docierał do jego końca, z ostatniej sypialni wyłoniła się szczupła postać i wyraźnie zawahała się, jakby dostrzegła idących w jej kierunku ludzi. Świeciła na fioletowo, co wskazywało, że temperatura jej ciała była niższa niż otworu drzwiowego za nią.

Po chwili z pokoju wyszła kolejna fioletowa postać, równie niewyraźna, i ta też się zatrzymała. Ponieważ kamera reagowała wyłącznie na ciepło, a nie na światło, obrys obu postaci był niekształtny i płynny, jakby były wycięte z fioletowego celofanu.

Stały w drzwiach bez ruchu, kiedy jednak mężczyzna z kamerą zaczął się do nich zbliżać, odwróciły się i zniknęły w ciemnościach za drzwiami.

– Nie były widoczne gołym okiem, tylko na ekranie – wyjaśnił specjalista, opuszczając kamerę. – Ale powiedziałem stojącym tu panom funkcjonariuszom, że je widziałem, weszliśmy więc razem do sypialni, żeby sprawdzić, czy je tam znajdziemy.

– W sypialni nie było żywego ducha, szefie – wtrącił jeden z policjantów. – Nie było tam śladu kogokolwiek. Ani pod łóżkiem, ani za zasłonami. W szafie też nie.

Specjalista skinął głową na potwierdzenie.

– Przeskanowałem cały pokój, ale postacie nie pokazały się więcej w kamerze, więc Bóg jeden wie, jak zdołały zniknąć – powiedział. – Ale widać je na tym nagraniu, więc mamy dowód, że naprawdę tam były.

– Myślę, że powinniśmy się tam przejść i jeszcze raz to sprawdzić – orzekł Routledge. – Pani Chesterfield? Pójdzie pani z nami?

Opuścili salon i wspięli się schodami na trzecie piętro. Mężczyzna z kamerą prowadził ich korytarzem, trzymając ją przed sobą.

– Byłem w tym miejscu, kiedy ich zobaczyłem, stałem zaledwie trzy metry od nich. Ale zanim dotarłem tutaj – przeszedł kawałek – zniknęli, wycofując się z powrotem do pokoju.

Weszli do sypialni i rozejrzeli się po niej. Specjalista od termowizji ponownie zeskanował ściany i przestrzeń pod łóżkiem.

– Przychodzi do głowy tylko jedno: że te postacie były jakiegoś rodzaju projekcją – powiedział. – Ale jak to zostało zrobione? Nawet nie będę próbował zgadywać. To były jakby hologramy, tylko zamiast światłem, wykreowane za pomocą ciepła albo raczej zimna. Ale skąd były projektowane... Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. W pokoju nie było nikogo i nie widzę tu żadnego sprzętu, z którego mogłyby być wyświetlane.

– A może to były duchy – odpowiedział jeden z policjantów.

– Och, przestań bredzić, Harris – ofuknął go kolega.

Ledwie wyszli z pokoju, usłyszeli czyjś krzyk dobiegający z dołu. Nie był to ten przeraźliwy, udręczony wrzask, który Lilian i David słyszeli wcześniej, zbiorowe zawroscenie ciężko rannych ludzi. Ten był krzykiem jednej kobiety i przypominał brzmieniem głos Sarah Saunders.

– O Boże! O Boże! Musimy stąd uciekać! Wszyscy! Musimy stąd wyjść i to natychmiast!

## Rozdział 22

Wszyscy zbiegli szybko na dół, a ich kroki na schodach brzmiały jak dudnienie gromów.

Sarah Saunders stała na środku holu i przerażona machała rękami.

– Pete, John, Gary, zabierajcie swoje płaszcze! Wychodzimy!

– Zaraz, zaraz, co się dzieje? – zapytał ją komisarz Routledge. – Niech pani nie mówi, że też widziała jakieś zjawy?

– Nie zostanę tu ani chwili dłużej – wydyszała Sarah. – Nie wiem, co się dzieje w tym miejscu i nie chcę tego wiedzieć!

– No już dobrze, dobrze, proszę tylko powiedzieć, co się stało – nie odpuszczał Routledge. – Pani kolega zarejestrował właśnie na górze dość dziwne zjawisko. A pani co widziała?

Sarah zarzuciła na siebie płaszcz przeciwdeszczowy z kołnierzem ze sztucznego futra i zapięła go nierówno. Poszła prosto do drzwi wyjściowych, otworzyła je i trzymała otwarte, czekając, aż ludzie włożą swoje płaszcze.

Wyciągnęła rękę w kierunku łuku prowadzącego do kuchni. Była tak zdenerwowana, że ledwie mogła mówić.

– Tam... w kuchni... Nikogo tam nie było, ale ja widziałam kogoś na ekranie kamery. Widziałam mężczyznę, tuż przede mną! Ale przecież tam nikogo nie było!

– No już, spokojnie – powiedział komisarz. – Wygląda na to, że widziała pani coś podobnego do tego, co pani kolega widział na górze. Może pokaże nam pani to nagranie?

– Nie pokażę, bo upuściłam kamerę i nie zamierzam po nią tam wracać!

– Proszę się o to nie martwić, my to zrobimy. Harris... idź do kuchni i przynieś tę kamerę, dobrze? – zaordynował Routledge. – Williams, idź z nim, proszę, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś się tam jednak czaił.

– Nie obchodzi mnie kamera! Nie chcę jej! – wykrzyknęła Sarah Saunders histerycznie.

Lilian podeszła do niej i objęła ją.

– Już wszystko dobrze – powiedziała uspokajająco. – Odkąd zaczęliśmy tu prace, widzieliśmy i słyszeliśmy wiele osobliwych rzeczy, ale myśleliśmy, że ktoś specjalnie z nami tak pogrywa, bo chce nas odstraszyć. To są tylko czyjeś chore sztuczki.

– To nie była żadna sztuczka! Nie ma mowy, żeby to była sztuczka! Poszłam do kuchni i kiedy tam weszłam, usłyszałam jęczącego człowieka, a kiedy skierowałam kamerę w stronę, z której ten jęk dochodził, zobaczyłam go! Tylko że jego tam nie było! Nikogo tam nie było!

– Ciii... spokojnie – rzuciła Lilian.

Sarah Saunders drżała tak gwałtownie, że wyglądała, jakby dostała febrę.

– A potem... a potem... widziałam, jak ten człowiek wyciągnął jedną z szuflad... Wyciągnął szufladę z kredensu i wszystkie te noże i widelce wypadły z niej z hukiem na podłogę. I na ekranie widziałam, jak on podniósł jeden z noży... taki duży, do mięsa... i podszedł z nim do stołu... widziałam, jak nóż przesuwa się w stronę stołu... unosił się w powietrzu, przysięgam! O Boże, widziałam nóż, który unosił się w powietrzu!

– Może będzie lepiej, jeśli wróci pani jednak do środka, trochę się uspokoi i opowie nam o tym? – zaproponował komisarz.

– Wychodzę stąd! Idę! I nigdy więcej tu nie wrócę, nigdy!

– W porządku, wychodzi pani i nigdy nie wróci, ale zanim pani pójdzie, sprawdźmy, co nagrało się na kamerze, dobrze?

– Ten mężczyzna położył płasko rękę na blacie stołu i wbił w nią sobie ten nóż! Przebił nim własną rękę! Tylko że jego ręki tam nie było... jego nie było... był tylko ten nóż wbity w stół.

Posterunkowy Harris wrócił do holu, niosąc kamerę termograficzną firmy Testo.

– Wciąż tam jest, szefie. Ten nóż, wbity w stół. A inne noże i widelce leżą rozrzucone na podłodze, tak jak mówiła ta pani.

Komisarz Routledge wziął kamerę i zaczął oglądać ją z każdej strony.

– Jak to się obsługuje? – spytał.

Jeden ze specjalistów od termowizji podszedł, wyjął mu kamerę z rąk i włączył ją.

– Muszę to zobaczyć – oznajmiła Lilian. – To się już wcześniej zdarzało... sztuczce spadały na podłogę... I ten nóż wbity w stół... Myślałam, że to czyjś głupi żart, ale jeśli mamy tu dowód na to, że tak nie było...

Specjalista puścił nagranie; wszyscy zebrali się wokół niego i oglądali w milczeniu. Tak jak Sarah Saunders powiedziała, przez kuchnię, migocząc, przemknęła niewyraźna postać, wyciągnęła szufladę z kredensu i wyrzuciła jej zawartość na podłogę. Postać była fioletowa, miejscami z opalizującymi plamami żółci oraz zieleni.

– Jest mróz, minus trzy stopnie Celsjusza, ale możecie zobaczyć, że jego temperatura się zmienia – skomentował specjalista.

Lilian było trudno uwierzyć, jak rzeczowo brzmiał, jakby regularnie widywał zjawy tańczące na ekranie kamery.

Zobaczyli, jak postać niesie nóż do stołu kuchennego. Rozpostarła palce lewej ręki, a następnie wbiła nóż w grzbiet dłoni z taką siłą, że pozostał w pionie i przez chwilę drżał. To właśnie wtedy Sarah Saunders upuściła kamerę i nagranie się skończyło.

– I mówisz, że tam nikogo nie było, tak? – spytał Routledge, odwracając się do posterunkowego Williamsa.

– Nie, szefie. A sprawdziłem również zmywalnię, tak żeby mieć pewność.

– Rzućmy zatem okiem na to jeszcze raz – mruknął komisarz.

Specjalista od termowizji ponownie podniósł kamerę i Routledge, przysunąwszy twarz blisko do ekranu, przypatrywał się, jak migocząca fioletowa postać przemieszcza się po nim, rozrzucając sztuczki, a następnie dźga się w rękę.

– Jak pan sądzi, co to może być? – spytał. – Ale tak serio? To oraz te postacie, które nagrał pan na górze?



– Moim zdaniem, to niezaprzeczalny dowód na to, że ten szpital jest nawiedzony – wtrącił się David.

– Idę stąd – rzuciła Sarah Saunders i wyszła na ganek. – No dalej, chodźcie. Skoro tutaj noże latają same z siebie, któremuś z was może stać się krzywda. Nie chcę, żeby firma została pociągnięta za to do odpowiedzialności.

– Będziemy musieli zatrzymać na razie pani kamerę – powiedział komisarz. – Ale kryminaliści na pewno będą w stanie zgrać z tej i z tej drugiej oba zapisane filmiki, więc w stosownym czasie je państwu zwrócimy.

– No, mam nadzieję, że zwrócicie – rzucił jeden ze specjalistów. – Bo te zabaweczki kosztują prawie po tysiąc pięćset funtów każda.

Sarah Saunders i jej trzech podwładni przemierzili podjazd, zapakowali się do samochodów i odjechali.

Lilian zamknęła frontowe drzwi.

– I co teraz? – zapytała Routledge’a.

– Jeśli mam być z panią szczerą, nie jestem do końca pewny. Pani kolega wydaje się uważać, że budynek jest nawiedzony, obawiam się jednak, że termin „nawiedzenie” nie widnieje na liście angielskich przestępstw kryminalnych. Zastraszanie kogoś, wywoływanie niepokoju, nękanie... to podlega kodeksowi karnemu, ale nie jestem w stanie określić, jakie kroki mogę podjąć, jeśli sprawca nie może być uznany za... istniejącego... w normalnym znaczeniu tego słowa.

– Widział pan nagrania. Ktoś lub coś tutaj istnieje, straszy nas i niepokoi.

– No cóż, pani też je widziała. Czym pani zdaniem są te postacie? Bo ja z czymś takim jeszcze nigdy się nie spotkałem, w całej mojej karierze.

– Może to jakiś rodzaj energii, jak mówiliśmy wcześniej. Może wibracje. Widma. Emanacja. Albo są tym, o czym mówił ten specjalista: projekcją termiczną. Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko deweloperką, a nie profesorem fizyki.

Komisarz Routledge spochmurniał.

– Przykro mi, że nie mogę zadziałać bardziej zdecydowanie. Ale, niestety, muszę mieć racjonalne podejrzenia, że przestępstwo ma rzeczywistego sprawcę, zanim będę mógł uzasadnić pełnowymiarowe śledztwo. A nawet z tymi nagraniami nie wydaje się, żebyśmy mieli tu sprawcę. Jak by tu to pani

przedstawić? To byłoby jak próba oskarżenia pioruna za to, że uderzył w gracza na polu golfowym.

– Może znajdziecie jeszcze jakieś dodatkowe dowody w telefonie mojego byłego męża?

– Jest to całkiem prawdopodobne. Zabierzemy go do zbadania... i ten nóż z kuchni również. A sierżant Woods opyli stół proszkiem daktyloskopiujnym i zbierze odciski palców. Choć wątpię, żeby jakieś znalazł.

– To co ja mam robić do czasu, aż coś ustalicie? – spytała rozzłoszczona Lilian. – Jeśli z psami tropiącymi nie możecie odkryć, co tu się dzieje, i nie możecie nakłonić nikogo do przeprowadzenia badania termowizyjnego, jak mamy położyć kres tym krzykom, waleniu drzwiami i rzucaniu nożami? A przede wszystkim, jak mamy uzyskać pewność, że nikt więcej nie skończy tak, jak skończyli Alex Fowler i Charlie Thorndyke?

Komisarz Routledge wyglądał na znużonego.

– Nie mam prawa nakazać pani to zrobić, ponieważ ta posiadłość oficjalnie nie jest miejscem zbrodni, mimo ludzkich szczątków, które zostały ekshumowane w lesie, oraz noża w kuchni. Ale tak zupełnie osobiście radziłbym pani zabezpieczyć budynek i na razie tu więcej nie zaglądać. Przynajmniej do czasu, aż zyskamy nieco dokładniejszy obraz tego, co się tu dzieje.

– Nie jest pan pierwszą osobą, która to sugeruje. Ale w jaki sposób zdobędziemy dokładniejszy obraz, jeśli szpital będzie zamknięty? Poza tym, moja firma nie może sobie pozwolić na to, żeby budynek stał pusty. Każdy dzień, kiedy pozostaje niezamieszkały, kosztuje nas całą masę pieniędzy.

Znowu odezwał się David i powtórzył to samo co wcześniej:

– Teraz już naprawdę uważam, że ten szpital jest nawiedzony, cokolwiek to słowo oznacza.

– W takim razie będziecie musieli znaleźć sobie egzorzystę – podpowiedział Woods. Wrócił z samochodu z walizką z zestawem do zdejmowania odcisków palców i wyjmował właśnie pędzelek magnetyczny. Potem sprawdził, czy ma wszystko, czego potrzebuje.

– Egzorzystę? – powtórzyła Lilian. – Nie ma żadnych dowodów na to, że te postacie to demony, prawda, takie jak w filmach? Zresztą nie wierzę, żeby to, co się tutaj dzieje, miało cokolwiek wspólnego z religią.

– Cóż, róbcie, jak chcecie – rzucił komisarz Routledge. – Ja mam w tej chwili roboty po uszy. Muszę przyjrzeć się śmierci Franka Willarda, doktora Wellsa i siostry O’Grady. Jak tylko dowiem się czegoś więcej od kryminalistów, będę mógł podjąć bardziej świadomą decyzję w kwestii tego, jakie poczynić kroki. Tak czy owak, radziłbym, żebyście byli bardzo ostrożni podczas pobytu tutaj. I od razu zgłaszajcie wszelkie nietypowe zdarzenia, jak te, których byliśmy świadkami dzisiaj. Sahni, masz ze sobą ten rozbity telefon? A ty, Johnson, zabrałeś już ten nóż?

\* \* \*

Kiedy policjanci odjechali, Lilian i David wrócili do salonu. David podniósł jej iPada z planami podłączenia kanalizacji, lecz już po chwili go odłożył.

– Może on ma rację, Lil, może naprawdę powinniśmy trzymać się z daleka od tego miejsca – powiedział. – Bo jeśli to, co stało się z Alexem i Charlie, stanie się z nami? Tutaj zdecydowanie coś jest, nawet jeśli to nie są duchy czy demony. Te nagrania bezsprzecznie to udowodniły.

– Tak, udowodniły, nie ma co do tego cienia wątpliwości – zgodziła się Lilian. Przez dłuższą chwilę milczała, gdyż w głowie kotłowało jej się tak jak w bębnie suszarki pełnym mokrych ubrań. – Zaczynam myśleć, że być może jednak się myliłam. Może to nie aktywiści chcą nas stąd wykurzyć. To wszystko, co widzieliśmy... słyszeliśmy... to było zbyt skomplikowane. Te postacie... Zupełnie nie wiem, jak ktokolwiek mógłby je wykreować. A ten nóż unoszący się w powietrzu i wbijający w stół? Nawet ten wyginający łyżki gość nie potrafiliby czegoś takiego zrobić.

– Masz na myśli Uri Gellera?

Z miejsca, w którym siedziała, Lilian widziała swoje odbicie w lustrze wiszącym nad kominkiem. Przyglądając się mu, pomyślała, że sama wygląda jak duch.

– Wiesz, co ja tu teraz wyczuwam? Cierpienie. Myślę, że powinnam była być bardziej wyczulona na to już wcześniej. W końcu to był kiedyś szpital, a co robią ludzie w szpitalu? Cierpią. Może są tu jakieś duchy, tylko że mogą wcale nie chcieć nas przestraszyć. Może po prostu próbują nam powiedzieć, że cierpią. Ten krzyk Tima z telefonu... Chyba właśnie to zmieniło moje nastawienie bardziej

niż cokolwiek innego. Wiem, że to był Tim, jestem tego pewna. Nikt inny nie mógłby się pod niego podszyć. A tak strasznie cierpiał. Raz, kiedy próbował rozpaścić ognisko w ogrodzie, używając do tego benzyny, naprawdę mocno poparzył sobie rękę i brzmiał wtedy dokładnie tak samo.

– Myślisz, że on tu nadal gdzieś jest? W szpitalu?

– Nie wiem, David. Po prostu nie wiem. Ale gdzie indziej mógłby być? To wygląda prawie tak, jakby tu były dwa szpitale, dwa obok siebie. Rozumiesz, o co mi chodzi? I jakby miejscami nachodziły na siebie.

– Nadal jestem zdania, że powinniśmy się stąd wynieść, przynajmniej do czasu, aż policja znajdzie jakieś odpowiedzi. Pomyśl, co będzie, jeśli nie przerwiemy robót i dokończymy inwestycję, a potem okaże się, że budynek nadal jest nawiedzony i nikt nie będzie chciał tu mieszkać? Wtedy straty będą tysiąc razy większe.

– Wiesz co? Zanim cokolwiek postanowimy, chcę się tu jeszcze raz rozejrzeć. Może Tim gdzieś tu jednak jest albo znajdę coś, co mi podpowie, gdzie go szukać.

– Chcesz przeszukać budynek na własną rękę? Sama?

– Tak, sama.

– Cóż, wszystko, co ci mogę powiedzieć, to bądź ostrożna. I zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała. A ja może w tym czasie wrócę do przeglądania schematów odprowadzenia ścieków. Trochę słaby finał, nie sądzisz? W jednej minucie widzieć duchy, a w następnej zajmować się kanalizacją.

Lilian nie odpowiedziała. W głowie wciąż kłębiły jej się myśli i jednym z powodów, dla którego chciała rozejrzeć się po szpitalu i sprawdzić, czy znajdzie Tima, było to, że będzie mogła być wtedy sama.

Nie wierzyła w duchy. A jednak postacie, które wydawały się nimi być, sprawiły, że jej całe życie zatrzymało się w miejscu.

Zanim poszła na górę, zadzwoniła do Rogera Frencha i powiadomiła go, że badanie termowizyjne musiało zostać odroczone.

– A to z jakiego powodu? – zapytał.

– Jakies problemy techniczne ze sprzętem.

– Nic związanego z budynkiem, tak? Nie będziemy musieli naprawiać czegoś w jego strukturze? Na przykład fundamentów czy czegoś podobnie poważnego?

– Nie. O niczym takim nie ma mowy, zapewniam. – Lilian starała się, by jej głos brzmiał pewnie.

– To dobrze, tym bardziej że Shelby i Kellogg idą na całość z materiałami reklamowymi. Właśnie przysłali mi wspaniałe wizualizacje tego, jak Park Filomeny będzie wyglądać, gdy już będzie gotowy do sprzedaży. Wyślę ci je mailem.

– Dziękuję. Jeszcze się do ciebie dzisiaj odezwę.

– Czy wszystko u ciebie w porządku, Lil? Bo brzmisz trochę... no nie wiem... jakbyś była przybita.

– Wszystko jest dobrze, Roger, dziękuję za troskę.

– No to okej. Wiesz, jak się mówi: kiedy życie zalewa cię gównem, nawiez nim pole!

Lilian rozłączyła się, wsunęła komórkę do kieszeni kurtki i zaczęła się wspinać wolno na trzecie piętro. Zrobiła się nagle dziwnie i przytłaczająco zmęczona i kiedy dotarła na samą górę, musiała przystanąć. Trzymając się poręczy, zaczęła wsłuchiwać się w odgłosy szpitala.

Docierało do niej ciche skrzypienie desek podłogowych i szept przeciągów wiejących pod źle dopasowanymi drzwiami i prawie wierzyła, że wszędzie dookoła niej jest pełno niewidzialnych ludzi, którzy ją obserwują i czekają na jej następny ruch.

Pomyślała o szczęśliwych czasach, którymi cieszyła się z Timem na początku małżeństwa. Jaki był wtedy zabawny i kochający, jak ją obdarowywał kwiatami, bransoletkami i pudełkami czekoladek, gdy najmniej się tego spodziewała. Pomyślała też o tym, jak bardzo teraz potrzebuje mężczyzny. Była silna, mimo to potrzebowała kogoś, do kogo mogłaby się zwrócić, kogoś, kto mógłby ją ochronić i pomóc odzyskać pewność siebie. Z jakiegoś powodu stres związany z tymi dziwnymi rzeczami, które działy się w Świętej Filomenie, sprawiał, że czuła się bezużyteczna, bezwartościowa i nieatrakcyjna. Po prostu tak, jakby już nie dawała sobie rady.

Otrząsnęła się z tych myśli i przeszła korytarzem do ostatniej sali sypialnej, tam, gdzie specjalista od termowizji widział na ekranie kamery świecące postacie.

Przy na wpół otwartych drzwiach zatrzymała się i nasłuchiwała. A potem, bardzo cicho, powiedziała:

– Tim?

Nie było odpowiedzi. Pchnęła drzwi, żeby otworzyły się szerzej, i weszła do środka. W sali, która długo pozostawała zamknięta, unosił się zapach stęchlizny, a także dębowej posadzki. I jeszcze jeden, niewyraźny, z nutą pieprzu i dość charakterystyczny. Gdzieś już taki czuła, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

Zajrzała pod łóżko, ale nic tam nie było. Już jakiś czas temu zaczęła szukać ofert usunięcia pozostałych w szpitalu łóżek, lecz jak dotąd wszystkie okazały się zbyt drogie, głównie z powodu kosztów recyklingu materaców.

Wyszła z sali i ruszyła wolno korytarzem; zaglądała do jednego pomieszczenia po drugim i w każdym pytała: „Tim? Jesteś tu?”.

W końcu wróciła do szczytu schodów. To na nic, pomyślała. Niezależnie od tego, dokąd poszedł i jak udało mu się krzyczeć o pomoc przez własny telefon, najwyraźniej go tu nie było, a a jeśli był, to nie odpowiadał. Może nie żyje, a jego ciało leży ukryte w jakiejś szafie, pod deskami podłogi lub za ścianą.

Szła już na dół, gdy zadzwonił jej telefon. Zatrzymała się i wyjęła go, lecz na ekranie nie pojawił się numer dzwoniącego. Nacisnęła zieloną ikonkę, by odebrać, usłyszała jednak tylko wysoki, syczący szum. Ostatnio miała mnóstwo telefonów z różnymi ofertami, głównie z Vodafone’u, zamierzała więc zakończyć połączenie, gdy usłyszała ochryply, urywany głos.

– Lil? Lilian?

– Kto mówi? – zapytała przerażona.

– To boli, Lil, nie potrafię powiedzieć jak bardzo. Nigdy tak nie cierpiałem, nigdy w życiu.

– Tim? Czy to ty, Tim? Gdzie jesteś?

– Pomóż mi, Lil, na miłość boską. – Głos Tima był przepiękny udręką.

– Gdzie jesteś, Tim? Nie mogę ci pomóc, jeśli nie wiem, gdzie jesteś!

– O Boże, Lil! Ratuj mnie! Ratuj, Lil! Przepraszam za wszystko! Przepraszam za wszystko, co ci zrobiłem! Przepraszam! Przepraszam! Ale mnie uratuj!

– Tim... gdzie ty jesteś?

– Tutaj! – krzyknął. – Jestem tutaj! Na miłość boską, Lil! Jestem tutaj!

W telefonie coś zatrzeszczało, po czym zapadła w nim głucha cisza. A Lilian stała w połowie schodów, całkowicie odrętwiała.

Wtedy właśnie David zawołał z holu:

– Lilian?! Mówiłaś, że chcesz się widzieć z Martinem Slaterem, prawda? Jest właśnie na zewnątrz i przycina żywopłot.

## Rozdział 23

Nadal się trzęsła, kiedy wkładała płaszcz przeciwdeszczowy i wychodziła, żeby porozmawiać z Martinem Slaterem. Narzuciwszy kaptur na głowę, objęła się ramionami, jakby była bardzo zmarznięta.

Martin Slater przycinał żywopłot laurowy przy wjeździe na podjazd. Przerwał, kiedy usłyszał, że Lilian idzie do niego po żwirze, i opuścił nożyce.

– Gdzie pan zniknął? – zapytała. – Policja znowu tu była i chciała z panem rozmawiać o tym szkielecie.

– Naprawdę?

– Tak. Uważają, że skoro od tak dawna jest pan tu ogrodnikiem, może pan coś o tym wiedzieć. Powiedzieli, że mają problemy z ustaleniem, czyje są te szczątki.

– Sądzi pani, że to ważne? – spytał Slater. – Kiedy jest się niczym więcej niż tylko kośćmi, jest się tylko kośćmi.

– Mimo wszystko chciałabym, żeby podał mi pan numer kontaktowy do siebie albo adres zamieszkania. Albo mógłby pan sam skontaktować się z detektywem komisarzem Routledge'em z komisariatu w Reigate – powiedziała stanowczo.

– Numer kontaktowy?

– Tak. Ma pan chyba telefon komórkowy, prawda?

– Ma pani jakąś kartkę? Zapiszę go pani.

Lilian wyszperała w kieszeni płaszcza wygniecioną wizytówkę Epsom Double Glazing, a z kieszeni żakietu wyjęła długopis z logo Downland Developments. Wraz z wizytówką podała go Slaterowi i przyglądała się, jak zapisuje numer.

– No to gdzie pan tak zniknął? – powtórzyła pytanie.



– Co... ? Miałem trochę spraw do załatwienia.

– Trzeba przyznać, że lubi pan tak nagle zniknąć.

Slater oddał jej wizytówkę i długopis, po czym uśmiechnął się w ten swój enigmatyczny sposób, jakby wiedział o niej coś, czego nie wiedział nikt inny.

– Mam nadzieję, że zbierze pan te ścięte wcześniej gałązki wisterii.

Slater nadal się uśmiechał.

– A wie pani, co mówi się o wisterii? Że to podobno najlepszy środek odstraszający demony. Bardzo skuteczny przeciwko tym niższej rangi, choć potrafi też sparaliżować te potężniejsze.

Lilian nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie potrafiła ocenić, czy Slater mówi poważnie, czy się z nią droczy.

– Mówi się też, że wisteria symbolizuje życie wieczne – kontynuował. – Jeśli przy jakimś domu rośnie wisteria, właściciele mają duże szanse na to, by żyć wiecznie.

– Nie chcę żyć wiecznie, dziękuję panu bardzo.

– Niektórzy, niestety, nie mają w tej kwestii wyboru.

– Cóż... Prosiłabym jednak, żeby na pewno posprzątał pan te gałązki.

Martin Slater nie powiedział już nic więcej, tylko wrócił do przystrzygania żywopłotu. Lilian czekała przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna zapytać go, czy zgadza się, żeby przekazała jego numer komisarzowi Routledge'owi, potem jednak postanowiła, że zrobi to tak czy owak. Slater pewnie udzieliłby jej jednej z tych swoich niejasnych odpowiedzi albo by zniknął.

Wróciła do szpitala. David czekał na nią w salonie i kiedy weszła, popatrzył na nią z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Bo jeśli tak, to chodź i spójrz. Chyba wybrałem najlepszy schemat podłączenia kanalizacji.

– Nie wiem, czy wszystko jest w porządku. Kiedy byłam na górze, wydało mi się, że znowu usłyszałam Tima, tym razem w swoim telefonie.

– Kurczę. Jesteś pewna, że to był on?

Skinęła głową.

– Tak, to musiał być on. Znowu krzyczał i błagał o pomoc. I powiedział, że jest tutaj.

– Tutaj? Czyli w tym szpitalu?

– No chyba tak.

David wyłączył iPad i odłożył go na parapet obok siebie.

– Hm... mam pomysł. Jeśli on tu jest, ale nie możemy go zobaczyć gołym okiem, to może moglibyśmy dojrzeć go przez gogle noktowizyjne. Tak mi przyszło do głowy. Widziałas kolegów Franka z wojska, prawda? Może z twoim Timem stało się to samo co z nimi.

– Tylko gdzie mielibyśmy zacząć go szukać? Poza tym, jak to jest w ogóle możliwe, że słyszałam go w swoim telefonie? Powtarzał ciągle, że jest tutaj, ale „tutaj” może oznaczać gdziekolwiek.

– Może naprawdę warto spróbować z goglami. Jeśli policja nie zabrała tych Franka, może Marion Crosby zgodzi się je nam pożyczyć.

– Powiedz, ty naprawdę wierzysz, że Filomena jest nawiedzona? – zapytała Lilian.

– A ty nie? Po wszystkim, co tu widzieliśmy i słyszeliśmy?

– Nie wiem już, w co mam wierzyć. – Westchnęła. – Chyba po prostu tracę rozum i tyle. A ten cholerny Martin Slater wcale nie pomaga... To, jak on znika i pojawia się jak za sprawą jakiejś magicznej sztuczki... i jeszcze tak dziwnie mówi... Ale przynajmniej dał mi numer telefonu, więc będę mogła przekazać go komisarzowi.

– Moi rodzice mieli kiedyś trochę podobnego ogrodnika. Ciągłe zniknął, zwłaszcza wtedy, kiedy miał pielic. W końcu raz nakryli go w szopie na narzędzia. Spał, a obok niego leżała pusta butelka po whisky.

Lilian wyjęła z kieszeni wizytówkę i spojrzała na numer, który Martin Slater zapisał na odwrocie. Nie wyglądał na zwykły jedenastocyfrowy numer telefonu komórkowego, chociaż zaczynał się od 07. Gdy policzyła cyfry, zdała sobie sprawę, że jest ich tylko dziesięć.

– Zdaje się, że pominął którąś z cyfr – rzuciła.

Wróciła przez hol do drzwi wejściowych i je otworzyła. Żywopłot był przycięty tylko do połowy, ale Martin Slater już przy nim nie stał.

– A niech go szlag! – Zamknęła drzwi, wróciła do salonu i wyjęła telefon. Wpisła do niego dziesięć cyfr z wizytówki i słuchała.

Na początku nie usłyszała nic poza delikatnym syczącym dźwiękiem. Potem, tak słabo, że było to prawie niesłyszalne, w telefonie zaczęła grać muzyka, ta sama falująca muzyka, którą słyszała wcześniej w sali recepcyjnej, ze sporadycznym tętnieniem bębnow tabla brzmiącym tak, jakby czyjeś palce stuknęły niecierpliwie w blat stołu.

– Posłuchaj tego – powiedziała i podała telefon Davidowi.

Ten przyłożył go do ucha, słuchał ze zmarszczonym czołem i po kilku sekundach oddał jej telefon.

– Nic nie słyszę. A ty co słyszałaś?

– Muzykę. Taką orientalną. Wiesz, taką, do jakiej tańczy się taniec brzucha.

– O kurczę.

– Ale myślę, że masz rację, David. Myślę, że powinniśmy przeszukać szpital w goglach. Jeśli Marion Crosby nie będzie chciała pożyczyć nam gogli Franka albo jeśli policja je zabrała, będziemy musieli takie kupić. I myślę, że Moses powinien tu przyjść i nam pomóc. Służył w Wojskowym Korpusie Medycznym w Afganistanie, będzie miał lepsze pojęcie, na co patrzymy. Zajmował się dziesiątkami żołnierzy z obrażeniami. Kto wie... może nawet niektórych z nich rozpozna.

David spojrział na iPada.

– Zanim to zrobimy, chcesz wiedzieć, który moim zdaniem schemat odprowadzenia ścieków powinniśmy wybrać?

\* \* \*

Pojechali na Tumber Street i zaparkowali za radiowozem i furgonetką techników kryminalistyki, które nadal blokowały drogę przed domem Marion Crosby. Przy bramie stał wyglądający na mocno znudzonego policjant w odblaskowej kamizelce, który, gdy podeszli, podniósł rękę i powiedział:

– Przykro mi, ale to strefa zamknięta.

– Czy właścicielka tu jest? Pani Crosby? – spytała Lilian. – Zna mnie, a ja muszę zamienić z nią słowo, dość pilnie.

– Tak, gdzieś tu jest.

– W takim razie, czy mógłby pan ją poprosić, żeby wyszła i porozmawiała ze mną? Proszę powiedzieć, że chodzi o Lilian Chesterfield ze Świętej Filomeny.

– W porządku, jeśli się zgodzi. Tylko proszę tu zostać.

Policjant odszedł, a Lilian i David czekali przy bramie. Okno w salonie było jasno rozświetlone, w środku widać było chodzących po pokoju i wyglądających jak gigantyczne bałwany dwóch techników kryminalistyki w białych kombinezonach.

Po kilku minutach Marion Crosby i policjant wyszli razem. Marion była w grubym szarym swetrze i wyglądała na wycieńczoną; twarz miała bladą, a włosy spięte z tyłu w niechlujny kok.

– Lilian – powiedziała i westchnęła, jakby odczuła głęboką ulgę na jej widok, potem spojrzała na Davida i skinęła głową.

– Detektyw komisarz Routledge powiedział nam o Franku. Ogromnie mi przykro.

Marion wzruszyła ramionami.

– Powiedziałabym wam, co się stało, ale policja kazała mi nic o tym nikomu nie mówić, przynajmniej na razie. Ale to było straszne. Bardziej niż straszne. To było jak coś prosto z horrorów.

– Nie będę owijała w bawełnę, Marion. W szpitalu nadal dzieją się dziwne rzeczy. Widzieliśmy zjawy ludzi i słyszeliśmy krzyki. A na domiar wszystkiego mój były mąż przyjechał w odwiedziny i zniknął. Myślę, że może być... nie wiem, jak... Myślę, że może być tam w jakiś sposób uwięziony. Nie potrafię tego wyjaśnić, bo sama tego nie rozumiem.

– To, w jaki sposób umarł Frank... Nie mogę spać, bo nie mogę pozbyć się tego obrazu z głowy. I biedny Michael... był tam, kiedy to się stało, a teraz nie może mówić. Dosłownie oniemiał. Policja przyśle psychologa, który ma spróbować nakłonić go do mówienia, bo jest jedynym naocznym świadkiem, jakiego mają.

– Chciałam panią zapytać, czy gogle noktowizyjne Franka nadal tu są. Miałam nadzieję, że będziemy mogli je pożyczyć. Jeśli udałoby mi się znowu zobaczyć wojennych kompanów Franka, może zrozumiałabym, dlaczego wciąż tkwią w szpitalu... oni albo ich duchy. I może udałoby mi się odkryć, co stało się z moim byłym mężem.

– Policja przeszukiwała pokój Franka – odpowiedziała Marion. – Wiem, że zabrali jego telefon i kilka pamiętników, ale nie wiem, czy te gogle zostały. Pójdę i sprawdzę.

Lilian wskazała głową policjanta, który dreptał tam i z powrotem w pobliżu.

– Jeśli je pani znajdzie, nie musimy mówić policji, że je pożyczaliśmy. Jestem pewna, że komisarz Routledge myśli, że wszyscy oszaleliśmy. Zresztą zaczynam wierzyć, że ma rację i rzeczywiście oszaleliśmy.

Marion wróciła do domu, a oni stali i czekali. Policjant cicho pogwizdywał, w tle słychać było szum mżawki, bo właśnie zaczęło się.

– Dostałem rano złe wieści – odezwał się David, przerywając ciszę. – Moja babka jest umierająca. Rak piersi. Dziwne. Z jakiegoś powodu nie myśli się o raku piersi u kogoś w tym wieku, nie uważasz?

– Przykro mi.

– Cóż, nikt przecież nie żyje wiecznie. Wszyscy musimy pewnego dnia umrzeć, w ten czy inny sposób.

Lilian pomyślała o tym, co powiedział Martin Slater, zanim wrócił do przycinania żywopłotu. „Niektórzy ludzie nie mają wyboru w tej kwestii”. Nadal się zastanawiała, co miał na myśli.

Po zaledwie kilku minutach Marion wróciła, niosąc torbę na zakupy z logo supermarketu sieci Sainsbury's.

– Są w środku – powiedziała, przekładając torbę ponad bramą. – Tylko nie pytajcie, jak to działa, bo nie mam najmniejszego pojęcia. Ale pożyczyć je możecie, jak najbardziej. Możecie je nawet zatrzymać, jeśli chcecie. Biedny Frank nie będzie już z nich więcej korzystał.

Stróżujący policjant spojrzął w ich stronę, ale nie zapytał, co jest w torbie.

– Sprawdzimy w sieci, jak się takie gogle obsługuje – uspokoił kobietę David.  
– Na pewno to nic skomplikowanego.

– Jeśli dowiedzie się czegoś, co wyjaśnialoby, w jaki sposób Frank mógł tak umrzeć... dacie mi znać, prawda? – upewniła się jeszcze Marion. – Bo jeśli nie będę miała jakiegoś domknięcia tego wszystkiego, to chyba ja też oszaleję.

Lilian sięgnęła ponad bramą i uściśnęła dłoń kobiety.

– Czy to naprawdę było aż tak straszne? – zapytała.

Marion, mocno zaciskając usta, bliska rozplakania się, skinęła głową.

– Wrócę później, żeby się z panią zobaczyć – obiecała Lilian. – Cokolwiek się tu dzieje, nie możemy pozwolić, żeby wszystkim nam zniszczyło życie.

– On był w kawałkach! – Marion zaszlochała. – Był w setkach kawałków!

\* \* \*

Zanim odjechali, by wrócić do Świętej Filomeny, Lilian zadzwoniła do Mosesa.

– Moses? Tu Lilian Chesterfield. Posłuchaj, mam naprawdę złe wieści. Frank Willard nie żyje. Tak... Frank Willard, który przywołał dla nas swoich przyjaciół z wojska.

– Frank nie żyje? Jak to się stało?

– Nie wiem dokładnie. Policja jest w tym względzie dość skryta. Ale komisarz Routledge powiedział mi, że zmarł w taki sam sposób, w jaki zginął doktor Wells w Helierze.

– I co, uważasz, że może zachodzić jakiś związek między tymi zgonami?

– Znowu powiem, że nie wiem, nie mam pojęcia. Ale mój były mąż przyjechał odwiedzić mnie w szpitalu Filomeny i zginął. Myślę, że może nadal być gdzieś w budynku, chociaż nie wiem gdzie. I nie tylko to. Byli tam specjaliści od termowizji, żeby przeprowadzić badania. Na kamerach utrwalili jakieś dziwne postacie, które były całkiem podobne do tych, przywołanych przez Franka. Przeraziło to ich na śmierć i odjechali.

– To mnie akurat zupełnie nie dziwi. No ale co teraz zamierzasz zrobić?

– Pożyczyłam gogle noktowizyjne Franka. Chcę spróbować znaleźć mojego byłego i może zobaczę niektóre z tych zjaw. Ostatnim razem uciekły, bo krzyknęłam, ale więcej tego nie zrobię. Jak się nad tym zastanowić, pewnie przestraszyłam je tak samo bardzo jak one mnie.

– A co będzie, jeśli rzeczywiście je zobaczysz?

– Spróbuję dowiedzieć się, kim są i dlaczego wciąż nawiedzają szpital. Nie wiem, czy to naprawdę są duchy, ale „nawiedzenie” to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy. Miałam nadzieję, że będziesz mógł wpaść i nam pomóc,

mnie i Davidowi. Byłeś w Afganistanie, zajmowałeś się tam rannymi. Lepiej niż my wiesz, przez co przeszli, i będziesz potrafił rozmawiać z nimi ich językiem.

– Chcesz, żebym wpadł dziś wieczorem? Moja żona gotuje zupę egusi, bo jest Dzień Niepodległości Nigerii.

– A mógłbyś?

– Zaczekaj chwilę.

Lilian usłyszała, że Moses woła coś do żony. Nastąpiła chwila przerwy, potem znów przyłożył telefon do ucha i oznajmił:

– Tak, mogę przyjechać, pod warunkiem że wrócę do domu przed dziewiątą. Widzimy się w szpitalu za około pół godziny.

\* \* \*

Lilian pojechała z Davidem do Świętej Filomeny. Zaczynało się ściemniać i gdy się zbliżali, pomyślała, że szpital nabrał ponurego wyglądu, jakby budynki były zdolne do zadumy nad własną przeszłością.

David zabrał z samochodu lampę kempingową i weszli do środka. Gdy przechodzili przez hol, cienie, które rzucali, skakały i tańczyły na ścianach wokół nich, i nawet portret sir Edmonda Carvera wydawał się ożywać, jakby Carver mógł wyjść z połączanej ramy, zupełnie jak ta dziewczyna z *The Ring* wyszła z telewizora.

– Wiem, że to był mój pomysł – powiedział w pewnym momencie David. W jasnym świetle rzucanym przez lampę wyglądał dziwnie chłopczo i niedojrzale. – Ale zacząłem się zastanawiać, czy my rzeczywiście na pewno chcemy to zrobić.

– David... muszę się dowiedzieć, co stało się z Timem. Poza tym, co zrobimy, jeśli nie odkryjemy, o co chodzi z tymi krzykami, zjawami i twarzami? Będziemy skończeni. Ja będę skończona.

– Będę z tobą szczerzy, Lilian. Skoro zamierzamy to zrobić, to powiem ci, że boję się tego jak jasna cholera.

– A myślisz, że ja nie?

Z torby z Sainsbury's wyciągnęła gogle. David przybliżył do nich lampę i wtedy Lilian zobaczyła, że mają jeden włącznik. Nasadziła je sobie na głowę

i dopasowała do oczu gumowe okulary. Przylegały szczelnie, tak, by nawet ułamek zielonego światła nie padał na twarz użytkownika i tym samym nie czynił z niego celu dla wrogiego snajpera. Kiedy nacisnęła przełącznik, hol ukazał jej się w oślepiającej jaskrawej zieleni, był bowiem oświetlony lampą Davida, lecz widziała również mrok pod łukiem prowadzącym do kuchni i w wejściu do salonu.

– No dobra – mruknęła, wyłączając gogle. – Jak tylko Moses tu dotrze, będziemy mogli działać. Myślę, że powinniśmy zacząć od trzeciego piętra. To tam ten gość od termowizji zobaczył dwie postacie i to tam usłyszałam w telefonie, jak Tim mówił, że tu jest.

– A nie chcesz spróbować najpierw w sali recepcyjnej? Tam przecież widziałas wojennych kolegów Franka.

– Może później. Zresztą nie zapominaj, że Frank przywołał ich tam grą na harmonijce. Nawet gdybyśmy ją mieli, to nie potrafili grać. Tim potrafi, ale jego granie zawsze brzmiało trochę jak więzienny song.

Minęło dwadzieścia minut, zanim usłyszeli chrzęst opon na dziedzińcu. Zaraz potem Moses zapukał do drzwi. Miał na sobie zieloną czapkę z daszkiem i szalik w kolorach zielonym i białym, narodowych barwach Nigerii.

– Prądu nadal nie ma, co? – spytał, wkraczając do holu.

– Jutro podłączą, przynajmniej taką mam nadzieję. Bardzo ci dziękuję, że przyjechałeś. Nie wiem, czy znajdziemy kogoś z kolegów Franka, czy będziemy mogli z nimi porozmawiać i czy oni będą w stanie mówić, ale jeśli to się uda, bardzo nam pomożesz.

– Wierzcie lub nie, ale miałem dziś rano telefon od Artioma – oznajmił Moses. – Pogrzebał głębiej w temacie legend o Duchach Bólu i powiedział mi, że klątwa wiecznego cierpienia zdecydowanie była nakładana na każdego najeźdźcę z obcych krajów, który poniósł rany podczas próby zajęcia świętej ziemi, obecnie zwanej oczywiście Afganistanem... Nawet po tym, jak najeźdźca te ziemie opuścił. I ta klątwa była nakładana na najeźdźców na całą resztę ich życia.

Lilian podniosła gogle.

– Ja pierwsza je założę, na wypadek gdybyśmy mieli zobaczyć Tima... To mój były mąż – wyjaśniła. – Ale jeśli zobaczę kogoś innego, to od razu ci je



przekażę. I tym razem postaram się zachować spokój, żeby nie uciekli z krzykiem.

Ruszyli schodami na trzecie piętro i gdy na nie dotarli, Lilian znowu nie mogła złapać tchu.

– Jutro już powinny działać windy, dzięki Bogu – wysapała. – Aczkolwiek, odkąd tu jestem, udało mi się zrzucić sporo kilogramów.

Ponownie założyła gogle i włączyła je.

– Pójdę najpierw na sam koniec i zajrzę do tej ostatniej sali. To tam specjalista od noktowizji widział zjawy. Potem zawrócę i będę zaglądała do każdego pokoju po kolei. Moses, mógłbyś iść przy mnie? A ty, David, wyłącz proszę lampę, ale idź tuż za nami.

– A jeśli wyskoczy na nas cała zgraja tych wrzeszczących żołnierzy jak ci, których widziałaś na dole?

– Nie wiem, David. Naprawdę nie wiem. Jeśli są tylko jakimś rodzajem energii, to chyba raczej nie mogą zrobić nam nic złego.

– Alexowi i Charlie zrobili. I twój Tim też chyba bardzo cierpi, sądząc po tym, co mówiłaś.

– Więc co mamy zrobić? Pójdziemy sobie stąd i nigdy nie wrócimy, bo się boimy?

Moses uniósł jedną brew, jakby oczekiwał, że Lilian sama udzieli sobie odpowiedzi na to pytanie. David natomiast rzucił jej ponure spojrzenie i zacisnął usta, ale się nie odezwał. A następnie, po chwili wahania, wyłączył lampę. Na korytarzu nie było zupełnie ciemno, bo na suficie migotały plamki światła rzucanego przez uliczne latarnie. Mimo to Moses położył Lilian rękę na ramieniu i powiedział:

– Zaczekaj chwilę, proszę, aż mi się wzrok przyzwyczai do ciemności. – Po chwili rzucił: – W porządku, chodźmy.

I ruszyli wolno korytarzem, z Lilian na przedzie.

– Widzisz coś? – spytał, gdy zbliżali się do końca.

– Jeszcze nie. Bez obaw, powiem wam, jeśli coś zobaczę, możecie być tego pewni.

Dotarli do ostatniej sali sypialnej, otworzyli prowadzące do niej drzwi i weszli do środka. Lilian przeskanowała pokój, rozglądając się na lewo i prawo, schyliła się i zajrzała pod łóżko, ale nie było tam śladu po kimkolwiek. Otworzyła szafę, lecz nikt się w niej nie krył, ani rzeczywiście, ani urojony.

– Nie. Nic. Może te postacie to była jednak jakaś technologiczna sztuczka. W pewnym sensie nadal mam taką nadzieję.

– Tak, tylko co z tym latającym nożem? – przypomniał David. Żeby Moses wiedział, o co chodzi, opisał, jak Sarah Saunders zobaczyła w kuchni zjawę i jak ta wyciągnęła szufladę pełną sztucców i wbiła ogromny nóż w blat stołu.

– I wy to też widzieliście na nagraniu? Ten wbity nóż? – nie mógł uwierzyć Moses. – Ale jak ktoś mógł to zrobić?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odpowiedziała Lilian. – Jak tu skończymy, możemy zejść na dół i sprawdzić również kuchnię.

Wrócili na korytarz i otworzyli drzwi następnej sali. W niej też nikogo nie było, lecz kiedy wychodzili, Lilian usłyszała ochryply głos, który wyszeptał ciche: „Lil?”.

Poczula na plecach mrowienie. Odwróciła się i spojrzała w stronę końca korytarza. Przy wejściu do ostatniej sali stał Tim. Świecił się na zielono z powodu fosforu w goglach i wydawał się dwuwymiarowy, jakby był obrazem Tima wyciętym z celuloиду, falującym pod wpływem niewyczuwalnego przeciągu.

– Lil – powtórzył błagalnie i gardłowo. Brzmiał, jakby straszliwie cierpiał. – Lil, nie mogę tego znieść. Nie mogę tego znieść. Uratuj mnie. Na litość boską, uratuj mnie.

– Tim? – wyszeptała zduszonym głosem. – Tim? Czy to naprawdę ty?

– Uratuj mnie, Lil. Nie wiem, co zrobiłem, żeby na to zasłużyć, ale uratuj mnie.

– Słyszę go! – rzucił Moses. – A ty, Lilian... czy ty go też widzisz?

– To tak bardzo boli, Lil! Nigdy nie sądziłem, że coś może aż tak boleć!

– Lilian... widzisz go czy nie? – powtórzył Moses.

– O mój Boże – szepnęła. Zerwała z głowy gogle i przekazała je Mosesowi, a ten szybko ściągnął czapkę i nałożył je na oczy.

– Tak! Tak! Ja też go widzę! Czy to twój Tim?

– A nich mnie diabli – stęknął David. – Chcecie, żebym włączył lampę?

– Nie, nie, jeszcze nie teraz – rzuciła Lilian. – Muszę sprawdzić, czy mogę mu pomóc.

Chociaż bez gogli nie widziała Tima, nadal go słyszała. Jego głos stawał się coraz ostrzejszy i coraz bardziej ochrypły, a potem przeszedł w szarpany krzyk.

– Lil! Ratuj mnie! Wydostań mnie stąd! Dłużej tego nie znoś! Lil! Przepraszam! Przepraszam za wszystko, co zrobiłem! Przepraszam, że cię skrzywdziłem! Ale zabierz mnie stąd!

– Proszę, masz. – Moses oddał jej gogle.

Gdy je założyła, zobaczyła, że Tim klęczy, podpierając się rękami, krzyczy, waląc pięściami w podłogę. Powoli i ostrożnie podeszła do niego, jedną rękę trzymając przed sobą, obawiając się dotknąć byłego męża, lecz jednocześnie bojąc się, że może go tam w ogóle nie być. Moses trzymał się blisko za nią, również z jedną ręką wyciągniętą, na wypadek gdyby nagle gwałtownie się cofnęła i straciła równowagę.

Tymczasem krzyk Tima z wolna przechodził w niskie, udręczone zawodzenie, bardziej jak wycie nieszczęśliwego dziecka lub rannego zwierzęcia niż dorosłego człowieka pogrążonego w bólu. I to wtedy właśnie w polu widzenia gogli pojawiła się kolejna zielona postać. Wyszła z ciemnego wnętrza sali i stanęła obok Tima, opierając jedną rękę na jego ramieniu. Lilian odniosła wrażenie, że postać ma na sobie mundur polowy, choć jej obraz był półprzezroczysty, podobnie jak Tima, i trudno było to stwierdzić na pewno. Twarz jednak widziała całkiem wyraźnie. To był młody mężczyzna, ze spiczastym podbródkiem, długim nosem i głęboko osadzonymi oczami. Wydawało się, że patrzy wprost na nią.

– Kim jesteś? – spytała prawie szeptem, nie chcąc wystraszyć zjawy.

Młody mężczyzna otworzył usta, lecz wydobył się z nich tylko bełkotliwy dźwięk, jak nagranie odtwarzane z niewłaściwą prędkością.

– Kim... ty... jesteś? – powtórzyła Lilian, ledwie wydobywając z siebie głos.

– Mmmmmerrrrr...

– Moses! – szepnęła ostro Lilian, ściągając gogle i wciskając mu je w dłoń.

– Moses, tam ktoś jest! I wygląda jak żołnierz!

Moses niezręcznie nałożył gogle. Lilian wiedziała, że młody mężczyzna nadal stoi tam, gdzie stał, bo słyszała jego niski i niewyraźny bełkot.

– Bwwvverrrrrrrr...

Moses poprawił ułożenie gogli i skupił spojrzenie na postaci stojącej w drzwiach.

– A niech mnie... Nie wierzę! Ja go znam! Buller, tak się nazywał! Z jakiegoś powodu to nazwisko utkwiło mi w pamięci! Leczyłem go z ran odłamkowych w Ghazni!

Zrobił krok w stronę młodego człowieka.

– Buller? Pamiętam cię. A ty... pamiętasz mnie? Zostałeś ciężko ranny, kiedy wybuchła ta improwizowana bomba na a jedynce. To ja byłem sanitariuszem, który przyjechał ci pomóc. Pamiętasz mnie? Mingus, tak mnie nazywali.

Czekał na odpowiedź młodzieńca, ale choć ten zdawał się patrzeć na niego, nic nie wskazywało na to, by go widział. Po kilku sekundach sięgnął w dół i pomógł Timowi podciągnąć się na nogi. Potem obaj przez moment stali nieruchomo, choć zaczynali coraz bardziej falować i tracić kontury. A później obaj odwrócili się i zniknęli w drzwiach.

– Tim! – zawołała Lilian. – Moses, czy on tam jeszcze jest?

Moses wszedł do sali i rozejrzał się po niej.

– Nie. Odeszli, obaj. Ale dokąd? Nie wiem, nie mam pojęcia.

Gdy David włączył lampę, oślepieni nagłym jasnym światłem, stali i przez dłuższą chwilę mocno mrugali.

– Ten żołnierz... – wykrztusiła w końcu Lilian, zwracając się do Mosesa. – Ty go naprawdę rozpoznałeś?

– Tak. To był Buller. – Był tego pewny. – Nie wiem, dlaczego zapamiętałem jego nazwisko, ale zapamiętałem. Bomba wybuchła, około kilometra na południe od Ghazni, na głównej drodze między Kabulem a Kandaharem. Bullerowi oderwało jedną rękę przy samym barku, a jego wnętrzości... wszystko wisiało mu na zewnątrz. Udało mi się go jakoś zabandażować i wierzcie lub nie, ale nadal mówił, nawet żartował, jakby to, co mu się stało, było tylko draśnięciem.

– Czy wiesz, co się z nim działo później? – spytała Lilian. Wciąż się trzęsła po zobaczeniu Tima albo powidoku Tima, czy cokolwiek to było.

– Tak, wiem. Został odesłany do Anglii i umieszczono go tutaj, w Świętej Filomenie, żeby doszedł do siebie i przeszedł rehabilitację. Byłem tu wkrótce po powrocie z Afganistanu, żeby się dowiedzieć, jakie robi postępy... on i kilku innych żołnierzy, którymi się zajmowałem.

– I?

– Powiedzieli mi, że zaledwie tydzień po tym, jak go przywieźli, zmarł.

## Rozdział 24

Routledge zapinał płaszcz, żeby wyjść do domu, gdy do jego biura wszedł detektyw sierżant Woods i powiedział:

- Chyba zidentyfikowaliśmy prawdopodobnego podejrzanego.
- Gdzie? W Downlea?

Sierżant pokazał duży nośnik pamięci Toshiba, który przyniósł.

– Nie, szefie, w Helierze – powiedział. – Nie wyłapaliśmy go od razu na nagraniach z monitoringu, bo udało mu się wmieszać w grupę personelu szpitala, tak że trudno go było zauważyć. Poza tym to było jakiś czas, zanim doktor Wells... hm... zanim doktor Wells eksplodował, z braku lepszego określenia. Ale jest na nagraniu ułamek sekundy, kiedy widać, jak otwiera drzwi pokoju, w którym leżał Wells, i wchodzi do środka.

– Kiedy to było?

– Kiedy doktor Wells był sam, bez opieki. Jakies czterdzieści minut, zanim zaczął krzyczeć i doktor Kummunduh wszedł do niego, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jeśli włączy pan komputer, szefie, to panu pokażę.

Komisarz podszedł do biurka i włączył komputer, a Woods podłączył do niego nośnik pamięci. Pierwsza sekwencja z kamery monitoringu pokazywała sześcioro lekarzy i pielęgniarek czekających na windę w szpitalu i dwie kobiety odwiedzające pacjentów, lecz sierżant wskazał na innego mężczyznę, prawie w całości ukrytego za jednym z lekarzy. Wszystko, co mogli zobaczyć, to tył jego głowy ze zmierzwionymi włosami, jakby facet nigdy ich nie czesał.

W następnym ujęciu lekarze i pielęgniarce wysiadali z windy na drugim piętrze. Dwie odwiedzające kogoś kobiety musiały opuścić ją wcześniej, na piętrze niżej. Mężczyzna z potarganymi włosami trzymał się blisko za dwoma

lekarzami, którzy ze sobą rozmawiali. Dopiero kiedy grupa minęła jedną kamerę monitoringu i została przechwycona przez drugą, zobaczyli, że mężczyzna obrócił się w lewo i otworzył drzwi pokoju doktora Wellsa. Szybko wśliznął się do środka i zamknął je za sobą.

Sierżant Woods cofnął nagranie i zatrzymał obraz w chwili, gdy mężczyzna sięgał do klamki. Był wysoki, z szerokimi ramionami i miał na sobie długą kamizelkę bez rękawów. Nagranie było czarno-białe, więc nie mogli stwierdzić, jakiego koloru była, chociaż wydawało się, że jest lekko błyszcząca, jakby była nylonowa lub skórzana.

– Szkoda, że nie widać twarzy – mruknął komisarz Routledge. – Nagrało się, jak wychodził?

– To właśnie jest najdziwniejsze – odparł sierżant. – Nie widać, żeby wychodził. Obejrzelśmy nagranie dokładnie, aż do chwili przybycia saperów, ale ten człowiek więcej się nie pojawił. W każdym razie nie wychodził tymi drzwiami. To naprawdę daje do myślenia.

Przewinął nagranie do przodu, aż pokazała się sekwencja z kamery wychodzącej na parking przy szpitalu. Przez ułamek sekundy widać było, jak mężczyzna idzie szybko Wrythe Lane w stronę Rose Hill, zanim zniknął za dużą szpitalną tablicą informacyjną. Kiedy Woods zatrzymał obraz, komisarz mógł zobaczyć, że mężczyzna był bardzo podobny do tego w kamizelce, który wszedł do pokoju Wellsa.

– Zdecydowanie wygląda na to, że to ten sam gość – stwierdził. – Więc nie mógł ukrywać się w pokoju Wellsa do momentu, aż mógłby się wymknąć stamtąd niezauważony, zresztą wtedy monitoring by go wychwycił. Tylko w takim razie jak on, do cholery, wydostał się na ulicę bez zarejestrowania tego przez kamery na korytarzu czy w windzie?

Sierżant Woods przeskakiwał w tył i w przód między dwiema zatrzymanymi klatkami, z których na jednej mężczyzna otwierał drzwi pokoju Wellsa, a na drugiej znajdował się przed szpitalem.

– To ten sam facet, szefie. Z pewnością – powiedział. – Myśli pan, że powinniśmy wrzucić te zdjęcia na Twittera i rozesłać po lokalnych mediach? Nie widać jego gęby, ale reszta wygląda dość charakterystycznie. Ktoś musi wiedzieć, kim on jest.

– Tak, zrobmy tak, Andy – zgodził się Routledge. – I im szybciej, tym lepiej, bo ta cholerna sprawa z minuty na minutę robi się coraz dziwniejsza.

Spojrzał na zegarek.

– Kurczę, ale późno. Mam za sobą nieprzespaną noc i nie jadłem nic od śniadania. Jadę do domu, ale daj mi znać, jak tylko zamieścisz te zdjęcia w sieci.

Już prawie docierał do drzwi biura, gdy rozdzwonił się jego telefon.

– Nie ma mnie – rzucił do słuchawki, gdy zobaczył, że dzwoni detektyw posterunkowy Merrick. – Gadaj z Woodsem.

– Przykro mi, szefie – odparł Merrick. – Ale właśnie znaleziono zwłoki na torze wyścigowym w Epsom.

– Ożeż... Przyczyny naturalne, mam nadzieję.

– Może być samobójstwo, choć to wątpliwe. Ciało jest skremowane i to dość doszczętnie, spalone na popiół, więc nie da się nawet określić płci. Ale nigdzie w pobliżu nie ma śladu kanistra z benzyną.

– Chyba żartujesz. W którym miejscu na torze?

– Zaraz przy Tattenham Corner.

Komisarz zamknął na moment oczy i wziął głęboki oddech.

– W porządku, Merrick – rzucił do telefonu. – Daj mi kwadrans i będę na miejscu. Powiadom techników, dobrze?

– Już to zrobiłem, szefie.

Sierżant Woods patrzył na Routledge'a ze zmarszczonym czołem, gdy ten chował telefon do kieszeni.

– Co to za nowa historia, szefie?

– Kolejna cholernie dziwna, Andy. Kolejna cholernie dziwna.

\* \* \*

Detektyw komisarz Routledge zaparkował przy barierkach na Tattenham Corner, gdzie tor wyścigów konnych Epsom zakręcał przed ostatnim odcinkiem prostej przed metą. Lamy ledowe stały już na statywach i rzucały jaskrawe światło na miejsce, gdzie znaleziono ciało, a wszystkiego pilnowało co najmniej ośmiu policjantów. Właśnie przyjechała druga furgonetka techników kryminalistyki.



Trawa była jeszcze mokra po padającym przez cały dzień deszczu i wiała wilgotna południowo-zachodnia bryza, tak że Routledge od razu, gdy wysiadł z samochodu, wyczuł woń spalenizny.

Podszedł do niego detektyw posterunkowy Merrick, blady i zmęczony.

– Przepraszam, że pana w to wciągnąłem, szefie – powiedział. – Próbowałem dzwonić do nadkomisarza Pomeroya, ale był na kolacji jakiegoś bractwa, i nie dało się z nim połączyć.

– Nie ma sprawy, Merrick – z uśmiechem odpowiedział Routledge. – Za trzynaście lat przejdę na wcześniejszą emeryturę. Będzie niższa, ale przynajmniej będę się mógł wreszcie wyspać.

– A właśnie! Mamy świadka, szefie. Tę panią tam. Spacerowała z psem po Downs, kiedy zobaczyła płomienie. Poszła zobaczyć, co się dzieje, i jak tylko znalazła się wystarczająco blisko, zorientowała się, że leżą tu zwłoki. Od razu do nas zadzwoniła.

– Nie próbowała gasić ognia? – spytał komisarz.

– Nie, powiedziała, że było zbyt gorąco, by się do niego zbliżyć, a ofiara musiała już nie żyć. Ale jest coś jeszcze. Zauważyła, że jakiś facet przechodził przez ulicę w kierunku stacji kolejowej. Szedł bardzo szybko. Zawołała go, ale się nie odwrócił.

– Potrafiła podać jego rysopis?

– Wciąż jest lekko roztrzęsiona, ale sama może panu powiedzieć, co widziała. Zajmuje się nią posterunkowa Hepburn.

– Rzućmy najpierw okiem na szczątki. Chcę wiedzieć, z czym dokładnie mamy do czynienia.

Merrick poprowadził Routledge'a przez tor wyścigowy do czarnego wypalonego obszaru, który był nienaturalnie jasno oświetlony, jak plan filmowy. Na środku wypalonej trawy, twarzą w dół, leżał szkielet. Obie nogi na skutek gorąca były w kolanach wygięte w górę, wewnętrzne narządy zredukowane do kupki popiołu i nawet buty były spalone, tak że niemożliwe było kategoryczne stwierdzenie, czy był to mężczyzna, czy kobieta, chociaż po rozmiarach kości sądząc, prawdopodobnie mężczyzna.

– Jezu – westchnął komisarz. – Czy wiesz, jaką temperaturę musiało osiągnąć to ciało, żeby tak skończyć? Przynajmniej tysiąc stopni, może więcej, taką jak w krematorium. Tylko jak, na Boga, można spalić ciało w takiej temperaturze na torze wyścigowym? Nawet gdyby ktoś je namoczył w benzynie, to nie spaliłoby się aż tak, a kremacja zwykle trwa co najmniej dwie godziny.

– Jak panu mówiłem przez telefon, szefie, nigdzie w pobliżu nie znaleźliśmy kanistra. Poza tym nie czuć tu nigdzie zapachu benzyny, etanolu, rozcieńczalnika czy jakiegokolwiek innej łatwopalnej cieczy.

– To jest ta sama historia, co z tą pielęgniarką ze Świętego Heliera – stwierdził Routledge. – Spaliła się do kości, a jednak nigdzie wokół nie było nic, co mogło wywołać ogień. Powiem ci, Merrick, że to wszystko zaczyna mi porządnie działać na nerwy.

Przy szkielecie klęczało dwóch techników kryminalistyki w pękatych białych kombinezonach ochronnych, robiło zdjęcia i świeciło lampami na podczerwień w głąb klatki piersiowej. Routledge podszedł do nich i zapytał:

– Na co to wam wygląda? Widzieliście już kiedyś coś takiego?

Jeden z techników ściągnął maskę z twarzy.

– Tylko raz. W zeszłym roku na Box Hill pewną kobietę trzykrotnie trafił piorun, choć to bardzo rzadkie, żeby przy tym doszło do spalenia. Zwykle porażenie piorunem kończy się tym, że pojawia się na skórze figura Lichtenberga, co wygląda jak rozgałęziony czerwony tatuaż. No ale z drugiej strony piorun potrafi podnieść temperaturę otaczającego powietrza nawet do trzydziestu tysięcy stopni.

Komisarz rozejrzał się dookoła i pociągnął nosem.

– Tylko że dziś w okolicy nie ma nigdzie burzy z piorunami – zauważył.

– Właśnie. Dlatego nie mamy pojęcia, co mogło tak spopielić tego biedaka. To na pewno nie była benzyna ani rozcieńczalnik, ani żaden inny płyn łatwopalny, który jesteśmy w stanie od ręki zidentyfikować.

Routledge stał i przez chwilę patrzył na szkielet. Ogień, który go strawił, musiał być intensywny, bo kości były spieczzone na bursztynowy kolor, jak żeberka na grillu.

Technik kryminalistyki wygrzebał z popiołów złotą obrączkę i trzymając między palcem wskazującym a kciukiem, podniósł ją, tak żeby komisarz mógł ją lepiej widzieć.

– Zdecydowanie rozmiar męski. Wygląda na to, że był żonaty.

– Może żona rzuciła na niego klątwę – wtrącił Merrick. – Wiem, że moja chętnie widziałaby mnie czasami spopielonego, zwłaszcza gdy chcę oglądać mecz piłki nożnej.

Routledge zostawił szkielet i poszedł do kobiety świadka, która stała z posterunkową Hepburn przy barierkach. Czarny labrador, dysząc, leżał na trawie u jej stóp.

– Detektyw komisarz Barry Routledge – przedstawił się. – Dziękujemy, że pani została. Nie powinniśmy trzymać pani dziś dużo dłużej, ale być może będziemy chcieli się z panią skontaktować w kolejnych dniach.

– Mary Stubbs – odpowiedziała kobieta. – I musi mi pan wybaczyć, ale nadal jestem bardzo wstrząśnięta. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Mam na myśli zwłoki.

– Kiedy je pani zauważyła?

– Spacerowałam z Nero przy trybunach i zauważyłam te płomienie przy Tattenham Corner. Na początku nie były duże, ale nagle gwałtownie wystrzeliły wysoko w powietrze i wyglądały na niesamowicie intensywne. Pomyślałam, że to ognisko lub coś w tym rodzaju, chociaż trudno mi było pojąć, dlaczego ktoś miałby rozpalać ognisko na środku toru wyścigowego. Podeszłam bliżej, żeby się przyjrzeć, i to wtedy zobaczyłam, że w ogniu leży ciało. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie doznałam takiego szoku.

– I podobno widziała pani jakiegoś odchodzącego mężczyznę?

Mary Stubbs kiwnęła głową i wskazała na drugą stronę ulicy, na stację kolejową Tattenham Corner, na którą zwykle przyjeżdżali kibice prestiżowej gonitwy Derby Epsom.

– Szedł bardzo szybko, jakby spieszył się, żeby złapać pociąg, a może uciekał. Krzyknęłam do niego, ale nawet się nie odwrócił.

– Potrafi go pani opisać?

– Nie bardzo, bo nie widziałam twarzy. Ale był wysoki, ze zmierzwionymi włosami i miał na sobie kurtkę bez rękawów.

Komisarz obejrzał się za siebie na detektywa posterunkowego Merricka.

– Kurtka bez rękawów? Widziała pani, z jakiego była materiału? – zapytał.

– Chyba ze skóry, taka, jaką czasem noszą żołnierze.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Ulica przy stacji była objęta monitoringiem, więc kamery mogły uchwycić mężczyznę, gdy wchodził na drogę od strony torów wyścigowych. Ale te potargane włosy? I kurtka bez rękawów? Bardzo to przypominało faceta, którego zarejestrowały kamery w Świętym Helierze. A siostra O’Grady również w niewytłumaczalny sposób spaliła się na popiół.

Routledge podziękował pani Stubbs i wrócił do szkieletu, by jeszcze raz mu się przyjrzeć.

– Słyszałeś pewnie, Merrick, że mówi się, że niewyjaśniona zbrodnia jest jak układanka i że wszystko, co należy zrobić, to dopasować do siebie części i... *voilà*. Ale co w sytuacji, gdy części pochodzą z dwóch różnych układanek, a ciebie nikt o tym nie uprzedził? Starasz się i starasz ułożyć z nich obrazek, ale nic z tego nie wychodzi, bo nie wszystkie kawałki są z tego samego obrazka.

– A ta układanka tutaj? – spytał Merrick.

Routledge miał wrażenie, że nie do końca zrozumiał jego opowieść o puzzlach.

– Cóż, na pewno nie taką, jak ta w tym filmie *Kiedy po raz ostatni widziałeś ojca* – odparł.

Wciąż jeszcze stali przy szkielecie, któremu sterczały w górę kości goleniowe, gdy techniczka kryminalistyczna jak duch wychynęła z ciemności rozciągającej się za lampami ledowymi. Towarzyszył jej przewodnik z owczarkiem niemieckim, który bez przerwy spoglądał w górę na swojego pana i wyglądał, jakby był niezwykle z siebie zadowolony.

– Natrafiliśmy na coś takiego, panie komisarzu – powiedziała kobieta, wyciągając rękę w nitrylowej rękawiczce. – Nie wiem, czy to istotne, niemniej zaznaczyłam dokładne miejsce, w którym to znaleźliśmy. Oczywiście może to nie

mieć żadnego znaczenia. Mogło zostać upuszczone przez przypadkowego spacerowicza.

Podowała Routledge'owi wytarty portfel z brązowej skóry. Komisarz otworzył go i stwierdził, że w środku tkwią prawo jazdy, karta kredytowa Ocean, karta Asda oraz zaświadczenie potwierdzające, że jego posiadacz otrzymał szczepionkę przeciwko COVID-19. Poza tym były w nim dwudziestofuntowe banknoty i jeden dziesięciofuntowy. Routledge szybko policzył, że jest w sumie trzysta pięćdziesiąt funtów.

Wyjął prawo jazdy i przeczytał, że było wystawione na niejakiego Timothy'ego Nigela Chesterfielda. A co mu mówiła Lilian Chesterfield? Że pożyczyła byłemu mężowi na zapłacenie czynszu trzysta pięćdziesiąt funtów w gotówce.

Odwrócił się do technika kryminalistycznego, który wciąż klęczał przy szkielecie.

– Mógłbym jeszcze raz zobaczyć tę złotą obrączkę? – poprosił. – Chcę sprawdzić, czy jest na niej jakiś grawerunek.

Technik wyjął obrączkę z polietylenowej torebki, wystawił w górę pod światło i przyjrzał się jej.

– Tak, jest, po wewnętrznej stronie. *TCLLC*. Jakby grawer próbował wygrawerować *TLC*, ale coś mu się zacięło.

– To może być skrót od *Timothy Chesterfield loves Lilian Chesterfield* – mruknął Routledge. – Lilian Chesterfield to ta kobieta, która zarządza przebudową szpitala Filomeny. Zgłaszała zaginięcie byłego męża po tym, jak ją tam odwiedził. Założył się o wszystko, że to on tu leży.

Spojrzał na szkielet. Wiejąca bryza nadal była przesycona cierpkim zapachem zwęglonego ciała.

– Lub to, co z niego zostało.

## Rozdział 25

Moses otworzył frontowe drzwi szpitala i już miał wyjść, gdy na dziedzińcu wjechał detektyw komisarz Routledge. Zaparkował, wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia z czymś, co trzymał w wyciągniętej ręce.

– A to co tym razem? – mruknęła Lilian.

– Zostawię cię z tym – rzucił Moses. – Grace już i tak mnie zabije.

Mimo to nie ruszył się z miejsca; stał w otwartych drzwiach, gdy komisarz podszedł do nich z wciąż wyciągniętą ręką.

– Co pan tam ma? – spytała Lilian.

– Przykro mi, pani Chesterfield, ale to może być zła wiadomość. Zechce pani rzucić okiem?

Podał jej polietylenową torebkę, ze wszystkimi szczegółami wypisanymi na niej flamastrem. W środku znajdował się brązowy skórzany portfel, a kiedy Lilian cofnęła się do holu, by móc mu się przyjrzeć w świetle lampy Davida, rozpoznała go prawie natychmiast.

– To Tima – powiedziała. – To portfel mojego byłego męża. Gdzie go znaleźliście?

– Pies tropiący zwęszył go na torze wyścigów konnych w Epsom, blisko linii mety – wyjaśnił komisarz. Wskazał na portfel. – W środku jest trzysta pięćdziesiąt funtów. Trzysta czterdzieści w nowych dwudziestkach i jedna mocno podniszczona dziesiątka.

– Trzysta pięćdziesiąt funtów? Tyle przecież dałam Timowi na czynsz. Więc gdzie on jest? Niech pan tylko nie mówi, że zwyczajnie zgubił ten portfel.

– Jak mówiłem, to będzie dla pani zła wiadomość. Na torze wyścigowym przy Tattenham Corner został znaleziony martwy człowiek.

Lilian wybałuszyła oczy.

– Martwy? Chce pan powiedzieć, że to jest mój były mąż? Martwy? Ale nam się wydawało, że widzieliśmy go tutaj, w Filomenie, zaledwie dwadzieścia minut temu.

– Proszę spojrzeć na to. – Routledge podał jej mniejszą torebkę na dowody.

Podniosła do światła. Zawierała złotą obrączkę, pokrytą plamami od gorąca, ale z wyraźnie widocznym grawerunkiem: *TCLLC*.

Popatrzyła na komisarza, a smutny wyraz na jej twarzy kojarzył się z samica z filmów o zwierzętach Disneya, która straciła młode. Przycisnęła dłoń do ust i przeszła wolno do ostatniego krzesła, które zostało w holu, wysokiego dębowego tronu stojącego pod portretem sir Edmonda Carvera. Opadła na niego. W jej oczach nie było łez. Czuła tylko ból i żal.

– Czy to jego? – zapytał, a ona skinęła głową bez słowa. – W takim razie naprawdę mi przykro, pani Chesterfield. Musimy jeszcze przeprowadzić oficjalną identyfikację, ale z tym portfelem i obrączką wszystko przemawia za tym, że zmarły to pani były mąż, Timothy Nigel Chesterfield. Nawet jeśli twierdzi pani, że widziała go tu dwadzieścia minut temu.

– Ja też go widziałem – wtrącił się Moses.

– A ja słyszałem – dołączył do niego David. – Nie widziałem, bo nie miałem szansy założyć gogli noktowizyjnych, ale go słyszałem. Wyraźnie i głośno.

– Jesteście państwo pewni, że to nie było... złudzenie optyczne?

– Może powinien pan przejść się na górę i sam go zobaczyć – zaproponował Moses. – Zna pan to powiedzenie, że zobaczyć to znaczy uwierzyć?

– Pan mówi poważnie?

Lilian wyciągnęła gogle przed siebie.

– Proszę... może je pan założyć. Przez nie można zobaczyć każdego, kto ukrywa się w tym szpitalu. Te gogle należały do Franka Willarda. Powiedział nam, że to jedyny sposób, dzięki któremu mógł nadal widywać się z dawnymi kompanami z wojska. I zdecydowanie działają, choć nie wiadomo, czym jest to, co widać, gdy się przez nie patrzy. Proszę... niech pan założy.

Jeszcze bardziej wysunęła rękę z goglami, ale komisarz nie sięgnął po nie.

– Frank Willard nie żyje – powiedział. – Nie jestem pewien, czy zakładanie gogli zmarłego człowieka to dobry pomysł.

– Jeśli to pana uspokoi, panie komisarzu, to zanim je założyłam po raz pierwszy, przetałam je chusteczkami ze środkiem dezynfekującym. Są całkowicie sterylne.

– Nie martwię się, że coś przez nie przez nie złapię. Chodzi o sam pomysł. – Wahał się jeszcze przez chwilę, wziął jednak gogle i obejrzał je. – No dobrze – rzucił w końcu. – Proszę mnie zaprowadzić tam, gdzie wydawało się pani, że widzi byłego męża, i sprawdzimy, czy ja również go zobaczę. Ale jeśli tak, to nie wiem, czyje, do diabła, jest ciało tam, na torze wyścigowym.

Ruszył do schodów. Moses chwilę się wahał, potem jednak poszedł za pozostałymi.

– Myślałam, że żona cię zabije, jeśli nie wrócisz do domu na czas – zwróciła się do niego Lilian.

– Mam zobowiązania wobec niej, to prawda – odparł. – Ale czuję się również zobowiązany wobec tych młodych chłopaków, którymi zajmowałem się w prowincji Helmand. Złożyłem przysięgę, że zawsze będę chronił ich przed cierpieniem i złagodzę ich ból, a dla mnie „zawsze” oznacza dokładnie to. Moje oddanie tej przysiędze nie skończyło się z chwilą, gdy wycofaliśmy się z Afganistanu i wróciliśmy do domu.

Lilian spojrzała na komisarza i z wyrazu jego twarzy wyczytała, że jest pod wrażeniem tego, co Moses powiedział.

Gdy weszli na trzecie piętro, Lilian wzięła gogle od Routledge’a i nałożyła je na głowę.

– Jeśli kogoś zobaczę... czy będzie to Tim, czy nie... od razu je panu przekażę, żeby mógł pan sam zobaczyć – wyjaśniła.

Tak jak zrobili poprzednio, ruszyli korytarzem ku ostatniej sali. Wcześniej drzwi wszystkich pomieszczeń zostawili otwarte, teraz więc Lilian, zatrzymując się przy nich, mogła do każdego zajrzeć. W żadnym nie było ani śladu po dziwnych zjawach.

– I co? Nic? – spytał komisarz.

– Na razie nic – odpowiedziała.



Dotarli wreszcie do końca. Lilian weszła do ostatniej sali i rozejrzała się, ale tutaj też nikogo nie było. Ani Tima, ani Bullera. Wyczuwała jednak ten sam charakterystyczny ostry zapach co wcześniej. Ponownie coś jej przypominał, choć wciąż nie mogła dojść, co to mogło być.

– Może to jednak jest Tim... tam na torze wyścigowym – mruknęła, przesuając gogle na czoło.

– Będziemy musieli sprawdzić jego dokumentację dentystyczną i zrobić badania DNA, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa martwy człowiek na torze to pani były mąż. Bo nie wygląda na to, żeby był tutaj, prawda?

Wrócili już do schodów, gdy Lilian po zrobieniu kilku kroków usłyszała za sobą ten sam zduszony głos co wcześniej: „Lil?”.

Natychmiast się odwróciła, zsuwając gogle z powrotem na oczy. I on tam był, Tim, stojący przy otwartych drzwiach ostatniej sali, z obiema rękami wyciągniętymi przed siebie. A na jego twarzy malował się wyraz udręczonego błagania.

– Lil? Wróciłaś, kochana! Uratuj mnie, Lil, musisz mnie stąd zabrać!

– Tim, czy ty mnie słyszysz?

– Boli mnie, Lil! Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo! Jest tak, jakbym się palił! Czuję się, jakbym płonął! Musisz mnie stąd wydostać, Lil! Dłużej tego nie wytrzymam!

– Czy pani go widzi? – zapytał podekscytowany Routledge. – Bo ja go słyszę, całkiem wyraźnie go słyszę! Ale czy pani go rzeczywiście widzi?

Lilian miała już ściągnąć gogle i przekazać je komisarzowi, gdy Tim wziął nagle głęboki oddech i zaczął krzyczeć tak głośno i tak wysokim głosem, że ledwie słyszała własne myśli. Niemal natychmiast dołączył do niego inny głos, równie mocny, choć znacznie bardziej piskliwy – kobieta, jak się wydawało. Potem dołączył się kolejny, tym razem mężczyzny, a później kolejny i kolejny. W ciągu kilku sekund korytarz wypełnił się litą ścianą krzyku.

– Kto to? – spytał komisarz, nachylając się do Lilian, tak by mogła go usłyszeć. – Kto wydaje te wrzaski? Czy pani ich widzi?

Zamierzała odpowiedzieć, że wciąż widzi tylko Tima, który teraz wymachiwał dziko rękami, ale nagle wyszła z sali inna zielona postać, z ustami

rozwartymi szeroko jak na obrazie Muncha *Krzyk*, a potem następna i następna. I w ciągu zaledwie kilku sekund koniec korytarza wypełnił się wyjącmi zielonymi zjawami, a kolejne nadal wylały się z sali, coraz więcej i więcej.

By Lilian mogła go usłyszeć, komisarz musiał się wydrzeć na całe gardło.

– Co tam się na miłość boską dzieje?!

W tym momencie postacie szły już w ich stronę, potrącając się, popychając jedna drugą. Lilian odnosiła wrażenie, że wszystkie mają na sobie różne rodzaje ubrań wojskowych i były w jakiś sposób okaleczone. Niektóre nie miały rąk i przez to kołysały się niepewnie na boki, inne – i tych było więcej – nie miały jednej lub obu nóg i kuśtykały na drewnianych protezach.

I wszystkie krzyczały – bardziej ogłuszająco i przenikliwie niż wtedy, gdy Frank zwołał swoich przyjaciół z armii do sali recepcyjnej na parterze. Brzmiało to jak chór piekielny – odrażająca kakofonia bólu, błagania i wściekłości. Lilian była przerażona ich widokiem, tym, jak się zbliżały, chwiejąc się i kulejąc; wyglądały jak wylewający się z zaświatów potok zmarłych, którzy wychynęli na powierzchnię, by dokonać zemsty na żywych.

– Musimy stąd uciekać! – krzyknęła. – Ich jest mnóstwo!

– Proszę mi pokazać! – rzucił komisarz. – Niech mi pani da ich zobaczyć!

Gdy ściągała z głowy gogle, poczuła, że ktoś szarpie ją za połę kurtki. Zamachnęła się ramieniem, żeby odepchnąć intruza, i mimo że nikogo nie widziała, poczuła rękę mężczyzny tak wyraźnie, jakby była prawdziwa.

– Nie ma na to czasu! – wrzasnęła. – David! Moses! Biegiem! Wynosimy się stąd! Teraz! Natychmiast!

David i Moses wprawdzie nikogo nie widzieli, lecz panika Lilian wystarczyła, żeby obaj odwrócili się i rzucili do ucieczki. Komisarz Routledge objął Lilian i pobiegli za nimi. Kiedy dotarli do schodów, Lilian prawie dusiła się z braku tchu – komisarz był wyraźnie w dużo lepszej formie od niej. Przekazała mu gogle, a on założył je na głowę i spojrzał za siebie.

Jego reakcja była natychmiastowa.

– Jezu Chryste! – krzyknął i chwyciwszy Lilian za ramię, pociągnął ją do schodów. – Wy dwaj, szybko! – zawołał do Mosesa i Davida.

Tupiąc głośno, szli w dół po schodach, nie byli jednak nawet w połowie drogi na drugie piętro, gdy usłyszeli kolejną falę wrzasków, choć tym razem dochodziła z dołu. Komisarz znów naciągnął gogle na oczy i spojrział w tamtą stronę.

– O cholera! Ich jest więcej! I wchodzą na górę!

W tym samym momencie, zanim Lilian zdążyła zorientować się, co się dzieje, ktoś, kogo nie widziała, złapał ją za klapy kurtki i pociągnął tak mocno, że zatoczyła się do przodu i straciła równowagę. Żeby nie upaść, chwyciła się poręczy, jednocześnie zderzyła się z mężczyzną, którego nie widziała. Poczula guziki jego koszuli i klamrę paska, a kiedy podniosła rękę, żeby go odepchnąć, poczuła również kłujący zarost na jego szczęce. Usta miał zaślinione, szeroko otwarte i krzyczał.

W tej chwili już całe schody były zapchane niewidzialnymi krzyczącymi postaciami i Lilian oraz jej trzej towarzysze wyglądali tak, jakby wykonywali dziwaczne ćwiczenia karate, gdy z trudem przedzierali się na drugie piętro. Byli popychani, szturchani, objani, a Moses w pewnym momencie pośliznął się i zjechał kilka stopni na plecach.

Żadne z nich nic nie mówiło, bo byli zbyt pochłonięci zmaganiem się z postaciami, które ich popychały, szarpały i krzyczały im w twarz, mimo że oni nie mogli ich zobaczyć. Ale choć niewidzialni mężczyźni nie przestawali czepiać się ich rękawów, a nawet włosów, Lilian zdołała jakoś przebić się między nimi i dotrzeć na drugie piętro. Tam przepchnęła niewidzialne postacie na bok i zaczęła torować sobie drogę na schodach prowadzących w dół.

Komisarz Routledge podążył tuż za nią, wymachując rękami na boki, by odeprzeć mężczyzn, którzy próbowali chwycić się jego kurtki; David i Moses byli tuż za nim.

– Oni nie są... oni nie próbują nas skrzywdzić! – zawołał w pewnym momencie Moses.

– W takim razie czego chcą?! – odkrzyknął komisarz, który był już prawie na pierwszym piętrze.

– Widziałem już... – Moses nie mógł złapać tchu. – Widziałem już takie zachowania! Widziałem to wiele razy w Afganistanie!

David odepchnął od siebie niewidzialnego człowieka obydwoma rękami.

– Na litość boską, kogo to obchodzi, po prostu wynośmy się stąd jak najszybciej! – wrzasnęła.

– Czy wy nie rozumiecie? Oni cierpią. Są pogrążeni w bólu, zdesperowani. Rozpaczliwie pragną, żeby ktoś uwolnił ich od katuszy!

– Uwolnił od katuszy?! – rzucił Routledge. – Gdybym mógł, tobym to zrobił! Ale nie mam najmniejszego pojęcia jak, więc jedyne, czego chcę, to się stąd w diabły wynieść!

Z parteru poniżej dobiegał dudniący odgłos przebiegających holem dziesiątek ludzi. Stukanie ich kul oraz drewnianych protez brzmiało jak stukot kamyków obmywanych przez fale przyływu.

– Boże wszechmogący, oni są wszędzie! – wykrzyknął komisarz. – Cały budynek od nich się roi!

– A czego innego się pan spodziewał?! – Moses machał ramieniem, żeby niewidzialny człowiek, który uczepił się jego swetra, go puścił. – W Afganistanie ponad sześciuset żołnierzy zostało poważnie rannych. Większość z nich skończyła tutaj! I wygląda na to, że nadal tu są, nawet jeśli nie żyją!

Dotarli na parter i choć w holu nie było nikogo widać, Lilian czuła, że jest ciasno zapchany krzyczącymi mężczyznami, niczym trybuny na meczu piłkarskim. Wiedziała, że zataczają się, miotają i wpadają jeden na drugiego, a także próbują czepiać się ich ubrań. To było surrealistyczne doznanie – być tak popychanym i szarpanym z każdej strony, czuć tych ludzi i być ogłuszoną ich krzykiem, a mimo to nikogo nie widzieć.

Za jej plecami Routledge, David i Moses nadal desperacko torowali sobie drogę przez niewidzialny tłum, widać było jednak, że Moses miał rację i że ci ludzie nie próbowali ich skrzywdzić – czepiali się ich, błagając o uwolnienie od bólu.

Lilian dotarła do drzwi wyjściowych i nacisnęła klamkę, lecz nie chciały się otworzyć, zupełnie jak kilka dni wcześniej, gdy została uwięziona w szpitalu. Nacisnęła klamkę ponownie i potem jeszcze raz, ale nawet nie drgnęła.

– Ja spróbuję – rzucił Routledge i chwycił mocno klamkę. Naciskał na nią i szarpał z całych sił, ale bezskutecznie. Tymczasem ktoś niewidzialny chwycił go za kołnierz kurtki i próbował pociągnąć do tyłu. David zorientował się, co się dzieje, chwycił napastnika i odepchnął go od komisarza. Dla Lilian wyglądało to

tak, jakby nie robił nic poza wymachiwaniem rękami, jak w trakcie ćwiczeń, usłyszała jednak, że niewidzialny mężczyzna wpadł na inną niewidzialną postać, po czym zwałił się ciężko na podłogę.

– Drzwi się zacięły! – krzyknęła. – Już mi się to raz przytrafiło! Spróbujemy wyjść przez drzwi tarasowe w salonie!

Przedarli się przez wrzeszczący tłum i otworzyli drzwi salonu. Cisza i bezruch pozwalały sądzić, że nie ma tu niewidzialnych mężczyzn, choć czuli, że kilku próbuje wdrzeć się za nimi. David i Moses odepchnęli ich i szybko zatrzasnęli za sobą drzwi.

Zjawy natychmiast zaczęły wściekle w nie walić; wrzeszczały jeszcze głośniej i jeszcze żałośniej, ale David przywarł do klamki i trzymał ją mocno, tak by ci po drugiej stronie nie mogli jej nacisnąć.

– Idźcie – wysapał. – Spróbujcie otworzyć drzwi na taras. Dołączę do was, jeśli wam się uda.

Lilian przebiegła przez salon i nacisnęła klamkę w drzwiach tarasowych. Lecz podobnie jak wcześniej wydawało się, że są zablokowane. Szarpała klamkę, ale pozostały zamknięte.

– Będziemy musieli zrobić to, co zamierzałam zrobić poprzednim razem... Musimy rozbić szybę fotelem – powiedziała.

Wskazała fotel, gdy jednak znów odwróciła się w stronę tarasu, ze zdumieniem stwierdziła, że na zewnątrz, kilka metrów od niej, między krzewami róż, stoi Martin Slater. Zza chmur wyszedł właśnie okrągły księżyc, widziała więc ogrodnika całkiem wyraźnie. Ręce miał skrzyżowane na piersi i patrzył prosto na szpital, musiał więc ją widzieć przez drzwi.

Załomotała w okno pięścią i zawołała:

– Panie Slater! Panie Slater! Martin! Proszę podejść i otworzyć drzwi, dobrze?

Podszedł do niej komisarz Routledge.

– Kto to jest? – spytał. – Chyba nie ten pani ogrodnik, co? Ten facet, który znika za każdym razem, gdy chcemy z nim porozmawiać?

– To on, tak. Martin Slater. Już kiedyś tu utknęłam i w jakiś sposób udało mi się mnie stąd wypuścić.

Komisarz zmrużył oczy.

– Mówię to niechętnie, ale on pasuje do opisu podejrzanego, którego chcemy przesłuchać – powiedział. – Gość bardzo podobny do niego został zarejestrowany przez kamery monitoringu w szpitalu Świętego Heliera, a kobieta, która widziała szczątki przy Tattenham Corner, zauważyła mężczyznę w skórzanej kamizelce, opuszczającego szybko miejsce zdarzenia, jakby stamtąd uciekał.

– Co? Mówi pan o miejscu, gdzie znaleźliście portfel Tima? – zapytała zszokowana Lilian.

– Hm... nie wiemy jeszcze na pewno, czy ofiara to pani były mąż. No i przecież właśnie go widziałem i słyszałem tutaj, w tym szpitalu... a w każdym razie jakąś jego emanację.

Komisarz przyglądał się Slaterowi przez dłuższą chwilę, po czym ponownie zwrócił się do Lilian:

– Powiem pani tyle: po tym, co tu dzisiaj przeżyliśmy, mam bardzo otwarty umysł na wiele rzeczy. Obejmuje to również duchy lub to, co może za nie uchodzić.

Lilian wciąż uderzała w okno.

– Panie Slater! – zawołała. – Panie Slater! Niech pan przyjdzie i nas stąd wypuści!

Martin Slater musiał ją słyszeć, w żaden sposób jednak nie pokazywał tego po sobie, że tak jest, a gdy uderzyła w szybę, odwrócił się i odszedł. Lilian patrzyła z frustracją i niedowierzaniem, jak idąc między krzakami róż, dociera do końca budynku i znika.

– Dzięki, koleś – warknął przez zaciśnięte zęby David, który też to widział. Nadal trzymał klamkę obiema rękami, starając się nie dopuścić do tego, by niewidzialne hordy za drzwiami dostały się do salonu. A potępieńcy nadal krzyczeli, zawodzili, walili i kopali w drzwi, i nawet zdołali rozłupać jeden z dolnych paneli.

Moses tymczasem przyciągnął do drzwi tarasowych fotel i zwrócił się do Routledge'a:

– Niech mi pan pomoże, komisarzu! Ten fotel waży chyba z tonę.

Ale policjant właśnie wyjął telefon.

– Zanim zaczniemy wybijać okna w zabytkowym budynku, może uda mi się skontaktować z kolegami z Epsom – powiedział. – Mamy tam kilku ekspertów od włamywania się do zamkniętych nieruchomości z minimalnymi uszkodzeniami ubocznymi. Dojadą tu w pięć minut.

– Więc niech się pan pospieszy – rzucił David. – Bo to nie potrwa długo, zanim ten tłum się tu wędruje.

– Jak już mówiłem, jestem pewny, że oni nie chcą nas skrzywdzić – przypomniał Moses.

– Może i nie, ale ludzie bywają miażdżeni na śmierć na koncertach, mimo że nikt tam nie chce nikogo krzywdzić, no nie?

Komisarz przybliżył telefon do oczu i przycisnął jakiś guzik, po czym zmarszczył czoło i znów wcisnął ten sam guzik.

– Nie działa – mruknął. – Sprawdź pani swój, pani Chesterfield?

Od strony drzwi dobiegł rozdzierający uszy trzask, który sprawił, że Lilian podskoczyła. Krzyki były teraz tak głośne i tak wysokie, że brzmiały jak pięćdziesiąt pił tarczowych wyjących jednocześnie. Lilian wyciągnęła telefon i zwolniła blokadę; ekran jednak był czarny. W tym momencie wpadła w panikę. Czując, jak zaciska jej się klatka piersiowa, zaczęła ciężko dyszeć.

– Moja też nie działa! – krzyknęła.

Moses sięgnął do kieszeni po swój telefon, ale ten też był martwy.

– Wiem, że jest naładowany i włączony – powiedział, potrząsając nim. – Ale nie mogę go nawet wyłączyć, żeby spróbować włączyć od nowa.

Komisarz ponownie szarpnął za klamkę w drzwiach wychodzących na taras. Nadal nie ustępowały, więc uderzył w nie barkiem, dwukrotnie, a potem kopnął w okolicy zamka z taką siłą, że aż zatoczył się do tyłu. Drzwi jednak ani drgnęły.

– Dobra – mruknął. – Chyba nie mamy innego wyjścia. Żeby się wydostać, będziemy musieli stłuc tę szybę.

Podszedł do Mosesa i schylił się, by podnieść jedną stronę fotela. Moses podniósł drugą.

– Gotowy? Zrobimy krótki rozbieg i uderzymy w szybę nogami, jak taranem – zarządził Routledge.

Przekręcili fotel i poprawili chwyt, a gdy byli gotowi pobiec z nim do okna, Lilian wykrzyknęła:

– Patrzcie! Kto to jest?

Komisarz i Moses opuścili fotel i spojrzeli na ogród. Między krzakami róż w stronę tarasu szedł szybko mężczyzna w czarnej parce z kapturem. Podeszedł pod same drzwi i przycisnął do nich obie dłonie. Jego twarz nadal prawie w całości zasłaniał kaptur.

– Może nas pan wypuścić? Jesteśmy tu uwięzieni! – Lilian pokazała na migi, że drzwi nie dają się otworzyć od środka.

Mężczyzna pokiwał głową. Nie podjął żadnej próby otwarcia ich, tylko odsunął się i ryknął kilka słów tak głośno, że Lilian wyraźnie słyszała to przez szybę. Słyszała nawet ponad wyciem niewidzialnej hordy, która zdążyła już wybić kopniakami całą dolną część drzwi, i tylko sekundy dzieliły ją od wdarcia się do salonu.



## Rozdział 26

Zakapturzony mężczyzna znów podszedł do podwójnych drzwi, chwycił za dwie klamki i otworzył je na całą szerokość.

Lilian natychmiast wybiegła do ogrodu, a za nią Moses i Routledge. David został przy drzwiach do salonu do ostatniej chwili, a potem wypadł na taras niczym olimpijczyk.

Drzwi salonu otworzyły się z hukiem i mimo że nikogo nie było widać, krzyki wlały się aż na zewnątrz niczym raniąca natężeniem dźwięku fala uderzeniowa.

– Czy to już wszyscy?! – zawołał mężczyzna. Kaptur zsunął mu się z głowy i wtedy Lilian zobaczyła, że to przyjaciel Mosesa, Artiom.

– Tak, Artiom, wszyscy – potwierdził Moses i obaj zatrzasnęli, każdy po jednej połowie, drzwi tarasowe i przekreślił galki.

– Co... co pan tu robi? – spytała Artiona Lilian. – I jakim cudem otworzył pan te drzwi? Już zamierzaliśmy roztrzaskać je fotelem!

W tym momencie drzwi tarasowe zatrzęsły się gwałtownie, bo właśnie dopadła do nich niewidzialna horda. Wycie i krzyki nie ustępowały.

– Nie obawiajcie się – rzucił uspokajająco Artiom. – Jak rozumiem, te wrzeszczące zjawy muszą pozostać wewnątrz budynku. Są w nim uwięzione. To dlatego przyjechałem się z tobą zobaczyć, Moses. Znalazłem jeszcze więcej informacji o Duchach Bólu i teraz wiem już na pewno, kim są te krzyczące widma ... albo raczej czym, a nie kim. Dowiedziałem się też wielu innych interesujących rzeczy.

Lilian i pozostali wycofali się między krzaki róż. Niewidzialna horda wciąż krzyczała i waliła w szyby, ale wyglądało na to, że Artiom miał rację: zjawy nie

były w stanie otworzyć drzwi i dostać się do ogrodu.

– Najpierw szukałem cię w domu, Moses – oznajmił Artiom. – Nie jesteś tam uznawany za męża miesiąca, o tym mogę cię zapewnić. Grace odgrażała się, że wyrzuci twoją kolację do śmieci. Sugeruję, żebyś kupił jej jutro dużą wiązanekę róż. To Grace powiedziała mi, że znajduję cię tutaj.

– Nadal chciałbym się dowiedzieć, jak pan otworzył te drzwi – wtrącił się komisarz Routledge.

– Próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie, jak Da Dard Rohonah utrzymują wrogów w wiecznej pułapce bólu, tak żeby na zawsze zniechęcić ich do powrotu do Afganistanu...

– Przepraszam, ale... kto? – przerwał mu Routledge.

– Da Dard Rohonah, Duchy Bólu – wyjaśnił Rosjanin. – Działają tak, że jednego ze swojego grona wyznaczają na strażnika, coś na podobieństwo strażnika więziennego, żeby być bardziej obrazowym. No i ten strażnik może zablokować każde miejsce, a ból wrogów jest przetrzymywany w nim w niewoli... Tu na przykład jest to ten szpital. Kiedy strażnik tego chce, drzwi i okna mogą zostać zawieszane w czasie i nie da się ich otworzyć. Czy rozumiecie, co mówię? Nie da się otworzyć drzwi, jeśli są wciąż we „wczoraj”, a wczoraj były zamknięte.

– Co takiego? – wzburzył się komisarz. – Przecież to brzmi jak naprawdę skończony absurd.

– Te okna mogły być zawieszane we „wczoraj”, ale nawet jeśli zostały zawieszane godzinę temu lub przed piętnastoma minutami, i tak nie bylibyście w stanie ich otworzyć.

– No dobrze, załóżmy na chwilę, że to był powód, dla którego nie mogliśmy ich otworzyć. W takim razie jak panu się to udało?

– Po prostu wypowiedziałem słowa, które odkryłem w trakcie swoich badań, niezbędne do złamania zaklęcia. *Kirkai kulava ka, Q'areen!* Być może wypowiedziałem je z brytyjskim akcentem, mimo to zadziałały.

– Co one znaczą?

– Mniej więcej: „otwórz okno, Q'areen!” Tak Duchy Bólu nazywają strażników... Q'areen..., „podwójny” lub „sobowtór”. Strażnicy są Duchami

Bólu, ale zawsze przybierają wygląd człowieka, by mogli mieszać się z nami i prowadzić nadzór nad wrogami bez wzbudzania podejrzeń.

– Kto zatem jest strażnikiem tutaj, w szpitalu Filomeny? – spytał komisarz.

– To może być każdy. Nawet jedno z was.

– No, na mnie nie patrzcie – burknął David.

Wszyscy nadal czujnie wpatrywali się w drzwi tarasowe, ale pomimo uporczywego dobijania się i krzyków, nadal nic nie wskazywało na to, by miały się otworzyć, a niewidzialna horda wylać na zewnątrz. Potem, zupełnie niespodziewanie, walenie urwało się, krzyki umilkły i nastąpiła cisza.

Wszyscy zebrani w ogrodzie popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

– I co teraz? – spytał David. – Wracamy do środka?

– Przykro mi, lecz to kategorycznie nie wchodzi w grę – oświadczył komisarz. – Dopóki nie oczyścimy budynku z tego, co jest przyczyną tych wrzasków, ataków i Bóg wie czego jeszcze, ogłaszam cały szpital strefą zamkniętą. Nawet gdyby tylko jedno z was zostało zepchnięte ze schodów przez ten niewidzialny tłum i skrzyło kark, miałbym poważne kłopoty z powodu zaniedbania. Pamiętacie Hillsborough? Dziewięćdziesięciu sześciu kibiców piłki nożnej zginęło w wyniku zmiżdżenia przez tłum, za co winą obarczono policję.

– Ale jak pan zamierza oczyścić ten budynek? – zapytała zaniepokojona Lilian. – I ile czasu to pana zdaniem zajmie? Bo ja nie mogę dać panu więcej niż dzień lub dwa, choć i to narazi nas na straty.

– To zależy od tego, z czym mamy tu do czynienia, pani Chesterfield.

– To duchy – rzucił David. – Tylko jak pozbyć się duchów?

– Nie, nie, to nie są duchy – wtrącił się Artiom. – Nie mamy tu do czynienia z duchami. W każdym razie nie z takimi, o jakich się zwykle mówi. To nie są duchy zmarłych ludzi. To, co mamy w tym szpitalu, to ból.

– Jak to ból? – spytał ze zdumieniem Routledge. – Co dokładnie ma pan na myśli?

– Każdy, kto kiedykolwiek doświadczał śmiertelnego bólu, powie panu, że czuje się tak, jakby był opętany przez drugą istotę podobną, ale stworzoną w całości z bólu. I to właśnie, jak sądzę, mamy tu w tym szpitalu. Wielu leczonych tu żołnierzy zmarło na skutek obrażeń, lecz ich ból pozostał żywy.

Nawet ci, którzy przeżyli i zostali przeniesieni do nowego szpitala... nawet oni zostawili tu po sobie swój ból, uwięziony na oddziałach i wciąż wołający o ukojenie. To jest właśnie ten ból, który Da Dard Rohonah zsyłają na wrogów na zawsze, by mieć pewność, że cierpiący nigdy się od niego nie uwolnią.

– Teraz to już zupełnie się pogubiłem... – przyznał detektyw. – Okna, które istnieją w przeszłości, i ból, który może zepchnąć cię ze schodów. To znaczy... no serio... bądźmy poważni!

– Cóż, ktoś a może coś czepiało się nas i spychało nas ze schodów, prawda? – wtrącił David. – I jeśli to nie były duchy, to co?

– Tak chętnie dajecie wiarę w cuda opisane w Biblii – odezwał się Artiom. – Jezus chodzący po wodzie, nakarmienie pięciu tysięcy ludzi pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybami, przemiana wody w wino... Zostało już naukowo dowiedzione, że obiekty materialne mogą być poruszane mocą ludzkiego umysłu. Dlaczego więc tak trudno wam uwierzyć, że najsilniejsze z ludzkich odczuć może posiadać własny niezależny byt?

– Ja w to wierzę – oznajmiła Lilian. – Wierzę w to teraz, kiedy zobaczyłam, poczułam i usłyszałam to wszystko. A byłam najbardziej sceptycznie nastawioną osobą na całej planecie.

– Ja też wierzę – powiedział Moses.

– I ja – dodał David. – Coś próbowało rozwalić kopniakami drzwi do salonu i nie były to myszy, o tym mogę was zapewnić.

Komisarz Routledge popatrzył po wszystkich, po czym cofnął się pod drzwi tarasowe.

– No nie wiem – mruknął ponuro. – Po prostu nie wiem. Muszę wrócić na komisariat i poważnie zastanowić się, co dalej robić. Nie zaprzeczam, że te krzyzące stwory istnieją. Sam je przecież widziałem, czułem i słyszałem.

Ściągnął z głowy gogle i oddał je Lilian.

– Proszę. Lepiej niech na razie zostaną u pani, chociaż możliwe, że będziemy ich jeszcze potrzebowali. Podstawowym pytaniem w tym wszystkim jest to, kim tak naprawdę są te postacie. Czy rzeczywiście niczym więcej, jak tylko bólem, czy może to jakiegoś rodzaju sztuczka technologiczna? A jeśli są wyłącznie bólem, to jak, w imię Boga, mamy się ich stąd pozbyć?

– Może użył pan właśnie odpowiedniego słowa – powiedział Moses. Może pozbywa się ich przez przywołanie imienia Bożego. Może po prostu trzeba się modlić.

\* \* \*

Komisarz Routledge pojechał do komisariatu w Reigate, Moses wrócił do domu, by stawić czoła Grace, David również udał się do rodziny.

Lilian zaproponowała Artiomowi, by pojechał z nią do jej domu w Epsom. Chciała wypytać go, czego jeszcze dowiedział się o Duchach Bólu i czy odkrył jakiś sposób na usunięcie bólu nękającego budynek Filomeny.

Czuła się nierealnie, zupełnie jakby występowała w telewizyjnej operze mydlanej. Z trudem przychodziło jej uwierzyć, że widziała przezroczystą postać Tima błagającą ją, by uśmierzyła jej katusze, i że byli szarpani i spychani ze schodów przez tłum krzyczących postaci, których nie mogli zobaczyć.

Trudno jej też było zaakceptować to, że prawdziwy Tim został znaleziony martwy na torze wyścigów konnych w Epsom. W ostatnich kilku miesiącach ich związku wykształciła się w niej taka niechęć do męża, że teraz w jakimś sensie odczuwała ulgę, że najprawdopodobniej już go nie ma. Jednocześnie jednak pamiętała te wspaniałe dni, jakie przeżywali razem zaraz po ślubie – wakacje, śmiech, seks – i przygniatała ją myśl, że Tim, którego znała w tamtym czasie, teraz doświadczał rozdzierającego bólu.

– Napije się pan czegoś? – zapytała Artioma, włączwszy lampy w salonie.

– Może filiżankę herbaty, jeśli to nie jest zbyt duży kłopot – odpowiedział.

– Mam trochę wódki, którą podarował mi znajomy z Polski, jeśli miałby pan ochotę na coś mocniejszego?

– Nigdy nie piję, kiedy prowadzę. Mój starszy brat zginął w trzydzieste pierwsze urodziny, bo prowadził po alkoholu.

– Och. Przykro mi.

– To była śmierć na miejscu. Samochód wypadł z drogi na moście za Khimki i wpadł do kanału. Przypuszczam, że powinienem być wdzięczny, że nie musi znosić tego samego nigdy niekończącego się bólu jak ci biedni żołnierze w tej Świętej Filomenie.

– Nadal nie potrafię objąć umysłem tego, co tam się dzisiaj stało. Dzięki Bogu, że pan się pojawił i otworzył te drzwi.

Włączyła kominek gazowy, a Artiom usiadł przy nim i pochyliwszy się, ogrzewał dłonie przy ogniu.

– Słabe krążenie – wyjaśnił. – Dość dokuczliwe, gdy mieszka się w Rosji.

– Ale pan tam nie mieszka już od wielu lat, jak mi mówił Moses.

– Jestem obywatelem świata. Nie jestem oddany temu czy innemu krajowi, tylko całej ludzkiej. To dlatego tak mnie zawsze interesowały mity i legendy innych kultur.

Lilian przeszła do aneksu kuchennego, napełniła czajnik elektryczny i włączyła go. W lśniącej czerni okna widziała swoje odbicie, jakby duch Lilian stał na małym podwórku na zewnątrz. Nie zdziwiłoby jej, gdyby zobaczyła tam również ducha Tima stojącego obok niej, obejmującego ją w pasie, uśmiechającego się do niej z miejsca, w którym teraz przebywał.

– To, co te Duchy Bólu robią, wydaje się niewiarygodnym okrucieństwem – orzekła, gdy wróciła do salonu. – Ci młodzi żołnierze... Przecież oni nie prosili się o wysłanie ich do Afganistanu. Dlaczego muszą znosić ten niekończący się ból, i to nawet po śmierci? Czy nie jest oczywiste, że tymi, którzy powinni cierpieć najbardziej, są politycy i generałowie, którzy ich tam wysłali?

– Niestety, ale to tak nie działa. Żeby czyjś ból ożył i przyjął własną postać, najpierw trzeba odnieść poważne rany. To młodym żołnierzom miny na drogach odrywały nogi, to ich trafiały kule snajperów. Politycy i generałowie rzadko kiedy odnoszą obrażenia.

– Ale mój były mąż, Tim... On tam jest i cierpi straszliwe męki, choć nigdy nie był w Afganistanie ani w ogóle w wojsku.

– No właśnie, to jest dokładnie to, co odkryłem, gdy pogłębiłem badania nad tematem Duchów Bólu, i to właśnie chciałem pani wyjaśnić. Jedynym sposobem, w jaki ci młodzi żołnierze mogą uciec od dręczącego ich bólu, jest przerzucenie go na kogoś innego. Myślę, że to właśnie stało się z waszymi mierniczymi. Jeden z nich zdołał przelać swój ból w ciało tego mierniczego...

– Alexa – dorzuciła Lilian.

– ...a inny, który był sparaliżowany, zdołał przekazać paraliż kobiecie.

– Charlie, tak ją nazywaliśmy. Charlene.

– O ile dobrze rozumiałem starożytny tekst, który czytałem, żołnierze, którym udało się przekazać swój ból i paraliż komuś innemu, czują się po tym, jakby byli martwi, jakby umarli. Przebywają w wiecznej ciemności. Ale przynajmniej są wolni od cierpienia.

– Zatem pytanie brzmi: jak uwolnimy tych w szpitalu Filomeny od ich cierpienia, ale tak, żeby nie przekazali go nam?

– W tekstach, które czytałem, nie było to do końca jasno przedstawione. Wydaje się, że istnieje na to więcej niż jeden sposób. Jednym z nich może być przekabacenie strażnika, tego wyznaczonego do pilnowania żołnierzy, by już nigdy nie próbowali wrócić do Afganistanu. Gdyby dał się przekonać, mógłby wedle własnego uznania uwolnić żołnierzy od ich bólu.

– Tylko że, jak już mówiłam, Tim nigdy nie był w Afganistanie. Najdalej za granicą był w Marbelli i ponieważ nie smakowała mu tamtejsza kuchnia, skrócił pobyt i wrócił do domu wcześniej.

– W takim razie może uda nam się przekonać strażnika, żeby zakończył przynajmniej jego cierpienie.

– Tyle że nie wiemy, kto tym strażnikiem jest, prawda?

– Nie, ale możemy spróbować zapytać o to Tima – zaproponował Rosjanin. – Może będzie wiedział, a jeżeli nie, moglibyśmy spróbować zabrać go ze szpitala i zobaczyć, czy strażnik podejmie jakąś próbę powstrzymania nas.

– Komisarz Routledge zapowiedział, że nie wolno nam tam wracać. Dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

– Policja niczego nie wyjaśni. Policja zajmuje się dowodami i faktami oraz tym, co się powszechnie uważa za rzeczywistość. Słyszała pani tego komisarza. Był świadkiem tych zjawisk... a właściwie je poczuł... a jednak nadal gotów jest uznawać, że to mogą być sprytne sztuczki technologiczne. Jeśli ma nam się udać uwolnić tych żołnierzy od ich bólu, będziemy musieli spróbować zrobić to sami, używając tej samej metody, którą zastosowano do uwięzienia ich.

– Mówił pan, że sposobów jest więcej niż jeden.

– Istnieje dość długa inkantacja, która może być recytowana; jest podobna do słów wypowiedzianych w egzorcyzmach rzymskokatolickich. Problem polega na

tym, że jest zapisana w awestyjskim, martwym języku pochodzącym od pahlawijskiego i aramejskiego. Ostatni raz był używany przez kapłanów zoroastryjskich w szóstym wieku, a ja, niestety, kompletnie nie mam pojęcia, jak powinno się go wymawiać.

– I to wszystko? – upewniła się Lilian, podając Artiomowi kubek z herbatą. – Słodzi pan?

– W jednej z moich książek jest wzmianka o Duchach Bólu, której początkowo nie rozumiałem. Jest w niej mowa o jakimś Większym Bólu, opisanym bardzo niejasno, więc można to interpretować na kilka różnych sposobów. Ale istotą wydaje się to, że ból, który żołnierze nadal odczuwają po tym, jak zostali ranni, może być złagodzony lub wymazany, jeśli w ich pobliżu pojawi się ktoś, kto doświadcza bólu jeszcze bardziej dotkliwego. Można by to chyba przyrównać do sytuacji, gdy do pokoju pełnego dzieci, które krzyczą i niemłosiernie hałasują, wejdzie dorosły i huknie na nie tak głośno, że zagłuszy je wszystkie. Dzieciaki z szoku natychmiast by zapewne zamilkły.

Lilian zastanowiła się chwilę, wpatrując się w ogień.

– Chce pan powiedzieć, że jeśli ktoś w Filomenie doznałby obrażeń jeszcze poważniejszych niż te, z którymi zmagają się uwięzieni tam żołnierze, wtedy cały ich ból zostałby... jak to się mówi... odkupiony, czy tak?

– Tak to właśnie rozumiem – przytaknęła Artiom. – Mówiąc inaczej, to dokładnie ta sama zasada co z ukrzyżowaniem Chrystusa, Odkupiciela. Jedna osoba cierpi bardziej niż wszyscy wokół i w konsekwencji ci odczuwają ulgę w bólu.

– Z tego, co pan mówił wcześniej, odniosłam wrażenie, że nie wierzy pan w to, co jest napisane w Biblii.

Artiom podniósł swój kubek na znak potwierdzenia jej słów.

– Duża część Biblii to oczywiście absurdy – powiedział. – Rajski ogród. Dziesięć przykazań. Wniebowstąpienie. Jezus wystrzeliwujący w niebo niczym rakieta Apollo? No nie, nie wydaje mi się... Ale akceptuję to, że niektóre przypowieści mają odniesienia do prawdziwych wydarzeń. I nie mówię tu tylko o ukrzyżowaniu. W starożytnych księgach historycznych i tekstach religijnych można znaleźć kilka wzmianek o męczennikach celowo zadających sobie ból, by



użyć w cierpieniu ludziom wokół nich. I to się zdarzało również w czasach nowożytnych, w Rosji.

– Naprawdę? – zdziwiła się Liliam.

– O tak, w dwa tysiące dwudziestym dziennikarka Irina Slavina spaliła się żywcem, a w okresie rozłamu w Rosyjskim Kościele Prawosławnym w siedemnastym wieku całe wioski Staroobrzędowców dokonywały rytualnego samospalenia. Nazywano to „oczyszczeniem w ogniu” . Czasami ci ludzie podpalali sobie tylko ramiona albo ręce, co miało być odwzorowaniem bólu, jaki Chrystus cierpiał na krzyżu, a równocześnie miało złagodzić cierpienia wszystkich wokół.

– Pan naprawdę wierzy, że coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Trudno powiedzieć. Wyznam, że kiedyś nie uwierzyłbym, że możliwe jest cokolwiek z tego, czego doświadczyliście w Świętej Filomenie... Zmieniłem zdanie, dopiero kiedy Moses skontaktował się ze mną i opowiedział o tym wszystkim.

– Myślę, że moglibyśmy spróbować tego pierwszego sposobu... Postarać się znaleźć strażnika i przekonać go, żeby uwolnił tych ludzi. Albo chociaż przynajmniej Tima.

Artiom dokończył herbatę i odstawił kubek.

– Zgadza się, że mógłby to być dobry początek. Pani przypuszczalnie ma nadal klucze do szpitala, więc z wejściem nie byłoby kłopotów. A gdyby nas tam zatrzasnęło, jak was dzisiaj po południu, znam zakłęcie, które pozwoli nam wyjść.

Lilian spojrzała na zegar stojący na gzymsie kominka.

– Ale chyba nie chce pan tam jechać teraz?

– Im szybciej, tym lepiej, zanim policja zacznie wywracać to miejsce do góry nogami.

– Tylko co będzie, jeśli znajdziemy strażnika, a on nie zechce nikogo uwolnić?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. W żadnym z tekstów, które czytałem, nie było o takiej sytuacji wzmianki, nie ma też w nich słowa o tym, kim... lub czym... są strażnicy. Może się na przykład zdarzyć, że to będzie kobieta.

– Wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece.

## Rozdział 27

Kiedy dotarli do Świętej Filomeny, zobaczyli, że prowadzące do podjazdu zbrocze zostało otoczone taśmą z napisem: *policja – nie przekraczać*, ale policjantów nie widzieli. Ostatecznie była to tylko strefa zamknięta, a nie miejsce zbrodni. Artiom wysiadł z samochodu i podniósł taśmę, żeby Lilian mogła pod nią przejechać.

Księżyc schował się już za drzewami, więc szpital pogrążony był w kompletnej ciemności, chociaż od strony północnego zachodu, tam, gdzie lampy techników kryminalistycznych nadal oświetlały tor wyścigowy przy Tattenham Corner, na niebie mieniła się słaba luna.

Lilian przywiozła latarkę i gogle Franka, które niosła w plastikowej torbie. Artiom włączył latarkę w swoim telefonie.

– Mieli dzisiaj przyjechać i podłączyć prąd, ale nie wiem, czy teraz im na to pozwolą. – Lilian otworzyła drzwi wejściowe. – Ale byłoby to ogromnie pomocne, gdyby jednak podłączyli.

Artiom omiótł światłem latarki hol.

– Być może, jeśli znajdziemy sposób na uwolnienie tych biednych żołnierzy od bólu, uda nam się przywrócić ten szpital do normalności – powiedział.

– Naprawdę pan wierzy, że to możliwe?

– Jeśli katolicycy księża mogą wypędzać demony z ludzi rzekomo przez nie opętanych, to nie widzę powodu, dla którego my nie mielibyśmy móc zrobić czegoś podobnego tutaj. To, co uczyniono tym żołnierzom, ma swój rodowód w systemie wierzeń o wiele starszym od chrześcijaństwa.

Lilian zatrzymała się na środku holu i nasłuchiwała. Słyszała skrzypienie desek podłogowych i skrobanie pazurków skradających się szczurów

i wiewiórek, a także ciche, uporczywe stukanie drzwi poruszanych przeciągami.

– W drodze łamałam sobie głowę, zastanawiając się, kto może być strażnikiem. Z początku uznałam, że najbardziej prawdopodobnym kandydatem jest Martin Slater, ogrodnik. Ten człowiek pojawia się i znika prawie jak magik sceniczny i mówi naprawdę dziwne rzeczy. Ale on tu pracuje od dawna, zaczął na długo, zanim rozpoczęliśmy wojnę z Afganistanem, więc to raczej nie może być on. Potem pomyślałam o Marion Crosby, kobiecie, która prowadzi dom opieki dla rannych weteranów. Jeden z mężczyzn, którymi się opiekowała, Frank Willard, został zabity, chociaż policja nie powiedziała nam jeszcze, w jaki sposób zginął. To Frank, korzystając z gogli noktowizyjnych, pokazał nam żołnierzy, którzy nadal nawiedzają Filomenę. Nazywał ich towarzyszami broni, kolegami z wojska. Jeśli Marion Crosby jest strażniczką, być może była zła na niego, że to zrobił. Sam pan powiedział, że to może być kobieta.

– Ja tylko spekulowałam – zastrzegł się Artiom. – Z tego, co wiem, strażnikiem może być nawet zwierzę... pies, królik czy wrona.

Lilian poświęciła latarką na schody.

– Tima widziałam na górze, na trzecim piętrze. Przypuszczam więc, że powinniśmy zacząć tam.

– Moses mówił mi, że oni mogą człowieka popychać, ciągać, ale że nie wyglądało to tak, jakby chcieli kogoś skrzywdzić.

– Też nie odnosiłam wrażenia, żeby chcieli nam zrobić coś złego, mogliśmy się potknąć i spaść ze schodów albo że nas zmiażdżą. Byli niewidzialni, lecz wydawali się ważyć tyle, co prawdziwi ludzie. To nie były takie duchy, jakie widuje się na filmach, takie, które potrafią przenikać przez ściany.

Ledwo Lilian postawiła stopę na pierwszym stopniu, po szpitalu rozniósł się wysoki, agonálny krzyk. Zamarła i odwróciła się do Artioma.

– To dochodziło z kuchni, jestem tego pewna – powiedziała.

Nim Rosjanin zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszeli kolejny krzyk i kolejny, jeden urywany, zduszony krzyk po drugim.

– Ach...! Ach...! Ach...!

Artiom ruszył w stronę łukowego przejścia, Lilian za nim. Kiedy dotarli do drzwi i otworzyli je z hukiem, krzyk trwał nadal, mimo że w pierwszym ułamku

sekundy wydawało się, że w kuchni nikogo nie ma, że jest pusta.

Potem jednak Lilian zobaczyła, że z kredensu wysuwają się dwie szuflady i że noże, widelce i szpatułki po raz kolejny rozrzucone są po podłodze. Następnie, ku jej przerażeniu, nóż do mięsa z dwudziestocentymetrowym ostrzem zaczął sam wbijać się w sosnowy blat stołu. Nikt go nie trzymał, a jednak nóż wbijał się w stół raz po raz i za każdym razem rozlegał się zboląły krzyk.

– Kto tu jest?! – zawołała; była tak przestraszona, że prawie piszczala. – Pytam, kto tu jest?

Poszperała w plastikowej torbie i wyciągnęła z niej gogle. Artiom trzymał telefon wysoko, tak że obszar wokół stołu był jasno oświetlony, a on przesuwając snop światła bardzo powoli z boku na bok. Lilian zobaczyła czerwoną kropkę w jego telefonie i domyśliła się, że Rosjanin wszystko nagrywa.

Nasadziła gogle na głowę i włączyła je.

– O Boże, Artiom! Tu ktoś jest! To żołnierz i dźga nożem we własną rękę!

Przez gogle widziała świecąca zieloną postać z krótko przystrzyżonymi, szpeciniastymi włosami, w kamizelce kuloodpornej. Lilian nie potrafiła ocenić wieku mężczyzny, ale był niski i mocno zbudowany. Lewą dłoń położył na blacie stołu wierzchem do góry i dźgał ją raz za razem z taką gwałtownością, że wyglądał jak ktoś, kto za wszelką cenę usiłuje zabić wielkiego kraba.

– Kim jesteś?! – krzyknęła. – Widzę cię, więc nie masz po co udawać, że cię tu nie ma!

Żołnierz zatrzymał się w połowie ciosu, z uniesionym nożem. Artiom widział tylko nóż wiszący chwiejnie w powietrzu.

Żołnierz spojrzał na Lilian i musiał chyba zauważyć, że ma założone gogle.

– A co cię to obchodzi? – rzucił do niej przytłumionym głosem, jakby miał maskę na twarzy.

– Próbuję zapobiec cierpieniu każdego żołnierza w tym szpitalu – odpowiedziała. – Dlaczego się tak ranisz?

Mężczyzna podniósł lewą rękę. W miejscu, gdzie dźgnął się w nią kilkanaście razy, skóra była poszarpana, ale nie było śladów krwi, ani na nadgarstku, ani na stole.

– Powiedziano mi, że muszę odczuwać ból większy niż ten, który już odczuwałem.

– Kto ci tak powiedział?

– Pewien starzec na bazarze w Kandaharze. Przepowiadał przyszłość. Powiedział mi, że nigdy nie będę miał dzieci. Wyśmiałem go, bo ja i moja żona właśnie się pobraliśmy i postanowiliśmy, że będziemy mieli chłopca i dziewczynkę.

– Niesamowite – odezwał się Artiom. – Ja go słyszę. Słyszę każde słowo. Ale go w ogóle nie widzę... Widzę tylko nóż wiszący w powietrzu.

Żołnierz odłożył nóż na stół.

– O Chryste, nawet nie wiesz, jak to boli – stęknął stłumionym głosem, pochylając się i kładąc obie dłonie na pachwinie. – To był snajper. Dostałem raz w ramię i raz między nogi. Postrzelił mnie zaledwie dwa dni po tym, jak ten staruch wywróżył mi, że nigdy nie będę miał dzieci. I jak ostrzegł, że ból będzie trwał wiecznie. I tak właśnie jest.

– Ale ten staruch powiedział ci też, że jeśli zranisz się jeszcze bardziej... to wtedy co? – spytał Artiom.

Żołnierz kiwnął głową.

– Powiedział, że jeśli przysporzę sobie jeszcze większego bólu, niż już czułem, albo jeśli przysporzę go komuś innemu, kto będzie potem cierpieł bardziej ode mnie, wtedy to wszystko się skończy. Mój ból się skończy. Uwierzcie mi, próbowałem i próbowałem. Ale nie byłem w stanie zranić się wystarczająco mocno i nie mogłem zmusić się, żeby skrzywdzić aż tak kóregokolwiek z przyjaciół.

– Jak się nazywasz? – zapytał Artiom.

– Kenneth Blackmore. Porucznik Ken Blackmore, Regiment Yorkshire.

– Czy rozumiesz, co się z tobą stało? – ciągnął przepytывanie Artiom. – Czy wiesz, że zostałeś ukarany przez duchy, które strzegą Afganistanu przed inwazją obcych?

– Wiem tylko tyle, że jestem w ciągłej agonii i że nawet gdybym przestał cierpieć, na pewno nie wróciłbym nigdy do Afganistanu, choćby ktoś mi za to

dawał dziesięć milionów funtów. Nigdy więcej nie chcę widzieć tego kraju na oczy, tak długo, jak żyję.

– Czy masz świadomość, że w tym szpitalu jest prawdopodobnie ktoś, kto pilnuje ciebie i twoich kolegów? Ktoś w pewnym sensie podobny do funkcjonariusza więziennego. Strażnik. Wygląda jak normalny człowiek, ale jest opętany przez jednego z duchów, które Afgańczycy nazywają Duchami Bólu.

– Jestem świadomy wyłącznie swojego bólu.

– Chcemy znaleźć tego strażnika i spróbować przekonać do tego, by zakończył wasze cierpienia – powiedziała Lilian. – Jego albo ją. Nie domyślasz się, kto to może być?

Porucznik Blackmore pokręcił głową.

– Wszystko, co znam, to ból. Widzisz tę rękę? Widziałaś, co z nią zrobiłem? Ale to nie boli nawet w połowie tak bardzo jak miejsce, w którym kiedyś było moje przyrodzenie.

Lilian zdjęła gogle i przekazała je Artiomowi. Ten założył je i stał, wpatrując się w porucznika Blackmore'a, częściowo z niedowierzaniem, częściowo ze współczuciem. Ale chyba nie wiedział, o co jeszcze mógłby zapytać żołnierza, bo zdjął gogle i zwrócił się do Lilian:

– Musimy iść poszukać pani Tima. Być może on będzie mógł nam pomóc.

Lilian podniosła rękę.

– Poruczniku Blackmore? – rzuciła. – Słyszysz mnie pan? Musimy pana teraz zostawić, ale obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by położyć kres pańskiemu cierpieniu.

– Próbowałem się zabić. Chciałem podciąć sobie gardło i przeciąłem jabłko Adama, ale nic się nie stało. Czasami zastanawiam się, czy nie jestem już martwy, ale to mnie tak cholernie boli, że chyba muszę być żywy. Jak mógłbym się tak czuć, gdybym nie żył?

Było to pytanie, na które ani Lilian, ani Artiom nie znali odpowiedzi. Opuścili więc kuchnię, przeszli pod łukiem sklepionego przejścia i podeszli do schodów.

Zanim zaczęli się na nie wspinać, Lilian zatrzymała się jednak i zwróciła do Artioma:

– To jest szaleństwo, prawda? Może pan dać wiarę, że to robimy? Bo ja nie. Mój były mąż leży podobno martwy na torze wyścigów konnych w Epsom, a ja idę na górę w opuszczonym szpitalu, żeby z nim porozmawiać.

– Nie musi pani tego robić – odparł Artiom. – Może pani wyjść stąd teraz i nigdy nie wracać.

– Jak mogłabym? Jak miałabym przejeżdżać potem obok Filomeny, wiedząc, że on wciąż tu jest i że cierpi wieczne katusze? Jak mogłabym zostawić tych wszystkich żołnierzy doświadczających bólu, który nigdy się nie skończy? Poza tym, to by oznaczało koniec mojej kariery w Downland i prawdopodobnie wszędzie indziej.

\* \* \*

Wspinali się po schodach. Gdy Lilian zatrzymała się na drugim piętrze, by złapać oddech, wydało jej się, że wyczuwa napięcie w powietrzu, jakby szpital wiedział, po co przyszli tu tej nocy.

– Co się stało? – spytał ją Artiom.

– Nie wiem. Mam takie wrażenie, jakbyśmy byli obserwowani.

– Może jesteśmy. Ostatecznie ci żołnierze są przecież niewidzialni.

– Zawsze myślałam, że jak się nie żyje, to się nie żyje, i koniec.

– Energii nie można ani stworzyć, ani zniszczyć. A my być może odkryliśmy, czym tak naprawdę są duchy. Ból to przecież energia i może ta energia nadal istnieje, nawet gdy ciało uległo rozkładowi lub zostało spalone na popiół.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego Tim tu jest. To znaczy, jeśli nadal tu jest.

– Chodźmy więc na górę i dowiedzmy się.

Weszli się na ostatnie piętro i Lilian ponownie założyła gogle Franka, po czym ruszyli korytarzem do drzwi, w których po raz ostatni widziała Tima. Artiom trzymał ją za ramię, pomagając jej zachować równowagę.

– Tim! – zawołała, gdy zbliżała się do sali na końcu. – Tim! Jesteś tam? To ja, Lilian, Tim! Przyszłam po ciebie!

– Pokazał się? – zapytał szeptem Artiom. – Lub ktokolwiek inny?



– Na razie nie. Gdyby wyszli, dzięki goglom zobaczyłabym ich, więc na pewno się ukrywają. Zastanawiam się tylko dlaczego. Wydają się wiedzieć, że możemy im pomóc. Tłoczyli się wokół nas po południu, zanim udało się panu nas stąd uwolnić, i wyglądało to tak, jakby nas błagali o pomoc. Więc gdzie są teraz?

Zatrzymała się przy drzwiach ostatniej sali. Były w połowie uchylone, wyciągnęła więc rękę i pchnęła je, żeby otworzyły się na całą szerokość. Poświeciła do środka latarką, a Artiom podniósł telefon. W pomieszczeniu nie było nikogo, a przynajmniej nikogo, kogo byliby w stanie zobaczyć.

– Tim! – zawołała Lilian. – Tim, jesteś tam? Czy ktoś tam jest?

– Jeśli w środku jest jakiś żołnierz, który nas słyszy – dołączył do niej Artiom, mówiąc podniesionym głosem – niech się nam pokaże. Próbujemy znaleźć sposób na zakończenie waszego cierpienia.

Czekali, ale słyszeli tylko cichy szum przeciągu, który przepływał przez oddziały, jakby cały budynek oddychał.

– Być może tracimy jednak czas – mruknął Artiom. – Może oni śpią, a my nie możemy ich zobaczyć, kiedy śpią. Niewykluczone, że śpią jak najdłużej, bo wtedy nie czują bólu.

– Ten porucznik Blackmore na dole w kuchni... on nie spał.

– Owszem, ale powiedział nam, że szuka sposobu na zadanie sobie jak największego bólu.

Lilian rzuciła kolejne spojrzenie w głąb sali.

– Tim?! – zawołała, już po raz ostatni.

Artiom ujął ją pod rękę.

– Chodźmy – rzucił. – Zostawmy to na razie. Poczytam jeszcze. Może uda mi się dowiedzieć, czy istnieją jakieś inne sposoby na zapewnienie tym biednym duszom odrobiny spokoju.

Wracali korytarzem do schodów i Lilian miała już ściągnąć gogle, gdy usłyszała głos za sobą:

– Lil! Lilian! Nie zostawiaj mnie. Lil, dokąd ty idziesz?

Odwróciła się i wpadła na Artioma. Przed drzwiami sypialni stał Tim lub świecący na zielono wizerunek Tima. Lilian nie była w stanie określić, jaki były

mąż ma wyraz twarzy, lecz widziała, że jego ramiona są zwieszane, jak u kogoś, kto porzucił wszelką nadzieję.

– Jest tam? – spytał Artiom.

– Tak, jest! – potwierdziła. Uwolniła ramię i szybko wróciła na koniec korytarza. – Tim! Musisz iść z nami! Spróbujemy cię stąd wydostać!

Wyciągnęła rękę i zielony obraz Tima wyciągnął swoją, a ona ją poczuła, jakby to była prawdziwa dłoń. Poczowała nawet na palcu obrączkę, której nigdy nie zdejmował, nawet po rozwodzie, i którą komisarz Routledge pokazał jej jako dowód na to, że Tim nie żyje.

– To Artiom – powiedziała, pociągając zjawę za sobą korytarzem. Niczym się to nie różniło od ciągnięcia prawdziwego człowieka, wahającego się, czy chce poznać nowego znajomego, i nawet słyszała, jak buty byłego męża szurają po podłodze.

Artiom również wyciągnął rękę, choć dla niego Tim był niewidzialny. Lilian poprowadziła dłoń byłego męża w kierunku dłoni Rosjanina i obaj, sięgając z jednego wymiaru do innego, uścisnęli je sobie, a jej przemknęło przez myśl, że Artiom wygląda tak, jakby wkładał rękę do basenu, by ratować Tima przed utonięciem.

– Posłuchaj mnie, Tim – odezwał się Artiom, nie wypuszczając dłoni zjawy z uścisku. – Czy wiesz, kto jest twoim strażnikiem? Osobą, która pilnuje was tu wszystkich?

– Moim strażnikiem? Nie wiem, co masz na myśli – odpowiedział mu bezcielesny głos Tima.

– Czy jest tu ktoś, kto przebywa w tym szpitalu przez cały czas i ma na was oko?

– Nie... nie wydaje mi się. Nikogo takiego nie widziałem. Ale mało tu widziałem. Za bardzo mnie bolało. Nie mogę nawet myśleć jasno, tak bardzo mnie to boli.

– Co cię tak boli, Tim? – zapytała Lilian.

– Kolana. Oba kolana. Mam wrażenie, jakby wszystkie kości w nich tały o siebie nawzajem.

– Kiedy to się zaczęło?

– Kiedy przyszedłem do ciebie po pieniądze na czynsz.

– I co się wtedy stało?

– Tylko się rozglądałem. O Jezus, Lil, nawet nie będę próbował opisywać, jak to strasznie boli! Był tam żołnierz... stał na korytarzu. Powiedziałem coś w rodzaju „Witam”, ale reszty nie pamiętam. A potem otworzyłem oczy i leżałem w tej sali, i czułem się tak, jakby odrażano mi nogi w kolanach.

Artiom popatrzył na Lilian.

– To brzmi tak, jakby ten żołnierz w jakiś sposób przelał na niego swój ból – powiedział. – Być może to właśnie spotkało mierniczych... lub coś podobnego.

– Ale co my możemy zrobić dla niego teraz? Wydawało mi się, że mówił pan, że żaden z tych ludzi, którzy krążą po Świętej Filomenie, nie może wychodzić na zewnątrz. Nie poszli za nami wtedy, kiedy otworzył pan dla nas drzwi tarasowe w salonie.

– O Jezus, Lil – jęknął Tim i powoli osunął się na kolana, choć Artiom wciąż trzymał jego dłoń.

– On tak straszliwie cierpi, Artiom, musimy coś zrobić. Tylko skoro nie możemy znaleźć strażnika, który zatrzymałby ten ból...

– Zabieramy go na zewnątrz.

– A jeśli nie będziemy mogli tego zrobić?

– Zabieramy go – powtórzył Artiom. Potem zniżył głos i nachyliwszy się do Lilian, dodał: – Nie słyszała pani o zabójstwie z miłosierdzia?

Spojrzała w dół na świetlistą zieloną postać klęczącą na podłodze obok niej. To był jej były mąż, ale zarazem nie był. Jeśli komisarz Routledge miał rację – a portfel Tima i obrączka były niemal niepodważalnym dowodem, że miał – to prawdziwy Tim stracił życie na torze wyścigowym. Więc kim lub czym był ten człowiek przed nią? Czy był duchem Tima, jego duszą, a może niczym więcej niż jego zdolnością odczuwania bólu, którą przejął przez ранnego żołnierza? Żołnierza, który swoją agonię chciał przelać na kogoś innego?

A skoro był tylko bólem, to czy nie byłoby lepiej zabrać go na zewnątrz i zakończyć jego cierpienie?

Przez chwilę, patrząc w dół na klęczącą na podłodze postać, Lilian oczami pamięci widziała Tima klęczącego przy małej białej trumnie, gdzie leżała ich

córeczka Ruth, która urodziła się martwa, i pomyślała o rozpaczy, jaką musiał wtedy przeżywać. A teraz ponownie przez to przechodził.

– Nie wiem, Artiom. Nie wiem, czy mam odwagę to zrobić – powiedziała. – Nie wiem, czy mam moralne prawo to zrobić.

– Więc musisz go tu zostawić, żeby cierpiał po wsze czasy z tymi żołnierzami. Choć nie wiem, jak uda ci się przekształcić ten szpital w luksusowe mieszkania, jeśli się ich nie pozbędziemy lub nie przyniesiemy im ulgi.

– Nie uda mi się, prawda? Będę musiała to zostawić. Tylko że teraz to nie o przebudowę się martwię, a o to, jak mam porzucić tych przeżywających katusze ludzi. Może oni żyją, może nie. Może są prawdziwi lub są tylko jakąś formą energii, tak jak pan mówił. Ale jak będę mogła żyć sama ze sobą, wiedząc, że wciąż tu są, wyjąc z bólu, już na zawsze?

Artiom podniósł prawą pięść, w której nadal ścisnął dłoń Tima.

– Czyli zabieramy go na zewnątrz, tak?

Lilian przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Tak. Nie widzę, co innego moglibyśmy zrobić.

\* \* \*

– Tim – powiedział Artiom, podnosząc dłoń jeszcze wyżej. – Musisz teraz wstać. Postaramy się, żebyś poczuł się lepiej.

– Co... co zamierzacie zrobić? Nie wiem, jak ktokolwiek może sprawić, że poczuję się lepiej – odpowiedział zboląły Tim.

– Wstań, pokażemy ci.

Tim spojrział na Lilian.

– Naprawdę zamierzacie mnie uratować? Nie zniosę więcej tego bólu, Bóg mi świadkiem.

Po szklach gogli Lilian od wewnątrz spływały zielone łzy.

– Tak, Tim, naprawdę zamierzamy cię uratować – powiedziała.

Ona i Artiom pomogli mu wstać. Przy każdym ruchu Tim jęczał i zasysał powietrze, a gdy już stał, Rosjanin otoczył go ramieniem i pomógł przejść korytarzem do schodów. Lilian zdjęła gogle, by wytrzeć oczy, i kiedy to zrobiła,

zielona postać Tima zniknęła. Widziała tylko Artioma, który schodził ostrożnie na dół, krok po kroku, z prawą ręką wyciągniętą w bok.

Dotarli do drugiego piętra i schodzili dalej, kiedy Lilian usłyszała odgłos szybkich kroków dochodzących z holu, *tup, tup, tup*, jakby ktoś się spieszył. Zanim się obejrzała, u stóp schodów na pierwszym piętrze pojawił się Martin Slater. Zatrzymał się i popatrzył na nich; dłonie zaciśnięte w pięści miał wsparte wyzywająco na biodrach.

– A co wy tu, do cholery, robicie? – spytał ostrym głosem.

– Mogłabym zadać panu to samo pytanie, panie Slater – odparowała Lilian. – Jest pan ogrodnikiem. A w zasadzie już nim pan nawet nie jest. Kto panu dał pozwolenie na wchodzenie do środka?

– Jestem kimś więcej niż tylko ogrodnikiem, szanowna pani – odpowiedział Slater. – Jestem też dozorcą. Zatrudnionym do dbania o ten szpital, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

– Nie, nie jest pan tu zatrudniony jako dozorca. A przynajmniej nie przez nas. I to już nie jest szpital. Sądziłam, że wyłuszczyłam to panu wystarczająco jasno. Sugeruję opuścić to miejsce natychmiast i nie wracać, pod żadnym pozorem. Chcę też, żeby pan wiedział, że policja bardzo chce z panem porozmawiać, więc jeśli pan teraz nie wyjdzie, zadzwonię do nich i powiem, że pan tu jest.

– Pani nie rozumie, co? Pani firma może mieć akt własności Filomeny, ale nigdy nie będzie jej właścicielem.

– Och, myślę, że rozumiemy, proszę pana – odezwał się Artiom. Opierał się o poręcz balustrady, żeby łatwiej mu było znieść ciężar osuwającego się na niego Tima. – Może nie rozumiemy wszystkiego, ale jeśli pan tu jest dozorcą, to cała reszta zaczyna nabierać sensu.

– Dokąd idziecie z tym człowiekiem? – warknął Slater, jakby nie usłyszał słów Rosjanina.

– A skąd pan wie, że idziemy dokądkolwiek z jakimkolwiek człowiekiem? – spytał Artiom.

– Dokąd go zabieracie?

– Pan go widzi?

– Oczywiście, że widzę. I wiem też, kim jest. Albo raczej kim był.

– To pan jest strażnikiem, prawda? – rzucił Artiom. Głos mu drżał od emocji, a jego rosyjski akcent stał się jeszcze bardziej wyraźny. – Nie jest pan ogrodnikiem ani dozorcą. Może kiedyś nim pan był, ale teraz jest pan strażnikiem wyznaczonym przez Da Dard Rohonah, zgadza się? Wyznaczyli pana do pilnowania, by te biedne dusze nadal odczuwały ból, którego doświadczyły w Afganistanie, i żeby odczuwały go wiecznie.

Artiom wysunął biodro w bok. Chociaż Tim był niewidzialny, ugięły się pod nim nogi i wyslizgiwał się Rosjaninowi.

– No i proszę – kontynuował Artiom. – Wie pan dokładnie, o czym mówię, co? Gdyby naprawdę był pan ogrodnikiem, byłby pan zdumiony. Ale pan nie jest, prawda? Jest pan jednym z nich. Jednym z Duchów Bólu.

– Puśćcie tego człowieka! Zasługuje na karę, jak oni wszyscy.

– Ten człowiek nie był nawet żołnierzem.

– Ale nosi w sobie ból żołnierza. To wystarczy. A teraz go puśćcie.

– Pochodzę z Rosji, przyjacielu. Służyłem w Afganistanie i nadal śnią mi się o tym koszmary. Wiem, jak wielu moich rodaków wciąż cierpi z powodu służby w tym kraju.

– No i co z tego? Nie powinniście byli próbować przejąć naszej świętej ziemi, która nie należała do was. To proste.

Artiom odwrócił się do Lilian.

– Chodźmy – rzucił i stęknawszy, poprawił uchwyt na plecach Tima. Następnie podjął wędrówkę w dół schodów, czemu towarzyszyło stukanie butów Tima szorujących po stopniach.

– Ostrzegam was, nie sprowadzajcie go ani kroku niżej – zagroził Martin Slater.

– Doprawdy? Bo co nam zrobisz? Może nie jestem już taki młody, ale nadal potrafię komuś przyłożyć.

– Powiedziałem, nie sprowadzaj go dalej.

– Nie masz tu żadnej władzy, czymkolwiek jesteś, człowiekiem czy duchem. A teraz daj mi przejść, dobra?

Martin Slater przesunął się w bok, by zatarasować schody prowadzące do holu.

– Puść go – powiedział i jego głos był tak lodowaty jak spojrzenie.

Nadal podtrzymując Tima prawą ręką, lewą Artiom spróbował zepchnąć Slatera z drogi.

– Artiom – przestrzegła go Lilian, bo przeczuwała, że stanie się coś złego: że Martin Slater zepchnie Rosjanina ze schodów albo wyciągnie jakieś narzędzie ogrodnicze i go nim ugodzi.

Ale Slater tylko podniósł ręce, wypowiedział jakieś słowa i Artiom eksplodował. Z najgłośniejszym hukiem, jaki Lilian kiedykolwiek słyszała, rozpadł się na kawałki. Jego oderwana głowa poszybowała w powietrze, przeleciała nad poręczą i spadła na posadzkę holu; odbiła się od niej kilkukrotnie, potoczyła w stronę łukowego przejścia i zniknęła. Ramiona podleciały w górę, tak że dłonie złożyły się razem, po czym runęły w dół i stoczyły ze schodów. Z rozdartej klatki piersiowej wystrzeliło kłębowisko strzępów ciała i potrzaskanych żeber, narządy wewnętrzne poleciały na podłogę w mazistych grudach, splątanych pajęczynami tkanki łącznej.

Nawet Slater nie uniknął konsekwencji eksplozji – nogawki jego spodni nasiąkły ciemną czerwienią krwi, a lśniący zwój jelita cienkiego owinął mu się wokół jednego z butów.

Lilian była tak zaszokowana i ogłuszona, że przez chwilę nie mogła zrobić nic poza staniem w połowie schodów z otwartymi ustami; nie mogła się ruszyć, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. W pierwszym momencie pomyślała, że Tima też rozerwało, ale potem zobaczyła coś, co wyglądało jak pokryty krwią zarys czołgającego się człowieka. To coś jęczało i zdała sobie sprawę, że to musi być Tim, choć bez gogli nie miała jak stwierdzić, czy jest ranny i czy krew, którą był obryzganym, to krew jego, Artioima czy też mieszanka obu.

Wiedziała jedno: musi się jak najszybciej stąd wydostać. Omijając Slatera, który o dziwo nie próbował jej zatrzymać, ruszyła w dół po schodach. Podeszwy jej butów ślizgały się na krwi pokrywającej stopnie i niewiele brakowało, a runęłaby w dół, udało jej się jednak chwycić poręczą i utrzymać równowagę.

Odetchnęła i nie oglądając się za siebie, nie sprawdzając, czy Slater za nią idzie, dotarła do holu i modląc się o to, by drzwi frontowe dały się otworzyć, pobiegła do nich. Gdy wytoczyła się na ganek, wydała z siebie cichy okrzyk ulgi.

Pognała do swojego samochodu, otworzyła go i wskoczyła do środka. W panice upuściła kluczyki na podłogę i musiała ich szukać po omacku pod siedzeniem. Uruchomiła silnik i wyjechała z dziedzińca Filomeny w kłębowisku podrywanego z ziemi żwiru. Nie zważając na nic, wjechała w taśmę policyjnej, rozrywając ją na pół.

Pędziła niebezpiecznie szybko wąską i krętą drogą wiodącą do toru wyścigowego, następnie wokół trybun i Tattenham Corner. Tor był oświetlony lampami ledowymi i wciąż stały tam dwa radiowozy, a także furgonetka ekipy techników kryminalistyki.

Zatrzymała się z piskiem opon przy barierkach, wysiadła i pobiegła przez tor do niebieskiego namiotu kryminalistów. Stało przed nim dwóch umundurowanych policjantów i detektyw w cywilu, który przytrzymywał klapę namiotu w górze, by widzieć, co technicy robią w środku.

– Przepraszam panią – zwrócił się do niej jeden z mundurowych. – To jest teren zamknięty.

– Wydarzył się śmiertelny wypadek – wydyszała Lilian. – W szpitalu Filomeny... lub raczej w budynku, który kiedyś był szpitalem Świętej Filomeny...

– Wypadek? Jak? Co się stało?

– Wybuch. Hm... coś jak wybuch. Człowiek, który zginął, to Artiom. Nie pamiętam jego nazwiska, ale jest Rosjaninem. Prowadzę renowację szpitala, a on pomagał mi sprawdzić, czy budynek jest bezpieczny.

– O jakim rodzaju eksplozji mówimy? – spytał detektyw. – Gazu czy czego?

– Nie wiem. Nie wiem, co było przyczyną. Muszę porozmawiać z komisarzem Routledge'em. Prowadzi dochodzenie w sprawie problemów, jakie mamy w Filomenie.

Detektyw spojrział na zegarek.

– Teraz jest już po służbie, proszę pani. Mogę prosić o pani nazwisko?

– Lilian Chesterfield. Pracuję w Downland Developments.

– Och, w takim razie już wiem, kim pani jest. Mieliśmy odprawę w związku ze szpitalem Filomeny. Chodziło o kości, które tam znaleziono, i o możliwe



wtargnięcie i wandalizm. I z przykrością muszę powiedzieć, że, niestety, mamy podstawy podejrzewać, że szczątki w tym namiocie są szczątkami pani męża.

– Tak, wiem. Komisarz Routledge już mi o tym powiedział. Pokazał mi portfel męża i jego obrączkę. Tak właściwie to był mój były mąż. Byliśmy rozwiedzeni.

– Rozwiedzeni czy nie, ale nie sądzę, żeby chciała pani zobaczyć, co z niego zostało.

## Rozdział 28

– Proszę bardzo, Barry – powiedziała Audrey, otwierając drzwi piekarnika pikowanymi rękawicami kuchennymi. – Twoje ulubione! Stek i zapiekanka z grzybami!

– A niech mnie, co to za specjalna okazja? – zdziwił się Routledge. – Nie mów tylko, że zapomniałem o jakiejś rocznicy!

– Nie. – Audrey uśmiechnęła się. – Miałaś tyle roboty w ostatnich dniach i tak mało jadłeś, że pomyślałam, że zasłużyłeś na coś wyjątkowego. W jadalni jest butelka malbeca, jeśli masz ochotę na wino do zapiekanki.

Komisarz zsunął się z wysokiego kuchennego stołka, na którym siedział.

– Wiesz, kochanie, to przez te incydenty w Świętej Filomenie – powiedział.

– Przecież sam mówiłeś, że to pewnie tylko ktoś się tam głupio zabawia i stosuje jakieś przebiegłe sztuczki.

– Wybacz. Obiecałem, że nie będę przynosił pracy do domu, ale ta konkretna sprawa naprawdę doprowadza mnie do szału.

– Wcale ci się nie dziwię. Te upiorne hałasy, dziwne zjawy przemykające wszędzie wokół i to wrażenie, jakbyś był popychany...

– Chodzi też o pięć ofiar śmiertelnych, w tym o cztery zgony, do których doszło w Świętym Helierze. Wydaje się, że wszystkie w jakiś sposób są powiązane ze Świętą Filomeną, choć Bóg jeden wie w jaki. Odkąd zostały do nas dowieszone ciała tych ludzi, w East Surrey pracuje nad ich autopsją dwóch najlepszych patologów sądowych, wciąż jednak nie potrafią ustalić, jak ofiary zginęły. – Podszedł do żony, położył rękę na jej ramieniu i pocałował w kark. – To w takich okresach jak te dociera do mnie, jak bardzo potrzebuję ciebie

i twoich steków z zapiekankami grzybowymi. Hm... ciebie oczywiście potrzebuję o wiele bardziej niż steków i zapiekanek.

– Jeśli nie jesteś głodny, wcale nie musisz ich jeść – powiedział kokieteryjnie Audrey.

– Żartujesz? Zaczekaj, już idę po wino.

Wracał z jadalni z butelką malbeca, gdy jego telefon rozbrzmiał dzwonkiem z tonem dzwonu z wieży kościelnej.

– Nie odbieraj – rzuciła szybko Audrey, która już zaczęła kroić zapiekankę. – Dziś wieczorem cię nie ma. Jesteś... przebrany za klauna i zabawiasz dzieci w ośrodku pomocy społecznej. Przynajmniej tak możesz powiedzieć Leonardowi jutro, jeśli zapyta.

Pokręcił smutno głową i odebrał.

– Routledge – rzucił do słuchawki i potem słuchał, bez żadnego wyrazu na twarzy, nawet gdy Audrey bezgłośnie zapytała: „Kto to?”. Po chwili powiedział: – Kiedy? Rozumiem. I gdzie ona teraz jest? Zorganizowałeś saperów? A technik? Dobrze. Tak. I jesteś tam teraz? W porządku. Widzimy się za dziesięć minut.

Kiedy skończył, odwrócił się do żony, która właśnie odłożyła nóż.

– Kolejny zgon i tym razem rzeczywiście miał miejsce w Świętej Filomenie. Ale chyba da się tę zapiekankę odgrzać jutro, co?

– Będę musiała tak zrobić, co mi pozostaje? Żadna zapiekanka na świecie nie jest ważniejsza od zabójstwa.

\* \* \*

Skręcił w podjazd przed szpitalem Filomeny i zaparkował za trzema radiowozami i dwoma nieoznakowanymi samochodami.

Przy ganku stało siedmiu mundurowych w żółtych kamizelkach odblaskowych. Detektywa sierżanta Woodsa, detektywa posterunkowego Merricka i posterunkową Lakhani znalazł w jednym z nieoznakowanych pojazdów, rozmawiających z Lilian. Zapukał w szybę samochodu i wszyscy wysiedli.

– Przykro mi, że musimy się znowu spotykać w tak tragicznych okolicznościach, pani Chesterfield – zwrócił się do Lilian.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Niech pan na mnie spojrz, panie komisarzu! Nadal cała się trzęsę, od stóp do głów.

– Jest pani w stanie o wszystkim opowiedzieć? Domyślam się, że już rozmawiała pani z moimi kolegami tutaj.

– Pani Chesterfield zdała nam całkiem przejrzystą relację z tego, co tu się wydarzyło – wtrącił sierżant Woods. – Zginął człowiek w wyniku eksplozji, niemal identycznej jak te, do których doszło w Świętym Helierze i w pobliskim domu opieki.

– I mogę panu powiedzieć, kto to zrobił, chociaż nie mam pojęcia jak – powiedziała Lilian. – To był Martin Slater, ogrodnik.

– Ten facet w skórzanej kamizelce? Ten, którego widzieliśmy w ogrodzie, kiedy utknęliśmy w środku? – zapytał Routledge.

– Tak. A zabitym człowiekiem był Artiom, Rosjanin, który otworzył nam drzwi tarasowe. On i ja rozglądaliśmy się po szpitalu, próbowaliśmy odkryć, co się tu naprawdę dzieje.

– Pani Chesterfield dość dokładnie opisała nam, jak ten cały Slater wygląda – dodał Woods. – Zamieścimy jego portret pamięciowy w sieci i wydamy alert, że jest poszukiwany.

Komisarz zwrócił się do Lilian:

– Mówiłem pani głośno i wyraźnie, że na jakiś czas Święta Filomena ma zostać zamknięta, prawda? Wiedziała pani, że nie powinna była tu wracać i wchodzić do środka?

Lilian odwróciła wzrok i nie odpowiedziała. Nie zamierzała przyznawać się przed Routledge’em, że próbowała uratować Tima od wiecznego bólu. Zabrzmiałoby to jak szaleństwo, biorąc pod uwagę, że znaleziono jego martwe ciało na torze wyścigów konnych w Epsom.

Przyjechała furgonetka ekipy techników kryminalistycznych, a tuż za nimi jakiś nieznaną samochód. Gdy tylko kierowca wysiadł z auta, Routledge po bujnej siwej czuprynie rozpoznał w nim doktora Richarda Hornera, jednego z najlepszych patologów sądowych w Surrey.

– Detektywie komisarzu! – zawołał tubalnym głosem patolog, podchodząc. – Powiadomiono mnie, że mamy tu niezły bałagan!

– Jeszcze go sam nie widziałem – odparł Routledge. – Ale wszystko wskazuje, że to podobna sprawa do tych dwóch przypadków, z którymi mieliśmy do czynienia w Świątym Helierze i niedaleko stąd, w Downlea. Dorosły mężczyzna, rozsadzony na kawałki w eksplozji. Za chwilę będą tu saperzy, zrobią rozeznanie i sprawdzą, czy można bezpiecznie wejść do środka.

– Zwykle nie badam zwłok na miejscu zdarzenia, wie pan o tym – zaznaczył Horner. – Ale po tych dwóch ostatnich zgonach na skutek eksplozji uznałem, że powinienem zobaczyć, jak wygląda ułożenie rozerwanych części ciała. Żadna z dwóch ostatnich kolekcji szczątków nie nosiła na sobie śladów substancji wybuchowych, więc może wzór rozprysku części ciała tej ofiary da mi jakąś wskazówkę co do tego, jak została zabita. A właśnie! – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni tweedowego płaszcza. – Cieszę się, że pan tu dziś jest. Zamierzałem wysłać panu jutro z rana maila w sprawie szkieletu, który został znaleziony na terenie szpitala Filomeny.

– O naprawdę? – rzucił komisarz z niejakim roztargnieniem.

Przyjechała kolejna furgonetka kryminalistyków i kolejny radiowóz.

– Tak, udało nam się dokonać pozytywnej identyfikacji – powiedział Horner. – To łopatka znaleziona razem z kośćmi dostarczyła nam kluczowej wskazówki. Udało nam się powiązać pobrane z niej próbki DNA z próbkami znalezionymi na innych narzędziach ogrodniczych znajdujących się w tutejszej szopie i z próbkami pobranymi z kości. – Horner wyciągnął kopertę, wyjął z niej kartkę i rozłożył ją. – Poza tym lewa kość udowa nosiła ślady po skomplikowanym i nietypowym złamaniu, a kiedy sprawdziliśmy w dokumentacji medycznej Państwowej Służby Zdrowia, dowiedzieliśmy się, kiedy i gdzie została przeprowadzona operacja oraz jak nazywał się pacjent. – Lekarz oblizał kciuk i rozłożył drugą kartkę. – Nazywał się Martin Jeremy Slater i oceniając po stanie jego kości, został pochowany mniej więcej siedem lat temu, w wieku czterdziestu sześciu lat. Mieszkał w Starej Chacie w Downlea Wood i przez jedenaście lat był tu zatrudniony jako ogrodnik.

Lilian słuchała tego, co mówił doktor Horner, i po ostatnich słowach, podeszła do niego i stojącego obok komisarza.

– To nie może być prawda. Martin Slater wciąż żyje i pracuje tu jako ogrodnik, mimo że powiedzieliśmy mu, że nie jest przez nas zatrudniony i mu nie

płacimy – oznajmiła.

– Jest też naszym głównym podejrzanym – dodał Routledge. – Mamy wszelkie powody, by sądzić, że może w jakiś sposób odpowiadać za te dwa zgony w Helierze oraz za ten dzisiejszy. Był tam z panią Chesterfield, kiedy ofiara została zabita.

– Może miał brata bliźniaka – rzucił Horner, wsuwając kartki do kieszeni. – Ale zapewniam państwa, że nie ma nawet cienia wątpliwości, że znaleziony szkielet to szczątki Martina Jeremy’ego Slatera, tego samego Martina Jeremy’ego Slatera, który pracował tu jako ogrodnik.

– Sobowtór – szepnęła Lilian. – *Q’areen*.

– Przepraszam, co pani powiedziała? – spytał patolog, przykładając jedną rękę do ucha.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – poprosił Routledge. – Przynajmniej do chwili, aż będziemy mogli zobaczyć, co jest w środku budynku. – Odwrócił się do Woodsa. – Stara Chata, Downlea Wood, Andy. Wyślij Merricka z mundurowym, żeby sprawdzili, kto tam teraz mieszka i czy ma jakieś pojęcie, co stało się z Martinem Slaterem i kiedy przestał tam mieszkać.

Lilian zaczęły wstrząsać dreszcze.

– Może lepiej, żeby pojechała pani do domu, nie sądzi pani? – zwrócił się do niej detektyw komisarz. – Dość pani przeżyła jak na jedną noc. A jutro z rana może wpadłaby pani do komisariatu w Reigate, wtedy porozmawialibyśmy bardziej szczegółowo.

– Nie – sprzeciwiła się Lilian. – Jeszcze trochę zostanę. – Miała bardzo silne przeczucie, że jeśli pojedzie do domu, już nigdy więcej nie będzie w stanie tu wrócić. Już teraz przeczuciwała, że po makabrycznej śmierci Artioma jej kariera w branży deweloperskiej jest skończona. Wiedziała też, że nawet jeśli wróci do domu, nie będzie mogła zasnąć. Głowa Artioma będzie wirowała w jej koszmarach przez wiele nadchodzących miesięcy.

– Cóż, jak pani woli – odparł Routledge. – Ale może przynajmniej niech pani usiądzie w samochodzie i trochę się ogrzeje. Asma... dotrzyмай pani towarzystwa, dobrze?

Lilian poszła z posterunkową Lakhani do swojego auta, podczas gdy komisarz i technicy rozmawiali z doktorem Hornerem.

Posterunkowa Lakhani pokręciła głową i powiedziała:

– Jeszcze nigdy nie widziałam komisarza Routledge’a tak sfrustrowanego. Ma takie dobre wyniki w zamykaniu spraw... lepsze niż inni detektywi w Surrey. Herkules Poirot Routledge, tak go nazywają, bo zawsze jest taki logiczny. Wie pani, o co mi chodzi?

– Nie sądzę, by istniało jakiegokolwiek logiczne wyjaśnienie tego, co się tutaj dzieje – odparła Lilian. Wpatrywała się w budynek szpitala, na wypadek gdyby w oknach na górnych piętrach pojawiły się twarze lub migotanie świateł. Ale szpital był pogrążony w ciemności, jakby odmawiał ujawnienia prawdy o tym, co wydarzyło się w środku.

W końcu przyjechały dwie białe furgonetki Królewskiego Korpusu Logistycznego i wysiadło z nich czterech saperów. Kiedy wcisnęli się w kombinezony przeciwośloneczne, komisarz Routledge i sierżant Woods poinformowali młodego porucznika dowodzącego zespołem, czego mogą spodziewać się w budynku.

– Czy dobrze się pani czuje? – zwróciła się do Lilian posterunkowa Lakhani.

– Bo widzę, że pani wciąż drży.

– Dobrze? Chyba już nigdy nie będę czuła się dobrze. Nie mogę przestać myśleć o tym, co oni tam znajdują.

– Ja nie byłam w środku i mam nadzieję, że nie będę musiała tam wchodzić. W zeszłym tygodniu widziałam przejechanego psa i nie mogłam potem jeść przez dwa dni.

Ekipa saperów weszła do szpitala frontowymi drzwiami i zostawiła je otwarte. Lilian widziała, jak światła ich latarek, krzyżując się, tańczą na wyłożonych boazerią ścianach holu. Nie była w stanie nie wyobrazić sobie oderwanej głowy Artioma leżącej przy listwie przypodłogowej. Jego oczy wpatrywały się w Lilian, gdy przebiegała obok. Wciąż były otwarte, ale czoło nad nimi było lekko zmarszczone, jakby Artiom pytał ją: „Dokąd się tak spieszysz? Dlaczego mnie tutaj zostawiasz?”.

Parę minut po tym, jak saperzy weszli do budynku, do Lilian dotarł krzyk. Był tak głośny, że usłyszała go nawet przez zamknięte szyby w samochodzie. Otworzyła drzwi i wysiadła. W tym momencie z holu jak wystrzeleni z procy,

zderzając się ze sobą, wypadli czterej saperzy. Wybiegli na dziedziniec, jakby gonił ich rozwścieczony niedźwiedź.

I mimo że każdy był w hełmie absorbującym akustykę i huki, wszyscy przyciskali ręce do boków głów. Lilian zrobiła to samo. Krzyk był tak ogłuszający, jakby cały chór udręczonych głosów wylewał się z głośników na koncercie. Dźwięki osiągały taką wysokość, że szyby w obu oknach po bokach ganku pękły na całej szerokości i jedna z nich wypadła.

Zatykając uszy palcami, komisarz Routledge podszedł do Lilian.

– Kto, do cholery, tak się tam wydziera?! – zawołał. – Ma pani jakiś pomysł?

Lilian pokręciła głową. Co miała powiedzieć? Że to wszystko to ból, którego doznali w Afganistanie żołnierze. A także ból jej byłego męża?

– Andy! – krzyknął komisarz do Woodsa. – Czy mamy nauszniki ochronne?

W chwili, gdy to powiedział, krzyki nagle ustały i jedynym dźwiękiem, jaki pozostał, był chrzęst żwiru pod butami policjantów oraz odległy pomruk ruchu na autostradzie M25. Gdzieś w otaczającym szpital lesie lis wydał zduszony skowyt, który zabrzmiał, jak płacz zrozpaczonego dziecka. Detektywi, mundurowi i saperzy popatrzyli po sobie w zdumieniu.

Do Routledge'a podszedł, lekko się chwiejąc, dowódca saperów.

– Pański sierżant zapewniał mnie, że poza jednym martwym mężczyzną budynek jest zupełnie pusty – powiedział. – Ale te wrzaski zdecydowanie temu przeczą, nie uważa pan?

– Proszę mi wierzyć, poruczniku, jesteśmy tak samo skonsternowani jak pan. Jedna z możliwości jest taka, że ktoś zainstalował w budynku sprzęt nagłaśniający i inne technologiczne cuda. Albo coś podobnego. Na razie jednak, szczerze mówiąc, nie mamy najmniejszego pojęcia, co to może być.

Lilian nie wtrąciła się, ale pomyślała: komisarzu Routledge, widział pan tych krzyczących na własne oczy. Był pan szarpany i spychany ze schodów przez ludzi, których pan nie widział, a potem utknął pan w pułapce, bo drzwi tarasowe można było otworzyć tylko jakimś magicznym zaklęciem. A nadal nie ma pan pojęcia, co to może być?

Domyślała się jednak, że policjant mógł nie mieć ochoty przyznawać się, że jest bliski uwierzenia, że te krzyki w szpitalu to krzyki duchów, zjaw lub



udręczonych dusz. Prawdopodobnie nie chciał, żeby ten młody saper uznał go za wariata.

– Hm... teraz jest już spokojnie – zauważył porucznik. – Jeśli tak zostanie, spróbujemy wrócić do środka. Ale jeśli te krzyki znowu się zaczną, to nie wiem, co z tym zrobimy. Wtedy to już pan będzie musiał ustalić plan dalszego działania. Ja nie zamierzam narażać moich ludzi na tak natężone dźwięki, one mogą trwale uszkodzić im słuch.

Komisarz Routledge nie mógł oderwać oczu od szpitala Filomeny i Lilian pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała człowieka, który wydawałby się tak bardzo pragnąć, by jakiś budynek po prostu rozpląnął się w powietrzu.

\* \* \*

Minęła kolejna godzina, zanim saperzy wyłonili się z wnętrza szpitala, zdejmując hełmy i ściągając rękawice. Jeden z nich przeszedł szybko na pobocze podjazdu i zwymiotował.

– To, co spotkało pani znajomego... to dość... przytłaczające – zwrócił się do Lilian inny z saperów. – Jak się zapewne pani domyśla, widziałem już wiele obrażeń spowodowanych wybuchami. Widziałem to, co pozostaje po zamachach samobójczych. Ale, mój Boże... czegoś takiego jeszcze nigdy.

Lilian skinęła głową. Była rozpaczliwie zmęczona i zziębnięta, ale nadal nie mogła zmusić się do odjazdu. Nie mogła przestać myśleć o Timie... czy raczej o udręczonym bólem duchu, którym się stał. Jak można nienawidzić człowieka i nadal czuć się za niego odpowiedzialnym? Jak można kogoś nienawidzić i mimo to mu współczuć?

Porucznik zameldował Routledge'owi, że budynek jest już czysty i że komisarz ze swoimi ludźmi i technicy kryminalistyczni mogą już bezpiecznie wejść do środka.

– Ostrzegam jednak... to nie jest najprzyjemniejszy widok – dodał.

Komisarz wszedł do szpitala pierwszy, a za nim doktor Horner. Hol był tak jasno oświetlony, że Routledge musiał osłonić oczy ręką. Głowa Artioma z zapadniętymi i mętnymi oczami nadal leżała na podłodze. Deski podłogowe były pokryte plamami krwi tworzącymi kształt pawiego ogona.

Detektyw komisarz podszedł do schodów i spojrzał w górę. Wnętrznosci Artioma, nadal ociekające krwią, zwisały z poręczy jak pranie wywieszzone do wyschnięcia.

Dołączył do niego doktor Horner, niosący aluminiową walizkę medyczną. Odwrócili się do siebie, ale żaden się nie odezwał, obu brakowało słów. Technicy wyjęli już aparaty fotograficzne i zaczęli robić zdjęcia; w blasku ich fleszy obaj mężczyźni wyglądali, jakby co chwila podskakiwali, zszokowani.

Pierwszy z oszołomienia otrząsnął się doktor Horner.

– No cóż – mruknął. – Przypuszczam, że chyba najlepiej zrobię, jeśli pójde teraz na górę i przyjrę się wszystkiemu z bliska.

Komisarz wiedział, że powinien mu towarzyszyć, ale gdy patolog zaczął wchodzić na schody, Routledge zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie się ruszyć. To, co zastał w szpitalu, przypominało mu dzień pogrzebu ojca. Wszyscy żałobnicy podchodzili do otwartej trumny, by się z nim pożegnać, ale Barry Routledge został na klęczkach z zamkniętymi oczami, udając, że się modli. Nie był w stanie się zmusić, by spojrzeć w twarz zmarłego ojcu.

Nadal stał w miejscu, gdy nagle dotarło do niego, że na podeście pierwszego piętra coś się porusza. Horner był dopiero w połowie drogi na pierwsze piętro i przystanął, żeby przełożyć walizkę z jednej ręki do drugiej. Szczyt schodów był oświetlony tak jasno jak hol wejściowy i jedna z lamp świeciła komisarzowi prosto w oczy.

Routledge zmrużył powieki i wtedy właśnie dostrzegł stojącego bezpośrednio pod lampą mężczyznę z potarganymi włosami, w skórzanej kamizelce, której góra błyszczała w świetle lampy.

To niemożliwe, pomyślał. To nie może być on, niemożliwe, że nadal tu jest i rozkoszuje się widokiem rozerwanego ciała, chyba że to skończony świr.

Mężczyzna podszedł do balustrady, na której wisały ociekające krwią wnętrznosci Artioma. Spojrzał w dół na Routledge'a i wskazał na niego, jakby to było policyjne okazanie i wybierałby go spośród grona podejrzanych.

– Andy! – krzyknął komisarz i nagle nie był już sparaliżowany. Rzucił się w kierunku schodów i pokonywał po dwa, trzy stopnie na raz. Doktor Horner odwrócił się zaskoczony i prawie upuścił walizkę. – Andy! On tu wciąż jest! Ten drań wciąż tu jest!

Wyminawszy patologa, Routledge, ciężko sapiąc, pokonał ostatnie sześć stopni i znalazł się w miejscu usianym odłamkami kości i bryłami tkanki. Miednica Artioma leżała w kącie; wyglądała jak małe krzeselko dla dziecka.

Ale mężczyzna w skórzanej kamizelce zniknął. Nie było po nim śladu na schodach prowadzących na następne piętro i nie było słycać odgłosu jego oddalających się kroków. Klucząc ostrożnie pomiędzy makabrycznymi szczątkami na podłodze, komisarz dotarł do korytarza wiodącego do sal na pierwszym piętrze. Korytarz był pusty, a jedynym dźwiękiem, jaki się po nim rozniósł, był odgłos dudnienia butów sierżanta Woodsa i trzech mundurowych wbiegających za nim na schody.

– On tu był! Ten cały Martin Slater! Był tutaj! – krzyknął Routledge. – Widziałem go! Doktorze Horner? Pan też musiał go widzieć! Stał dokładnie tutaj!

Patolog wciąż stał w połowie schodów, gmerając przy jednym z zatrasków w walizce.

– Przykro mi, ale nie widziałem żywej duszy – powiedział.

– Musiał pan go widzieć! Był tutaj! Podszedł do poręczy i wskazał na mnie!

– Jest pan tego pewien, szefie? – spytał Woods. – Bo może to było tylko złudzenie, gra świateł.

– Oczywiście, że jestem pewien! Miał kręcone włosy i tą jasnobeżową skózaną kurtkę bez rękawów! Podszedł do samej balustrady i wycelował we mnie palcem, ot tak po prostu!

Sierżant Woods spojrzał na podłogę.

– Nie widzę żadnych odcisków butów – powiedział.

– Niekoniecznie muszą tam być, krew już w większości miejsc wyschła.

Detektyw posterunkowy Merrick rozejrzał się dookoła.

– Ale jeśli tu był, to dokąd poszedł? – zapytał.

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Ten cały szpital jest pełen pojawiających się znikąd ludzi, którzy zaraz potem znikają! Pewnie jest gdzieś tutaj tajna kłapa!

– Tajna kłapa – powtórzył Woods, tak jakby oba słowa pochodziły z obcego języka.

Routledge już miał mu coś ostro odwarknąć, ale w tym momencie budynek znowu rozbrzmiał przeraźliwymi krzykami, jeszcze głośniejszymi niż wcześniej, choć może wydawało się tak dlatego, że znajdowali się w środku. Były tak przenikliwe, że bębniarki komisarza zapiszczały jak piła tarczowa przecinająca metal i wywołały u niego natychmiastowy oślepiający ból głowy.

Merrick i inni policjanci z rękami przyciśniętymi do uszu wycofali się ze schodów i uciekli na zewnątrz. Doktor Horner upuścił walizkę; ta, objając się o stopnie, stoczyła się do holu i tam otworzyła, a znajdujące się w niej narzędzia i fiolki wypadły i potoczyły się na wszystkie strony. Ledwie trzymając się na nogach, Horner wybiegł przed szpital za Merrickiem i mundurowymi, a zaraz na nim podążali sierżant Woods i komisarz Routledge.

Ten ostatni zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe, ale to tylko nieznacznie wyciszyło krzyki, zwłaszcza że szyby w oknach były już popękane.

– Co to jest, do jasnej cholery? – zawołał patolog, ochryplym głosem.

– Nie wiem! – odrzyknął Routledge. – Ale będziemy musieli dokładnie przeszukać cały budynek, zanim znów wpuszczymy tam techników!

– Tylko jak to zrobić? – wtrącił się sierżant Woods. – Psy nie chcą się nawet zbliżyć do tego miejsca, ci ludzie od termowizji też!

Lilian wysiadła z samochodu i podeszła do nich.

– Widziałem go! – powiedział Routledge. – Widziałem tego waszego ogrodnika, tego Slatera! Ale w jakiś sposób udało mu się zbiec!

Popatrzyła na Świętą Filomenę. Teraz z łatwością mogła uwierzyć, że budynek żyje własnym życiem i ma własny przepełniony nikczemnością umysł, i że jego celem jest niszczenie życia oraz zgładzenie każdego, kto się do niego zbliży.

Krzyki ustały i znów nie słycać było nic poza chrzęstem żwiru i odległym szumem autostrady. Lilian uznała to za bardziej przerażające, niż gdyby wrzaski trwały dalej. Było tak, jakby szpital ostrzegał: „Ilekcroć wejdziecie do środka, przekonacie się, że tego nie zniesiecie. Więc trzymajcie się z daleka”.

– On jest przeklęty – mruknęła.

– Słucham? Co? – spytał doktor Horner, przykładając rękę do ucha.

– Nic – rzuciła i odeszła do swojego samochodu.

## Rozdział 29

Było już po północy, ale Lilian zatrzymała się w połowie zjazdu z wysokiego wzgórza przy cmentarzu w Epsom i zadzwoniła do Mosesa. Długo nie odbierał, a kiedy to zrobił, słychać było, że go obudziła.

– Moses? Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze, ale mam ci do przekazania naprawdę złe wieści. I muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę do ciebie podjechać?

– Masz złe wieści? Co się stało?

– Wolałabym powiedzieć, kiedy się zobaczymy, jeśli nie masz nic przeciwko. Wciąż jestem roztrzęsiona, prawdę mówiąc.

– Dobrze. Mieszkam na osiedlu Wells. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak. Daj mi pięć minut i będę u ciebie.

Ruszyła dalej, minęła tory wyścigów konnych i kawałek dalej skręciła w ciemną krętą drogę prowadzącą na osiedle. Moses mieszkał w bliźniaku naprzeciwko sklepu sieci Save and Smile, ze starannie przystrzyżonym cisowym żywopłotem na froncie. Lilian zaparkowała i już miała zadzwonić do drzwi, ale Moses otworzył je, zanim zdążyła dotknąć dzwonka. Był w szlafroku w zieloną kratę i w kapciach.

– Tylko proszę ciii... – powiedział, kładąc palec na ustach. – Grace miała ciężki dzień w hospicjum i jest wykończona. Ale wejdź, zapraszam.

Lilian weszła za nim do salonu. Zdążył już włączyć kominek elektryczny, więc w pokoju było ciepło.

– Proszę, usiądź. Mogę ci coś podać? Mam nadzieję, że nie urażę cię mówiąc, że wyglądasz trochę blado.

– Chodzi o Artioma – powiedziała.

Moses powoli usiadł naprzeciwko niej. Wiedział, że Artiom nie żyje, jeszcze zanim Lilian dodała cokolwiek więcej. Zdradzały to wyraz jej twarzy i ton głosu.

– Jak? – spytał. – Jak to się stało? Mój Boże, rozmawiałem z nim dziś rano.

Opowiedziała, jak ona i Artiom pojechali do Świętej Filomeny, żeby znaleźć Tima lub ból, który Tim wciąż odczuwał, i jak zostali zatrzymani przez Martina Slatera, kiedy próbowali wyjść. Musiała przerywać co kilka słów, by się uspokoić.

– To nie jest naprawdę Martin Slater – powiedział Moses. – To nie może być on. Myślę, że to jest to coś, co Artiom nazwał Q’areenem. Prawdziwy Martin Slater nie żyje od lat i nie byłbym zaskoczony, gdyby to ten Q’areen go zabił. – Skinął posępnie głową. Miał łzy w oczach, ale nie próbował ich otrzeć, więc powoli spłynęły mu po policzkach. – To była właśnie jedna z rzeczy, o których rozmawialiśmy dziś rano.

– Mówisz o Martinie Slaterze?

– Tak. Artiom miał silne podejrzenie, że to on może być Q’areenem. Chodziło o sposób, w jaki się pojawiał i znikał, jakby za sprawą magii. Duchy są w stanie to robić, bo są zmienną lotną energią, w przeciwieństwie do ludzi, których energia jest stabilna. I zawsze był ubrany tak samo. Prawdopodobnie kopiował wygląd ogrodnika z ostatnich momentów jego życia.

– Ale dlaczego on ciągle zabija ludzi?

– No właśnie. To samo pytanie zadawaliśmy sobie z Artiomem dziś rano. Doszedł do wniosku, że Q’areen zabija każdego, kto może chcieć uwolnić stworzone z bólu zjawy, które trzyma na uwieczni, albo te, które zdołają mu uciec.

– Nie rozumiem.

– Jedną z tych zjaw, które były przetrzymywane w Filomenie, był kapral, ten, którym się zajmowałem po tym, jak odniósł ciężkie obrażenia w Afganistanie. Terence Simon. Doszliśmy do wniosku ja i Artiom, że prawdopodobnie udało mu się pokonać ból poprzez przekazanie go waszemu mierniczemu, Alexowi. A inny żołnierz, który cierpiał na paraliż, zdołał przenieść go na waszą mierniczą. Potem Alex przeniósł ból na lekarza, a ta miernicza...

– Charlie – wtrąciła Lilian.

– Tak, właśnie, Charlie. Jej udało się przekazać paraliż pielęgniarce. Ale zanim lekarz i pielęgniarka zdążyli przekazać ból i paraliż komuś innemu, Q’areen dopadł ich i zabił.

– A Frank Willard? Myślisz, że Q’areen zabił i jego?

– Powiedziałbym, że jest to prawie pewne. Frank Willard pokazał nam kolegów z wojska, a Q’areen mógł w tym dopatrzeć się zagrożenia dla swojego zadania, jakbyśmy w jakikolwiek sposób mogli pomóc tym zjawom uciec. Ja tylko spekuluję, Lilian. To wszystko, co mówię, może być jedynie czystym szaleństwem. Tyle że kto inny miałby krzyczeć w Świętej Filomenie, jeśli nie żołnierze, którzy zostali ranni w Afganistanie? I kto inny więziłby ich tam, jeśli nie mściwy afgański duch?

Lilian usiadła prosto. Zaczęło jej się robić ciepłej i już się nie trzęsła, ale w głowie miała zamęt, a myśli wirowały w niej niczym ubrania w bębnie pralki.

– To co zrobimy? – spytała. – Policja chyba nie jest w stanie sobie z tym poradzić. Docieram do punktu, w którym na myśl przychodzi mi tylko to, żeby odejść i zostawić projekt. Jeśli ktoś inny będzie chciał przebudować Filomenę, życzę mu powodzenia. No ale jest jeszcze Tim, który będzie tam tkwił już na zawsze, i ci żołnierze... Żebyś ty słyszał, jak oni krzyczeli, Moses... Przysięgam na Boga, że nigdy w życiu nie słyszałeś takiego krzyku.

– Nie możemy ich zostawić – orzekł Moses. Otarł twarz z łez dłońmi i pociągnął nosem. – Przynajmniej ja nie mogę ich zostawić. Po prostu nie mogę. Wyobrazasz sobie, że pojawiam się u bram raj u święty Piotr mówi do mnie: „Wybacz, ale co z tą uroczystą przysięgą, którą złożyłeś, tą, że zaopiekujesz się żołnierzami i żołnierzkami? Co się z nią stało? Bo ja nadal słyszę, jak oni krzyczą w tym szpitalu”.

– Ty chyba nie wierzysz naprawdę, że istnieje jakiś raj?

Moses spojrział na krucyfiks wiszący nad kominkiem i odpowiedział pytaniem:

– A w co innego można wierzyć?

– To nadal nie wyjaśnia, co zrobimy, jeśli w ogóle chcemy coś zrobić. Jak mówisz, moglibyśmy odwrócić się plecami i zapomnieć o Filomenie, ale nie sądzę, żeby to było możliwe w naszym przypadku, prawda? – Lilian też spojrzała na krucyfiks. – Może powinniśmy porozmawiać z księdzem?

– A czy to by coś dało? Nie widzę, jak to mogłoby pomóc. Siła, która trzyma te stworzone z bólu postacie w tym szpitalu, nie ma nic wspólnego z żadną religią.

– Artiom powiedział mi, że gdyby tylko jedna osoba doświadczyła cierpienia większego niż cierpienie kogokolwiek innego w Filomenie, zakończyłoby to ból wszystkich innych. Jak Jezus na krzyżu.

– Tak – przyznał Moses. – Mnie też Artiom wspominał, że w trakcie swoich badań znalazł kilka podań o męczennikach, którzy dobrowolnie poświęcili siebie, by uchronić innych od bólu.

– Nie bardzo wierzę, żeby to mogła być prawda – odparła Lilian. – Poza tym, kto zgłosi się na ochotnika, żeby sprawdzić, czy to działa? Ten mężczyzna, którego widzieliśmy w kuchni... ten, który dźgał się nożem, próbował okaleczyć się jeszcze bardziej, niż został okaleczony, gdy go postrzelono. Mówił, że jakiś starzec w Afganistanie powiedział mu, że może zakończyć swój ból, jeśli dozna jeszcze większego od tego, jaki czuł, gdy został ranny. Trochę jak terapia szokowa. Ale on mimo to nadal cierpiał, więc w jego przypadku to się nie sprawdziło.

– Być może nie zadawał sobie wystarczająco dużego bólu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zegar na gzymsie kominka zagrzechotał i wybił drugą.

– Lepiej wróć już do domu i spróbuję się trochę przespać – powiedziała Lilian. – Chociaż wątpię, by mi się to udało.

– Może zobaczymy się jutro po południu – zaproponował Moses. – Rano muszę zawieźć wnuczkę do dentysty. Potem zadzwonię do ciebie.

Odprowadził Lilian do drzwi wejściowych. Na zewnątrz zaczynał padać deszcz; krople spadały z bębnieniem na betonową ścieżkę.

– Artiom był takim dobrym człowiekiem – odezwał się ze smutkiem Moses. – Nie żywił do nikogo urazy, nikomu nic złego nie życzył, nieważne jakiej był rasy czy wyznania. Są tacy Rosjanie. Bardzo kulturalni, wykształceni. Bardziej obywatele świata niż Rosji. Jestem przekonany, że wielu ludzi odczuje boleśnię jego brak. Nie widziałem go przez długi czas, ale wiem, że będzie mi go bardzo brakowało.



– Wiesz, zastanawia mnie jedna rzecz – powiedziała Lilian. – Jeśli Martin Slater zabił Artioma, bo myślał, że ten chce uwolnić tych, których on trzyma w zamknięciu w Świętej Filomenie, i jeśli z tego samego powodu zabił Franka Willarda, to dlaczego nie zrobił nic złego mnie?

– Myślę, że odpowiedź na to jest prosta. Jesteś kobietą, a dla Q’areena kobiety są czymś nawet mniej ważnym niż robactwo.

\* \* \*

Komisarz Routledge dotarł do domu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Lilian opuszczała Wells. Na resztę nocy zostawił w Filomenie na straży trzech policjantów ze ścisłymi zaleceniami, by nikogo tam nie wpuszczali.

Wysiadł ciężko z samochodu i gdy wszedł do domu, uważał, żeby nie robić hałasu i nie obudzić Audrey. Po raz pierwszy w całej karierze śledczego miał pustkę w głowie. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, co robić. I nie chodziło tylko o poinformowanie o postępach przelożonych oraz mediów bez sprawienia wrażenia, że kompletnie stracił rozum. Chodziło też o to, jak usunie tych krzyczących ludzi ze Świętej Filomeny, żeby śledztwo w sprawie zabójstwa Artioma Goroczowa mogło być kontynuowane.

Po tym, jak był spychany ze schodów przez istoty, które wydawały się niewidzialnymi ludźmi, nabrał przekonania, że szpital jest nawiedzony przez niewytłumaczalne siły, choć nawet nie próbował się zacząć zastanawiać, o jakie siły mogłoby chodzić. Z pewnością nie były to duchy – przynajmniej nie takie, które chodzą obleczone w prześcieradła lub mogą przenikać przez zamknięte drzwi. Zjawy ze szpitala Filomeny wydawały się tak materialne jak ludzie; czuł nawet fakturę ich ubrań.

Przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął karton mleka. Zawsze bolał go brzuch, kiedy był zestresowany, a mleko pomagało ukoić ból. Nalał sobie szklankę i stanął przy oknie kuchennym, by wypić. Wpatrując się w swoje odbicie w szybie, dostrzegł, że w oddali niebo przeszłyła łuna błyskawicy, usłyszał pomruk grzmotów i zaraz potem na ziemię przed domem zaczęły spadać pojedyncze krople deszczu.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że pod jodłą na końcu ogrodu ktoś stoi. Mężczyzna miał ręce skrzyżowane na piersi, jakby cierpliwie czekał, aż

Routledge go zauważy. Twarz intruza była zasłonięta cieniem rzucanym przez wiszące nad nim gałęzie, ale komisarz dostrzegł, że ma na sobie lekko błyszczącą kamizelkę. Skórzana kamizelka. Skórzana kamizelka i kalosze, jakie mógłby nosić ogrodnik.

Komisarz otworzył drzwi prowadzące na podwórze i wyszedł na taras. Deszcz nie rozpadał się jeszcze na dobre, niemniej poczuł zimną kroplę na czubku głowy i kolejną na policzku.

– Hej tam! – zawołał, choć nie za głośno, bo sypialnia znajdowała się tuż nad kuchnią.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko dalej stał pod jodłą, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Routledge, idąc w jego stronę przez trawnik, wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni i włączył w niej latarkę. Gdy zaświecił nią mężczyźnie w oczy, ten obrócił głowę w bok, ale pozostał tam, gdzie stał. Nie było jednak żadnych wątpliwości. Nie można było nie rozpoznać jasnobeżowej skórzanej kamizelki i potarganych ciemnych włosów. To był Martin Slater, ogrodnik z Filomeny.

– Co pan, do cholery, robi w moim ogrodzie? – zapytał ostro komisarz. – I skąd pan się dowiedział, gdzie mieszkam? Wie pan, że jest poszukiwany, że chcemy pana przesłuchać?

– Zabierz pan to światło z moich oczu – odparł Slater beznamiętnym tonem.

– Zatrzymuję pana jako podejrzanego o popełnienie zabójstwa.

– Och. Aresztuje mnie pan jako podejrzanego o popełnienie zabójstwa? A co z tymi wszystkimi niewinnymi mężczyznami, kobietami i dziećmi, których zamordowali wasi ludzie? Kto zaaresztuje waszych zabójców i postawi ich przed sądem?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi. Ja natomiast mówię o doktorze Wellsie i siostrze O’Grady ze szpitala Heliera, a także o Franku Willardzie z domu opieki Marion Crosby, Timothy Chesterfieldzie znalezionym na torze wyścigowym w Epsom i o Artiomie Goroczowie zabitym w szpitalu Filomeny. O nich właśnie mówię.

– I co, to już wszyscy? Nazwisk moich ludzi, którzy zostali zabici, jest zbyt wiele, aby dało się je zapamiętać. Wie pan jak wiele?

– Nie wiem, kim są pańscy ludzie, kolego, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, jak wielu ich jest. Aresztuję pana za popełnienie pięciu zabójstw i jeśli wie pan, co jest dla pana dobre, uda się pan ze mną do najbliższego komisariatu bez dalszej dyskusji.

– Ponad siedemdziesiąt tysięcy – rzucił Slater. – Siedemdziesiąt tysięcy ludzi, których jedyną zbrodnią było to, że się urodzili.

– Powiedziałem już, że mnie to nie interesuje – odparł Routledge. – Może pan pójść ze mną, nie robiąc kłopotów, albo będę zmuszony wezwać posiłki. Pański wybór. A jeśli postanowi pan uciec, dogonimy pana, może być pan tego pewien.

– Spójrz na mnie.

– Co proszę?

– Powiedziałem: „Spójrz na mnie”. Widzisz mnie wyraźnie, prawda?

– Idzie pan ze mną czy nie? Chce pan, żebym wygłosił oficjalne ostrzeżenie, tak? W takim razie dobrze. Zatrzymuję pana pod zarzutem popełnienia zabójstwa. Nie musi pan nic mówić, ale może to zaszkodzić pańskiej obronie, jeśli nie wspomni pan podczas przesłuchania o czymś, na co później powoła się pan w sądzie. Wszystko, co pan powie, może być użyte jako dowód. Amen.

– Spójrz na mnie.

– Patrzę na pana.

– Nie chcę cię zabić. Robisz tylko to, co należy do twoich obowiązków.

– Ogromnie miło z pana strony.

– Jednym z powodów, dla których chcę, żebyś pozostał przy życiu, jest to, że możesz ostrzec kolegów. Powiedzieć im, że muszą trzymać się z daleka od Filomeny. Nie tylko teraz, ale już zawsze.

– Doprawdy? W takim razie może podsunie mi pan jakiś pomysł na to, jak mamy zatrzymać te wrzaski?

– Spójrz na mnie – nie ustępował Slater.

– Patrzę, do cholery.

– Proszę... aresztuj mnie. – Slater wystawił ręce, wierzchem dłoni do góry.

Routledge sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej czarne nylonowe opaski, które zawsze nosił. Próbował zrobić krok w stronę Slatera, ale przekonał

się, że nie był w stanie się ruszyć. Obie jego nogi były całkowicie zdrętwiałe. Naprężył się i stęknął, ale w ogóle ich nie czuł.

– Co mi, do cholery, zrobiłeś? – warknął.

– Spójrz na mnie.

– Co, do cholery, zrobiłeś z moimi nogami?

Martin Slater nie odpowiedział. Patrzył na komisarza, lecz spojrzenie jego szarych oczu było dziwnie rozproszone, jakby był pod wpływem narkotyków. Routledge chciał odwrócić wzrok, ale stwierdził, że ma zablokowane mięśnie szyi, a kiedy spróbował zamknąć oczy, powieki nie chciały opaść.

– Co to jest? Jakiś rodzaj hipnozy? – Oczy zaczęły mu łzawić, bo nie mógł mrugać.

Spróbował ponownie skierować światło latarki na twarz Slatera, ale zeszywniały mu również i ramiona, a palce dłoni zastygły. Telefon wysunął mu się z ręki, spadł na ziemię i oświetlił szczerzącego się na pobliskiej rabatce gipsowego krasnala.

Po chwili Routledge poczuł, że puchną mu oczy i że coś szarpie za nie od środka. Chciał podnieść rękę, by je zakryć, ale łokcie nie chciały się zgiąć.

– Co ty robisz?! – krzyknął do Slatera. – Co ty, kurwa, robisz z moimi oczami?

Uczucie szarpania w oczodołach nasiliło się. Dosłownie czuł, jak gałki oczne pękają, wrywane z otaczających je mięśni. Stał pośrodku trawnika, dygocząc z bólu i ze strachu, nie mogąc się poruszyć. Znowu krzyknął, tym razem nieskładnie. Na piętrze za nim zapaliło się światło w sypialni. Zasłony rozchyliły się i pojawiła się Audrey w koszuli nocnej, wyglądająca w ciemność.

W tym momencie obie gałki wyskoczyły z oczodołów komisarza i przez kilka sekund przypominał klauna. Nerwy wzrokowe rozciągnęły się do granic możliwości niczym mokra struna, a potem pękły i gałki oczne spadły na trawę.

Oślepiony, pochłonięty przez ciemność, zachwiał się, po czym osunął na kolana.

– No i już – mruknął Slater, wychodząc spod jodły.

Deszcz padał teraz mocniej, ale Routledge pozostał tam, gdzie był, pochylony nad trawą, z palcami przytkniętymi do śliskich zagłębień, gdzie jeszcze przed

chwilą znajdowały się jego oczy. Był w tak głębokim szoku, że milczał.

– Oszczędziłem cię – powiedział Martin Slater. – Mogłem zrobić ci to samo, co zrobiłem innym, ale wystarczy, że już nigdy nie będziesz w stanie zobaczyć świata ani tego, co ty i inni z nim zrobiliście.

Okno sypialni otworzyło się.

– Barry?! – zawołała Audrey. – Barry, czy to ty tam jesteś na dole? Co twój telefon robi na trawniku? Barry?

Z deszczem bębniącym mu po plecach komisarz zaczął się czołgać po mokrej trawie. Martin Slater stał i przyglądał mu się przez chwilę, beznamiętnie, jakby obserwował odpełzającego żółwia. A potem Audrey znów zawołała: „Czekaj, Barry! Już schodzę na dół!” i zamknęła okno w sypialni.

Martin Slater przeszedł na bok domu, minął kosze na śmieci i wyszedł furką na zewnątrz. Zostawił ją otwartą, lecz gdyby Audrey wyszła na front domu i spojrzała na ulicę, nikogo by tam nie zobaczyła.

Błyskawica znowu rozcięła niebo, tym razem znacznie bliżej, i zaraz potem rozległ się głośny huk pioruna.

## Rozdział 30

Lilian nie mogła zasnąć przez całą noc, ale została w łóżku aż do wpół do dziewiątej. Kiedy w końcu wstała, wzięła długi prysznic, umyła włosy, a potem włożyła luźny czarny sweter z golfem i dżinsy. Tym razem nie zawracała sobie głowy wciskaniem się w wyszczuplające brzuch majtki.

Zrobiła sobie kawę i zadzwoniła do Davida. Poprosiła go, żeby skontaktował się z wykonawcami robót elektrycznych, którzy byli umówieni na podłączenie prądu w Filomenie, i żeby przekazał im, że prace będą musiały zostać przełożone na później. Chciała też, by zadzwonił do firmy Johnson's w Guildfordzie i odwołał zamówionego u nich mierniczego.

– Wszystko u ciebie w porządku, Lilian? – zapytał David. – Brzmisz trochę niepewnie, wybaczone, że tak mówię.

– A dziwisz mi się? Po tym wszystkim, co się wczoraj stało?

– W takim razie staraj się dzisiaj nie denerwować. Zadzwonię do ciebie później.

Zabrała kawę do salonu i otworzyła laptopa. Zaczęła przeglądać plany i pomysły, nad którymi pracowała, by przekształcić Filomenę w luksusowy budynek mieszkalny. Teraz były jedynie świadectwem całej masy godzin zmarnowanego wysiłku, ponieważ była przekonana, że Park Filomeny nigdy nie powstanie. Była też pewna, że jej kariera przyhamuje, jeśli w ogóle się nie zatrzyma.

Roger French ciągle do niej pisał, bo chciał się dowiedzieć, co dzieje się w szpitalu. Nie odpisywała, więc zaczął do niej wydzwaniać, najpierw na komórkę, potem na telefon stacjonarny. Nie odbierała. Wiedziała, że jeśli spróbuje wyjaśnić, co się wydarzyło w nocy, zabrzmie to jak histeryczny nonsens; a co gorsza, mogłaby znowu zacząć się trząść i pewnie by się rozpląkała.

Nie była w stanie przestać myśleć o Artiomie wybuchającym tuż przed nią. Nie była w stanie zapomnieć o bólu, który nadal trawił Tima, mimo że nie żył. Nie mogła usunąć z pamięci tego koszmarnego chóru krzyków i nie mogła się zastanawiać, czy ci żołnierze zgłosiliby się do wojska na ochotnika, gdyby wiedzieli, że ryzykują nie tylko to, że mogą zostać ranni, ale również, że z powodu ran będą cierpieć przez całą wieczność.

Włożyła płaszcz i żeby przewietrzyć umysł, poszła na spacer. Przeszła przez drogę do parku Rosebery i usiadła na ławce obok stawu z kaczkami. Zawsze myślała, że kontroluje swoje życie. To dlatego, kiedy Tim się rozpił i zaczął ją bić, była w stanie od niego odejść i złożyć pozew o rozwód. Ale teraz czuła się całkowicie bezradna, zwalona z nóg przez wydarzenia i siły, których nie rozumiała. Mimo tej bezradności, wciąż czuła się jednak odpowiedzialna za tych mężczyzn cierpiących w niekończącej się agonii w Świętej Filomenie i miała przekonanie, że powinna dalej próbować znaleźć jakiś sposób na uratowanie ich. Jak mogłaby ich tam zostawić?

Telefon znowu zabrzączał, wyjęła go więc z kieszeni płaszcza. Znowu dzwonił Roger French, ale tym razem odebrała.

– Roger?

– Czy zechciałabyś mi łaskawie wyjaśnić, co, do jasnej cholery, się dzieje, Lilian? Próbuję się do ciebie dodzwonić od rana. Gdzie byłaś?

– W piekle, Roger. I jeszcze z niego nie wróciłam.

\* \* \*

Wróciła do domu i więcej nie reagowała na próby kontaktu, mimo że French wciąż słał wiadomości, a laptop pikał nieustannie. Dzień był szary i pochmurny i chociaż ciemno zaczynało się robić wcześniej, nie włączyła światła. Przygotowała sobie kanapkę z serem i pomidorem, lecz kiedy zaniosiła ją do salonu, nie mogła się zmusić, żeby ją zjeść. Czuła, że mogłaby się udławić nawet jednym kęsem.

Zamknęła oczy, ciągle jednak pamięć podsyłała jej obraz głowy Artioma wirującej w powietrzu i jego wnętrzości zwisających z poręczy.

Gdy wybiła piąta po południu, zaczęła się zastanawiać, dlaczego Moses nie dzwoni, jak obiecał. Był jedyną osobą, która naprawdę rozumiała, co dzieje się w Filomenie, a ona bardzo potrzebowała z nim o tym porozmawiać. Nawet jeśli nadal nie miał pomysłu na to, jak mogliby zakończyć cierpienie tych udręczonych dusz, które wciąż krążyły po szpitalnych salach.

Wysłała mu esemesa z pytaniem, kiedy i gdzie chce się spotkać, ale nie odpowiedział, więc po dziesięciu minutach zadzwoniła do niego do domu.

Odebrała Grace.

– Słucham, Akinyemi.

– Czy zastałam Moseesa? Mówi Lilian Chesterfield.

– Nie, Moses wyszedł.

– Czy wie pani, o której wróci? Obiecał, że do mnie zadzwoni.

– Prawdę mówiąc, sama jestem trochę zaniepokojona. Mówił, że wróci przed czwartą, a jeszcze go nie ma. Dzwoniłam do niego, ale nie odbierał. To do niego niepodobne.

– Ja też próbowałam się do niego dodzwonić. Cóż... gdy wróci, będzie pani tak uprzejma i przekaże mu, że dzwoniłam i prosiłam, żeby do mnie oddzwonił? Ma mój numer.

– Tak, oczywiście, przekażę. Ale jeśli najpierw odezwie się do pani, proszę mu powiedzieć, że żona zastanawia się, co się z nim stało.

Lilian sprawdziła wiadomości na WhatsAppie, bo telefon nadal pikał raz za razem, lecz oprócz dwóch wszystkie były od Rogera Frencha. Pozostałe dwie przysłał David; potwierdzał, że rozmawiał z firmą od podłączenia prądu i z Johnson's.

Ponieważ nie miała w poczcie elektronicznej zainstalowanego sygnału alertu, sprawdziła ją. I wtedy zobaczyła, że Moses przed niecałymi jedenastoma minutami wysłał maila.

*Kiedy mnie znajdziesz, będziesz wiedziała, że dotrzymałem przysięgi złożonej ludziom, których obiecałem chronić. Wszyscy oni wkrótce będą wolni od bólu, podobnie jak ja. Życzę ci świetlanej przyszłości.*

Lilian odczytała wiadomość ponownie, z rosnącym przerażeniem. Co Moses miał na myśli, pisząc, że dotrzymał przysięgi? I co jeszcze bardziej



niepokojące... co miał na myśli, pisząc, że oni wszyscy wkrótce będą wolni od bólu, i on również?

– O mój Boże – szepnęła.

Porwała torebkę i kluczyki, wbiegła do przedpokoju i ściągnęła płaszcz z wieszaka. Po otwarciu drzwi zatrzymała się jednak i wróciła do salonu po plastikową torbę z goglami noktowizyjnymi Franka Willarda. Potem wybiegła na zewnątrz, wskoczyła do samochodu i ruszyła spod krawężnika z piskiem opon.

Jechała tak szybko, jak tylko miała odwagę, i do Filomeny dotarła w mniej niż dziesięć minut. Główny wjazd policja zablokowała pomarańczowymi pachołkami, a na podjeździe stał radiowóz, ale Lilian planowała zaparkować tam, gdzie zostawił samochód Tim – w błotnistej zatoczce przy tylnej bramie. Kiedy do niej dotarła, zobaczyła, że Moses również tu zaparkował.

Gdy zamknęła samochód, otworzyła bramę i wspięła się po zboczku ku Świętej Filomenie. W torbie miała gogle. Budynek szpitala był pogrążony w całkowitej ciemności, a jedynymi odgłosami, jakie dało się słyszeć, był niekończący się szum odległego ruchu na autostradzie i pohukiwanie sowy.

Przeszła przez podwórze do tylnych drzwi prowadzących do szatni. Odkąd po raz pierwszy została uwięziona w budynku, zawsze pilnowała, by mieć przy sobie klucz do tych drzwi i żeby nigdy nie zamykać ich na zasuwy, chociaż spodziewała się, że pewnie będzie je chciała otworzyć raczej od wewnątrz niż od zewnątrz.

W szpitalu panowała cisza. Weszła do holu i stała tam przez chwilę, nasłuchując. Nie chciała jeszcze włączać latarki, bo obawiała się, że jej światło może zostać zauważone przez pilnujących budynku policjantów. Zresztą w holu było wystarczająco jasno; widziała nawet portret sir Edmonda Carvera wpatrującego się w nią ponuro. Wyglądał tak, jakby żałował, że wybudował ten dom lub co najmniej tego, że jego portret wisi tu tak długo i musi być świadkiem tylu cierpień i bólu.

Przemierzyła hol i podeszła do schodów.

– Moses?! – zawołała. – Moses, jesteś tu?

Nie było odpowiedzi, chociaż usłyszała, że gdzieś na górze cicho trzasnęły drzwi. Skoro jednak jego samochód stał na zewnątrz, to Moses musiał tu być,

choć nie mogła sobie wyobrazić, jak mu się udało dostać do środka. Może wyważył któreś z okien.

Nie potrafiła się zdecydować, czy w pierwszej kolejności pójść na trzecie piętro i spróbować znaleźć Tima. Ale Moses napisał wszyscy, a pierwszy raz widziała wszystkich kompanów wojennych Franka w sali recepcyjnej. Wciąż niezdecydowana, weszła na dwa pierwsze stopnie, potem jednak zawahała się i wróciła na dół.

Przesuwając palcami po wyłożonej boazerią ścianie, by ta prowadziła ją w ciemności, szła korytarzem do sali recepcyjnej. Dzięki wysokim oknom i wiszącym wszędzie lustrom było w niej trochę jaśniej, choć i tak Lilian wpadła na krzesło, które ktoś zostawił przy drzwiach.

– Moses?! – zawołała ponownie. – Jesteś tu, Moses?

Nadal nie było odpowiedzi. Sięgnęła więc do torby, wyjęła gogle i założyła je na głowę. Kiedy je włączyła i ujrzała całą salę w zielonym kolorze, od razu zrozumiała, dlaczego Moses nie odpowiadał na jej wołanie. Leżał na plecach na środku obok przewróconego krzesła.

– Moses! – krzyknęła. – Moses, co się stało?!

Przesunęła okulary na czoło. Miał otwarte oczy i wpatrywał się w nią, ale było jasne, że jej nie widzi. Nie oddychał. Uklękła przy nim i przytknęła mu palce do szyi, tak jak ją uczono na zajęciach z udzielania pierwszej pomocy: nie wyczuła pulsu.

Zaczęła uciskać jego klatkę piersiową i robiła to nieprzerwanie przez prawie trzy minuty, w końcu jednak zdała sobie sprawę, że nie ma już dla niego ratunku.

– Och, Moses – szepnęła, usiadła i smutno pokręciła głową.

Włączyła latarkę. Wiedziała, że będzie musiała powiadomić policję, że znalazła ciało Mosesa w sali recepcyjnej, nie musiała więc ukrywać dłużej swojej obecności. Ale właśnie wtedy zorientowała się, dlaczego Moses tu przyszedł, i zrozumiała, co zamierzał zrobić. Zaledwie kilka kroków dalej, na siedzisku jednego z krzeseł, stał czerwony kanister, a obok niego leżało pudełko zapalek.

*Kiedy mnie znajdziesz, będziesz wiedziała, że dotrzymałem przysięgi złożonej ludziom, których obiecałem chronić.*

– Och, Moses – powtórzyła. – Och, Moses.

Wstała i usłyszała głośne walenie do drzwi frontowych szpitala oraz wołanie.

– Kto tam jest? Otwierać!

Spojrzała w dół na Mosesa. Przyszedł tu, by poświęcić siebie dla ludzi, którymi obiecał się opiekować, ale stres musiał być zbyt obciążający dla jego serca. Mówił jej, że nigdy nie był w stanie zapomnieć horrorów z czasów służby w Afganistanie, prawie tak samo jak żołnierzom w Filomenie nie dane było zapomnieć o bólu.

– Otwierać! Policja! – krzyknął ktoś.

Miała już ruszyć do holu, ale wtedy rozległo się bębnienie, po którym nastąpił trzask. Policja musiała kopniakami wyważyć drzwi lub użyła jakiegoś narzędzia do ich sforsowania – prawdopodobnie łomu.

W tym samym momencie szpital zalały przesywające krzyki i tym razem brzmiało to tak, jakby krzyczała co najmniej setka osób, wszystkie na własną nutę. Lilian podciągnęła kołnierz płaszcza, by zasłonić uszy, ale hałas był tak dezorientujący, że zaczęła krążyć w kółko, ledwo będąc w stanie myśleć.

A krzyki, które ją ogłuszały, brzmiały tak, jakby ludzie, którzy je wydawali, byli wokół niej. Z powrotem nasunęła gogle na oczy i kiedy je włączyła, zobaczyła, dlaczego hałas był tak głośny. W sali recepcyjnej tłoczyli się żołnierze. Było ich więcej niż wtedy, gdy wezwał ich tu Frank Willard – dwustu lub nawet więcej – i choć widziała ich tylko w opalizującej zieleni, wyraźnie dostrzegała, jak poważnie większość z nich jest okaleczona. Nie mieli nóg, rąk, a niektórzy połowy twarzy.

Pogrążeni w wiecznej agonii, krzyczeli i krzyczeli, ale nie po to, by ją wystraszyć. Były jak krzyk dziecka – rozpaczliwy wyraz bólu i świadomości, że już zawsze będą odczuwali ból, nawet po śmierci.

Szli wszyscy w jej stronę i ci, którzy mieli ręce, wyciągali je do niej, błagając ją tym gestem, by ich wyzwoliła. I wtedy nagle, przepychając się między nimi, pojawił się Tim.

– Tim! – zawołała Lilian.

– Wybacz mi, Lil! Proszę, wybacz mi!

Spojrzała na leżącego na podłodze Mosesa i ogarnięta nagle dziwnym spokojem, zrozumiała, co musi zrobić. To było jej przeznaczenie. Jej los. Nie

została sprowadzona do Świętej Filomeny z żadnego innego powodu niż ten. Nie zjawiała się tu po to, żeby przekształcić ten niegdysiejszy szpital w luksusowy budynek mieszkalny, tylko po to, by odkupić ból, którego doświadczali otaczający ją żołnierze, walczący niegdyś o kraj, który nigdy nie był ich krajem.

Tim obserwował ją uważnie, gdy podchodziła do krzesła, kiedy podnosiła kanister i odkręcała zakrętkę. Był jedynym w całym tłumie, który nie krzyczał, choć zaciskał i rozwierał pięści w agonii, czekając na to, co zrobi Lilian.

A ona uklękła na podłodze obok Mosesa; pragnęła, żeby wszyscy żołnierze w pomieszczeniu zniknęli. Chciała zostać sama z Mosesem. Ściągnęła gogle i odrzuciła je w bok. Krzyki trwały jednak nadal, teraz tak przenikliwe, że dzwoniło jej w uszach i prawie głuchła.

Podniosła kanister. Zapach benzyny był tak intensywny, że zakrztusiła się. Musiała się uspokoić i wziąć kilka głębokich oddechów, lecz to tylko spowodowało, że ponownie się zakrztusiła, a usta wypełniły się przesiąkniętą smakiem benzyny żółcią.

Wybacz, Boże, powiedziała w duchu. Wybacz, mamó. Wybacz, tato.

I z tymi słowami, zacisnąwszy mocno oczy, wylała sobie na głowę benzynę. Zaskakująco zimną, dlatego aż zadrżała, gdy pod kołnierzem płaszcza spłynęła jej na plecy. Gdy opróżniła już cały kanister, upuściła go na podłogę i zerkając przez opary tylko jednym otwartym okiem, sięgnęła po pudełko zapalek

Wyjęła jedną i już miała przeciągnąć nią po drasce, gdy drzwi do sali otworzyły się z hukiem i do środka jak burza wpadł Martin Slater. Z twarzą wykrzywioną furią zaczął przedzierać się przez tłum niewidzialnych żołnierzy w jej stronę.

– Zatrzymaj się, suko! – ryknął, co usłyszała nawet poprzez kakofonię rozpaczliwie głosów. – Nie waż się tego robić!

Lilian zapaliła zapalstkę.

– Stój! – ryknął i nagle nie był już Martinem Slaterem ze splątanymi ciemnymi włosami, w jasnobezowej skórzanej kamizelce, tylko upiorną postacią w powiewającej białej szacie, z czerwonymi oczami jak dwa żarzące się węgle i czarnymi włosami, które stały na głowie na sztorc, jakby rozdmuchiwały je powiewy huraganu.

Lilian podniosła płonąca zapalną do brody i natychmiast jej twarz zamieniła się w maskę płomieni. Potem ogień ogarnął jej nasączone benzyną ubrania i cała stanęła w płomieniach. Gdy się paliła, jeszcze zanim ogień strawił ją do końca, jej włosy również podniosły się jak u Slatery, tyle że jej płonęły.

Duch Bólu rzucił się do niej i próbując zdusić ogień, starał się owinać wokół niej, lecz Lilian paliła się z taką mocą, że jego szata również się zajęła. Oboje stali się więźniami ognistego uścisku, męczennica i morderca, i płonęli razem.

A kiedy to się działo, Lilian resztkami przytomności myślała o tym, że to chyba niemożliwe, by na świecie istniał ból aż tak straszliwy. Gdy schodziła z niej skóra i zanim zakończenia nerwów całkowicie się wypaliły, ból, który ją spowijał, tak dalece przekraczał wszystko, czego dotąd doświadczyła, że mogła o nim myśleć tylko jako o świętym bólu.

Była już ślepa, kiedy duch oplótł ją ramionami, nie mogła więc zobaczyć jego twarzy, ale czuła, że otwiera usta i oczy mu dymią.

Po kilku minutach przestała czuć cokolwiek. Nie słyszała też tego, że krzyki wokół niej stopniowo cichną. Do chwili, gdy podążając za zapachem spalenizny, policjanci wpadli do sali recepcyjnej, była już tylko siedzącą figurą składającą się jedynie ze zwęglonego ciała i kości. A Duch Bólu, zredukowany do popiołu, w sypkich szarych smugach rozwiął się po podłodze.

W szpitalu było już zupełnie cicho.

# Rozdział 31

Lilian obudziło nawoływanie kukułki. Otworzyła oczy i ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że leży na trawiastym pagórku, otoczona polnymi kwiatami – stokrotkami, żółtymi jaskrami, nawrotami. Świeciło słońce i wiał ciepły wiatr.

Usiadła. Niedaleko niej siedział nad lśniącym stawem Moses. Żuł źdźbło trawy i rzucał kamyczki do wody, tak, że kiedy się odbijały, woda migotała.

– Moses? – spytała zdziwiona.

Odwrócił się do niej i podniósł rękę na powitanie.

– Lilian, obudziłaś się? – zapytał.

– Gdzie my jesteśmy?

Moses uśmiechnął się i odparł:

– A nie domyślasz się?

# Tego autora

## *Sagi historyczne*

WŁADCY PRZESTWORZY

IMPERIUM

DYNASTIA

## **Katie Maguire**

BIAŁE KOŚCI

(książka wcześniej ukazała się pt.

KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY

CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

UZNANI ZA ZMARŁYCH

SIOSTRY KRWI

POGRZEBANI

MARTWI ZA ŻYCIA

TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI

ŚWIST UMARŁYCH

ŻEBRZĄC O ŚMIERĆ

DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI

## **Beatrice Scarlet**

SZKARŁATNA WDOWA

SABAT CZAROWNIC

## **Rook**

ROOK

KŁY I PAZURY

STRACH  
DEMON ZIMNA  
SYRENA  
CIEMNIA  
ZŁODZIEJ DUSZ  
OGRÓD ZŁA

**Wojownicy Nocy**

ŚMIERTELNE SNY  
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY  
DZIEWIĄTY KOSZMAR

**Manitou**

MANITOU  
ZEMSTA MANITOU  
DUCH ZAGŁADY  
KREW MANITOU  
ARMAGEDON  
INFEKCJA

***Inne tytuły***

STUDNIE PIEKIEŁ  
ANIOŁ JESSIKI  
STRAŻNICY PIEKŁA  
DEMONY NORMANDII  
ŚWIĘTY TERROR  
SZARY DIABEŁ  
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ  
ZJAWA  
BEZSENNI  
CZARNY ANIOŁ



STRACH MA WIELE TWARZY

SFINKS

WYZNAWCY PŁOMIENIA

WENDIGO

OKRUCHY STRACHU

CIAŁO I KREW

DRAPIEŻCY

WALHALLA

PIĄTA CZAROWNICA

MUZYKA Z ZAŚWIATÓW

BŁYSKAWICA

DUCH OGNI

ZAKŁĘCI

ŚPIĄCZKA

SUSZA

DOM STU SZEPTÓW

SZPITAL FILOMENY